

ISDA.467

URKE - NACHALNIK

ROZPRUWACZE

Powieść sensacyjna

Warszawa 1938

Wydawnictwo M. FRUCHTMANA



~~424802~~

I.501.457

Drukarnia P. Brzeziński, Warszawa. Tel. 11.72.95.

1942

D. 1552

ROZDZIAŁ I

— Trzymać złodzieja!... Łapać złodzieja... Pol-
cja — a — a!..

Nagle rozległ się w ciszy nocnej rozpaczliwy krzyk kobiety. Głos jej tonął w dali, w labiryncie ciemnych uliczek..

Nikt, widać, nie śpieszył napadniętej z pomocą. Głos jej słabł z każdą chwilą. Raz jeden jeszcze tylko wydarł się z jej piersi rozdzierający, beznadziejny krzyk, wyrzucony, jakgdyby ostatnim tchem:

— R a t u n k u!..

Po czym nastąpiła cisza, jakby wogóle nic nie zaszło.

Ratuszowy zegar dawno już oznajmił, że minęła północ. Miasto pogrążone było we śnie zimowym; chodniki, jezdnie, dachy domów pokryte były kobiercem śnieżnym. Dokoła nie widać było żywej duszy.

Tylko nocny tramwaj mijał od czasu do czasu bezszelestnie, niby widmo, zostawiając za sobą czarne ślady. Bezdomni, którzy nawet we śnie czują ją, tej nocy spali snem kamiennym, nie spłoszeni przez nikogo.

Księżyc zawadiacko rozglądał się po stolicy. Jego blade promienie szperały w podwórkach, po dachach, zaglądając ciekawie do okien wysokich kamienic.

Policjant w kożuchu białym, ukryty za węglem ulicy, stał niby przykuty do miejsca. Ciepły kożuch i ciepłe słomianki na nogach uspasabiały go do plamykania powiek. Sen zmorzył jego oczy i uszy policyjne zobojętniały na wszystko, co się wokół nie

go dzieło. Jedynic, uporał się myśl o obowiązku powściągnięcia go od tego, by się zupełnie wygodnie ułożyć do snu.

Na rogu ciemnej, wąskiej uliczki zaczął się cich ludzki. Ostrożnie, powoli sunął na wprost biegnącymi krokami, aż przystanął. Dłuższą chwilę nasłuchiwał tuląc się do ściany wysokiej kamienicy. Rozglądał się na wszystkie strony, niby lis otoczony przez ogary. Jego wprawne oczy zdawały się przenikać grube mury, parkany i ostrzegać przed niebezpieczeństwem, krwającym się w ciemności. Nasłuchiwał z całym napięciem złodziejskiej jaźni. Serce waliło, niby młotem, gdy prześlizgiwał się ostrożnie wzdłuż murów. Wzglądał niemal, jakby przyklejony do ścian domów. Jeno cień swobodnie rozkładał się na chodniku.

Człowiek ten myślał tylko o jednym.

„Byłoby przez tę ostatnią ulicę „przetachać“ się, a potem... tyle forsy... kupa pieniędzy...”

Prawą ręką dotknął wypchanej teki, którą pieszczołliwie ścisnął za pasem. Grymas zadowolenia wykrzywił jego surową, męską twarz.

Już widział w swojej wyobraźni piękną, własną willę nad brzegiem morza.

Przyśpieszył kroku i nagle znów przystanął.

Zdawało mu się, że słyszy szmery.

„...Taka „klawa“ robota i tyle ryzyka i „cykori“! Mało brakowało bym się wspiął. Ta baba narobiła takiego rwetesu, nie mało brakowało, a byłbym „wychlany“...”

Znów ruszył. Denerwowały go własne ślady na śniegu. Z zasady nie zostawiał nigdy po „robocie“ odcisków palców, ani innych znaków. A teraz...

— Niech to djabli wezmą... „Skęły“ nje będą mieć wielkiej trudności w odszukaniu mojej meliny. Jestem zgubiony!

Przesłanał; wzrok jego spoczął na stojącej białej bryle.

... się prześlizgnąć. Wtem kożuch poruszył się, głośnie ziewanie przecięło powietrze.

Cień ludzki jeszcze bardziej przyległ do ściany i skamieniał. Włosy stanęły mu dęba. Serce biło silnie, jakgdyby usiłowało zagłuszyć uczucie trwozi.

W głowie błysnęła myśl. Myśl natrętna, której sam się przeraził.

— Nie, nie — szeptał do siebie. — Wszystko już uczyniłem w swym życiu przestępczym, ale zamordować człowieka zniecka nigdy!... przenigdy!... Choćby to nawet był i policjant.

Posterunkowy po chwili znów się zdrzemnął. Odstawił na stronę karabin, oparłszy się wygodnie o ścianę.

Ludzki cień swobodnie odetchnął. Spoglądał na białą, śpiącą bryłę z zadowoleniem. Postanowił teraz sprzątnąć karabin i w ten sposób zabezpieczyć sobie ucieczkę aby „hint“ nie mógł strzelać w razie no goni.

Człowiek ten zawsze należał do ludzi czynu. Nie namyślając się więc długo, cicho, jak wąż przesunął się w stronę policjanta. Słyszał wyraźnie jego chrapanie. Prawą ręką sięgnął po karabin.

Już, już miał go dotknąć palcami, gdy naraz policjant ocknął się. Jak nożem przeciął ciszę nocną głośny okrzyk.

— Stać!... Kto idzie?!...

— Stać! bo strzelam!... — powtórzył niepewnie i groźnie zarazem.

Podejrzany człowiek nie tracił ani chwili. Całą siłą swoich wprawnych nóg, pędził przed siebie. Myśl o śladach, które zostawiał na śniegu dodawała mu sił do ucieczki.

Policjant z razu nie zorientował się co zaszło. W

pierwszej chwili myślał, że dzielnicowy urządził mu kawał zabierając karabin, wnet jednak zrozumiał, że jest w błędzie.

Chwila wahania. Zrzucił z siebie ciężki kożuch i słomjane pantofle. Rewolwer błysnął w jego rękę. Kilka strzałów przeszło powietrze, ale uciekający zdążył przerzucić karabin przez parkan. Żałował w duchu ryzykownego postępuku.

— Złapią, będę miał brzydną sprawę — pomyślał.

Policjant, po kilku minutach pościgu oparł się o parkan, sapiąc ciężko. Był w rozpacz. Kroki uciekającego zupełnie już ucichły. Nie wątpił, że miał do czynienia z niebezpiecznym opryszkiem, ale po co potrzebny mu był karabin?

— Co robić, co robić — szeptał do siebie. — Co powiem w komisariacie na swoje usprawiedliwienie.

Zły był na siebie, że usnął. Ścisnął kurczowo rewolwer i bliski był samobójstwa. Tylko myśl o Marusi, którą kochał, powstrzymywała go od desperackiego kroku.

— A może zataić ten wypadek? — pomyślał w duchu — Ale karabin? Karabin!.. — wykrzyknął uderzając się pięściami po głowie.

Nagle przypomniał sobie kożuch, który porzucił na chodniku. Dreszcz zgrozy przebiegł mu po ciele. — Złodzieje mogą mnie nieźle urządzić. Ładniebym wyglądał — uśmiechnął się gorzko — gdyby mi i kożuch w dodatku sprzątnęli..

Uczył krok naprzód. Wtem prawą nogą dotknął jakiegoś przedmiotu. Przystanął z bijącym sercem.

Może ten opryszek podrzucił bombę?

Chciał czymprędzej się oddalić, nie sprawdzając nawet na co nastąpił. Ciekawość jednak wzięła w nim górę.

Powoli, ostrożnie, przyświecił lampką elektryczną. Ujrzał skórzaną tekę.

Była wypchana i obwiązana dokoła mocnym szpagatem.

Postanowił udać się natychmiast do komisariatu. Wtem usłyszał odgłosy kroków. Przejęty strachem, wyciągnął rewolwer, gotowy do obrony.

— Stać!!! Kto idzie??? Nie ruszać się z miejsca, bo kula w łeb!.. — dodał groźnie dzwoniąc przy tym zębami.

Kroki zbliżały się.

— Stać! Stać!!! Kto tam???

— To ja!!! — słychać było zdaleka.

— Co za ja? Kim jesteś? — krzyczał policjant coraz głośniej. — Stać, bo strzelam!..

— Ha ha ha... — usłyszał w odpowiedzi zdrowy, męski śmiech.

Policjant przeżegnał się, prosząc Boga, aby strzegł go od złych duchów i djabłów.

— Raz! Dwa! Trzy! — krzyknął na cały głos i wystrzelił w powietrze.

— Co to za strzelanina? Zwariowałeś? — rozległ się głos w odpowiedzi.

— Stać!.. Ręce do góry!.. — wołał policjant niemal ze łzami w oczach.

— Co się tu stało? Mów! — zagadnął już poważnie przybyły. — Jesteś nieprzytomny, czy co? Strzelasz do mnie... To ja, rewirowy Wołkow... Tracił go w ramię, budząc z odrętwienia.

— Gospodin rewirowy, największego zbrodniarza miałem dziś w ręku.. — wyrzucił jednym tchem.

— Gdzie go masz?

— Miałbym go napewno, gdyby mi nie czmychnął z przed nosa...

— Ach tak!.. Gdyby nie czmychnął? A gdzie karabin?

— Karabin... karabin... — wykrztusił policjant.
— Nie miałem go przy sobie i strzelałem z rewolwe-
ru.

Wołkow zmierzył go badawczo od stóp do głó-
wy.

— Wychodzisz na posterunek bez karabinu? Taki
służbista z ciebie? A co masz pod pachą?

Michał Gawryk (tak nazywał się posterunkowy)
zrobił krok w tył.

— Tekę znalazłem! — zawołał dumnie.

— Zobaczymy, jaka jest zawartość teczki.

— Nie mogę gospodin rewiryowy. Muszę tekę do-
ręczyć do komisariatu. Może są tu pieniądze, albo
bardzo ważne dokumenty.

Rewiryowy podskoczył zły i krzyknął:

— Co, mnie, rewiryowemu boisz się tekę pokazać?
Marsz do komisariatu. Tam poznasz mnie i dowiesz
się kim jestem.

Michał podrapał się ręką w głowę, nie wiedząc,
co począć.

— Kto wie, myślał w duchu, — czy to nie jest
przebrany za rewiryowego wspólnik zbiegłego bandy-
ty.

Po drodze rewiryowy cdezwał się:

— Jak widzę, pochodzisz ze wsi. W Warszawie
nie tak łatwo wytropić przestępcę. Podczas gdy tak
rozmawiamy, bandyta hula sobie już przebrany, w
nocnym lokalu i gwizdże na nas. Teraz urządzić na
niego obławę już nie warto. Lepiej zobaczyć, co je-
go teka zawiera. Ta teka to „sztuczka“ warszawskich
złodziei.

— Złodziejskie sztuczki? A co to za sztuczki?

— Bardzo proste. Warszawscy złodzieje to wiel-
kie cwaniaki, mój przyjacielu. Bywa nieraz, że kie-
dy uciekają przed pościgiem policji podrzucają nau-

myślnie przygotowane teki. Liczą na to, że policjant schwyli tekę, a im da możliwość ucieczki.

Michał nabrał zaufania do rewirowego. Żałował już w duchu, że tak dobrego człowieka podejrzewał o złe zamiary. Bez słowa wręczył mu tekę.

Rewirowy pośpiesznie rozerwał sznurki. Policjanci zbliżyli się do lampy ulicznej. Obaj skamieniałi, gdy przy bladym świetle ujrzeli jej zawartość. Teką była wypchana paczkami walut zagranicznych. Leżał tam również elegancki, damski rewolwer.

Rewirowemu pociemniało w oczach. Stał, jak rażony piorunem.

Michał krzyknął uradowany:

— Kładź gospodin z powrotem wszystko do teki! Lecę do komisariatu. Nareszcie zaawansuję!...

Rewirowy zbadał nabity rewolwer miniaturowy, kiedy Michał w pośpiechu układał w tece paczki walut.

Rewirowy pod pretekstem kontroli posterunków oddalił się w przeciwnym kierunku, a stójkowy Michał Gawryk poszedł w stronę komisariatu ściskając w rękę rewolwer na wszelki wypadek. Ledwie uszedł kilka kroków, padło kilka strzałów.

Michał padł na chodnik, jak podcięty dąb. Z jego ust wyrwał się przeraźliwy krzyk:

— O, Jezus!..

ROZDZIAŁ II.

Noc powoli ustępowała miejsca nadchodzącemu brząskowi. Śnieg zaczął padać, jak gdyby chciał zatrzeć ślady podłości ludzkiej i okryć białym całunem wypadki nocy.

Michał leżał zwrócony twarzą do ziemi. Na jego trupio bladej twarzy zastygł wyraz grozy i przerażenia. Gęsty śnieg sypał coraz większymi płatkami, jakby

śpieszno mu było z nakryciem stygnących zwłok poli-
cjanta.

Nocne lokale poczęły wypływać z siebie „lepszych“
gości: młodych donżuanów i starych grzeszników, któ-
rzy już sami są do niczego, a czerpią tylko zadowole-
nie z tego, że przyglądają się temu, jak inni grzeszą w
ich obecności..

Zawodowe prostytutki i „puszczalskie“.. Blondyn-
ki naturalne i „podrobione“. Damulki z półświatka, ty-
tułujące siebie hrabiankami, zmęczone flirtem i tań-
cem. Mieszane towarzystwo uwija się szybko i dyskret-
nie otulając przesycone wrażeniami ciała w karakusy
i foki, na które „ciężko“ pracowały..

Wesołe, starannie otynkowane i wytapetowane
panny „z towarzystwa“ trzymają pod rękę swoich „chle-
bodawców“; rozmarzone lgną do panów bankierów,
dyrektorów, prezesów i innych „lepszych“ egzemplarzy
ludzkich, którzy mają monopol na sposoby życia i u-
życia.

„Wybrańcy“ losu wynieśli się już z nocnych loka-
li na zaśnieżone ulice. Miasto ożyło pod akompania-
mentem pisków i krzyków rozbawionych parok. Głośne
a czułe słówka pożegnania mieszały się z jeszcze gło-
sniejszymi, opłaconymi z góry, pocałunkami..

Jako ostatnie wysuwają się nawpół pijane forda-
serki, zmęczone „naciąganiem“, tańcem i „trzymaniem
fasonu“. Kokietyując i rozglądając się na wszystkie
strony „dużymi oczami“, badają, czy jakiś amant nie
ma ochoty zakończyć zapoczątkowanego w lokaju flir-
tu w „kawalerskim pokoju“.

Za nim depczą ospali muzykanci. Wygodniałe zo-
ładki przygrywiają im lepiej, niż oni, do tańca. Wspomina-
ją z zazdrością zadowolone twarze, które oglądali
na parkiecie i przy stolikach, sąto zastawionych.

W lokalach rozrywkowych pozostali tylko kelne-
rzy i kelnerki. Wyśmiewają oni teraz „frajerów“ któ-

rych „ogolili“ i obliczają zarobki. Konsumują smaczne zakąski i popijają szampanem, opiaconym już z góry przez panów prezesów i dyrektorów. Drwią teraz z honorowych tytułów, które sami nadawali nocnym gościom...

Jeden tylko nocny lokal w stolicy jeszcze nie jest zamknięty. Tam goście nie przejmują się tym, że już świta. Zdawałoby się, że w tym lokalu hulanki i zabawy dopiero rozpoczynają się „na całego“.

W lokalu panuje mrok. Żarówki rzucają blade, różowe światło na stoliki. Mocna woń tanich perfum unosi się na sali. Na środku śpiewa półgłosem jakaś zbankrutowana artystka; śpiewa o miłości, winie, pieczędłach, krwi i więzieniu.

Goście nuca ochrypłymi, pijanymi głosami, przytupując do taktu wykrzywionymi obcasami. Wyszminowana, starsza już damulka o pętlowym biuście, siedzi przy pianinie i uderza w klawisze „artystycznymi“, długimi palcami, które nadają się raczej do podcinania żyłką kieszeni, niż do pianina.

W tylnych pokojach brak światła. Panuje tam ciemność, maćona tylko od czasu do czasu tajemniczym szepcieniem.

— Podejrzane parki wysuwają się dyskretnie z sepiaretek, aby ustąpić miejsca innym amatorom „ciszy“.

W lokalu panuje sztuczna wesołość, podsycona raz po raz dawkami alkoholu. Dwuznaczne wykrzykniki mężczyźni mieszają się z pijanymi chichotami kobiet.

Dym z papierosów i zagranicznych cygar, jest tak gęsty, że niby mgłą przysłaniał pijane twarze i wydekoltowane biusty. Zabawa sprawiała tu wrażenie, jak gdyby była ostatnią w życiu biczącą w niej udział. Wykorzystywali przyjemne chwile, których jutro być może, będą już pozbawieni.

Wszyscy ci ludzie żyją z zarobków nocy. I noc



zabiera im wszystko, co pod jej osłoną potrafią „zrobić“.

Przy wejściu i wyjściu z lokalu każdy gość wymawia umówione hasło. Kobiety i mężczyźni elegancko ubrani piją przy jednym stoliku z obdartusami. Im bardziej podejrzanie osobnik wygląda, tym częściej zabiera głos. Można łatwo poznać, że tacy mają tu przewagę nad elegantami.

Właściciel lokalu, człowiek o reprezentacyjnym wyglądzie przechadza się wśród stolików, rzucając każdemu zachęcający uśmiešek i przyjacielskie słówko. Przysiada się co chwila do innego stolika, potrafi pod czas największego hałasu opanować sytuację i widzieć, że umie trzymać w ryzach rozbawioną hałastrę.

W kącie lokalu siedzą przy stoliku dwaj mężczyźni tak blisko siebie, jak bracia sjamscy. Szepczą między sobą, jakby się o coś sprzeczały.

Aniela, piękna, młoda dziewczyna, jedyna córka właściciela lokalu, stoi przy kasie za bufetem. Jej radosna twarz przykuwa uwagę gości; każdy kłania się jej z respektem, wzamian za co otrzymuje niewinny rozbijający uśmiešek, który nigdy nie schodzi z jej cudownie wykrojonych warg.

Ale dziś Aniela kręci się nerwowo na krześle, spoglądając co chwila na ścienny zegar. Goście dostrzegają jej niepokój, ale żaden nie śmie zapytać o powód. Tylko ojciec od czasu do czasu zbliża się do niej, mówiąc coś pocichu, jakby ją uspakajał.

Ojciec Anieli, osobistość znana w świecie podziemnym, ochrzczony został w młodości pseudonimem „Lipy“, na który rzetelnie zarobił. Od najwcześniejszych lat wędrował się po całym świecie, coraz to pod innym nazwiskiem. Stąd wzięło początek przezwisko „Lipa“.

Urodzony z ojca starego katorżnika i matki znanej „dołniarki“, zapoznał się już w dzieciństwie z

„fachem“ złodziejskim. Jako młodzieniec cieszył się już sławą „wunder - kinda“ w całej Rosji. Matka brała go ze sobą „do miasta“ przed ukończeniem siódme go roku życia; wtedy rozpoczęła się jego właściwa edukacja...

Wychowany bez ojca (zginął na katordze), był pod wpływem wyłącznym matki, która dbała o to, aby jej jedynak został „sławnym“.

W dniu, gdy ukończył piętnasty rok życia odumiała go matka. Przed śmiercią wezwała go do siebie i pożegnała tymi słowy:

— Stasiu drogi! Dziecino moja kochana! Teraz mogę już spokojnie zaniknąć oczy. Jesteś dorosłym człowiekiem i będziesz mógł sobie urządzić życie. Ciesz się, że moja praca nad tobą nie poszła na marne. Kradnij i rabuj, ile się da i gdzie tylko będziesz mógł. Nie żałuj frajerów. Oni naszych także nie żałują. Zemścij się za ojca, który przez tych przeklętych frajerów został zesłany na dwanaście lat katorgi. Twój ojciec pochodził z porządnej rodziny i nigdy nie był złodziejem. W więzieniu poznał mnie i pokochał. Ja, która pochodzę z rodu złodziejskiego i jego wciągnęłam w to przekłete życie.

Nienawidzę frajerów, synu. Gardzę nimi całą duszą. A wiesz, dlaczego? Dlatego, że nigdy nie pozwalała nam podnieść się z błota. Nigdy nie podadzą usłuszej ręki, abyśmy mogli podźwignąć się i zostać uczciwymi ludźmi. Twój ojciec bardzo mnie kochał i przede mną został katorżnikiem. Za co? — mniejsza...

Tu przerwała, by zaczerpnąć tchu i dodała:

— Pamiętaj o dniu zadusznym i módl się za duszę twojej grzesznej matki.

Rozplakała się i, całując go w czoło, ciągnęła dalej:

— Porzuć jednak z czasem, jak dorosniesz, to podłe życie. — Porzuć! — powtórzyła. — Koniec jest

bardzo marny, synku! Strasznie jest gnść w więzieniu!

Po tych słowach przycisnęła go do siebie, całując w czoło:

— Synu!... Bardzo mi ciężko rozstać się z tobą, nie dożywszy nawet czterdziestego roku życia. Lata przebyte w więzieniu wpędzają mnie przedwcześnie do grobu.

— Umieram! — krzyknęła chrapawym głosem i dodała już zupełnie cicho:

— Jedno mnie tylko cieszy, że gdy umieram, dokumenty moje opiewają na „lewe“ nazwisko...

Po tych słowach wyzionęła ducha.

Stasiek Lipa był posłusznym synem. Modlił się chętnie, dawał biednym jałmużnę za spokój duszy matki, ale kradł też z powodzeniem. Policja poważnie liczyła się z jego „osobą“.

Podróżował za granicę, kradł w międzynarodowych pociągach, na okrętach, dworcach, w tramwajach, bankach, teatrach i nocnych lokalach. Wszędzie, gdzie tylko był tłok „zarabiał“. Legendy krążyły w świecie podziemnym o jego wyczynach.

Na krótko przed ukończeniem dwudziestu lat, porzucił „dolinarstwo“ i wyspecjalizował się w „obrabianiu“ kas. Na tym polu dokonywał cudów: prześcignął swoich nauczycieli w tym precyzyjnym „fachu“.

W Warszawie meldowanym był za dokumentem, opiewającym na „lewe“ nazwisko uciekający z Berlina, gdzie uprzednio zamieszkał i „kiwał“. Osiedlił się tu taj na stałe.

Mimo licznych przestępstw, córkę Anielę, — tręba mu to przyznać — wychowywał wzorowo. Nigdy w jej obecności nie zdradzał się słowem, które mogło by jej nasunąć podejrzenie co do jego zawodu. Do lat osiemnastu, córka nie miała pojęcia o przeszłości ojca. Uczyła się pilnie w gimnazjum, a potem wstąpiła

ła na uniwersytet. Posiadała wszystkie zalety, jakie dobrze wychowana panienka wynosi z porządnego domu.

Ojciec, który często ułatwiał się gdzieś na dłuższy czas, nie wywoływał wyjazdami najmniejszego podejrzania. Była przekonana, że ojciec ma przedstawicielstwa zagranicznych firm.

W dniu, kiedy ojciec z konieczności przerwał jej naukę i wywiózł do Warszawy, odbył z nią dłuższą rozmowę. Aniela płakała, a nieraz nawet nosiła się z myślą o samobójstwie. Młodość jednak przewyciężyła doznany zawód. Ślubowała sobie w duchu, że ojcę nawróci na uczciwą drogę, co też ojciec jej przyobiecwał; przysiągł córce, że zerwie z dawnym życiem.

Słowa dotrzymał, nie mógł jednak zupełnie zerwać z przeszłością; ciągnęło go do swoich. Żeby nie zatracić zupełnie kontaktu, założył wytworną restaurację-melinę i wstawił się tym wśród ludzi nocy, jako człowiek o żelaznym, prawdziwie złodziejskim charakterze, człowiek, który umie trzymać język za zębami, a usta na kłódkę.

Jego zewnętrzny wygląd pozwolił mu obracać się w najlepszych sferach. Nikt nie śmiał posądzać go o przynależność do ludzi podejrzanej konduity. Krótko podstrzyżona „szpicbródka“ i siwiejące włosy na skroniach upodabniały go do barona austriackiego. Opanowany w ruchach, o czarnych przenikliwych oczach, ze złotymi binoklami na orlim nosie, przypominał każdego, tylko nie Staśka „Lipe“, człowieka z pod ciemnej gwiazdy.

Piękna prezencja, jaką obdarzyła go natura i znajomość obcych języków ułatwiły mu w ułożeniu eleganckiego życia. Pieniądzy nie brakło mu nigdy. miał ich tyle, ile tylko złodziejska dusza zapragnęła.

W więzieniu siedział krótko. Umiał zawsze usuwać się w porę. Był taki pewny siebie, że nawiązywał

nawet znajomości z przedstawicielami sprawiedliwości rosyjskiej; policmajster i naczelnik odesskiego „ssysknowo otdelenia“ działał nieraz pod jego wpływem. Na Mołdowancę było tajemnicą publiczną, że w jego domu odbywają się przyjęcia, gdzie szampan i ładne dziewczynki dopomagają „błatować“ opornycu.

Stasiak „Lipa“ miał wielkie zasługi w świecie podziemnym, z których był dumny: nie jednego „swego“ wyciągnął z katoggi; ci, których w całej Rosji poszukiwano na mocy listów gończych, „melinowali“ właśnie u niego. Pod jego troskliwą i czujną opieką nie obawiali się policji.

Opowiadano sobie z ust do ust o jednym takim wypadku, wychwalając rozum i takt „Lipy“.

Pewnego dnia naczelnik „ssysknowo otdielenia“ za stał u „Lipy“ znanego międzynarodowego kasiarza, nazwiskiem Gruczkow, za głowę którego wyznaczono wielką nagrodę. Policjanci dobrze znali z fotografii Gruczkowa. Nic więc dziwnego, że poznał go i naczelnik.

Stasiak „Lipa“ nie stracił się; bez słowa wyjął złotą papierośnicę, wysadzoną krylantami i podał na czelnikowi.

— Kolega Gruczkow wręcza za moim pośrednictwem ten prezent panu naczelnikowi, aby był łaskaw o nim zapomnieć.

Gruczkow ukłonił się elezaucko, dodając cynicznie:

— Jestem pewien, że pan naczelnik będzie zadowolony z zaszczytu poznania mnie osobiście. Radzę też przyjąć ten skromny upominek. Sądzę bowiem, że lepiej przyjąć złotą papierośnicę, niż kawałek ołowiu z mojego rewolweru.

Powiedziawszy to, począł hawić się od niechcenia browniugiem, uśmiechając się pod nosem.

Stasiek „Lipa“ roześmiał się na głos, starając się wszystko obrócić w żart:

— Kolega Gruczkow jest dowcipny... Proszę pana naczelnika do stołu. Zdaje się, że wszystko, już jest w najlepszym porządku.

Po tych słowach wsunął mu bezceremonialnie pa pierośnicę do kieszeni. Naczelnik zmieszany i niezdecydowany nie oponował.

Ze strachu wypił nawet za zdrowie Gruczkowa...

Gruczkow wstał od stołu ukłonił się szarmancko, po czym zwrócił się do naczelnika:

— Radzę panu strzec mego upominku koleżeńskiego; obawiam się, że moi koledzy zechcą spróbować szczęścia u pana naczelnika

Roześmiał się na głos i poklepał ośupiałego naczelnika przyjacielsko po ramieniu.

— Dziękuję jeszcze raz za dotrzymanie mi towarzystwa! — ukłonił się po raz wtóry i znikł.

Po wyjściu Gruczkowa, naczelnik odzyskał równo wagę; groził, złościł się, krzyczał, że zadzwoni natychmiast po policję. Stasiek „Lipa“ uśmiechnął się i szepnął mu coś dyskretnie na ucho. Wysoki dygnitarz od razu się uspokoił.

Bezkarność i powodzenie u dygnitarzy carskich miał przede wszystkim do zawdzięczenia pięknej żonie. Ta jednak pewnego poranka ulotniła się, jak kamfora, właśnie z jednym z dygnitarzy, zostawiając mu dwuletnią Anielę.

Stasiek przejął się bardzo ucieczką żony; został największym wrogiem kobiet i zaprzysiągł zemstę. Cóż reczkę z każdym dniem bardziej kochał i strzegł jej, jak oka w głowie. Dbał o to, aby nie odczuwała braku matki.

Aniela swoją urodą przypominała matkę. Środo wiatko, w jakim teraz, mimo woli, się znalazła, nie

wpłynęło ujemnie na charakter dziewczyny. Dla przestępców czuła więcej litości, niż pogardy.

A jednak otoczenie zrobiło swoje. Była kobietą, a na domiar tego pięknością, nie więc dziwnego, że przyszła i miłość...

ROZDZIAŁ III

„Lipa“ w przeciwieństwie do swojej córeczki był tego dnia w lepszym humorze, niż zwykle.

— Spojrzał na Anielę, która smutna i zamysłona siedziała przy kasie i litość go ogarnęła.

— Moja Aniela jest zakochana. Ale w kim?... — myślał w duchu. — Nieszczęsna, nie widzi, co się koło niej dzieje. Myśli, że potrafi go wyrwać z błota. O, nie!... Kto się raz poślizgnie, to już przepadł. Wiele razy i ja próbowałem?... Zupełnie wyrwać się, jednak, nie mogę.

Przechadzał się po lokalu z rękami w tył założonymi, rozmyślając o czymś. Lokół opróżnił się już do reszty. Patrzył w okno na nadchodzący poranek, myśiąc o wypadkach ubiegłej nocy.

— Napewno go „wychłali“. Pozbędę się go nareszcie. Mojej córki mu się zachcewa. Dostę moja rodzi na wycierpiała w tym przekętym życiu! Dostę ja cierpię... Nie! Nigdy!...

W lokalu pozostali tylko dwaj mężczyźni, którzy przed tym po cichu kłócili się ze sobą w kącie sali. Bię gali teraz zdenerwowani po sali, spoglądając co chwila na zegar.

— Co za cholera?... — odezwał się jeden. — Zerknij, Antek, na „bimber“, jest już po dziesiątej a je go jeszcze nie ma.. Bardzośmy źle zrobili, uciekając w innym kierunku.

— Hm... — odezwał się zagadnięty, — „wychnia liby“ nas razem. Głowę daję, że on już „kiwa“.

— Aniela przysfuchiwała się rozmowie i nie rozumiała jeszcze, o co im chodzi. Słabo znała żargon, którym posługiwali się ludzie nocą w rozmowie.

— Co tu począć? — zawołał Felek. — A może?...

Antek nie dał dokończyć zdania i zatkał mu usta ręką.

— Zamknij „jadaczke“... Słyszysz... Wszystko, ale nie to... — wykrzyknął, domyślając się, do czego tam ten dąży.

— Wszystko jest możliwe w dzisiejszych czasach, odparł Felek filozoficznie.

— Ja ci mówię, żebyś się przymknął! — ryknął wściekły już Antek. — Jak śniesz podejrzewać wiaśnego współnika?...

— Nie denerwuj się tak, brachu, — odparł Felek. — Na taką okrągłą sumkę, jaka była w tece, każdyby się połaszczył.

Nie zdążył jeszcze wymówić ostatniego słowa, gdy Antek wyrzucił go pięścią między oczy. Felek upadł na drzwi, za którymi siedział Stasiak „Lipa“. zatopio ny w myślach.

— Bez awantur, proszę, — zwrócił się do Antka, ściągając groźnie brwi. — Mój lokal — to nie karczma.

— Zasłużył i dostał w nos, — odparł Antek. — Na „Klawego“ nie dam gadać. Powiedział, że zwiął z forszą.

— Zwiąć to nie zwiąć, ale może być „zasypany“, — odrzekł „Lipa“ poważnie.

— Ale tyle forsy!.. Tyle forsy!.. — krzyknął Felek, ocierając obojętnie krew z nosa.

Antek spojrział z ukosa i z żalem wyrzucił:

— Daj gęby, Felek. Dzisiaj taki dzień że zwarło wać można. Tyle ryzyka i pracy poszło na diabła. Sto lat nasz brat musi czekać na taki „kaber“.

— Wszystkiemu „tylatorka“ winna. Narobiła coj

wachu, jakby ją ze skóry obdzierali — dodał już do bruchany Felek.

Antek biegł po pokoju tam i z powrotem, wreszcie zatrzymał się przed Staśkiem.

— Co ty na to, brachu? — zapytał.

— Moim zdaniem, „Klawy“ leży. „Menty“ rozstawione po rogach ulicy bez wątpienia musieli usłyszeć krzyk i capnęli go.

— Nie! To nie możliwe. „Klawy Janek“ nie daje się tak prędko „wychłać“, — zawołał Antek z przekonaniem.

Nagle w drzwiach stanęła Aniela. Utkwiła w ojcę oczy pełne wyrzutu.

— Co się stało? — zerwał się „Lipa“.

— Jeszcze go nie ma... — wybuchła płaczem.

— Tylko z tego powodu płaczesz? — uśmiechnął się gorzko „Lipa“.

— Powiedz, gdzie się podział mój Janek?

„Lipa“ przybrał nagle groźną postawę chwycił córkę za rękę i krzyknął:

— Od kiedy ten łobuz jest twój?! Mów!

— Puść mnie! Puść! — prosiła Aniela, chcąc uwolnić rękę.

— Gadaj, mówię ci! Co zaszło między wami?! — ścisnął jeszcze bardziej rękę córki, zgrzytając zębami ze złości. — Jestem twoim ojcem! Muszę o wszystkim wiedzieć!

Aniela gwałtownie wyrwała rękę z uścisku. Dłuższą chwilę ojciec i córka mierzyli się wzrokiem, po czym Aniela śmiało odparła:

— Ojczy, obrażasz mnie. Złe mnie zrozumiałes. Janek mi nic złego nie uczynił. Nasza miłość jest czy sta...

— Ha—ha—ha, roześmiał się „Lipa“, robiąc krok w tył. — „Klawy Janek“ kocha platonicznie moją córkę! Ładny idealista!... Nie ma co!

— Nie naigrywaj się tak ze mnie, ojcze, — odparła dumnie Aniela. — Nie on jest winien, że został przez stępcą. Tacy ludzie, jak ty i podobni tobie, zrobili z niego złodzieja, — wyrzuciła jednym tchem.

„Lipa“ pozieleniał. Ledwo się opanował, aby nie rzucić się po raz pierwszy w życiu na własną córkę. Milczał przez chwilę, sapiąc ciężko, po czym, nieco uspokojony, odezwał się:

— Pięknie mówisz do własnego ojca. Jesteś sto-kroć gorsza od frajerów. Jak widzę, nie podobam ci się. Może się mnie wstydzisz?

— Nie, ciebie się nie wstydzę ojcze, — odparła zalana łzami, gardząc tylko twoimi czynami i twoim otoczeniem.

— Więc tak! — wykrzywił usta. — Gardzisz moimi dziejami i dlatego zakochałaś się w „Klawym Janku“.

— Serce, gdy kocha, nie odróżnia złodzieja od porządnego człowieka. Postawiłam sobie za zadanie zbić z niego uczciwego człowieka i cel swój osiągnę. Janek pochodzi z porządnego domu, a taki człowiek winien się opamiętać. Moja miłość go nawróci... — zakończyła z rozjaśnionymi oczami.

„Lipa“ zamyślił się, nie patrząc na córkę. Zbliżył się nagle do Anieli i pocałował ją w czoło.

— Ojcze!.. Ojczulku kochany, — złożyła Aniela ręce jak do modlitwy. — Porzuć to przekłętą życie, sprzedaj hańbiący lokal. Zerwij z tymi ludźmi! Błagam cię!..

Tu wskazała z pogardą na współników Janka.

— Nas, proszę nie wtrącać — odezwał się Felek. — Każdy z nas chciałby zerwać z przeszłością, ale czy frajerzy się na to zgodzą?

— Właśnie — przytaknął Antek.

— Wmówiliście sobie sami, — odparła zirytowana Aniela. — Chcecie kraść, rabować, pod pretekstem

Ze społeczeństwo nie daje wam możności pozostać uczciwym ludźmi. Znamy waszą złodziejską politykę.

— Nie rozumiesz nas, Aniello, — uciął ojciec — i nie wtrącaj się.

Trójka pozostała dłuższą chwilę bez ruchu i w milczeniu.

— Serce mi się kraje z żalu, kiedy pomyślę, że „Klawy Janek“ już „leży“ — odezwał się pierwszy Antek. — Trzy dni sterczeliliśmy w piwnicy. Ledwo do kopaliśmy się sufitu. Trzy fury ziemi wyrzuciliśmy. Pudło rozpruliśmy w niespełna godzinę. „Klawy Janek“, to genialny fachowiec. Śiodkowe zamki przerzucał raz, dwa. Forsę wpakował do teki i nie dał nikomu się dotknąć. Ja stałem „na cynk“ i już mieliśmy się ulotnić, gdy Felek, niedołęga, zaczepił nogą o jakiś przedmiot i przewrócił go. Nagle usłyszeliśmy krzyk przez ścianę i wołanie o pomoc.

Nie było czasu do namysłu. Każdy wiał w inną stronę. Służba w nocnej bieliźnie pędziła za nami. Do biegłem do taksówki. Szofer, na szczęście był „błatny“ i bez ceremonii odstawił mnie tu, Felek wpadł zaraz za mną.

— „Blitu“ w kasie nie było? — zapytał nagle „Lipa“

— Wszystkiego tam było do cholery i trochę — objaśnił mu Felek, płaczącym głosem. — Nawet perły i klejnoty rodowe.

„Lipa“ był teraz pewien, że Janek już „kiwa“. Cieszył się w duchu, że nareszcie pozbył się kandydata na zięcia.

— Może i Felek ma rację, — odparł „Lipa“ — „Klawy“ mógł nawalić „dole“ Nic dziwnego nie było, by w tym, gdyby polecał na taki skarb.

— Znam „Klawego“ — odezwał się Antek, waląc pięścią w stół. — „Klawy Janek“ nie zamieni złodziejskiego honoru na skarby.

— Jak długo się znacie, że taki pewny jesteście? — zapytał „Lipa“ drwiąco.

— Pracujemy razem już kilka lat. Nie jedno pudło rozpruliśmy. Takiego złodziejskiego charakteru na całej kuli ziemskiej nie znajdziesz. Cwańszy jest od nas wszystkich, nawet i od ciebie, Słasiak.

— Masz rację, — roześmiał się Lipa. — Janek jest mądrzejszy i cwańszy od nas wszystkich. Najlepszy dowód, że zginął z forszą. Przyśiągłbym że ten srogi ciarz już buja gdzieś zagranicą.

— Ja też tak myślę, — zawołał Felek.

Wtem ozwał się dzwonek przy drzwiach.

„Lipa“ otworzył drzwi. Aniela wpadła do pokoju, wymachując gazetą, i krzyknęła zadyszana:

— Czytajcie! Dranie! Wasza robota!..

Nikt nie miał odwagi zajrzeć do gazety.

— Dlaczego nie czytacie?.. Brak wam odwagi?.. Co? Podli!..

Sama schwyciła gazetę i poczęła czytać na głos, akcentując każde słowo:

NIEBYWAŁE WŁAMANIE

Dzisiejszej nocy dokonano wielkiego włamania, jakiego kroniki policyjne nie notowały już od szeregu lat. Do pałacu hrabiny M. dostali się włamywacze przez podkop z piwnicy. Kasa ogniotrwała w gabinecie hrabiny została ogołociona doszczętnie. Jak nas informują, łupem złodziei padło przeszło sto tysięcy dolarów i inne obce waluty. Warto zaznaczyć, że hrabinę M. kilkakrotnie usiłowano już okraść.

Aniela wyprostowała się obrzucając obecnym pogardliwym wzrokiem, po czym dodała głosem prokuratorowskim:

— Czy nie macie wyrzutów sumienia?

— Na razie, nie, — uśmiechnął się Antek.

— Ładna robótka, nie ma co — dorzucił „Lipa”.
— Cudowna! — zawołał Felek, poczym zwracając się do Antka rzekł zdecydowanym głosem:
— Chodźmy stąd.

— Masz rację. — rzekł Antek. — Na dziś mamy dość tych morałów. Idźmy!

Aniela, niespodzianie zastąpiła im drogę.

— Nie odchodzić! Nie wszystko przeczytałam! Groźny Antek i Felek spojrzeli do siebie i nie ruszyli się z miejsca.

— Aniela czytała dalej na głos:

TAJEMNICZE ZAMORDOWANIE POLICJANTA

Dzisiejszej nocy została popełniona ohydna zbrodnia, która postawiła policję na nogi. Na rogu jednej z ulic przedmieścia Warszawy, znalezione zostały zwłoki posterunkowego. Policja przypuszcza, że morderstwo to pozostaje w związku z włamaniem u hrabiny M. Policja jest już na tropie zbrodniarzy.

Aniela odrzuciła gazetę, nie spuszczać ich z oka. Chciała wyczytać z tych twarzy zbrodniczych, jakie wrażenie zrobi na nich ta nowina.

Przez dłuższą chwilę panowała przygnębiona cisza. Siedzieli, jak przykuci do miejsca nie śmiejąc podnieść oczu.

Najbardziej przygnębiony siedział „Groźny Antek”. Zważył już w „złodziejski” charakter „Kławego Janka”. Gdyby był aresztowany, — myślał — domośłyby o tym gazety.

Felek, jakby odczytał myśli kolegi i triumfalnie zawołał:

— Miałem rację, kochany brachu, czy nie?.. — Jestem teraz przekonany, że...

Groźny wzrok Antka nie pozwolił mu dokończyć zdania.

— Ale policjanta kto zamordował, — szepczał stary „Lipa“.

Wszyscy troje zamienili się porozumiewawczymi spojrzeniami. Spojrzała to Aniela.

— Nie!.. Nie!.. Mój Janek nikogo nie zamordował.. Gdyby nie wy, już dawno porzuciłby to pieskie życie. Nie możecie się obejść bez niego!..

Nagle Antek zerwał się z miejsca, pociągając za sobą niezdecydowanego Felka.

ROZDZIAŁ IV.

W wielkim odrapanym gmachu w śródmieściu Warszawy, mieściło się „sysknoje oddelenie“. Przy wejściu do okratowanego gmachu czuwał posterunkowy. Auto policyjne przepelnione ludźmi, zatrzymało się, by tu zostawić ładunek.

Rosyjscy „tajniacy“ czuwali, aby ptaszek nie wyfrunął z klatki. Polowanie tej nocy było bardzo obfite. Agencji z zadowolonymi „twarzyczkami“ wyprowadzili z samochodu, aresztowanych parami, które następnie kolejno kroczyły po schodach na górę. Tam wszystkich wpakowano do ciasnego, okratowanego dokoju.

Byli tu starzy weterani kunsztu złodziejskiego, na czołach których zbrodnia już dawno wyrzyła swoje piętno; nie brakło „koników“, którzy dopiero kształcili się w fachu. Najróżnorodniejsze typy przestępcze, jak by z „żurnalu mód“ wycięte, oraz ludzie w łachmanach. Wszyscy trzymali się jednak kupy, szepcząc tajemniczo między sobą.

Widać było, że nie byli sobie obcy; znali się z więzienia, gdzie jeden drugiemu udzielał „fachowych“ rad, by udoskonalic edukację; znali się też z wolności, kiedy po społu walczyli o egzystencję złodziejską.

Co chwila przybywały świeże transporty, które

wcisłano przez wąskie drzwiczki, nie pytając, czy znajdzie się dla gości miejsce.

Policjanci przechadzali się po szerokim korytarzu, rozmawiając o wynikach obławy; każdy wychwalał swój spryt, przedsiębiorczość i energię.

Aresztowani kolejno zostali wprowadzeni do „straszego“ pokoju, gdzie mieściła się mapa przestępców — archiwum daktyloskopijne odcisków palców i fotografii. Biada temu, który uwiecznił tu już kiedyś swój „cyferblatt“ i „pacyki“

Większość gości, wprowadzonych do tego przybytku wiedzy, powędrowała wprost do „ula“; szczęśliwie ciarze zostali natychmiast zwolnieni.

Gdy pokój się nieco orróżnił, komisarz w towarzystwie wyższych urzędników policyjnych odwiedził pozostałych aresztowanych.

Zmierzył każdego z osobna badawczym wzrokiem i uśmiechał się przyjaźnie do wszystkich, przysiadując życzliwie.

Aresztowani odsunęli się z respektem pod ścianę, jakby nie chcieli być spostrzeżeni... Nagle oko komisarza zatrzymało się na jakiejś kobiecie.

— Znowu u nas?

— Przyszłam w odwiedziny, bo się stęskniłam, — odparła cynicznie.

— My także, — odrzekł komisarz i zwrócił wzrok w inną stronę.

— I ty tutaj?

— Nie moja wina. Sam tu nie przyszedłem.

— Naturalnie, — uśmiechnął się życzliwie komisarz. — Najwyższy już czas, abyś się wziął do innego fachu.

— Czyż ja tego nie pragnę? — odparł smutno zagadnięty. — Nie dają „zabastować“.

— Kto? — zainteresował się komisarz.

— Frajery, psia ich mać.

— No, no... pogroził mu palcem jeden z agentów, aby nie wyrażał się tak w obecności komisarza.

— A co ci robią frajery? — uśmiechnął się komisarz.

— Jak to co? Prześladowają nas na każdym kroku. Wytykają palcami: tu idzie złodziej.. Złodziej!.. Przecież minęło przeszło cztery miesiące, jak trzymam rękę w kieszeni.

Komisarz poklepał go żartobliwie po ramieniu.

— A w czyjej kieszeni? — zapytał.

— We własnej kieszeni, — panie komisarzu.

— O, to długo.

— Jak na mnie to nawet i za długo. — roześmiał się.

— Można wiedzieć, czym się trudnisz teraz? — zagadnął go jeden z agentów.

— Handluję.

— Czym?

— To zależy. Jak jest pogoda, chodzę po podwózkach i pokazuję sztuki.

Wszyscy obecni roześmieli się na głos.

— Znamy te twoje sztuki, — wyrzucił agent.

— Mówiłem, że nie kradnę, to nie kradnę. Akrobacyczne sztuki też potrafię robić.

Nie namyślając się długo fiknął koziołka i począł na rękach chodzić po pokoju.

— Dostyc! — zawołał komisarz. — Możliwe, że mógłbyś prawde, gdy nawet się jakaś robótka, na pewno jej nie odrzucisz. Nie dlatego, że jesteś złodziejem, tylko tak sobie, żeby nie zapomnieć „fachu“..

— Człowiek nie jest przecież świnią, — odparł za trzymany cynicznie, — ale dzisiaj doprawdy jestem niewinny. Wstąpiłem na Smoczą do znajomego i on-tawa mnie „wycłłala“.

— Będziesz wolny, — rzekł komisarz — nie cię będziemy szukamy.

— A wy skąd tutaj, — zagadnął starszego cieganicznego jegomościa. — O ile sie nie mylę, mamy ze sobą stare porachunki.

— Nie wiem o niczym, panie komisarzu, — odrzekł ze zdziwieniem — napewno był ktoś do mnie podobny. To rzekłszy, uśmiechnął się blade.

— Za to ja mam dobrą pamięć. Pamiętam jeszcze włamanie na Placu Teatralnym. Jeżeli się nie mylę, było to przed dziesięcioma laty, nie?

— Pan komisarz ma doskonałą pamięć — spoehlebił mu starszy jegomość, — jednak myślę, że nie warto odgrzebywać nieboszczyków.

— Zobaczymy się jeszcze, — odparł komisarz, obzrucając taksującym spojrzeniem aresztowanych.

— Nie o tych myślałem — odezwał się na odchodnym do swoich pomocników. — Nie ma między nimi ani jednego lepszego. Hołota... Nie spoczne, zanim nie wykryję mordercy policjanta.

Zamyślony wszedł komisarz do swego gabinetu. Dłuższy czas siedział bez ruchu w fotelu, zatopiony w myślach.

Agenci patrzyli z szacunkiem na zwierzchnika. Zaden nie śmiał nawet głośno odetchnąć. Wszyscy ufni byli w jego energię i przedsiębiorczość. Wierzyli, że genialny pomysł z pewnością zaświta w jego głowie.

Nagle komisarz zerwał się z miejsca i zaczął spacerować po pokoju z rękami założonymi w tył, co czy nił zawsze, gdy głowił się nad rozwiązaniem poważnej zagadki.

Wszyscy wynieśli się po cichu za drzwi, by nie rozpraszać jego myśli. Tymczasem rozmyślenia nie trwały długo. Komisarz otworzył drzwi, dając znak, aby wszyscy weszli.

— Oblawa moi panowie, którą uważaliście za udaną, — odezwał się stanowczym tonem, — jest do „luftu“. Opryszka, który włamał się do hrabiny i któ

rego uważam za mordercę policjanta, nie koniecznie trzeba było szukać na Smocznej, Niskiej, Krochmalnej i tym podobnych ulicach..

— Przyzwyczajeni jesteście łapać tych, którzy łatwo wpadają wam w ręce. Zaręczam, że płaszka można przychwycić tylko tam, gdzie oblawy zazwyczaj nie bywają.

Agenci stali zmieszani, nie wiedząc jak zareptikować. Starszy agent, uczestnik oblawy przyświadczył:

— Pan komisarz ma rację. Jestem tego samego zdania.

Tu zniżył głos i dodał:

— Jedno tylko trzeba ustalić, panie komisarzu. Czy włamania u hrabiny i mordu dokonała ta sama zbrodnicza ręka.

Na ustach komisarza pojawił się ironiczny grymas. Wyjął coś z szuflady biurka i zapytał:

— Wiecie co to jest?

— Wystrzelony nabój. — padło kilka głosów na raz.

— Naturalnie, — odparł komisarz, — że jest to kula rewolwerowa. Co z was byłaby za policja, gdybyście i tego nie wiedzieli. Ale tutaj chodzi o to, z jakiego rewolweru może pochodzić ten miniaturowy nabój.

Starszy agent znów się odezwał:

— Kulka pochodzi z damskiego browninga, nieznanego pochodzenia.

— Zgadłeś, — uśmiechnął się komisarz. — Jak widzę, możesz się jeszcze przydać do czegoś. Wiedz za tym, że właśnie kilkoma takimi kulkami został zamordowany wasz kolega.

— Przyznam się szczerze, panie komisarzu, myślałem, że Michał został zamordowany z własnego karabinu. — rzekł, rumieniąc się starszy agent. — Najlepszym tego dowodem jest karabin, który znaleziono nie daleko zamordowanego.

— Ja także z początku tak myślałem, — odparł poważnie komisarz. — Ekspertyza lekarska stwierdziła jednak co innego. Wyjęta kula pochodzi z rewolweru hrabiny, który zginął z kasy wraz z pieniędzmi.

— Więc wszystko jest jasne, jak słońce. — zawołał odważniejszy z agentów.

— Właśnie! — uśmiechnął się komisarz. — A jednak..

Obecni spojrzeli pytająco na komisarza, który szybko zapisał coś w notatniku. Raptem zerwał się energicznie z fotela, uderzając pięścią w stół.

— Dostyc tej beczynności i gadaniny. Trzeba działać na gorąco. Rzekazuje natychmiast wziąć ze sobą najzdolniejszych kolegów. Nie zapomnijcie też o psach. Szukać, działać, przewracać, tylko nie na Smochej. Zbrodniarz, który zdolny był do zagarnięcia takiej sumki bawi się teraz w przyzwitojszych lokalach, niż nam znane, brudne meliny.

— Rozkaz, panie komisarzu! — zawołali obecni.

— Wobec tego, marsz!...

Gabinet natychmiast opróżnił się a komisarz rozpoczął zwykłą wędrówkę po pokoju.

Komisarz Żarski należał do najślawniejszych detektywów nie tylko w Polsce, ale i w całej Europie. Niemniej znany był w świecie podziemnym. W dowód uznania ludzie nocy ukoronowali go przydomkiem „filozof“.

Lubił wdawać się w pogawędki z przestępcami, a nieraz i dowcipkować; tematy rozmówek były najróżnorodniejsze. Starał się jednak zawsze prowadzić je z humorem. Rozmowy te najczęściej poruszały sprawę zająć między ludźmi nocy, a policją. Nigdy nie płosząc i wykorzystując zaufanie, słuchał niekiedy całymi godzinami oryginalnej filozofii życia.

Przestępcy lubili go, a jednocześnie widzieli w

nim niebezpiecznego wroga. Więcej się obawiali jego rad ojcowskich i humoru, niż krzyków tych, którzy obchodzili się z nimi surowo.

Sledztwo prowadził zawsze ostrożnie, z wielkim taktem i umiarem, aby nie urazić „ambicji“ przestępcy. Dobierał dowcipnych słów, by trafić w piętę Achillesową delikwenta. Tak długo manewrował, aż wydo był ze skrytej zazwyczaj i podejrzliwej duszy przestępcy to, na czym mu zależało.

Wiek „filozofa trudno było odgadnąć na pierwszy rzut oka. Niewielu mogło dostrzec nieznaczne zmarszczki na wysokim czole, które podkreślało jego inteligencję. Dobrze zbudowany, o „poetyckiej“ czu-pryńie, impenował przestępcom, którzy też przywykli wyrażać się o nim z największym szacunkiem.

Jego urodziny wygląd i opanowane ruchy, stanowiły żywy kontrast z przejmującym wejrzeniem stalowo - szarych oczu. Całe jego zachowanie charakteryzowało go w całym tego słowa znaczeniu.

Zajście z zamordowanym policjantem nie bardzo „kleiło się“ w jego logicznie funkcjonującym umyśle.

Znał dobrze duszę przestępcy. Praktyce, nabytej przez długie lata, przeczyły fakty. Mógłby nawet przyśiąć, że włamawacz nieraz woli zrezygnować z łupu i powędrować za kratki, niż wykonać „mokrą“ robotę.

Nie mógł zrozumieć, w jaki sposób karabin policjanta został znaleziony w ogrodzie o kilkaset kroków oddalonym od miejsca zbrodni. Było to najlepszym dowodem, że opryszek miał karabin w swoim posiadaniu.

Tym bardziej głowił się, dlaczego nie zrobił on użytku z karabinu i nie strzelał zeń do policjanta, a natomiast oddał strzały z mniej wygodnego damskiego rewolweru. Nie wątpił już wcale, że stróż bezpie-

czeststwa został zabity z miniaturowej „maszynki”, pochodzącej z kasy hrabiny.

Po dłuższej walce ze sobą doszedł komisarz do wniosku, że mordercy zależało na podkreśleniu łączności mordu z włamaniem.

— Muszę wysświetlić prawdę! — zawołał na głos. Zajście to, związane nielogicznymi domysłami, za latuje grubszą tajemnicą.

Komisarz Żarski był urodzonym detektywem i naprawdę był z niego „kawał” filozofa. Człowiek z wyższym wykształceniem, pochodzący z dobrze sytuowanej rodziny ziemiańskiej, poświęcił się karierze policyjnej, raczej z zamiłowania, niż z żądzy awanturniczych przygód. Nawet bronił nieraz przestępców, usprawiedliwiając ich okolicznościami, które pchały ich na drogę występku. Twierdził, że dużo niewinnych ludzi siedzi w więzieniach rosyjskich. Starł się choć udowodnić, że przestępca nie zasłużył na tak wielki wymiar kary, jaki otrzymał.

Był człowiekiem uczciwym, co w policji rosyjskiej było rzadkością. Nie przypisywał nikomu winy, zanim nie miał konkretnych dowodów w ręku. Nie podejrzewał, póki nie miał podstaw ku temu.

Koledzy, rodowici Rosjanie okazywali mu szacunek. Nawet ci, którzy w wyniku jego mądrych wywiadów powędrowali do więzienia nie mieli do niego żalu.

— Jak tam się miewa „filozof”, — pytano nowo przybyłego do więzienia. — Porządny chłop, bez winy, nikogo nie oskarża, — mawiał nieraz jego były klient.

Dłuższy czas spacerował komisarz, analizując w myśli zajście. Wtem ktoś dyskretnie zapukał do drzwi.

— Proszę!

Drzwi otwały się. Elegancka dama nieśmiało przestąpiła próg.

— Ach! Pani hrabina. Proszę, niech pani spocznie.

Podsunał jej krzesło i przyglądał się jej z uwagą.

Hrabina, kobieta w wieku dąszakowskim nie sprawiała wrażenia arystokratki, a raczej podobna była do ex-primadonny operetkowej. Ruchy miała sztuczne i zagadkowy błysk w pięknych, trochę przygasłych oczach.

Usiadła, niepewna siebie, lecz prędko odzyskała równowagę, starając się uwydatnić dystygowane maniere, właściwe arystokracji.

— Pan komisarz wezwał mnie tutaj. Jestem ciekawa w jakiej to sprawie — wymówiła rosyjskim językiem.

— Zapewne domyśla się pani, o co nam chodzi.

Hrabina wyprostowała się, poprawiła czarny welon, który uprzednio zakrywał jej twarz i utkwiała bystro wzrok w twarzy komisarza. Ten odrazu wyczuł, że ma do czynienia z kobietą, która przyzwyczajona jest rozkazywać, a nie słuchać.

— Nie wystarczy, że okradziono mnie, a jeszcze wzywają do urzędu — rzekła, udając obrażoną.

— Nic strasznego, — odparł komisarz poważnie. — Rozumiem zdenerwowanie szanownej pani. Zawsze waliśmy panią we własnym interesie. Chcemy odnaleźć pieniądze, zrabowane u pani hrabiny.

Hrabina zaszlochala.

— Taki majątek!... Zrujnowali mnie!...

— Płacz tu nie pomoże. Trzeba działać. Poproszę panią ściśle odpowiadać na moje pytania, — dorzucił służbowo.

— Dajcie mi spokój!... Głowa mnie boli! Nie wiem co się dzieje ze mną, — wybuchnęła jeszcze większym płaczem.

— Komisarz starał się uspokoić ją, używając wypró-

bowanych środków, jakimi dysponował; nalał do szklanki zimnej wody, podsunął jej miękki fotel, poczęstował nawet papierosem. Widząc, że uspakajające środki zawodzą — odezwał się grzecznie:

— Wobec tego, jeszcze raz będę zmuszony fatygować panią hrabinę..

To poskutkowało. Hrabina natychmiast otarła łzy, sięgnęła nawet do torebki po lusterko i puderniczkę, by wyrównać uszczerbek, jakiego doznała jej mocno upudrowana twarz, podczas płaczu.

— Proszę! Może pani hrabina powie mi, ile pieniędzy mogło być w kasie krytycznej nocy?

Hrabina patrzyła dłuższą chwilę na komisarza, nie odpowiadając wcale, jak gdyby nie rozumiała pytania.

— Komisarz powtórzył pytanie, akcentując każde słowo.

— Panie komisarzu, skarb.. bogactwo.. Cały mój kapitał!

— Chciałbym znać cyfrę.

— Co za różnica, to na jedno wychodzi, — odparła z rezygnacją.

— Komisarz zrozumiał, że hrabinie zależy na tym, aby prasa nie rozpisła się o jej bogactwie. Przybrał współczujący wyraz twarzy i badał dalej.

— O której mniej więcej godzinie dokonano włamania?

— Obudziłam się już po północy.

— Kto panią zbudził?

— Gabinet, gdzie stoi kasa, mieści się obok sypialni. Zbudził mnie nagle ze snu silny huk. Niestety, było już za późno...

Tu poczęła znów manewrować chusteczką. Komisarz uspakajał ją grzecznie.

— Niech panj odpocznie. Proszę zebrać myśli i wszystko sobie przypomnieć. Dla nas, najmniejszy

szczególnej ma wielką wagę i może naprowadzić na ślady przestępcy.

— Czy jest jakaś nadzieja? — ożywiła się hrabina.

— Owszem, jest.

— I pieniądze odzyskam?

— Wszystko jest możliwe, — uśmiechnął się do brodusznie komisarz. — Czy pani wie, że nam bardzo zależy na tym, aby wykryć morderstwo policjanta?

— A co to za morderstwo? — zawołała wystraszona.

Komisarz ostrożnie wyjaśnił.

— Czy pani posiada rewolwer?

— Owszem.

— Gdzie go pani przechowywała?

— Tym razem leżał w kasie i został zabrany wraz z pieniędzmi.

— Czy panj poznaje tę kulkę?

— Mój Boże!.. To nabój z mojego rewolweru.

— Właśnie tym rewolwerem został zastrzelony stójkowy.

— Jakam ja nieszczęśliwa! — wybuchnęła znow płaczem hrabina. — Moje pieniądze przyczyniły się do zamordowania niewinnego człowieka!..

— Trudno! Proszę się uspokoić, to nie pani wina. Pani pozwoli, że wrócę jeszcze do tego huk, o którym pani wspomniała. Co to właściwie był za huk i skąd pochodził?

— Któryś ze złodziejów nogą, widać, zaczepił o marmurową figurę, którą przewrócił

— Co zaszło dalej?

— Podniosłam krzyk. Widziałam z daleka, jak o ciekali.

— Kto pierwszy przybył na pomoc?

— Andrzej, mój lokaj.

Komisarz zamyślił się, po czym zawołał:

— Pani hrabino, proszę mi z góry wybaczyć pytanie, które pani teraz zadam, ale spełniam tylko obowiązek. Może będę niedyskretny, ale to jest konieczne.

— Proszę bardzo.

— Z wielu osób składa się służba?

— Z siedmiu: czterech mężczyzn i trzech kobiet.

— Czy nie podejrzewa pani nikogo ze służby?

— Nie! Wykluczone! Ręczę za swoją służbę!

— Czy pani sama mieszka w pałacu?

— Przed trzema laty owdowiałam. Mieszkam z ośmioletnią córeczką.

— Ile pokojów zajmuje pani?

— Nie dużo. Pałac posiada dwadzieścia sześć pokojów. Trzy pokoje zajmuje służba, resztę ja z córeczką. Zapomniałam zupełnie, że Rex ma też własny pokój.

Komisarz Żarski uśmiechnął się.

— Dziękuję bardzo, na dziś wystarczy. Jak zajdzie potrzeba, przyjdę do szanowanej pani.

Hrabina zupełnie już uspokojona podniosła się majestatycznie, z uśmiechem lekkiej kokietery.

— Będzie pan miłe widzianym gościem. Myślę, że to włamanie przysporzy panu jeszcze więcej sławy, jako genialnemu detektywowi — uśmiechnęła się. — Nie wątpię wcale, że uda się panu wykryć zbrodniarzy.

— Proszę tylko nie pokładać za dużo nadziei w moich zdolnościach. My, policjanci, jesteśmy zwykłym ludźmi.

— Naturalnie — roześmiała się hrabina. — Ale od was można się spodziewać czegoś niezwykłego.

Musiła być kiedyś bardzo piękna — pomyślał komisarz. Ukłonił się szarmancko i odparł:

— Dziękuję za komplement.

— Nie przywykłam prawie komplementów. W.

dowód uznania proszę pana jutro do siebie na obiad.

— Bardzo dziękuję. Chętnie skorzystałbym z za-
proszczenia, niestety jestem obecnie zajęty.

Herabina utkwiała w komisarzu hypnotyczny wzrok,
od którego ciarki przeszły mu po całym ciele.

— Więc jutro o czwartej oczekuję pana komisa-
rza u siebie.

Nie czekając wcale na odpowiedź, skinęła mu
głową na pożegnanie i opuściła pokój.

ROZDZIAŁ V.

Zimowy, mroźny dzień.

W kilku punktach Warszawy umieszczone były
żelazne piecyki. Ogień buzował wesoło na powitanie
tych, którzy przystawali, by rozgrzać zmarznięte
członki.

Przy jednym z takich piecyków, gdzie zgrupo-
wało się więcej ludzi, znalazł się „Klawy Janek“.

Uplłynęło już kilka dni od krytycznej nocy. „Kla-
wy Janek“ błąkał się po uliczkach nie mogąc znaleźć
sobie miejsca. Nawet nocami nie zaznawał spoko-
ju. Dłużej ponad godzinę, nie mógł usiedzieć na jed-
nym miejscu. Strach i trwoga opanowały go, gnając
jak zwierzę upórczywie tropione przez myśliwych.

Zmienił się nie do poznania. Policja, która go
tropiła, wątpiłaby napewno, czy ma przed sobą groź-
nego Janka, o pochwytceniu którego marzył niejeden
policjant.

Stał teraz przy jednym z ulicznych piecyków.
i trząsł się z zimna. Nie dlatego, że brakło mu ciep-
łego przyodziewku. Miał wszak do dyspozycji kilka
drogich futer i parę tuzinów ubrań. Ale pragnął jak
najmniej być podobnym do siebie, do owego niebez-
piecznego przestępcy, którego policja знаła jako e-
leganta. Miał na sobie zniszczone ubranie robocze.

Stare, wytarte futerko z podniesionym koflerzem u- podobniło go do parobka wiejskiego. Podarta macie jówka i zabłocone chłopskie buty uzupełniały jego strój.

Błąkał się od jednego dworca do drugiego, z jed- nego przystanku tramwajowego do drugiego. Zatrzy- mywał się tylko tam, gdzie grupowało się więcej lu- dzi. Nie gościł długo przy jednym piecyku. Nie chciał poprostu rzucać się w oczy.

Czuł się tak zmęczony, że chwilami wolałby zna- leźć się w celi więziennej. Zatręsknił do celi więzien- nej i trwałego punktu oparcia. Zgiełk i ruch uliczny doprowadzały go do wściekłości. Głośniejsze okrzyki przechodniów trwogą odbijały się o jego uszy. Zdawa- ło mu się, że każdy napotkany człowiek ściga go i lada chwila branzoletki zatrzasną mu się na rękach.

W zholalej głowie wciąż kołatała jedna i ta sa- ma myśl. Myśl, która może doprowadzić do samobój- stwa.

— Co powiem moim współnikom?... Mieć w rękę taką skarb i postradać go w tak głupi sposób! Mnie.. „Klawemu Jankowi“ żeby coś podobnego się przy- trafiło... Wspólnicy nigdy nie uwierzą, że zgubiłem to kę.

Chętnie naplułbym sobie we własną gębę. Za- pragnął jaknajsurowiej siebie ukarać. Miał chęć zgło- sić się osobiście na policję i otwarcie powiedzieć:

— Macie tego niedołęgę... Zróbcie z idiotą, co wam się żywnie podoba...

Jedynie myśl, że nie ujrzałby odtąd ukochanej powstrzymała go od szalonego kroku.

Najbardziej gnębiło go zabójstwo policjanta. Czytając o tym w gazecie, nie dowierzał własnym oczom. Jak opętany pobiegł na miejsce wypadku, a- by przekonać się, czy rzeczywiście coś podobnego za- szło.

Był bliski obłędu, gdy przekonał się, że wszystko jest prawdą. Przejęty zgrozą i strachem stał dłuższą chwilę pomiędzy gapiami ulicznymi, przyglądając się trupowi. Rosły policjant, który rozpędzał zbiegowisko zmusił go do odejścia.

— Komu zależało na tym, aby dokonać tego ohydneho mordu na moje konto? — zapytywał siebie w myśli, błędząc błędnymi oczami wokoło.

Pewny był, że zabity jest tym samym policjantem, któremu sprzątnął karabin. Ten sam znalazł zapewne tekę.

Dłuższy czas medytował, przemyślając po raz setny znane mu tricki złodziejskie.

— Kto mógł być zabójcą? Gdzie się podziała zrabowana teka z forszą?

Daremnie próbował podejrzewać o to współników, że oni to zauważyli policjanta z teką i zamordowali go. Myśl ta nie znalazła jednak potwierdzenia w jego mózgu.

Zupełnie wyczerpany rozmyślaniami, nie dbał o positek. Gdyby nie stary przyjaciel Bajgele, który zmusza go do jedzenia, rozchorowałby się z głodu.

Zaprzyśiągł sobie w duchu, że na własną rękę musi odnaleźć zabójcę. Z całej duszy gardził „mokrą“ robotą. Bandytów i innych nożowców chorobliwie omijał; był gorącym zwolennikiem operacji „na cicho“.

Sam się nie orientował, kiedy i jak znalazł się na schodach domu, który zamieszkiwała Anieła. Jak zahipnotyzowany wszedł na górę. Pragnął usprawiedliwić się przed nią, upaść jej do nóg i przysiąc, że nie jest zabójcą. Chciał po raz ostatni zajrzeć w jej piękne oczy i dowiedzieć się, czy nie pogardza nim. Stracił Aniełę, uważał za cios bolesniejszy od utraty wypchanej teczki.

Zrozumiał dobrze, że policja poszukuje spraw-

ców włamania i zbrodni. Wierzył zaobornie, że przelana krew woła o pomstę do nieba. Zabójca musi otrzymać zasłużoną karę. Tak, czy owak, musi się znaleźć „ofiara“, aby zaspokoić opinię publiczną i udowodnić, że coś się robi...

Bez trudności otworzył wytrychem drzwi z korytarza, prowadzącego do pokoju Anieli. Po cichu wślizgnął się do wewnątrz i upadł zmęczony na łóżko. Słyszał wyraźnie zdenerwowane kroki ukochanej dziewczyny i basowy głos ojca.

— Nieprawda!—wołała Aniela, — Janek nie ma Janek zerwał się i wytężył słuch. Zrozumiał, że nie wspólnego z mordem policjanta. Są sami w pokoju. Podśluchał spór między ojcem a córką.

— Dziwi mnie to, ojcze, że ty, który tyle wycierpiałeś, zabraniasz mi podać rękę nieszczęśliwemu Jankowi.

— Lepiej znam tych ludzi, niż ty, — odparł „Lipa“. — Przez te kilka tygodni przebywania między niemi, niczego dowiedzieć się nie mogłaś. Nasz świat — to jedna wielka niezbadana tajemnica. My sami siebie nie znamy...

— Więc dobrze... Powiedz ojcze, jacy są ci ludzie? Co za rolę ty odgrywasz wśród nich? Wszystko, co mnie otacza jest tajemnicą. Powiedz mi wszystko... Na pamięć mojej matki zaklinam cię, ojcze...

— Tylko nie na pamięć matki. Nie wspominaj mi tej podłej kobiety...

— Ty jesteś podły, a nie moja matka! — krzyknęła w uniesieniu Aniela.

Janek słuchał z napięciem, by nie uronić ani słówka z tej rozmowy. Wiedział naprawdę coś nie o przeszłości „Lipy“, ale teraz miał okazję usłyszeć coś, co dotyczyło jego ukochanej Anieli.

Na dłuższą chwilę rozmowa, jakgdyby się urwała, po czym usłyszał smutny głos „Lipy“:

— Tak!... Tak!... Masz rację, mówiąc, że jestem podły. Ona nie... Tylko ja... Całe życie starałem się wychować ciebie zdala od mojego środowiska. Czy wiesz, że matka twoja zostawiła cię, gdy miałaś dwa latka, by uciec z kochankiem? Tak. moja córeczko, masz zupełną rację. Jestem złodziejem, wyrzutkiem społeczeństwa, ale jedno wiem, że nie z mojej winy... Moi rodzice byli już tacy i mnie tego przekłętą „fachu“ nauczyli. Gardzę nimi, gardzę sobą... Gardzę całym światem i ludźmi, których zmuszają tkwić nadal w tym bagnie. Tak kochane dziecko, twój ojciec jest urodzonym złodziejem... Tylko jedno pamiętaj! Złodziej także może być dobrym ojcem... Przekonałaś się sama, że nie chciałem wychować ciebie w atmosferze, którą sam oddychałem.

— Strzegłem swojej tajemnicy przez długie lata, — nie chciałem sprawiać ci bólu, bo poprostu wstydzilem się i czułem się winny wobec ciebie. Wpójono we mnie w młodości żal i wstręt do wszelkich oskarżycieli i moralistów. Widziałem w tobie przyszłego prokuratora, który pewnego pięknego poranku zawoła: „Oskarżam cię, ojczy“...

— Lata mijały, a ty rosłaś, rozwijałaś się fizycznie i umysłowo. Żyłem w strachu i obawiałem się tej chwili, kiedy przejrzysz moją grę; zobaczysz innego ojca, nie podobnego do tego, któremu ufałaś jako dziecko.

Krytyczna chwila nastąpiła, gdy stałaś się pełnoletnią. Czulem, że dłużej już nie będę mógł ukrywać przed tobą swej tragedii. Ojcowskie serce nie mogło jednak zdecydować się na sprawienie ci takiego bólu. Milczałem i odkładałem wyznanie z dnia na dzień. Później nawet, gdy się już zdecydowałem odkryć kar

ty, nie mogłem ci wyznać wszystkiego... Teraz, czego nie dopowiedziałem, sama się już domyślasz... Napewno zrozumiesz, dlaczego nigdy się nie zgodzę, aby moja Aniela poślubiła złodzieja.

Janek słuchał i łyzy ścisnęły go za gardło. Przynawał w duchu rację staremu „Lipie“. Czuł, że gdyby on sam był ojcem takiej córki, nie zezwoliłby nigdy na taki związek. Chciał wynieść się po cichu i wyrwać Anielę na zawsze ze swego zbrodniczego serca, zapomnieć zupełnie o jej istnieniu. Widać, takie kobiety nie są stworzone dla zbrodniarzy, — im pozostają tylko „kontrolne“ i „z amatorstwa“. Głos Anieli przykuwał go jednak do miejsca i słuchał dalej.

— Podziwiam cię, ojcze, skąd do ciebie takie piękne myśli. Mówisz do mnie i rozumujesz, jak najuczciwszy człowiek pod słońcem, a jednak...

— Wszyscy tacy jesteśmy... Złe i dobre myśli ścierają się w nas przez całe życie tylko zawsze zło ostatecznie zwycięża.

— Teraz, kiedy już wszystko wiem o moim ojcu, powiedz mi, kim była moja matka i gdzie ona teraz jest. Czy wogóle żyje?..

— Żyje. A jakże, jeszcze jak żyje... Jest bogata, przystojna, zdrowa, ładna i mieszka w pałacu. Ale wiedz, że ona cię nigdy nie ujrzy...

Janek słuchał jak „Lipa“ biega po pokoju tam i z powrotem. Chciał wejść i powiedzieć otwarcie, że zniknie raz na zawsze, nie będzie mu więcej psuł szyków nędzną osobą; bał się jednak stanąć oko w oko z tym groźnym człowiekiem, którego dobrze znał. Wiedział, że „Lipa“ nigdy nie uwierzy w jego szczerłość.

— A jednak kochałeś matkę, ojcze, — usłyszał znów głos Anieli. — Więc dlaczego nie możesz być na tyle wspaniałomyślny, by jej przebaczyć? Rozumiem, — nie chciała żyć w brudach.

— Ha — ha — ha, — gorzko roześmiał się „Lipa“

pa". — Uciec z kochankiem i porzucić dziecko, — To nie brud? Ona jedna zdolna była wyciągnąć mnie z tego błota, wołała jednak pozostawić mnie własnemu losowi. Njenawidzę jej!...

— Nie przeżyję tego wszystkiego, — zapłakana zrozpaczona Aniela. — Wyjadę z powrotem zagranicę i poświęcę się studiom, by zapomnieć o wszystkim.

Janka zakłuło coś w sercu. — więc ona chce mnie opuścić. Nie kocha mnie więcej!...

Postanowił się z nią rozmówić po raz ostatni, za pominając już o współczuciu dla ojca.

— Nie zostawisz mnie samego, — usłyszał znów głos „Lipy“. — Bez ciebie żyćbym nie potrafił. Pokła dałem w tobie nadzieję, że wyrwiesz mnie raz na zawsze z tego bagna. Ach, żebyś ty wiedziała jak tęskniłem za tobą... W murach więziennych nie przesta wałem myśleć o tobie, moje dziecko. Gdyby nie ta jedyna nadzieja, że kiedyś w przyszłości będę mógł przytulić cię do mego serca ojcowskiego, dawno już skończyłbym ze sobą w tych murach nędznych. Całe życie kradłem, by ci nie zbywało na niczym. Dba łem o twoje wygody na wolności, nawet wtedy, gdy mi głód kieszki skręcał w więzieniu. Tak, kochana córeczko, żyłem tylko dla ciebie i dla ciebie żyję do dziś dnia. Czy można nieszczęśliwemu ojcu odwdzięczać się w taki sposób?...

— Nie mogę już żyć tak dłużej!

— „Zabastuję“! Przysięgam, że „zabastuję“...

Janek, na ten wykrzyknik, uśmiechnął się pod nosem. — My wszyscy „bastujemy“ — pomyślał.

— Nie wierzę ci, ojcze? Nie mogę ci ufać, a dłużej nie mogę tu pozostać. Czuję wstręt do tego świata. Muszę uciekać, gdzie mnie oczy poniosą...

— Do „Klawego Janka“, co?!

— Może. Moja miłość go nawróci.

— Wyblj go sobie z głowy. Mam narzeczonego dla ciebie. Moja córka musi mieć przyzwoitego męża, a nie „Klawego Janka“.

Janek jeszcze bardziej przywarł głową do drzwi. Chciał usłyszeć odpowiedź Anieli.

— Dziwny ten wasz świat, — usłyszał gorzki śmiech. — Jeden drugim pogardza. Dziękuję za wybór, pozostaw go mnie.

— Jestem twoim ojcem i pragnę wydać cię za męża.

Aniela zaśmiała się głośno.

— Jeżeli obowiązek ojca polega na tym by wydać córkę za męża, to twoją misję dawno już spełniłeś.

— Zastanów się, córko. Powiem ci jeszcze coś, czego nie domyślasz się nawet. Wiedz o tym, że ten twój wybrany chodził na „mokre“ roboty...

Janek dłużej już nie mógł wytrzymać za drzwiami. Ten zarzut był dla niego obelgą. Chciał już pchnąć drzwi; opanował się jednak i słuchał dalej.

— Co to znaczy? Nie rozumiem.

— „Mokra“ robota, to no raszemu — morderstwo.

— Kłamiesz! Do tego nigdy nie byś zdolny.

— Jesteś za uczciwa, córko. Ale w złodziejskim „fachu“ różnie bywa.

— Tak nisko nie upadł. Nie uwierzę. On nie wygląda na mordercę!

— Pozory mylą. Ja też nie wyglądam!

— A zamordowałaś?... Gardzę tobą, ojcze!

— Milcz, bo cię!...

— Można się wszystkiego spodziewać do takim „pięknym“ ojcu.

— Twój kochanek musi wisieć... Uduśzę! Uduśzę, zanim będziesz jego żoną!...

Nagle drzwi się otwarły i Janek wkroczył zdecydowany do pokoju.

„Lipa“ był tak zaskoczony tym zjawiskiem, że ręce, którymi przed chwilą wygrażał Anieli, opadły mu bezwładnie.

Oboje padli sobie w objęcia, nie zwracając wcale uwagi na skamieniałego „Lipę“.

— Jesteś, kochany?... Jesteś wolny, Janku?

„Lipa“ zgorzonym tym widokiem, zasłonił oczy lewą ręką, prawą zaś szukał czegoś w tylnej kieszeni. Janek nie spostrzegł nawet podeirzanych ruchów „Lipy“.

— Jak widzę, nie krępujecie się już wcale moją obecnością. Ochłodzę was zaraz z ognia miłości! — krzyknął, grożąc im rewolwerem.

— Możebyś tak nie przeszkadzał? — odparł Janek cynicznie.

— Co?... Jak ty śmiesz! Jestem jej ojcem, czy nie?

— Skąd ona ma o tym wiedzieć, — odparł z rekcją Janek, tuląc do siebie mocniej przeleknioną Anielę.

„Lipa“ skakał groźnie wokoło nich, wymachując rewolwerem. Aniela wyrwała się z objęć Janka i zasłaniając go sobą, wołała:

— Ojczy, wpierw mnie zabijesz!

— Starczy ołowiu dla was obojga!

Janek siedział flegmatycznie jakby mu nic nie groziło. Uśmiechał się szyderczo i obojętnie odparł:

— Nie wrzeszcz tak głośno. Zapominasz że już noc zapadła.

— Bandyto!... Ty morderco!...

— Ha — ha — ha... Stara odwieczna historia: czym człowiek sam jest, tym innych tytułuje.

— Daję ci trzy minuty czasu, byś się z tą włością. Jeśli nie, to...

— Zabijesz mnie, — ironizował Janek. — Szczo-
waj lepiej „spluwę”. Zagalopowałeś się, brachu. Nie
przyszłeś na „stój”, abys straszył frajera minuta-
mi.

— Nie drażnij, bo cię zastrzelę. Nigdy moim zię-
ciem nie będziesz!..

Janek zapalił obojętnie papierosa i odpart:

— Myślę jednak, że „Kławy Janek” i Stasiak
„Lipa” nie powinni sobą pogardzać. Obaj jesteście
dobrze urodzeni.. Czyż może być lepiej dobrana pa-
ra?

— Przestań, — wtrąciła się Anjela? — Po co
prowokujesz ojca?

— Ja go zastrzelę, jak psa!

— Doprawdy, umiesz strzelać?

„Lipa” skierował na niego lufę rewolweru. Anje-
la stanęła między ojcem a Jankiem, krzycząc:

— Zlituj się nade mną, ojczu, nie przeżyję tego!

„Lipa” odepchnął córkę i wrzasnął:

— Myślisz, że nie wiem o tym policjancie, które-
go „ochłodziłeś”. Będziesz wisiał!

To poskutkowało. Janek zerwał się i chwycił
„Lipę” za kołnierz.

— Stary „kapuś”! Jeszcze jedno słówko po-
wiesz, to cię...

Anjela znów stanęła między nimi, „Lipa” wyce-
lował w kierunku głowy Janka. Ten, zrezygnowanym ru-
chem wybił mu rewolwer z ręki, podniósł broń i wy-
jął naboje, rzucając pusty browning na biurko.
Usiadł spokojnie z powrotem na krześle i patrzył po
błaźliwie na miotającego się „Lipę”.

— Nigdy jeszcze nie miałem krwi na sumieniu i
nie chcę jej mieć, — wycedził przez zęby. — Czuję
wstręt do „mokrej” roboty. Bezpodstawnie mnie
oskarżasz.

— Mówiłam ci ojczy, że to nie on zamordował tego policjanta, — zawołała Aniela uradowana.

— Co za różnica, którego, — uśmiechnął się „Lipa”.

— Słuchaj, stary, uspokój się, — zawołał już, po ważnie Janek. — Czy chcesz krzykiem sprowadzić tu ludzi? Myślę, że tobie nie będzie bardzo przyjemnie, kiedy „hinty” się dowiedzą, że jesteś Stasiak „Lipa”.

— Cicho! — zawołał „Lipa”.

— Po co policja ma wiedzieć, że mieszkasz w Warszawie na „lewe” nazwisko, — uśmiechnął się Janek. — Jesteś niemniej znany, niż ja.

„Lipa” poprawił się na krześle, ciężko oddychając. Ocierał pot z czoła, patrząc na córkę. Aniela poczuła litość i zbliżyła się do ojca.

— Tato, uspokój się.

Janek podniósł się i podszedł do „Lipy”.

— Słuchaj, Stasiak, czy mogę z tobą pomówić bez krzyku i hałasu, jak swój ze swoim, a nie jak przyszwzięć z teściem?..

— Nie mamy nic do gadania na ten temat, — uspokoił się „Lipa”.

— A jednak muszę z tobą pomówić. W Warszawie nie mogę dłużej pozostać. „Tajniaki” depczą mi po piętach.

— Uciekłeś z więzienia? Gdzie spędziłeś te kilka dni? — zawołała podejrzliwie Aniela.

— Na razie jeszcze nie byłem aresztowany.

— Ojciec mówił, że siedzisz.

— Ojcu wszystko wolno, nawet i kłamać, — odparł Janek filozoficznie.

„Lipa” wpatrywał się dłuższy czas w jeden punkt sufitu, po czym złamanym głosem wyszeptał:

— Jestem jej ojcem, serce mnie boli..

Złapał się prawą ręką za serce, spuszczac oczy, w których zabłysły łzy.

— Przebacz, — zawołał Janek — ale powiedz szczerze dlaczego nie chcesz mnie za zięcia. Przeszkadzasz naszemu szczęściu.

Lipa głaskał córkę pieszczotliwie po włosach, wzdychał, spluwał i mruczał coś pod nosem.

— Nie chcę widzieć własnego nieszczęścia. Wy oboje, — to dwa różne światy, które się nawzajem nie rozumieją. Ona jest za uczciwa, aby mogła patrzeć na twoje podłości, a ty jesteś zanadto zdemoralizowany, abyś mógł ocenić jej uczciwość. Nie mogę własnymi rękami przyczynić się do unieszczęśliwienia mojej córki. Sam jestem „blatniakiem“ i wiem doskonale, co za przekłety los czeka żonę takiego, jak ty, czy ja. Nie chcę, aby moja córka chodziła z „wałówkami“ pod więzienie.

Janek posmutniał, zwiesiwszy beznadziejnie głowę. Patrzył przez chwilę na Anielę i jej ojca, po czym trzasnął nagle pięścią w stół.

— Przysięgam, na pamięć mojej matki, którą kochałem, że od dziś będę uczciwym człowiekiem.

— Ha—ha—ha... — roześmiał się „Lipa“ — Od wieczna nasza posenka. Nie tak łatwo przekreśla się przeszłość... O nie! I ja nieraz próbowałem.

— Aniela będzie moim bożyszczem. Dla niej wszelkie trudności przewyżcę. Muszę zasłużyć na jej uczciwą miłość.

— Uczynisz to, Janku? — zawołała teraz Aniela. — Obiecujesz? Wydźwignę cię z bagna! Sam, ojcie, mówiłeś przed chwilą, że matka mogłaby ci dopomóc w tym. Dlaczegoż ja nie mam naprawić błędów matki i obu was wyrwać z podziemnego świata?

— Tak! Klnę się na twoją czystą miłość, w którą wierzę, że gotów jestem wszystko uczynić. Rozkazuj, a nawet w ogień skoczę, gdy tego zażadasz!

„Lipa“ przyglądał się przez dłuższą chwilę Janekowi ze współczuciem, po czym rzekł:

— Proszę cię, nie praw mi tylko tutaj frajerskich kawałów. Nie poznaję ciebie: stajesz się sentymentalny i tracisz na wartości. Miłość — to pusty frazes. Jej matka też mnie kochała. Niech-że się spali cała miłość.

— Nie wszystkie kobiety potrafią naprawdę kochać. — odparła dumnie Aniela.

— Ale kogo?... Kogo pokochałaś?... „Klawego Janka“, króla włamywaczy? — szydził „Lipa“.

— Wierz mi, brachu kochany, że, gdybym wiedział na początku naszej znajomości, że ona jest twoją córką, nigdybym jej nie pokochał. Znam dobrze etykę złodziejską — odparł „Klawy Janek“.

— „Odkochasz“ się, jak to nieraz u naszych chłopaków bywało. Trajluj frajerów ale nie mnie. Wiele razy byłeś tak zakochany?

— Zmienię charakter.

— Garnitur i rękawiczki można zmienić, ale nie charakter naszego chłopaka. Po co „zawracasz gitarę“. Złodziej pozostanie złodziejem, a frajer frajerem do końca życia.

— Co ty, brachu, wygadujesz? Że żaden nasz brat nie może się już nawrócić?..

— Może i tak, ale niezupełnie.

— Mylisz się. — wtrąciła Aniela. — Nauka dowodzi, że nikt nie rodzi się przestępcą. Dziedziczność ci nie ma pod tym względem.

— Głupstwo, — odparł z przekonaniem „Lipa“, — mój ojciec i matka byli złodziejami, więc i ja nim jestem.

— Tato, nie mów tak, przerażasz mnie!

— Ale ja pochodzę z uczciwego domu! — oświadczył Janek. — Mój ojciec był znanym krawcem damskim; miał największy magazyn w Odessie.

— To na jedno wychodzi. Zresztą twój dziadek,

albo pradziadek był oficjalnym złodziejem, bo nieoficjalnych jest bardzo dużo.

— No, a twoja córka?... Czy nie jest wzorem uczciwości?

„Lipa“ uśmiechnął się ironicznie.

— Czy nie zakochała się w tobie, złodzieju?...

Janek posmutniał. Musiał w duchu przyznać „Lipie“ rację. Szukał słów na usprawiedliwienie i odparł:

— Może i masz rację. Przekonany jestem, że gdyby mnie nie prześladowano, wziąłbym się za uczciwą pracę.

— Bujając to my, a nie nas, — uśmiechnął się „Lipa“. — Któżby się bawił po kabaretach? Kto piłby szampana, nosił eleganckie futra, jedwabną bieliznę i brylantowe pierścienie, gdyby podobni tobie chcieli pracować uczciwie?...

— Częściej cierpiałem głód i nędzę, niż opływałem w bogactwie. Nie warto być złodziejem.

— Masz rację. Prawda, Janku, że więcej nie będziesz? — zagładała mu badawczo w oczy Aniela.

— Nabroił już i tak dosyć, wystarczy. Dwadzieścia lat więzienia małoby było na uregulowanie długów, jakie zaciągnął wobec sprawiedliwości. Za późno panie Janku, — rzekł z szyderstwem „Lipa“.

— Lepiej później, niż nigdy. Zresztą urzędzę się tak, jak ty: będę mieszkał „na lipę“, — odciął się Janek.

— Możesz sobie mieszkać, na jakie nazwisko chcesz, ale bez mojej córki.

— Po co ta gadanina — zawołał stanowczym głosem Janek, — co począć, gdy się kochamy.

— Nie, Janku, ty nie kochasz Aniela!...

Janek zaprzeczył ruchem głowy. „Lipa“ skinął ręką, aby milczał i ciągnął dalej:

— Gdybyś Anielę kochał na prawdę, ucieklibyś

ođ niej, jaknajdalej. My obaj wiemy najlepiej, że
ziemia pali ci się pod nogami. A po tym...

Janek zaczął biegać nerwowo po pokoju. Aniela
wodziła oczami za Jankiem, rzucając równocześnie
spojrzenia na smutnego ojca. Nagle Janek zatrzymał
się przed „Lipą“ i ujął go za kłapy marynarki; po-
patrzył mu prosto w oczy:

— „Lipa“, stary przyjacielu. Pomówmy ze sobą
wreszcie jak „błatny“ z „błatniakiem“. Po co te fra-
jerskie wykrety?

— Słuchaj, Janek, — zawołał „Lipa“ uroczyście,
— jeżeli wyznasz przed Anielą szczerą prawdę, a po
tym wszystkim zechce ona zostać twoją żoną, nie bę-
dę wam przeszkadzał.

— Prawdę?... Prawdę, z którą całe życie byłem
na bakier?...

W pokoju zapanowała cisza, która silniej podzia-
łała na nerwy, niż najgłośniejszy hałas. Cała trójka
zagłębiła się w rozmyślnościach: „Lipa“ i „Kławy Ja-
nek“ o smutnej przeszłości, Aniela o swoim niezna-
nym losie.

— Kto, jak kto, — odezwał się pierwszy „Lipa“,
widząc, że trafił w słabą stronę Janka, — ale ty, dra-
chu, wiesz, że złodziejowi nie wolno unieszczęśliwiać
córkę złodzieja. Czy brak córek frajerskich?...

Aniela uśmiechała się smutno do ojca. Była prze-
jęta do głębi sposobem rozumowania tych ludzi i ze
współczuciem zawołała:

— Jesteś dobrym ojcem.

— Ale ty nie jesteś dobrą córką, moja kochana,
— odparł smutno „Lipa“.

Janek zatrzymał się nagle przy Anieli. Białe,
elektryczne światło jeszcze bardziej uwydatniało je-
go wzruszenie.

— Anielo! Postanowiłem wypowiedzieć się przed
tobą.

— Właśnie tego chcę, — zawołał triumfalnie „Lipa“ — jestem pewien, że, gdy usłyszysz prawdę, dowiesz się, czym zalałujesz, nie tylko się „odkocha“, ale po czuje wstręt do ciebie. Jeszcze ci coś powiem, czego nawet jej nigdy nie powiedziałem. Gdyby Aniela wiedziała wszystko o przeszłości ojca... Często zapytuje siebie samego, skąd do niego, Staśka „Lipa“, i jego przewrotnej żony łąka ucziwa córka.

Aniela wybuchła płaczem. „Lipa“ starał się ją uspokoić.

— Powiedz mi, Janku, — zawołała przez łzy, — czy masz krew ludzką na sumieniu... wzdrygnęła się ze wstrętem na dźwięk słowa „krew“. Janek pochylił głowę i zawzięcie mlezał. Wyglądał jak skazaniec. Chciał zaprzeczyć, ale nie mógł wydobyć głosu. Czuł, że jego wyznanie podziała na Anielę jak trucizna.

Poczuł wyrzuty sumienia. Wiedział, że Aniela jest za czysta, aby mogła te brudy wysłuchać. Bał się tego wyznania, a zarazem kochał ją i nie chciał przed nią nic ukrywać.

Przed jego oczami przesunęły się dokonane przez niego przestępstwa. Widział siebie od pierwszej kradzieży do dnia dzisiejszego. Wszystko kolejno wlokło się długim szeregiem, poczynając od groszowych „robótek“, aż po grube tysiące. Białe twarze okradzionych proletariuszy i spaśne kołduny bankierów. Pod koniec, widział niewyraźnie tych, którzy, po obrabowaniu, odebrali sobie życie. Mrowie przeszły mu po ciele. Wiadział, jak gdyby ręce jakieś wyciągnięte do jego szyi. Zrobił krok w tył, a zimny pot wystąpił mu na zmęczone czoło.

Otrząsnął się cały, jakby chciał zrzucić z siebie olbrzymi ciężar, który go przygniatał i dusił.

W miejsce poprzednich koszmarów przyszedł teraz dawno zapomniane epizody, fakty z lat dziecię-

cych, — twarze o wiele sympatyczniejsze od oglądanych w ostatnich latach.

Widzi przed sobą jak na dłoni ojca i matkę. — Ludzi z których Bóg i ludzie są zadowoleni; widzi se bie jako małego pędraka w szkole, potem w gimnazjum, gdzie był wzorowym uczniem. Min. one szczęśliwe i wesołe dni młodości. A teraz...

Podniósł głowę, wyteżając wzrok, jakby chciał lepiej przyjrzeć się zapomnianym i miłym twarzom. Wszystko uciekło jednak, wstydząc się zapewne zajrzeć mu w oczy.

— Za nisko upadłeś, — słyszy głos oskarżycielski, pełen wyrzutu.

Serce rwie się ze wstydu. Przeciera oczy, jakby przebudzony z letargu. Spojrzenie jego krzyżuje się z przenikliwym wzrokiem Anieli.

— Co się z tobą dzieje? Chciałeś mi przecież coś wyznać... Powiedz, wznaj wszystko, co ci leży na sumieniu. Prawda, Janku, że nie zamordowałeś tego policjanta?

Janek zrobił krok, jakby chciał wybiec z pokoju. Aniela chwyciła go za rękę.

— Mów! — utkwiała w nim podejrzliwy wzrok.

— Czego chcesz ode mnie? Dlaczego mnie męczysz? — zwrócił się do niej z wyrzutem. — Policjanta nie zamordowałem!

— Ani jednego człowieka, — uśmiechnął się „Lipa“.

Janek milczał.

Aniela zerwała się z miejsca, chwytając go za ramię.

— Czemu milczysz? — krzyknęła z rozpaczą. W oczach jej zabłyśły ogniki obłędu.

— Co tu dużo gadać. On milczy, więc ja ci powiem. Janek jest zawodowym złodziejem — królem kasiarzy. Najgorsze jest to, że policja poszukuje go

za stare grzechy. W Argentynie zamordował rywala. Powiedz teraz, czy chcesz zostać jego żoną?

— Dosyć! — krzyknęła Aniela, chcąc wybiec z pokoju.

„Lipa“ zastąpił jej drogę.

— Tu zostań! Powiedz teraz, czy kochasz go jeszcze? Jeżeli tak, — natychmiast udzielam wam swe go błogosławieństwa.

Aniela przystąpiła do Janka.

— Więc masz krew ludzką na sumieniu? — zapytała.

— Nie pamiętam.

— On nie pamięta, ilu ludzi „ochłodził“, — uśmiechnął się „Lipa“. — W naszym życiu różnie bywa.

Janek zapalił papierosa i nasłuchiwał.

— Wszystko w porządku. W moim domu jesteś zupełnie bezpieczny, radzę ci jednak wynieść się stąd. Diabeł nigdy nie śpi — rzekł „Lipa“.

— Masz rację, muszę już iść. Prawda, Anielo? — dodał, uśmiechając się gorzko.

— Tak, możesz iść. Sądziłam, że tak nisko jeszcze nie upadłeś. Jestem za słaba, by cię z tego bagna wydzwignąć.

Janek uśmiechnął się, puszczając dym nosem.

— Jak wy, kobiety prędko zmieniacie swoje zdanie. Moja ostatnia godzina miłości, szczęścia i wolności już wybiła. Nie chcę, aby mnie tutaj aresztowano.

— I ja nie chcę.

— Masz rację, brachu. Aniela nie jest dla „Klawego“...

— Nie upadaj jednak na duchu, bracie — odparł współczująco „Lipa“. — Forsa zarobiona u hrabiny, umożliwi ci wyjazd zagranicę; tam będziesz mógł żyć wygodnie. Postaram się o „lewy gryps“ dla cie-

ble. Pojedziesz sobie, gdzie zechcesz i zapomnisz o wszystkim. Mnie zostawisz tylko tysiąc dolarów. Już wiesz na co... Możliwe, żeś ty nie zamordował posterunkowego. Faktem jednak jest, że mord ten przypisują temu, kto opróżnił kasę hrabiny.

— Nie mam forsy.. — odmruknął Janek..

— Co? Gdzieś ją podział? — zerwał się „Lipa“ jak rażony piorunem.

— Zgubiłem, uciekając tekę z forszą.

— Tylko proszę cię, nie zalewaj. Zgrywasz za mnie.

— Wiedziałem, że nikt mi nie uwierzy, — uśmiechnął się Janek gorzko.

— Nie udawaj głupiego. Antek i Felek szukają cię po całej Warszawie. Uważają, żeś drapnął, zabierając „dolę“.

— Niech i tak myślą, mnie tam już wszystko jedno — odparł smutno.— Zwariuję z tego wszystkiego. Pech mnie prześladowa. jak nigdy. Uciekając, przesadziłem plot i w tym momencie upuściłem tekę. Chciałem się zawrócić, tylko myśl, że mogę się natknąć na policjanta, który mnie ścigał, a którego musiałbym „sprzątnąć“, powstrzymała mnie. Prosto nie chciałem go „ochłodzić“. Nie rozumiem tylko tego, kto mógł znaleźć tekę i zamordować policjanta.

— Ja także nie rozumiem, — uśmiechnął się „Lipa“. — Ciekaw jestem jednak, czemuś tak odrazu stehórzył. Mnie się zdaje, że niejednego policjanta masz na sumieniu.

— Co? — krzyknęła przerażona Aniela. — Zamordowałeś już kiedyś policjanta?

— A jak tak, to co? — zawołał w uniesieniu Janek.

Aniela zastłoniła sobie twarz rękami i krzyknęła:

— Podjy morderco! Gardzę tobą!

— Tak! Raz zabiłem, ale tylko we własnej obronie. Zawsze pogardzałem „mokrą robotą“. Nigdy nie zabiłem w celu rabunkowym.

— Co za różnica, w jakich okolicznościach zabiłeś! Fakt, że jesteś mordercą!!

Janek uśmiechnął się gczko.

— Gdy porządni ludzie mordują się nawzajem na wojnie, czy nie są mordercami?

— Znam dobrze wasze wykręty. Między nami wszystkim skończone. Łudziłam się, że ty, którego pokochałam, przypadkowo znalazłeś się w świątku występku, widzę jednak, że pomyliłam się. Zanadto zabrnąłeś w błoto, abym cię mogła oczyścić. Zbyt wiele grzechów masz na sumieniu i policja cię zbyt energicznie prześladowuje, abym mogła moją miłością wyrwać cię z rąk przeznaczenia.

— Nie kochasz mnie już? — wykrztusił.

— Lituję się tylko nad tobą, nieszczęsny... Moje serce nigdy nie będzie należało do innego, ale żoną twoją być nie mogę!

„Lipa“ wzruszony słowami córki zawołał uradowany:

— Ciesz się mnie to, że wreszcie przejrzałaś. Zlikwiduję moje interesy i wyjeżdżamy zagranicę.

Aniela dłuższą chwilę przyglądała się ojcu i odparła:

— Masz rację, ojcze, przejrzałam i właśnie dlatego jadę, ale bez ciebie.

„Lipa“ opadł bezwładnie na krzesło.

— Chcesz unieszczęśliwić starego ojca?

— Trudno. Ciebie ciągnie do świata podziemnego, a mnie do porządných ludzi.

— W obu tych światach nie brak podłości.

— To ty, ojcze, tak sądzisz. Dziękuję ci za to, żeś mnie wydał na świat w tak miłe środowisko.

Opuszczam twój dom. Nie mogę już więcej... — wybuchnęła głośnym płaczem.

„Lipa“ siedział blady, jak ściana. Dobrze znał córkę i wiedział, że gdy coś postanowi wykona. Podziwiał nieraz jej żelazną wolę w dążeniu do dobrego, która przemogła nawet jego skłonności w złym kierunku.

Żałował już w duchu, że namówił Janka do „roboty“ u hrabiny, by go w ten sposób „splawić“. Był pewien, że jest to „robotą“ niewykonalną i, że padnie ofiarą, jak inni „fachowcy“ przed nim. Nie miał ochoty rozstawać się z córką.

— Dziecko moje! — błagał. — Wiesz, czem jesteś dla mnie. Nie chcesz przecież, aby twój ojciec gnął na starość w więzieniu. Jeśli mnie opuścisz, nie mam już nic do stracenia. Zlituj się nad twoim nieszczęśliwym ojcem.

— Tak postanowiłam, ojcze.

Tu zwróciła się do Janka.

— A ty, uciekaj zagranicę. Nie życzę ci wpaść za kraty. O mnie zapomnij!

— Gdy ciebie stracę, mogę stracić i wolność, — odparł złamanym głosem. — Niech raz skończy się to piekielne życie. Dość już strachu i niepewności... Niech się dzieje wola Boska.

— Boga wzywasz, — uśmiechnęła się smutnie Aniela podając mu rękę na pożegnanie. — Do Niego zwrócić się nigdy nie jest zapóźno.

Janek pokrył jej ręce gorącymi pocałunkami, zrażając je łzami.

— Żegnaj, Anielo. Nie myśl źle o mnie. Zgrzeszyłem przeciwko całemu światu, ale tobie nigdybym nie uczynił nic złego, bo cię szczerze kocham. Żegnaj! Postaram się nigdy więcej nie wchodzić ci w drogę.

Zwrócił swe zapłakane oczy w stronę „Lipy“.

— Żegnaj, brachu, i przebacz. Gdybym był oj-

cem tak pięknej i uczciwej córki, za żadną cenę nie chciałbym „Klawego Janka“ za zięcia.

Rozplakał się szczerze, po raz pierwszy w życiu złodziejskim. Otarł łzy, jakby się wstydził chwili słabości. Prędkim krokiem skierował się ku drzwiom. Aniela instynktownie uczyniła gest, jakby chciała go zatrzymać. „Lipa“ wyciągnął prawą rękę, gotów do przytrzymania córki.

ROZDZIAŁ VI.

Ulica Nalewki wraz z przyległymi ulicami: Błękańską, Franciszkańską, Gęsią i Muranowską, — to centrum handlu stolicy.

Od wczesnego ranka do późnego wieczoru panuje ożywiony ruch i zgiełk uliczny.

Wszyscy śpieszą się, by nie stracić sekundy drogiego czasu. Kupcy z prowincji pragną wykorzystać jaknajlepiej pobyt w stolicy.

Starzy i młodzi gołeni i brodaci atakują się nawzajem „obrabiając“ różne interesy na chodniku.

Uczciwi kupcy i spekulanci, zawodowi podpisywacze weksli i dyskonterzy, kombinatorzy różnego typu, którzy żerują na naiwnych kupcach małomiasteczkowych. Wszystko to razem ugania się, by zabezpieczyć sobie chleb powszedni.

Tramwaje pędzą z hałasem, alarmując głośnie dzwonekami; wypluwają z siebie na przystankach co raz to nowe zastępy ludzi. Sprawiają wrażenie, jakby naukowo powiększały hałas na tym jarmarku ludzkim.

Śpieszą dorożki, podskakują na wybojach aut. Ciężko naładowane wozy wydają dźwięki zbliżone do jęków ludzkich.

Walka o byt występuje tu o wiele dobitniej niż gdzieindziej. Nie ma wojnego skrawka ulicy, któ-

regoby fala ludzka nie dosięgła. Przechodnie, steryzowani tłokiem naturalnym i sztucznym wysypują się na jezdnię.

Domy po obu stronach ulicy obwieszane są i oblepione reklamami różnego rodzaju. Każda cegła domu reklamuje swoją zawartość. Nawet okna i drzwi nie są pozbawione krzykliwych reklam i zwracają uwagę przechodnia.

Na parterach domów — sklepy, na piętrach olbrzymie magazyny, naładowane towarami pod sam dach. W podwórkach również sklepy. Piwnice sięgają tu za dodatkowe składownice.

Nie brak też fabryk, warsztatów, kantorów, restauracyj i hoteli. Nie zapomniano też o domach modlitwy, miejscach ukojenia dla zboliałych dusz, gdzie można znaleźć pociechę Jehowy.

Wśród tej ciżby ludzkiej grasują różne typy świata przestępczego. Wiedzą z doświadczenia, że gdzie nie brak pieniędzy i rzeczy wartościowych, tam i oni mogą się obłowić. Wiedzą z praktyki, że tylko w tłoku mogą działać bezkarnie. Przyjezdnych, których dziś okradną, jutro tu nie będzie, a na ich miejsce przybędą inne frajery.

Małe złodziejaski, tak zwane „koniki“, „potokarze“ i „doliniarze“ czują się tutaj, jak ryby w wodzie. Prowincjonalny frajer jakby sam wskazywał kieszeń, gdzie ma ukryte pieniądze, jakby sam zwałbiał tę zgraję, macając się co chwila po schowku.

Prowincją jest wygodniejszym obiektem zainteresowania dla złodziejów niż warszawskie „cwaniaki“, które już znają dobrze tricki złodziejskie.

Całe bandy operują tu na różne sposoby. Każda „branża“ według swojego najnowszego systemu. Stają się wypróbować wynalazki na najmniej uświadomionych frajerach z prowincji.

Nie brak tu i policji. Niepostrzeżenie obserwują

tę ciżbę i wylapują znane sobie „twarze“. Mimo to jednak nie ma dnia, by nie znalazło się kilka ofiar talentu specjalistów, którzy zawsze potrafią zmylić czujne oko policjanta.

Jeden z większych sklepów manufaktury na Na lewkach był tego dnia przepełniony kupcami z prowincji. Każdy z klientów przygotowywał się do sezonu wiosennego, przywożąc ze sobą znaczne sumy pieniędzy.

Subiekci obsługiwali klientów, pracując wzorowo. Różne gatunki towaru w rozmaitych odcieniach leżały rozłożone na olbrzymich dębowych stołach, przemawiając do kieszeni kupujących. Stosy pieniędzy i weksli przewędrowały z kieszeni kupujących do kasy firmy.

W oczy rzucał się pewien starszy jegomość. Wciąż zamawiał i rozkazywał, zwracając na siebie zazdrosne oczy mniej zamożnych kupców.

Przebiegał w najdroższych towarach i prędko decydował się na kupno. Subiekci skakali wokół niego na „łapkach“. Nie targował się wcale o cenę, prosił tylko, aby liczono mu nie drogo, płaci bowiem za wszystko gotówką.

Szef firmy zaprosił, aby się przysiadł do niego i jął go wypytywać o zdrowie rodziny, podsuwając z respektem rachunek na wielką sumę.

Kupiec przejrzał pobieżnie rachunek i zadowolony sięgnął prawą ręką po pieniądze. Porozpinał kilka kapot grzebiąc nerwowo ręką dłuższą chwilę za pazucha. Nagle zdrowa jego i czerstwa twarz pobladała, a głośny jęk wydobył się z jego ust:

— Moje pieniądze!...

— Co się stało? — krzyknął zaskoczony szef firmy.

— Okradli mnie! — wykrztusił i osunął się zemdlny na podłogę.

Został otoczony przez obecnych, którzy pośpiesznie się obmacywali na wpeł przestraszeni.

— Wody! — wołał ktoś.

— Po doktora! — krzyczał drugi.

Powiększył się hałas, gdy jeden ze subiektów zawołał na głos:

— Sztuka drogiego jedwabiu zginęła.

— Złodziej musi tu być! — krzyczał brodaty kupiec:

— Pozamykać drzwi! — rozkazał szef.

Okradziony kupiec znów uprzytomnił sobie, co zaszło i powtórzył rozpaczliwie:

— Mój cały majątek! — po czym znów zemdłał.

— I mnie okradli! — krzyknął piskliwym głosem drugi kupiec. — Jestem zgubiony.

— I mnie! — zawołał trzeci.

Szef sciskał nerwowo słuchawkę i telefonował po policję. Rozkazał też, by nikogo nie wpuszczać, ani wypuszczać z interesu, póki nie przybędzie policja.

— Tu na podłodze leży jedwab! — krzyknął jeden z kupców.

— Złodziej podrzucił! — dodał drugi.

— Jest między nami! — alarmował subiekt.

— Szukałem przed tym i nie było.

— Kim może być, ten złodziej? — zapytywali się jeden drugiego, mierząc się na wzajem podejrzliwymi spojrzzeniami.

Żaden z obecnych nie wyglądał jednak na złodzieja, przeważnie byli to ludzie o przyzwyczajonych twarzach.

Przybyła policja. Komisarz, jeszcze na progu będąc, zapytał, kto jest właścicielem firmy.

Szef firmy spokojnie wyłożył w krótkich słowach, co zaszło.

Teraz komisarz zwrócił się do okradzionych, wypytując dokładnie o szczegóły, dotyczące kradzieży, otrzymywał jednak nic nie mówiące odpowiedzi.

— Dużo pieniędzy zginęło? — zapytał.

— Przeszło pięć tysięcy rubli, — odparł pierwszy.

— Niczego sobie, — mruknął pod nosem komisarz i zwrócił się do drugiego:

— A panu ile?

— Wszystko, panie komisarzu. Zrujłowali mnie złodzieje.

— Mnie skradziono weksle, panie komisarzu, — wwrzucił z zadowoleniem trzeci okradziony. — Do pieniędzy się na szczęście nie dobrali.

Komisarz oglądał kieszenie, fachowo podcięte żyłką.

— Tak! Jedna ręka „reperowała“ wszystkie trzy kieszenie. — zowotał komisarz głosem rzeczoznawcy. — Proszę mi powiedzieć, czy jesteście pewni, panowie, że przychodząc do sklepu, mieliście jeszcze portfele przy sobie?

— Tak! — odparli wszyscy naraz.

— Czy nie zauważyłście obcych ludzi, wywołujących ścisk wśród was?

— Jeden Bóg to wie, — odparł jeden z kupców.

Komisarz uśmiechnął się zagadkowo, zwracając się następnie do szefa firmy.

— Czy pan może mi powiedzieć, którego z tych kupców zna pan osobiście?

— Owszem, wielu z nich znam.

— Proszę mi ich wskazać.

Szef wraz z subiektami wysortowali starych klientów, którym komisarz kazał ustawić się po jednej stronie. Pozostałe pięć osób, których zikt nie znał, kazał policjantom odprowadzić do komisariatu.

Daremnie protestowali zatrzymani, tłumacząc, że są uczciwymi kupcami. Komisarz grzecznie wyjaśnił, że spełnia tylko swój obowiązek.

Dwaj policjanci odprowadzili aresztowanych,

przetrzymanyh do czasu wyświehlenia sprawy. Komisarz pozostał jeszcze w interesie wypytujuąc o najdrobniejsze okoliczności, towarzyszące kradzieży, po czym poprosił poszkodowanych, aby stawili się w komisariacie, w celu spisania protokołu. Obrzucił jeszcze wzrokiem subiektów i wraz ze starszym przodownikiem opuścił sklep.

— Wołkow, jakiego zdania jesteś o tym wszystkim, — zapytał komisarz pomocnika, — czy aresztowani są winni?

— Uważam, że nie — odparł Wołkow. — Złodziej zdążył się usunąć w porę. To robota „fachowca“, a taki nie czekał na pewno, aż się polapią i „zakatrupią“.

— I ja tak myślę, przytaknął komisarz. — Ostatnio mamy do czynienia z tajemniczymi wypadkami, kradzieżami i mordami. Od wczoraj oka jeszcze nie zmrużyłem. Musimy się wziąć do intensywnej pracy. Wczoraj ograbiono jubilera. Banda dysponuje już wielkimi sumami. Hrabina, jubiler, dzisiejsza kradzież. Kto wie, jaki kawał mogą jutro komu wyrządzić? Najgorzej schwytać przestępcę - kapitalistę, — roześmiał się komisarz.

— Słusznie, panie komisarzu, — przybąknął służalczo Wołkow.

Komisarz ciągnął dalej w zamyśleniu:

— Jestem zaproszony do hrabiny. Warto byłoby bliżej zapoznać się z jej osobą. Ona mi się też nie zupełnie podoba.

— Tak jest, panie komisarzu.

— W ostatnich czasach, — mówił dalej komisarz — namnożyło się w Warszawie podejrzaney arystokracji. Diabli wiedzą, kto im nadał te różne hrabiowskie tytuły. Byle szarlatan każe się mianować tytułem arystokratycznym.

— Racja, panie komisarzu, — przytaknął Wołkow z uszanowaniem.

Dłuższą chwilę kroczyli jeden obok drugiego, każdy zajęty myślami. Wołkow był dumny, że komisarz Żarski pyta o jego zdanie.

— Powiedz no, Wołkow, — zwolnił kroku komisarz, — kto twoim zdaniem, mógł zamordować stójkowego?

Wołkow uśmiechnął się i odparł prędko:

— Uważam, że zatrzymany złodziej zastrzelił go.

— Prawdopodobnie, — odparł komisarz w zamysleniu. — Więc twoim zdaniem, złodziej zabrał karabin. Czy tak?

— Naturalnie, że tak.

— Więc po co strzelał z damskiego rewolweru, mając do dyspozycji karabin?

— Złodziejski trick, panie komisarzu.

— O, nie, to wszystko pachnie zagadką.

— Najlepszym dowodem, że tak jest, — ciągnął dalej Wołkow zdecydowanym głosem, — że policjant został zastrzelony z rewolweru, pochodzącego z kasy hrabiny.

— Wszystkie te dowody dają mi jednak dużo do myślenia.

— Pan komisarz lubi zawsze wszystko dokładnie przemyśleć, — pochlebił Wołkow, — złodzieje nie darmo nazywają pana filozofem.

— Co za filozof ze mnie, — roześmiał się komisarz, — skoro do dziś dnia nie mam całej bandy pod kluczem. Jak uważasz, Wołkow, czy policjanci porozstawiani na rogach ulic, blisko zaułka, gdzie dokonany został mord, słyszeli strzały?

— Zapewne.

— Dlaczego nikt o tym nie zameldował?

— Myślę, że żaden nie chciał być wmieszany w tę całą afere. Jeżeli nawet który słyszał strzały, to też przemilczał całą historię.

— Masz rację. Ja także tak myślałem.

Wołkow, uradowany, że komisarz wysłuchuje jego wywodów, zawołał śmielej:

— Sam znalazłem się krytycznej nocy blisko tej dzielnicy. Strzałów, pochodzących z damskiego rewolweru nie słyszać było jednak tak daleko.

Komisarz nie wyrzekł już ani słowa. Zatopiony w myślach szedł wraz z Wołkowem wąską uliczką do „ssyskowno oddelenia“.

Wołkow rozmyślał teraz nie mniej, niż komisarz. Jego myśli były skierowane w przeciwnym kierunku. Zerkał ukradkiem na komisarza, pragnął widzieć, aby zazwyczaj małomówny komisarz zapoczątkowaną rozmowę prowadził dalej; nie śmiał jednak pierwszy odezwać się.

Przy samym wejściu do wydziału śledczego, komisarz przystanął.

— Słuchaj, Wołkow, — położył mu przy tym prawą rękę przyjaźnie na ramieniu, — chcesz awansować?

— Ktoby tego nie chciał, panie komisarzu, — zasalutował Wołkow.

Komisarz wyciągnął zegarek i wyrzucił:

— Dziś o ósmej wieczorem zameldujesz się u mnie. Mam z tobą coś poufnego do omówienia.

— Rozkaz, panie komisarzu! — wyprężył się Wołkow, a serce nieomal nie wyskoczyło mu ze strachu i radości zarazem.

ROZDZIAŁ VII

Wydział śledczy był przepelniony ludźmi. Wrzało tam „jak w ulu. Areszt był naszpikowany świeżym zapasem aresztowanych z obławy, dokonanej na „lepszych“ ulicach Warszawy. Nie leniwiono się nawet zaglądać do pierwszorzędných lokali. Połów tym razem był jeszcze obfitszy, niż poprzednio

Nie brakło między aresztowanymi asów świata podziemnego Warszawy. Panowie i panie ubrane elegancko, ale nie krzykliwe. Brylantowe kolczyki i pierścienie błyskały kokieteryjnie w przyćmionym po koju. Złote zegarki i drogie papierośnice coraz to migały w elegancko utrzymanych palcach. Palili pa pierosy dla spędzenia czasu i półszepsem rozmawiali ze sobą.

Stali stłoczeni jeden przy drugim i wesoło dowcipkowali z damulkami. Zawierali nowe znajomości. Wypytywali się o znajomych i przeklinali na swój sposób cały porządek społeczny, który wymyślił wie zienia i policję.

Drzwi otworzyły się szeroko. Komisarz Żarski w otoczeniu podwładnych przestąpił energicznie próg. Iu strując z góry całe zbiorowisko. Eleganci kłaniali się z pobłażliwym uśmiechem. Komisarz jakby z czegoś niezadowolony, mruknął coś pod nosem i chciał zawrócić, gdy jeden z aresztowanych, wyrzucił:

— Panie komisarzu, co to ma znaczyć?

Komisarz zmierzył go od góry do dołu, przyglądając mu się z uwagą.

— Kogo ja tu widzę?... Doprawdy jesteście tu gościami u nas. Wróciliście jednak do kraju?

— Zateśkniałem za swoją ojczyznę, — odparł zagadnięty, szczerząc przy tym gębę pełną platynowych zębów.

— Jak tam udały się gościnne występy zagranicą, — uśmiechnął się komisarz. — Jak się domyślam, macie zamiar teraz u nas próbować szczęścia, co?

— Na razie odpoczywam, — odparł cynicznie. — Nie rozumiem, dlaczego mnie dzisiaj aresztowano.

— Dlatego, żebyś dłużej odpoczywał, — rozesmiał się komisarz. — W każdym bądź razie przydasz się nam. Już oddawna nie widzieliśmy twojej miłej

twarzyczki. Zmieniał się nie do poznania. Nie jesteś wcale podobny do tej fotografii, którą posiadamy. Wyglądasz elegancko, jakbyś odmłodził o dziesięć lat. Pozujesz, jak widzę na angielskiego gentlemana-włamywacza, — uśmiechnął się komisarz.

— Pan komisarz także odmłodził. Uważam, że najlepiej, abyśmy się wogóle nie spotykali. Po co wam mój „cyferblat“, panie komisarzu. Przyrzekam, że w Polsce nie będę pracował.

— Wierzę. Ale dla pewności odpoczniesz trochę u nas; jesteś mile widzianym gościem.

Wszyscy obecni wybuchnęli śmiechem. Kilku za gadnęło komisarza:

— A z nami co będzie, panie komisarzu?

— Nic takiego, moi panowie i panie. Tylko spokojnie... Poproszę każdego na małą pogawędkę i nic więcej...

Wołkow, który był obecny, szepnął coś komisarzowi do ucha.

Wszyscy zwrócili wzrok na młodą dziewczynę, która siedziała odosobniona w kącie, przyciśnięta do ściany, jakby chciała ująć uwagi obecnych. Komisarz zbliżył się do niej i przypatrywał się jej dłuższą chwilę z uwagą.

— Jak pani się nazywa?

Dziewczyna podniosła się ze swego miejsca i parą dużych, przenikliwych oczu ukłuła komisarza. Wielu aresztowanych spoglądało teraz ze zdziwieniem na młodą dziewczynę, jakby ją rozpoznawało.

Komisarz nie mógł oczu oderwać od tej niezwykle pięknej dziewczyny. Była młoda, przystojna, wyśmienicie smukła, cudownie zbudowana o inteligentnym wyrazie twarzy. Złote włosy i para przeźroczystych niebieskich oczu upiększały dumnie podniesioną głowę. Twarz tylko była za blada i jak gdyby bardzo cierpiąca, co nie specało tej klasycznej piękności.

Na jej widok komisarz zastanowił się:
— Gdzie i kiedy widziałem już te oczy?
Daremnie siłował się ze swoją pamięcią, nie
mógł jednak przypomnieć sobie tej twarzy.

— Skąd pani tutaj?

— Sama nie w.e.m., — odparła zawstydzona.

Żarski znów objął ją badawczym wzrokiem, po
czym zwrócił się do Wołkowa.

— Wszystkich znajomych wy badać. Resztę za-
rejestrować i zdjąć „pacyki“.

— Rozkaz, panie komisarzu.

Komisarz wykręcił się na pięcie i wyszedł z po-
koju.

Gdy drzwi zamknęły się, kilku z obecnych o-
toczyło dziewczynę.

— Aniela, gdzie cię aresztowano?

Aniela milczała.

— Mów. Tu wszyscy swoi, — zawołał ten, któ-
ry rozmawiał z komisarzem.

— Odejść! — zawołał inny. — „Skęły“ mega
jeszcze „sporutować“. Dla niej lepiej, aby nikt nie
wiedział, że my ją znamy.

Aniela siedziała w kącie, zakrywając sobie kół-
nierzem głowę, jakby nie chciała widzieć, gdzie się
znajduje i co się wokoło niej dzieje. Wyglądała na
zmęczoną i złamaną na duchu, wywołując współczu-
cie obecnych, którzy nieraz bawili się w lokalu jej
ojca.

— Panienska pozwoli! — otworzyły się nagle
drzwi.

Aniela stanęła przed komisarzem, który bardzo
grzecznie podsunął jej krzesło. Przyglądał jej się
znów z natężeniem, jakby chciał uświadomić sobie,
skąd zna te oczy. Wtem podskoczył na krzesło ura-
dowany.

— Hrabiny oczy.

Komisarz był zachwycony jej pięknoscia. Chetel badać, pytać, natęzył całego siebie, nie mógł jednak ust otworzyć. Dziewczyna wygladała tak uczciwie i niewinnie w jego oczach, że nie mógł się zdobyć na żadne podejrziwe pytanie.

Aniela siedziela na wprost komisarza. Oczy jej wyrażaly tyle cierpienia, że dopraszaly się same litości i pomocy. Serce srogiego komisarza stopnielo, jak wosk pod wpływem tych łagodnych rozbrajających oczu. Przelakł się samego siebie i swojej słabości, której czuł, że ulega. Podniósł się raptownie ze swojego fotela i stanął przy oknie. Po chwili zawołał:

— Panienska jest wolna!

Wyrzucił te słowa, nie patrząc wcale na Anielę, która podniosła się i ze wzruszeniem odparła:

— Dziękuję.

Opuściła dumnie wydział śledczy, odprowadzona pożądanymi spojrzzeniami obecnych na korytarzu po licjantów.

Komisarz żarski przesłuchał aresztowanych i kolejno zwolnił.

Mała ilość została zatrzymana za stare grzechy, a między nimi znalazł się również eleganc z platynowym zębami. Okazało się, że zdążył dokonać tylko siedmiu włamań.

Pięciu kupców aresztowanych na Nalewkach tak że szybko zwolniono. Byli to kupcy z prowincji, którzy nie mieli nawet najmniejszego pojęcia, co to jest „dolniarz“. Sami podziwiali taki „cud“ aby można było przeciąć komuś kieszeń, by ten wcale nie czuł.

Okradzionym kupcom nie spodobał się żaden z policyjnych albumów, gdzie są umieszczone fotografie „dolinarzy“. Musieli się zadowolić kilometrowymi protokółami, które spisano, Z ciężkim sercem i

próżnymi kieszeniami zmuszeni byli opuścić „ssysknoje oddelenie“.

Komisarz i tym razem nie był zachwycony rezultatem obławy. Co prawda policja pokazała, co potrafi. Najlepszych i najgroźniejszych kasiarzy „przycupnęła“ tej nocy. Komisarz był jednak przekonany, że nie ma wśród nich tego, który ograbił hrabinę i za mordował policjanta.

Zbyt długie lata praktyki miał za sobą, aby uwierzył, że zbrodniarz bawi jeszcze w Warszawie. Był niemal pewny, że cała banda znajduje się już daleko poza granicami Warszawy, a nawet i Polski. Tyłko przypadek,—myślał—może przyczynić się do wykrycia tych „cwanych“ zbrodniarzy.

Świeża kradzież dokonana na Nalewkach dała mu jednak do zrozumienia, że grasująca z powodzeniem banda „rozpruwaczy“ nie zadawała się okradaniem kas. Domyślał się, nie wiedząc zresztą dlaczego, czyja to robota. Nie wątpił wcale, że większe „roboty“ w ostatnich czasach zostały dokonane pod czujnym kierownictwem „Klawego Janka“.

— Wstyd... Hańba, — wyrzucał sobie, — aby opryszki tak długo hulały bezkarnie. Po co my tu jesteśmy w „ssysknom oddelenii“, kiedy pod nosem robią, co im się żywnie podoba.

Przypomniał sobie zaproszenie hrabiny i piękne o czy dziewczyny, którą przed chwilą zwolnił. Nie rozumiał, dlaczego łączy w myślach obie te kobiety. Wiedział dobrze, że nie brak ludzi podobnych do siebie. Hrabina, to wszak bogata kobieta, a dziewczyna zapewne pochodzi z proletariatu;—nasunęła się przypadkowo policjantom pod rękę, więc ją zaarrestowali. — rozmyślał w duchu.

Machnął ręką w powietrzu, jakby chciał od siebie odpędzić myśli, które uważał za niedorzeczne. Mi

mo woli, myślał dalej o tej dziewczynie, a jej smutna twarz ciągle ukazywała mu się w wyobraźni.

Rozpoczął wędrówkę po pokoju. Widział ją teraz tak wyraźnie, że w pewnej chwili rozejrzał się dokoła. Wydawało mu się, że jest ona tak blisko, że czuje miły zapach jej pięknych sfalowanych złotych włosów. Czuł że traci zmysły.

— Kto to jest? — myślał uparcie. — Każde jej poruszenie tchnęło tajemnicą. Tylko jednego był pewien, że nie należy ona do rzędu podejrzanych osób.

Przeciwnie, wyglądała w jego oczach tak anielsko, że dziwił się wprost, jak policjanci mogli ją zatrzymać.

— A może jestem zakochany, — uśmiechnął się gorzko. — Ty, stary idioto, — strosował siebie, — jeszcze tego zachciewa ci się na starość?..

Żałował już w duchu, że pośpieszył się z jej zwolnieniem. Nie pamiętał nawet jej nazwiska. Był zły na siebie, że nie wypytał ją o szczegóły jej życia, do czego miał zupełne prawo. A może, — zażyła mu niewyraźna myśl, — ta dziewczyna z niewinną twarzyczką była tylko wyrafinowaną kokotą, która doskonale zna sztukę udawania?

— Nie! Nigdy! — usprawiedliwiał ją przed sobą. — Intuicja mnie nigdy jeszcze nie zawiodła.

Uczepił się myśli, że tak uczciwy człowiek, jak Aniela, nigdy jeszcze nie przekroczył progu jego gabinetu. Przekonywał siebie, że dziewczyna ta była chodzącą enotą.

Filozoficzne, na wpół logiczne rozmyślenia komisarza przerwało dyskretne pukanie do drzwi. Zły, że mu przeszkodzono w tym momencie, a zarazem zadowolony, że zapomni na chwilę o obiekcie rozmyślań, zawołał:

— Proszę.

Drzwi szeroko się otworzyły, stanął w nich Wołkow i zameldował:

— Czekam na rozkazy, panie komisarzu!

Komisarz zmierzył go wzrokiem, jakby nie rozumiał po co się tu wdarł. Ogarnęła go złość i chęć spoliczkowania tej czerwonej, kacapskiej mordy, która jakby sama się o to napraszała. Nie mógłby wytłumaczyć, dlaczego rewirowy działa nań teraz tak odpychająco, jak nigdy przedtem.

— Czego sobie życzysz?

— Pan komisarz raczył mnie wezwać tutaj w ważnej sprawie, — odparł Wołkow trochę zbity z tropu.

— Ach tak! Proszę siadać.

Wołkow usiadł przy biurku. Skulił olbrzymią postać, chcąc wydać się jaknajskromniejszy. Świdrował małymi oczkami po rozrzuconych na obszeraym biurku papierach.

— Co słyhać Wołkow? — zagadnął go komisarz przybierając ton poufny.

— Będzie dobrze, panie komisarzu.

— Wierzę, — uśmiechnął się komisarz. — Skoro posiadamy takich zdolnych policjantów, jak Wołkow, musi być dobrze. Przyznam ci, że zauważyłem już dawno, że masz specjalne zdolności detektywistyczne. Teraz już najwyższy czas, abyś udowodnił, że się nie myle.

— Tak jest, panie komisarzu. Jestem zawsze do usług... Ostatnią kroplę krwiotótów jestem oddać za pana komisarza.

— Nie wymagam tego dla siebie, — przerwał mu komisarz. — Zrób to dla społeczeństwa, dla ojczyzny, — wyrzucił z naciskiem, patrząc mu prosto w oczy.

Wołkow zmieszał się trochę pod wpływem bystre go spojrzenia żarskiego. Przykra myśl przeszła mu przez głowę.

— Czego ten filozof chce ode mnie? Kto wie jakie nowe wariackie pomysły powstały w jego przebiegłej głowie o mojej osobie? .

Po chwili ciszy odparł nieśmiało:

— Nie spocznę, póki nie wykryję zbrodniarzy.

— To już zostaw dla mnie, — odparł komisarz ironicznie. — Masz spełniać to, co ci rozkażę.

— Rozkaz, panie komisarzu! — wyrzucił jednym tchem Wołkow.

— Siadaj, Wołkow, i słuchaj dobrze, co ci powiem. Sam ci przedstawię do awansu.

— Dziękuję panie komisarzu, już jestem gotów zabrać się do roboty.

— Wołkow. Zawezwałem cię tutaj, ponieważ nikt tak nie zna dobrze świata podziemnego Warszawy, jak ty. Wiem też, że znasz wszystkie meliny, restauracje, kryjówki i miejsca zabaw, gdzie zbiera się elita złodziejska. Pamiętaj, że szukać należy „Klawego Janka“ i jego współników. Jednego tylko nie mogę zrozumieć, — zniżył głos komisarz, — jak „Klawy Janek“ którego upodobania znam dobrze, mógł wykonać „mokrą robotę“?

— Wolał „mokrą robotę“ i zwiąć, niż więzienie, — zaryzykował Wołkow.

— Możliwe, — uśmiechnął się komisarz, — ale pamiętaj, że tym razem musimy być bardzo ostrożni. „Klawy Janek“ to cwany lis. Muszę go przychwycić, choćby dlatego, by się przekonać, czy on jest mordercą. Nie wątpię, że „obróbka“ kasy u hrabiny jest jego robotą. Została ona rozpruta nowym systemem który jest jego wynalazkiem. Ja także chcę zastosować w stosunku do niego nową metodę wykrywania przestępstw.

Wołkow patrzył zachwycony na Komisarza. Zda wałoby się, że zachwyca go każde słowo. W rzeczywistości był zbyt zarozumiały, aby się tym przejmować. Żarski podniósł się nerwowo. Wołkow instynktowo nie uczynił to samo.

— Chyba znasz dobrze ulicę Wilczą, dom numer X, w którym mieści się na piątym piętrze podejrzany lokal?

Wołkow dyskretnie uśmiechnął się.

— Znam.

— To gorzej, — nachmurzył się komisarz.

Wołkow zmieszał się, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— Zawsze wiecie o wszystkim. Czekacie, aby was pytano, a nigdy nie meldujecie w porę. Znam was do brze.

Wołkow przybladł trochę i odparł:

— Wiedziałem, panie komisarzu, że tam istnieje bogaty lokal. Byłem pewny, że przychodzą tam ludzie z towarzystwa, nie mający nic wspólnego ze światem podziemnym. Kilkakrotnie tam byłem, ale nie podejrzanego nie zauważyłem.

— Właściciel lokalu musi dobrze dbać o to, abyście nic nie spostrzegli. Bardzo bogaty lokal, co?

Wołkow zrozumiał, co komisarz ma na myśli. Ale nie zmieszał się, odparł tylko:

— Pan komisarz obraża mnie. Wołkow nigdy nie da się przekupić.

— Żartowałem, — odrzekł Żarski. — Gdybym wiedział, że można cię przekupić, nie wzywałbym cię do współpracy ze mną. Wiem że jesteś uczciwy, za uczciwy, — poklepał go przyjaźnie po ramieniu.

Wołkowowi przebiegły podejrzaną myślą.

— Naigrywa się ze mnie. Może podejrzewa o coś i bawi się mną, jak kot

Naprawdę zsumował w duchu grzechy i grzeszki, z powodu których nigdy nie doznał wyrzutów sumienia.

Komisarz Żarski obserwował uporczywie Wołkowa, który coraz bardziej zmieniał się na twarzy.

— Słuchaj, Wołkow. Czuję się dzisiaj trochę zmęczony i dlatego przystąpimy już do omówienia sprawy. Przez dwa dni masz obserwować gości wspomnianego lokalu, przy ulicy Wilczej. Należy to uczynić tak, aby inwigilowani nie spostrzegli się, że są szpiegowani. Dowiedz się, gdzie każdy z nich mieszka i czym się trudni. Jestem pewien, że właściciel lokalu także nie jest zupełnie w porządku. Nigdy nikogo nie atakuję, póki nie mam namacalnych dowodów w rękę.

— Tak jest, panie komisarzu!

Wołkow zanotował sobie coś w notesiku i zrobił krok naprzód, jakby się szykował do wyjścia. Komisarz położył mu rękę na ramieniu i rzekł:

— Nie śpiesz się. Zanotuj sobie dobrze w pamięci, co ci jeszcze powiem.

— Rozkaz.

— Było to przed dwoma tygodniami, — ciągnął dalej w zamyśleniu Żarski, — jak obciąłem spacerować właśnie na ulicę Wilczą. Zauważyłem między innymi dwóch eleganckich osobników, wychodzących z lokalu, o którym wspominałem. Chciałem lepiej im się przyjrzeć, padający jednak gęsto śnieg nie pozwolił mi na to, bowiem miał podniesione kołnierze i zsunięte kapelusze na oczy. Chciałem uchwycić choć jedno słówko z rozmowy, którą prowadzili, by się zorientować, co za jedni, lecz nie udało mi się. Później pod słuchiwałem, krocząc niepostrzeżenie za nimi i stwierdziłem, że rozmawiają o kobietach i wyzerce. Mówili po polsku z akcentem rosyjskim. Jeden był ładnie zbudowany i wywnioskowałem z jego męskiego głosu, że

naależy do ludzi energicznego pokroju. Miałem, co prawda, chęć ich obserwować, ale zainteresowałem się innym obiektem, który wydał mi się ciekawszy...

— Pamiętaj wobec tego, co masz uczynić. Zgłoś się za trzy dni i zdasz mi sprawę z obserwacji. Ufam ci, że misję spełnisz bez zarzutu.

— Postaram się, panie komisarzu! — uśmiechnął się Wołkow, pewny siebie i zdecydowany od czegoś zacząć...

Wołkow był osobliwym typem policjanta rosyjskiego; typem, którego świat podziemny nie znosi i przezywa pogardliwie „fetniakiem“.

Taki „fetniak“ nie pogardza łapówką, a z drugiej strony uchodzi przed władzą za wzorowego stróża bezpieczeństwa. Nie gardzi wspólnym kieliszkiem ze złodziejami, a przy pierwszej lepszej okazji nasyla drugiego „hinta“, aby zaarestował tych, od których brał łapówkę i z którymi razem się bawił. Takich policjantów nie brak było za czasów Rosji przedwojennej. Świat podziemny dobrze o tym wiedział i niechętnym okiem patrzył na takiego kompana.

Wołkow miał dużo znajomych w świecie podziemnym. Patrzył przez palce na czyny jednych, aby móc dowiedzieć się o wyczynach innych. Trzymał się zasady, aby i wilk był syty i owca cała.. U wyższej władzy był wzorowym policjantem, a w świecie podziemnym przyjaciелеm...

Silnie zbudowany o gładkim języczku i węchu policyjnym, zapewnił sobie powodzenie w szeregach policji. W krótkim czasie zaawansował na rewirowego.

— Nie tracił nadziei dalszego awansowania. Był ambitny i dążył do celu nie przebierając w środkach. Znał na wylot świat podziemny Warszawy, ale i ludzie tego świata jego znali.

Był to okres tuż przed wojną, kiedy świat podziemny przechodził w imperium rosyjskim okres pro

sperity; wzrastały szeregi kombinatorów, alfonsów i tnnych wyrzutków społeczeństwa. Wołkow od razu wy różnił się jako zdolny detektyw. Czuwał dniem i nocą, weszyl, zawierał „znajomości“; zaglądał do trzeciordernych restauracyj, hotelików, kawiarenek, herbaciarni i melin. Dbał zawsze o dobry wynik poszukiwań, przede wszystkim dbał o własną kieszeń, a później — o interes władz.

Zadowolony, że nadarza mu się okazja do działania na własną rękę, ukłonił się z respektem i opuścił gabinet naczelnika.

75

ROZDZIAŁ VIII

Szary, zimowy poranek. Chłopskie wozy i platformy wielkomięjskie, przeładowane towarami wlokły się ospale po moście Kierbedzia z Pragi do Waisza wy.

Wielkie miasto budzi się do codziennej pracy i walki o byt. Tramwaje, taksówki i dorożki miały się w pośpiechu, jakby chodziło o wygranie zakładu, kto pierwszy zdąży na miejsce przeznaczenia.

Człowiek ubrany w łachmany snuje się tam i z powrotem przy barierze mostu. Staje co chwila, spoglądając na Wisłę, która uparcie tkwiła jeszcze w swych zimowych leżach. Szuka, widać, wygodnego miejsca, gdzie najlepiej będzie mógł urzeczywistnić po stanowienie, by położyć kres niecnej wędrówce na ziemi.

Stójkowy zdążył go już zaobserwować. Zrozumiał, że ma do czynienia z desperatem.

— Czego tam zaglądacie, — zagadnął go. — Marsz stąd! Radzę wybrać lepszy sposób od skoku do Wisły. Woda za zimna jeszcze, — roześmiał się dobrodusnie.

Człowiek spojrział nawpół przytomnie, zawrócił,

79

nie odpowiadając słowem. Począł się pędkiem oddalać, co bardziej wzmocniło podejrzenie policjanta. Chciał już krzyknąć „stój“, kiedy nieznajomy wskoczył do przejeżdżającego tramwaju i znikł.

Na Krakowskim Przedmieściu przesiadł się do innego tramwaju. Na rogu Gęsiej i Smoczej wysiadł i pospiesznie wszedł do podwórka jednego z odrapanych domów.

Zatrzymał na chwilę wzrok na długiej, wąskiej posesji. Wszvstko wyglądało tu jak zamarte. Nie słychać było najmniejszego szmeru. Tylko firanki w oknach świadczyły o tym, że oficyny są zamieszkiwane przez ludzi. Po schodach dostał się na ciemny korytarz, obsadzony z obu stron wąskimi drzwiami pokojów pojedynczych. Nagle natknął się na rosłego osobnika, który zaświecił mu latarką elektryczną w oczy.

— Kto?

— Ja.

— Co za ja? Kogo szukasz, — zawołał podejrzliwym głosem, zastępując mu drogę.

— Szukam tego, który jest mi potrzebny, — odparł człowiek pewny siebie, odpychając przeszkodę.

— Stój! — zawołał tamten ostrzegawczo. — Kim jesteś?

Człowiek wyrzucił jedno tylko słówko.

— „Rozpruwacz“.

Osobnik odskoczył momentalnie na bok i, przy świecając lampką, poprowadził przybyłego z respektem na czwarte piętro, pod strych.

Tutaj uderzył porozumiewawczo kilkakrotnie w drzwi, które natychmiast otworzyły się. Człowiek przekroczył próg i wrzekał to samo hasło.

— „Rozpruwacz“.

— „Radab“, — padła odpowiedź.

Mały pokój był wypchany ludźmi. Ciemno tu było, choć na ulicy już świeciło. Naftowa lampka rzu

cała słabe światło na bladą twarz wchodzącego. Obecni dopiero teraz zauważyli, jakiego mają gościa. Kilku z nich krzyknęło na głos:

— „Klawy Janek“!...

— Tak, — to ja, — odparł przybyły i zrobił krok naprzód.

Pokój był tak ciasny, że Janek już u wejścia natknął się na łóżko. Kilka złamanych krzeseł i wykrzywiona komoda uzupełniały umeblowanie. Pułap czarny od dymu był tuż nad głową. Stęchłe powietrze nigdy nie wietrzonego pokoju było wprost nie do zniesienia.

Kilkanaście osób różnego wieku i rozmaicie ubranych stało wokół połamanego, żelaznego łóżka, na którym leżał owinięty w brudną kołdrę garbatego staruszka. Czerwony nos i kwadratowa tusa głowa upstrzona na kilkoma sterczącymi siwymi włosami, tworzyły iscie komiczną postać.

Twarz żółta, jak pergamin, była tak ściągnięta, tak pełna zmarszczek, że czyniła go więcej podobnym do mumii, niż do żywego człowieka. Małe, hipnotyzujące oczki świdrowały „Klawego Janka“ przez dłuższą chwilę, po czym starcza twarz skrzywiła się, co oznaczało uśmiech, pokazując przy tym jedyne dwa zgnięte, czarne zęby.

— Kogo widzę?—syknął przez zęby!—Wszystkiego się spodziewałem, ale ciebie, Janku, tu u mnie — nigdy.

Garbus wyrzucił tę parę słów ze zdziwieniem. Język miał jeszcze dość ruchliwy, choć ciało było już nawpół sparaliżowane.

— Chodź bliżej, brachu. Siadaj, o tu, na łóżku. Musiało zająć coś ważnego, że zdecydowałeś się znowu do nas zawitać. Wiem... Wszystko wiem, — kiwał współczująco głową.

Janek zbliżył się i nie bez obrzydzenia usiadł na brzegu łóżka.

Stary to zauważył.

— Co?... Brzydzisz się mego legowiska... Jak do czekasz się, brachu mojego wieku i przejdiesz tyle kolejek w życiu, co ja, to kto wie, czy nie będziesz gorzej wyglądał.

Starzec zamyślił się i po chwili ciągnął dalej:

— Dla siebie już dawno umarłem, brachu. Tylko dla was dzieci żyję i wegetuję na tym marnym świecie. Tak, tylko dla was... Nie istnieje już dawny „Herszele Rozpruwacz“, przed którym drżeli kapitaliści i bankierzy. Teraz jedynym moim celem jest opieka nad członkami naszego zgromadzenia. Pragnę i dążyć do tego jak głosi nasz program, aby każdy z was nawrócił się. Bóg nie odpycha największego nawet grzesznika od siebie. Każdy z nas musi pamiętać: „Le piej później, niż nigdy“...

Obecni słuchali uważnie. Garbusek urniał zajęte resować pupilów proroczymi wywodami. W mig zrozumiał dlaczego Janek rzuca niepewne spojrzenia wo koło siebie i zawołał:

— Same swoje „rozpruwacze“ brachu. Przygotujcie ich do nowego życia. Forsy mają dość i najwyższy czas „bastować“. „Kapusiów“ między nami nie znajdziesz. Każdego pouczam, że grunt złożyć losy w rękę Boga.

Janek machnął lekceważąco ręką.

Garbusek wyprostował się na barłogu i groźnie zawołał:

— Łajdak jesteś! Należysz do zakonu „Rozpruwaczów“ i przeszło rok czasu nie przychodzisz. U naszego brata grunt, to wiara! Słyszysz, wiara!...

— Głupstwa. Mam z tobą stary, coś ważnego do omówienia.

— Nie chcę cię znać. Nie wart jesteś tego, by być naszym członkiem. Wykreślę...

— Słuchaj! Jak widzę, zidiocjałeś już do reszty. Powołujesz się stale na Boga. Jesteśmy przecież złodziejami i robimy wszystko naprzekór temu, co Bóg przykazał.

— Precz stąd!... Zginiesz marnie bez wiary. Kiedyś też byłem takim „cwaniakiem“, dziś jednak wierzę w istnienie Boga, który za grzechy karze, a dobre uczynki wynagradza. Każdy w życiu może zbłądzić, ale trzeba być człowiekiem. Ten, co nie wierzy, nie jest człowiekiem. Właśnie ta wiara odróżnia nas od zwierząt.

Janek przyglądał mu się bacznie i uśmiechał zagadkowo. Herszele — Rozpruwacz kazał obecnym wynieść się z pokoju.

— Słuchaj, stary, przyszedłem po radę, a nie wy słuchiwać morałów.

— Jak przyszedłeś do mnie, to musisz mnie słuchać.

— Należysz do naszego zakonu, czy nie?...

— Należę i potrzebuję teraz, jak nigdy twojej rady. Jest źle ze mną. Bardzo źle... Pragnę szczerze zerwać z dawnym życiem...

— Nawróć się, a przekonasz się, że lżej ci będzie żyć na świecie. Będiesz, jak nowonarodzony. Bóg ci pomoże.

Stary jeszcze bardziej się uniósł i zawołał:

— Trzeba wierzyć, a nie próbować.

— Dobra, dobra, — odparł już poważnie Janek, patrząc uważnie na Herszka, który szeptał coś nabożnie, robiąc przy tym różne grymasy. Janek chwycił strach zabobonny; bał się spojrzeć w oczy garbuska, które żarzyły się chorobliwym, tajemniczym blaskiem.

— Złe być złodziejem, co?.. — zagadnął go starszerek znienaacka.

— Żle! Bardzo źle!... Ratu!..

Herszele przyglądał mu się przez dłuższą chwilę i odezwał się po ojcowsku:

— Zbyt daleko zabrnąłeś, mój synu. Radziłem ci, wszak, abyś porzucił chleb złodziejski. Nie posłuchałeś mojej rady. Teraz, jak tkwisz już w błocie po szwję, przychodzisz tutaj. Wyznaj wszystko może znajdę wyjście z sytuacji.

— Jestem zgubiony, — wybuchnął Janek. — Nie widzę ratunku. Policja depta mi po piętach. Pozostało mi tylko — strzelić sobie kulę w łeb, albo pozwolić się „wchlaść“ i zaprowadzić za kratki, a może i na „dyndówkę“.

— Głupstwa pleciesz! Śmierć nigdy nie zmywa grzechów. Myślisz, że jak sobie życie odbierzesz, albo pójdziesz „kiwać“ za kratkami — wszystkie grzechy okupisz? Jaką korzyść da komu twoja śmierć, albo cierpienie?... Moim zdaniem winieneś teraz dokonać tyle dobrego, wiele złego już uczyniłeś w życiu. Tylko w ten sposób możesz naprawić błędy młodości. By dokonać tego, musisz jednakże być na wolności. W więzieniu będziesz tylko żywym trupem, który już nie może czynić ani źle, ani dobrze...

— Nie widzę dla siebie ratunku, nie widzę, — powtarzał Janek w rozpacz.

Stary uśmiechnął się pogardliwie i zagadnął.

— Słuchaj „Klawy“, czy czasem sukienka nie wlaźła ci w paradę?... Hm?... Wyglądasz mi na zakochanego.

Janek zawstydzony opuścił głowę.

— Zgadłem więc! — triumfował stary.

— Tak...

— Ha — ha — ha... Zakochany jesteś... Ty, „Kla

„Widz Janek” i miłość... — Zawsze uważałem cię za wielkiego grzesznika, ale nigdy za — głupca...

— Miłość uchodzi za głupstwo dla starych niedołęgów, — odparł Janek.

Stary roześmiał się na głos: Janek nie wiedział, co ma robić ze sobą; rozglądał się po pokoju, jakby chciał zwiać. Stary spostrzegł jego zamiary i rzekł już poważnie:

— Byłem i ja kiedyś młody. Kochałem i cierpiałem. Bo miłość, — to jeden wielki łańcuch cierpień. Nigdy jednak nie byłem tak złamany na duchu, jak ty. Nie narzekałem nawet wtedy, kiedy przestrelono mi kręgosłup i stałem się niedolężnym kaleką na całe życie. Bóg mnie skarał za moje grzechy, — mówiłem sobie. — Wybij sobie z głowy twoją głupią miłość. Mówię ci to z dobrego serca.

Janek doznawał różnych uczuć. Czuł się bardzo głupio, że on, młody, zdrowy mężczyzna, zwraca się o pomoc do schorzałego dziwaka. Zadrwił w duchu ze swego tchórzostwa.

Zerwał się z miejsca i zrobił krok ku drzwiom. Stary jakby wyczuł jego myśli i zawołał:

— Uciekasz? Nie wierzysz w skuteczność rad zidiociałego starca, za jakiego mnie uważasz? Ale, wiedz o tym, że siła fizyczna nie zawsze świadczy o hartie ducha.

Janek stał ze spuszczoną głową i, zawstydzony, odparł:

— Zwątpiłem już w siebie, zwątpiłem w Boga i ludzi. Nie mam zaufania do nikogo z mego otoczenia. Zły jestem na słońce i księżyc, które świecą mi w oczy. Mam wrażenie, że chcą mnie zdradzić i oddać w ręce policji.

— Jak widzę, stałeś się też i filozofem, Janku. —
namięchnął się stary — Tak, brachu. My, wykołaja-

cy, musimy patrzeć na życie ze strony filozoficznej. Inaczej, biada nam.

Dłuższą chwilę spoglądali na siebie, jakby jeden chciał wyczytać myśli drugiego. Stary pierwszy się odezwał.

— Zbytecznie narzekasz.. Dolary hrabiny mogą ci ułatwić życie. Teraz najwyższy czas „zabastować“.

— Niestety. Niech djabli porwą tego, co wymyślił forse. Gdyby nie pieniądz, nie byłoby na świecie „Klawych Janków“ i innych podobnych draniów. Pieniądze ma kto inny, nie ja..

— Nie rozumiem..

— Ja także nie, — odparł Janek, opowiadając przy tym o zajściach pamiętnej nocy.

Herszele kiwał niedowierzająco głową.

— Tobie żeby się to wydarzyło?... Teraz już rozumiem, dlaczego wspólnicy szukali ciebie w moim domu. Trudno brachu, w życiu wszystko bywa. Mnie przydarzyło się w Paryżu coś podobnego. Było to.. Zaraz, zaraz, — uderzył się prawą ręką w czoło. — O ile się nie mylę, miało to miejsce w 1897 roku. Złote czasy były wtedy dla naszych chłopaków. Nie było jeszcze takiej konkurencji, jak dziś..

Twarz Herszka zmieniła się nie do poznania. Bład uśmiešek zagrał na jego wynędzniałej twarzy, na wspomnienie dawnych lepszych czasów. Uśmiešek ten znikł jednak naraz, a jego twarz przybrała znów poprzedni, surowy wygląd escetyczny.

— Strata pieniędzy, uważam, nie powinna cię martwić, — dodał.

— Stratą wcale się nie martwię, — odparł dumnie Janek. „Frajerom“ nie brak forsy. Boli mnie to, że na moje konto zamordowany został policjant.

— Tak, tak, — zamyślił się stary. — Najgorzej jest, kiedy się ma ludzką krew na sumieniu... Brz..

Dużo nabroiłem w swoim podłym życiu, ale „mokrą robotą“ brzydziłem się. A ty, Janku?

Janek machnął ręką, spluwając ze wstrętem raz po raz na podłogę.

— Poradź lepiej, co robić. Policja przesładuje mnie. Wspólnicy także. Nigdy przecież nie uwierzą, że zgubiłem forszę. Nadomiar złego, jestem zakochany...

— To jest najgorsze. Wszędzie kobiety. Przekonany jestem, że gdyby nie kobiety i forsa nie byłoby przestępstw na świecie, — zdecydował staruszek. — Ach, te kobiety...

Pogroził niewidzialnym wrogom wychudłymi palcami w powietrzu. Obrazy przeszłości przesunęły mu się przed oczami. Trząśnięcie na wspomnienie minionych lat i zawodów w życiu, doznanych przez kobietę. Janek również myślał o Anieli, ale w jakże odmienny sposób.

— No, co radzisz? — zerwał się jak ze snu. — Zwariuje chyba.

— Słuchaj, Janek, — staruszek poprawił się na barłogu, — odpowiedz mi na trzy pytania, które ci zadam a po tym zdecyduję, co masz robić.

Głos kaleki był silny i energiczny w przeciwieństwie do jego wyglądu chorobliwego. Barczysty Janek wyglądał teraz, jak najstarsze stworzenie, zdane na łaskę innych.

— Pierwsze i najważniejsze, co muszę wiedzieć, — pytał garbus, świdrując go oczami, — czy dysponujesz większą sumą pieniędzy? Po drugie, czy myślisz tym razem szczerze wypełnić zobowiązania względem zakonu i więcej nie kraść? Po trzecie, co to za kobieta, którą pokochałeś?

— Forsy mam bardzo nie wiele, ale posiadam kilkadziesiąt karatów „blitwodów“, które można spieniężyć. Przyznam się też, że teraz „zabastować“ na go

jego nie mam wielkiej ochoty. Po jaką cholere ryzykowałem tyle lat i cierpiałem, żeby teraz „zabastować“ bez forsy. Uważam, że muszę się teraz postarać o dużo pieniędzy. Z forszą będzie mi łatwiej unikać sidła, które policja nastawiła na mnie. Chcę być na wolności, a do tego potrzebna jest forsa. Muszę mieć co wsunąć w łapę i dysponować „lewymi grypsami“ za które trzeba drogo płacić. Muszę być elegancko ubrany, i mieszkać wśród takich ludzi, żeby policja nie „sporutowała“ kim jestem. Pewny jestem że posiadając pieniądze, nie będę „kiwał“. Biada mi, jeżeli będę goły. Raz — dwa i „wtrynią“ mnie za krakę... Kobieta, którą pokochałem, jest córką złodzieja, — zakończył Janek spowiedz.

— Aha... rozumiem. Złodziej nie chce złodzieja za zięcia. Po złodziejsku tak właśnie być powinno. Ja także nie zgodziłbym się na coś podobnego. Czy można wiedzieć jak się nazywa jej ojciec?

— Owszem, Stasiak „Lipa“.

— Stasiak „Lipa“? Nie mylisz się? Czy to ten, który mieszkał w Odessie?

— Tak, ten sam. Mieszka obecnie w Warszawie i ma urodziwą córkę, Anielę.

— Jak pragniesz wolności: powiedziałeś prawdę?

— Tak. Na honor złodziejski, że to prawda.

— Ty draniu... — irytował się stary. — Córkę złodzieja ci się zachciewa?! Mało ludzi unieszczęśliwiłeś, chcesz swego pogrzyźć w nieszczęście?! Znam dobrze Staśka „Lipę“. Jego trzeba szanować... Możesz zapomnieć o jego córce. Zapewniam cię, że jego zięciem nie będziesz. Trafiła kosa na kamień, mój brachu..

Janek nie spodziewał się sprzeciwu z tej strony. Ba, wierzył raczej, że stary się wstawi za niego u „Lipy“, aby ten zgodził się na małżeństwo z Anielą. Stary tak się rozżłościł, że przez dłuższą chwilę nie

mógł słowa wymówić i mierzył go tylko pogardliwym wzrokiem.

— Ja także jestem ojcem! — wołał — Wychowałem w ten sposób córkę że nie wiedziała, kim jest jej ojciec. Wyszła w Paryżu za inżyniera, a sama jest doktorem filozofii. Tak złodziej powinien wychowywać swoje potomstwo. Słyszysz, łajdaku jeden!...

— Słyszę, słyszę — obraził się Janek. — Nie przyszedłem po moralę, a po radę.

— Idź na złamannie karku! — krzyczał coraz głośniejszy. — zdechniesz złodziejem!... Jazda z mego domu!

„Kławy Janek“ nie wiedział, co robić ze sobą. Spodziewał się innych wskazówek na swoją korzyść, a tu zastał zgorzkniałego starca, który prawi mu moralę i zabrania nawet kochać córkę złodzieja.

Chciał wyśmiać jego poglądy i skreślić go z listy „Rozpruwaczy“, których ten stary idiota, jak go nazwał teraz w duchu, był przewodniczącym. Ale magnetyczne spojrzenie starca przykuwało go do miejsca.

— Nie wiem, czemu się tak unosisz, nie rozumiem twojego gniewu.

— Jak mam się nie gniewać, kiedy przychodzisz po radę i opowiadasz o nowych przestępstwach, których masz zamiar dokonać, by zdobyć dużo forsy. Według statutu naszej organizacji, której poświęciłem resztki sił w życiu, udzielam rad tylko tym, którzy szczerze chcą się nawrócić. Członek może mieć tygiące przestępstw na sumieniu, — nie obchodzi mnie to wcale. Gardzę tylko tymi, którzy chodzą na „mokrą robotę“. Wyznaj mi zaraz, zamordowałeś policjanta?

— Przysięgam więc na grób mojej matki, którą kochałem, że nie zabiłem.

Herszele odetchnął, jakby mu stukilowy ciężar zdjęto z garbu i uspokojony, zawołał stanowczo.

— Więc słuchaj, Janek! Moja rada jest taka: Masz natychmiast spieniężyć rzeczy wartościowe, które pochodzą z kraźwieży, albo zostały nabyte za kraźdzone pieniądze. Połowę tej sumy oddasz dla biednych rodzin więźniów, co gniją po więzieniach, a za resztę pieniędzy postaram się o „lewy gryps“ zagraniczny. W obcym kraju znajdziesz uczciwą pracę. Po zostały pieniądze zapewnią ci przez jakiś czas egzystencję. Masz jakiś fach w ręku?

— Tak, — uśmiechnął się Janek.

— Nie o ten „fach“ chodzi, — odparł stary również z uśmiezkiem. — Uczciwy fach mam na myśli.

— W cywilu... jestem damskim krawcem. Moi rodzice byli właścicielami „domu mód“ w Odessie i tam się tego fachu nauczyłem.

Stary podrapał się zakłopotany w głowę i odparł:

— Niezły fach. Ale najgorsze, że trzeba mieć do czynienia z kobietami. Tacy goście, jak ty, powinni się trzymać jak najdalej od tego szkodliwego rodzaju ludzkiego. Ten fach, nie dla ciebie, brachu.

— Innego frajerskiego fachu nie znam.

— Zostaniesz kupcem. Mogłeś być złodziejem, po trafisz być kupcem...

— I to wszystko, — ironizował Janek.

— Nie wszystko, brachu, — odparł, nie zważając na urągliwy uśmiezek Janka. — Musisz sobie wybić z głowy córkę „Lipy“. Ja ci to rozkazuję!.. Nie brak córek frajerskich, albo prostytutek, co chętnie zabawią się z tobą. Po co unieszczęśliwiać uczciwą córkę złodzieja?

Janek wybuchnął głośnym śmiechem i zawołał cynicznie:

— Stary idioto! Gwiżdżę na twój związek i twoje orzekonania. Aniela musi być moją!

Zanim stary zorientował się, co zaszło, Janek trzasnął drzwiami i wyszedł.

„Herszele—Rozpruwacz“ został sam w pokoju. Słuchać było tylko miarowe tykanie starego zegara i ciężkie westchnienie chorego gospodarza. Zmęczony był przydługą rozmową z „Klawym Jankiem“.

Plakał teraz ze złości, że nie może dopędzić łobu za i spoliczkować.

— Taki cham śmiał mnie obrazić, — myślał. — Niech tylko przwidzą moi ludzie... Wytoczę mu „dintojrę“... Nauczę go, jak trzeba szanować „rebe“ z Złodziejskiej córki mu się zachciewa...

Kipiał ze złości, rzucając się konwulsyjnie na barłogu. Zsunął się nawet z łóżka, by zapukać do drzwi na wiernego „sługę“, tego samego, który wprowadził nieokiełznanego Janka.

Ambicja jednak nie pozwoliła mu poniżyć się w oczach sługi. Złodziejski „rebe“ znał dobrze psychologię zwolenników i wiedział, że gdy dowiedzą się, że został wyśmiany przez „Klawego Janka“, zmniejszy to autorytet w ich oczach. Wiedział, że zwolennicy szanują „Klawego Janka“, może nie mniej niż jego samego. Uważają go nawet za ewentualnego „następcę“.

„HERSZELE — ROZPRUWACZ“

Herszele był dobrze znany „ludziom nocy“ całego świata pod przezwiskiem „Rozpruwacza“. Oryginalne przezwisko zawdzięczał znajomości „fachu“, w którym po prostu dokonywał cudów. Był niekoronowanym królem kasiarzy..

Bardzo charakterystyczne były okoliczności, które wprowadziły go do świata podziemnego. Przeżył wiel

ką tragedję w życiu, zanim stał się wykolejencem, a wreszcie nawróconym pokutnikiem.

Urodzony w małym miasteczku, nad Donem, jako dziecko zamożnych inteligentnych rodziców, już za młodu wykazywał wielkie zdolności w matematyce. Rodzice umieli wykorzystać zamiłowanie dziecka i kształcili go w tym kierunku. W dziesiątym roku życia budował skomplikowane zabawki dzieciinne. Wykazał już wtedy wielki spryt i zacięcie konstruktor-skie.

Skończył gimnazjum ze złotym medalem, po czym wstąpił na politechnikę, a po jej ukończeniu na uniwersytet. Otrzymał dyplom inżyniera mechanicznego i doktora filozofii.

Stał u progu wielkiej kariery naukowej. Los jednak płatał mu jedną niespodziankę po drugiej.

Wkrótce po otrzymaniu obu dyplomów zmarł mu ojciec. Matka, która nie mogła przeboleć tego ciosu poszła wkrótce w ślady ojca.

Herszele ukończył wówczas trzydziesty rok życia. Był jedynakiem i odziedziczył po rodzicach okazały majątek. Przystąpił do spółki akcjonariuszy zarządzających wielką fabryką mas ogniotrwałych i innych przeszkód dla złodziei. Został też wkrótce naczelnym dyrektorem towarzystwa akcyjnego. Zakochał się w jednej z zatrudnionych w tej fabryce dziewcząt. Nic nie stało mu na przeszkodzie i nie potrzebował nikogo pytać o zezwolenie na poślubienie wybranki swego serca. Dziewczyna, też sierota, zapewniała go o swojej gorącej miłości. Piślubił ją i czuł się szczęśliwy.

Szczęście małżeńskie spotęgowało się z chwilą, gdy żona urodziła mu piękną córeczkę. Był dumny, że dziecko jest udane, choć sam nie zaliczał się do „przystojniaków“.

Wkrótce jednak przekonał się, że szczęście jego

w małżeństwie było iluzoryczne. W jego życiu nastąpił przewrót.

Był to piękny wieczór majowy. Elegancka willa na Krymie, którą zamieszkał, tonęła poprostu w zieleni i kwiatach. Zmęczony nadmiarem pracy w fabryce wstąpił przed wejściem do domu do ogrodu by zaczerpnąć świeżego powietrza. Usiadł na jednej z ławek, zatopiony w nowych planach, dotyczących wynalazku udoskonalonej kasy. W pewnej chwili głośne pocałunki odbiły się o jego uszy.

— Pewnie nasza Sońka flirtuje z naszym kozakiem — pomyślał.

Kilka kroków zaledwie dzieliło go od wejścia do domu, kiedy stanął nagle, jak wryty. Wśród zarosli spostrzegł sylwetkę żony, która biegła do tylnej werandy.

W pierwszej chwili podejrzane myśli przebiegły mu przez głowę. Po chwili zastanowienia wyśmiał samego siebie, dochodząc do wniosku, że uległ halucynacji. Był pewien, że myśląc o Marusi wywołał jej zjawę. Mógłby nawet przysiąc że jest niewinna.

Gdy wszedł do domu i zastał żonę w pokoju dziecięcym, przy córce, poczuł się tak szczęśliwy, że obyspał ją pocałunkami. Doznał poprostu wyrzutów sumienia, że mógł posądzać żonę o zdradę. Nazajutrz przyniósł jej w prezencie brylant jakby tym chciał wynagrodzić krzywdę, którą mimowoli jej wyrządził.

Głęboko jednak, gdzieś w duszy czaiła się od tego pamiętnego wieczoru pewna nieufność. Unikał często żony i wstydził spojrzeć się jej w oczy. Dziwne myśli prześladowały go. Zmienił się nie do poznania, schudł i zaniedbywał interesy. Żona wydawała się już nie ta sama. W nocy zrywał się często ze snu i kontrolował, czy jest obecna w domu. Poczł ją też ukradkiem szpiegować.

Wyrzucał sobie nieraz, dlaczego ją szpieguje, kiedy nie ma żadnych poszlak w rękę. Myśl, że owe pocałunki pochodziły ze słodkich ust jego Marusi, doprowadzała go do szaleństwa. Robak zazdrości toczył go tym silniej, gdy dowiedział się od służącej, że to nie ona była wtedy w ogrodzie.

Nie przeznaczone mu było zbyt długo się łudzić. Pewnego dnia ujrzał to, czego się obawiał. Został uderzony, jak obuchem w głowę.

Zdarzyło się pewnego razu, kiedy po obiedzie szedł do fabryki, by pracować, jak zwykle, do późnej nocy, że poczuł się nagle niedobrze i zawrócił do domu.

W drzwiach natknął się na biegnącą służącą, która udawała, że go nie widzi i pędziła do dalszych pokojów.

Krew uderzyła mu do głowy. Zrozumiał, że coś jest nie w porządku. Popędził za służącą i zatrzymał się przy drzwiach wiodących do pokoju żony, które zatrzęsnęły się przed jego nosem. Począł się gwałtownie dobijać.

Dopiero po dłuższej chwili żona otworzyła mu drzwi ze słodkim uśmiechem na ustach i zagadnęła zdziwiona:

— Skąd się tu wzięłeś mój drogi?... Myślałam, że jesteś w fabryce...

— Kto tu... u ciebie? — krzyknął zirytowany.

— Co to ma znaczyć? — odparła niewinnie. —

Nie poznaję cię wcale.

— Zaraz mnie poznasz, — odparł i brutalnie odsunawszy żonę, wpadł jak bomba do sypialnego pokoju. Oczywiście natknęły się na otwarte okno: na parapecie stały w nieładzie rozsunięte wazonny.

— Kto wyskoczył oknem, — zawołał.

— Nikt, — wykrztusiła i wybuchła spazmatycznym płaczem.

Trzasnął drzwiami i wpadł do kuchni. Nie wiedząc, co robi chwycił służącą za gardło.

— Mów mi zaraz, kto był u pani?.. Tyś ich ostrzegła. Gadaj, bo cię uduszę...

— Puść pan!.. Puść!.. Wszystko powiem!

Puścił służącą oddychając ciężko. Ciemno mu się zrobiło w oczach, że musiał oprzeć się o ścianę.

— Kozak był u pani. — wyrzuciła służąca iro nicznie.

— Co?... Wasil?... Mów!..

— Tak. Kozak Wasil, co zawsze przychodził.

— Aie do kogo?..

— Do mnie nie!... — zadrwiła służąca.

Wiedział już wszystko... Krew uderzyła mu do głowy. Nie wiedząc, sam co robi, wpadł do gabinetu, a stamtąd do pokoju wiarołomnej żony...

Dwa strzały, jeden za drugim przerwały jej szlochanie. Kariera jego była skończona.

—O—

Pięć lat katongi zapoznało go z różnymi przestępcami. Po opuszczeniu więzienia, pełen nienawiści do świata i ludzi, przystąpił do szajki. Jako inżynier-konstruktor kas ogniotrwałych łatwo wyróżnił się jako „specjalista“. Stał się głośnym „rozpruwaczem“ przed którym świat finansowy drżał.

Wyższe wykształcenie i znajomość języków obcych dopomogły mu dostać się tam, gdzie jego kole-dzy nigdyby wstępu nie mieli. Złoto płynęło ze wszystkich stron na jego konta w zagranicznych bankach.

Omijał tylko kobiety i nigdy nie przebywał w ich otoczeniu. Był zawsze gotów pomóc biednym. Większą część zarobków wydawał na utrzymanie dzieci, których rodzice przebywali w więzieniach.

Jedyną córeczkę wychowywał w pierwszorzędnym internacie w Paryżu.. Dbał o nią za pośrednic-

twem swego adwokata, aby nie zbywało jej na niczym. Córka nigdy nie dowiedziała się, jaka tragedia rozegrała się między rodzicami, pozostało też dla niej tajemnicą wykolejenie ojca.

Równie prędko, jak został przestępcą, opamiętał się i chciał zawrócić z błędnej drogi. Powrotna droga okazała się jednak bardziej oporna, niż mu się wydawało.

Płynęły lata, a staczał się coraz niżej i niżej. Krytyczny moment nastąpił w 1908 roku.

Po odsiedzeniu dwuletniej kary, udał się wraz ze współnikami na „pewną“ robotę do Berlina.

Policja otoczyła bank, który miał zostać ograbiony. Policja przestrelała mu podczas pościgu kręgosłup i tylko dzięki wiernym współnikom został przy życiu. Na plecach, ryzykując życiem unieśli go ze sobą i oddali pod opiekę słynnego chirurga. Niedołężnym kaleką pozostał już na zawsze.

Doktór, pod którego opieką odbył kurację, zainteresował się jego przeszłością. Leczył nie tylko jego ciało ale i duszę.

Czas spędzał godzinami przy jego łóżku. Prowadzili ze sobą długie, filozoficzne rozmowy. Za jego namową „Herszele“ postanowił rozpocząć nowe życie.

Po wyjściu ze szpitala, złamany fizycznie i moralnie, zakomunikował swoim kolegom, że kategorycznie zrywa raz na zawsze z tym wszystkim, co pachnie zjmem i krzywdą bliźniego.

Towarzysze daremnie próbowali go przekonać, że nie warto... Szkoda było im rozstać się z takim „remiechą“, jakim był Herszele. Proponowali mu równą „dole“ z łupu aby wydawał tylko rozkazy i uczył „fachu“, nie biorąc osobiście żadnego udziału w „robotach“. Pozostał jednak nieubłagany.

Pierwszą rzeczą, której dokonał na drodze ucz

ciwej, była sprzedaż biżuterii i kosztowności swoich i rozdzielenie pieniędzy wśród ubogich. Sobie zostawił najgorszy garnitur i trochę tylko gotówki, tyle akurat, aby wystarczyło urządzić się w ciasnym pokoiku na Smoczej ulicy w Warszawie.

Świat podziemny ogłosił go „świętym”. Ze wszystkich stron zwracano się do niego z prośbami o poradę. Nie jednego odwrócił mądrymi wywodami od złego.

Największe asy świata występku szanowały go i z respektem wymawiały jego imię. Nie przyjmował żadnego wsparcia od byłych kolegów, utrzymywał się wyłącznie z pieniędzy, które otrzymywał od córki z Paryża.

Największą przyjemnością dla niego było wygłaszanie morałów. Kiedy był sam, czytał książki naukowe w kilku językach, których miał kilka skrzyń pod łóżkiem.

Pisywał dla biednych prośby do władz, szczególnie dla żon aresztowanych. Nie jeden raz prośba taka odnosiła pożądany rezultat. Ministerstwo, prokuratury i sędziowie głowili się nieraz nad tym, kto jest autorem tych przemawiających do serca prośb. Którym nie można odmówić.

Siedział teraz „Herszele - Rozpruwacz” na barłogu i dumiał nad swoim upadkiem. Bolała go obraza, której doznał przed chwilą od „Klawego Janka”. Złość zmieniła się powoli w litość do tego zdrowego zakochanego mężczyzny, który może błędzi tak samo, jak on kiedyś, będąc w jego wieku.

Jak przez mgłę widział teraz siebie, jako dziecko przy rodzicach: widział uczelnię, na których studiował, fabrykę, gdzie pracował, piękną willę wśród kwiatów i pamiętny wieczór, kiedy wbiegł do pokoju żony z rewolwerem w rękę. Lata katongi i poniżenia:

różne typy przestępców. Nad tym wszystkim górowała postać urodziwego kozaka.

„Herszele - Rozpruwacz“ naciąga brudny koc na głowę, jakby chciał zastonić się przed koszmarem. Daremny wysiłek. Zjawy stają się jeszcze wyrazistsze i zimny pot spływa mu z rozgorączkowanego czoła.

Siada raptownie na łóżku, rozglądając się po brudnym pokoju. Wyrzuty sumienia występują, jak gdyby morderstwa żony dokonał dopiero wczoraj...

— Jak ja, który byłem zawsze rozsądny i logicznie myślący, — wyrzucał sobie, — mogłem popełnić takie głupstwo?... Dlaczego nie zrozumiałem odrazu, że ta piękna kobieta nie mogła pokochać na prawdę takiej karykatury, jaką ja byłem. Dlaczego nie zastanowiłem się nad tym, że zaimponowałem biednej dziewczynie raczej bogactwem i stanowiskiem, niż męskością...

Rzucał się na swoim barłogu i jęczał z bólu. Krzyczał, wyrzucając sobie na głos:

— Byłem wielkim egoistą... Chciałem biedną dziewczynę otumanić tytułem inżyniera. Biedna Marusia... — krzyczał — zamordowałem ciebie... Siebie unieszczęśliwiłem... Jaka głupia jest miłość.

Był tak zajęty myślami, że nie usłyszał jak drzwi się otworzyły.

— Tak... Tak... bardzo głupia miłość, — potwierdził wchodzący.

Stary Herszele zawstydził się gdy zauważył przybyłego. Zawołał:

— „Lioa“!...

— Tak, ten sam. Jak żyjesz, brachu?...

— Dzięki Bogu, nie źle. A ty?

Dłuższą chwilę spoglądali na siebie przyjaźnie, po czym „Lioa“ zawołał:

— Jak długo nie widzieliśmy y się już?

— O, już oddawna. Ale chodźno bliżej, siadaj na łóżku.

Znów zmierz yli się wzrokiem.

— Źle wyglą dasz. Gdyby nie twoje duże, czarne oczy, nie poznał bym cię, „Lipa“.

„Lipa“ usiadł i rozglą dał się po pokoju. Stary uśmiechną ł się smutno.

— Jak podoba ci się mój pałac?... Mieszka m, jak w raju. Patrz, nawet kraty kazałem wmu rować sobie w małe okienko.

— POCO ci to?

— Tak sobie. Z tego świata już nie chcę korzy stać.

— Źle robisz jednak, że tak zaniedbujesz się. Wy glą dasz strasznie, przyjacielu.

— Dobrze mi tak, jak jest. Długo już i tak nie wytrzymam. „Zakituje“ lada dzień i chcę się przyzwy czać do grobu.

— Ten sam filozof z ciebie, co dawniej, — zauwa żył „Lipa“.

— Tak. Tylko w innym kieunku, przyjacielu.

„Lipa“ pokiwał współczują co głową. Stary zau ważył to i zawołał:

— Tylko nie lituj się, proszę, nade mną. Żyje, jak chcę i nikomu nic do tego. Człowiek, który złego nie czynił, nie potrafi odróżnić dobrego od złego. Do bre uczynki może spełniać tylko taki człowiek, który w pierw czynił źle. Ja dwojako już próbowałem, dlate go jestem zadowolony z mojego losu i nie narzekam.

— To ci dobrze, jeżeli tak się zapatrujesz na ży cie.

— A tobie źle?

— Bardzo źle... — odparł smutno Lipa.

Stary przytakną ł głową i rzekł:

— Słyszałem... „Kławy Janek“ chce cię uhono rować i zostać twoim zięciem. Wszystkiemu sam jesteś

winiem, stary grzeszniku. Najwyższy czas, abyś zupeł-
nie zerwał z dawnym życiem. Po co ci ten kabaret.
Nie rozumiem, dlaczego utrzymujesz jeszcze kontakt?

— A ty? — uśmiechnął się „Lipa“. Też nie mo-
żesz całkowicie zerwać z tym życiem.

— Ja? — krzyknął stary. — Muszę życie zakoń-
czyć między tymi ludźmi. Moim zdaniem, są to naj-
nieszczęśliwsi z nieszczęśliwych. Kto będzie im służył
radą w dobrym kierunku, jak nie stary Herszek.
Nasz chłopak nigdy nie będzie miał tyle zaufania do
frajera, by szczerze wyznać wszystko, co mu dolega.
Ale ty, to co innego. Sam niby to nie grzeszysz, a
czerpiesz zyski z grzechów innych.

„Lipa“ zawstydzony opuścił głowę.

— Masz rację stary przyjacielu. Przyszedłem po
radę. Chcę teraz zakończyć swoją karierę. Dość mam
tego.

— Dobra, dobra. Bardzo mnie to cieszy, — zachę-
cał stary, prostując się na swoim barłogu.

— Poradź, przyjacielu, co robić. Policja, zdaje
się, wpadła już na mój trop; może już zdemasko-
wała moją „lipę“. Córka uciekła ode mnie... Jednym
słowem, nieszczęścia zwały się na mnie ze wszyst-
kich stron naraz.

— Co, uciekła? Z „Klawym“? — zerwał się stary
z posłania.

— A skąd ty wiesz o tym?

— Janek był przed chwilą u mnie.

— U ciebie? Po co?

— Jest przecież „Rozpruwaczem“, jak i ty.

— Tego łobuza też przyjąłeś do zakonu? Ja wy-
stępuję.

— On już jest skreślony z listy członków. Trze-
ba wyrwać twoją córkę z jego łap.

— Jesteś w błędzie, brachu. Moja córka nie ucie-

Kła z „Klawym“. Wstydził się już własnego ojca, opuściła mnie z własnej woli.

Stary uspokojony pokiwał głową i odezwał się z zadowoleniem:

— Ładna córka! Życzę wszystkim złodziejom tak kie przyzwoite dzieci.

— Ale od własnego ojca uciekać! — krzyknął „Lipa“.

— Od takiego ojca, jak ty, to nie szkodzi.

— Zwariowałeś!

— Na razie, nie. Jak widzę, masz porządną córkę. Ręczę, że jeżeli nie zepsuła się w twoim ctozreniu to gdzie indziej na pewno się to nie stanie.

— Ale piękna i młoda dziewczyna osamntniona, bez opieki?

— Kto nie ma złych skłonności, nie potrzebuje opieki nad sobą, ale złemu i opieką nie pomoże.

— Jak tak rozumujesz, to się już nie dogadamy. — obraził się „Lipa“.

— Porozumiemy się, brachu — nie jest jeszcze tak źle. Moja rada jest taka: zmykaj z Warszawy, póki czas, a córka — jak zobaczy, że zerwałeś z tym światem — sama wróci do ciebie.

— Już kilka dni upłynęło, jak jej nie ma. Oszałeję chyba. Bez niej życie nie przedstawia dla mnie żadnej wartości.

— Forsy dużo miała ze sobą?

— Właśnie o to chodzi, że nie miała ani grosza. Nie rozumiem, jak można sobie poradzić, nie mając wcale gotówki.

— Uczciwi ludzie nigdy nie mają forsę, a jednak żyją. — odparł Herszek.

— Dowiedziałem się nawet poufną drogą, że została aresztowana podczas oblawy i co mnie najbardziej dziwi, została natychmiast zwolniona.

— Bardzo proste. Nie zareklamowała się, jako twoja córka, więc ją zaraz puścili.

— Obawiam się, żeby nie popełniła samobójstwa, — zawołał zrozpaczony Stasiek.

— Głupstwo. Obawiasz się raczej, żeby nie wpadła w szpony „Klawego“.

— Do tego na pewno nie dojdzie. „Klawy“ wygłupił się swoją spowiedzią przed nią. Ona teraz czuje do niego prędeż wstręt, niż jakieś uczucie.

Stary „rebe“ roześmiał się i odparł:

— Oj, „Lipa“ — i ty to mówisz. Małą nauczkę dała ci twoja własna żona.. Moim zdaniem, kobieta im bardziej gardzi, tym bardziej trzeba się obawiać, żeby nie pokochała. Pamiętaj, że u nich od nienawiści do miłości i na odwrót — tylko jeden krok.

— Nie znasz mojej córki a po drugie sami współnicy go „ochłodzą“. „Klawego Janka“ najmniej się boje.

— Twady chłop z niego. Podziwiam jego energię. Daleko zajdzie, — jak nie na „dyndówkę“ to w każdym razie wysoko.

— Prędeż na to pierwsze, — zdecydował „Lipa“.

— Kto wie. On się zawsze potrafi wykręcić. „Rejecha“ z niego pierwszorzędny. Ty wiesz, on miał wyrok na 8 lat katorgi, a już po 3 miesiącach zwiął.

— W jaki sposób? — zainteresował się „Lipa“.

— Bardzo prosto. Piękny chłop jest z niego. Na czelnik wzięcia poszukiwał wśród aresztowanych damskiego krawca i trafił oczywiście na Janka. Uszył dla pani naezelnikowej kilka sukien, a nawet palto. Na czelnik rad, że wyelegantował mu tak żonę, wziął go za „dieńszyka“ do swego domu. Baba — jak to baba — tylko czekała na to. Sprawiała sobie coraz to nowe gałganki, aby tylko Janek brał miarę. Mierzył, dopasowywał.. tak długo — aż pewnego pięknego po

ranka małżonek nie zastał ani żony, ani „Klawego“.

— No i co dalej?... — zainteresował się „Lipa“.

— Nic. Włókł ją ze sobą przez dwa tygodnie i zo-
stał w podrzędnym hoteliku w Tomskiej gubernii
z „żywą pamiątką“... Cwany łobuz.

— Ale tym razem trafiła kosa na kamień. Nie
„skantuje“ córki Staśka „Lipy“.

— Kto wie? Nie wierzę w uczeiwość bab...

„Lipa“ słuchał cały czas uważnie, lecz w duchu
myślał: — Herszek już całkiem zbzikował. Już nie mo-
żna traktować go poważnie. Szkoda. Idąc do niego,
byłem pewien, że będzie z kim gadać, ale on już do
niczego. Prawi morały, jak prawdziwy „rebe“...

Pomacał się po kieszeniach. Stary zrozumiał o co
mu chodzi.

— Obrażasz mnie, Stasiak. Nic od nikogo nie
przyjmuję, nawet od takiego przyjaciela, jak ty. Naj-
lepszą nagrodą dla mnie będzie wypełnienie przez cie-
bie zobowiązania względem naszego zakonu i zerwa-
nie raz na zwsze z tym życiem.

„Lipa“ objął oczami nędzny pokój i ironiczny
grymas wykrzywił jego usta. Stary zauważył to i
rzekł:

— Nie lituj się nade mną. Jesteś ze swoim bogac-
stwem bardziej godny pożalowania, ode mnie. Nie
mam nic, nie potrzebuję nic. Byłbym zupełnie za-
bezpieczony. Rano dostaję szklanekę mleka z bułką,
obiad jadam wieczorem, ale bez mięsa; kolacja dla
mnie nie istnieje. Co pierwszego córka przysyła mi,
ile mi potrzeba, a od życia bardzo mało wymagam.
Jałmużny jeszcze „Herszele Rozpruwacz“ nie przy-
jął w swoim życiu i na pewno nie przyjmie, choćby
miał zdechnąć z głodu pod płotem.

„Lipa“ wyciągnął do niego rękę.

— Żegnam cię wobec tego.

— Już uciekasz? Nie chcesz ze mną „pokrakać“

o dawnych czasach. Kiedyś prędeż „zarabialiśmy” rubla, niż cesarz go wybił. Pamiętasz ten „kaber”, który razem rozpruliśmy w Moskwie?

— Owszem, pamiętam. To wszystko było dawniej.

— Tak, tak, dawniej, bardzo dawno... A czym jestem dziś? Żywym trupem. Ale wiesz co, „Lipa”, żałuję z całego serca, że zostałem przestępcą. Nie opłacało się...

— Jak dla kogo, — uśmiechnął się „Lipa”.

— Dla nikogo, — uniół się stary, przybierając karnodziejski ton. — Wszystko zło należy wykorzystać ze świata. Na pierwszy ogień trzeba wziąć tych, którzy dostali się na wysokie stanowiska społeczne i zmuszali innych do popełniania przestępstw.

— Kogo masz na myśli? — zawołał „Lipa”.

— Jeszcze się nie domyślasz? Wszystkich pasierbów, kapitaistów i fabrykantów. Oni są winni, że istnieją bezrobotni, złodzieje, przestępcy i więźnia. Kto, jak nie oni, fabrykują armaty, karabiny, bomby i gazy trujące? Kto wywołuje wojny i inne nieszczęścia? Kto szczerze jednych na drugich, by się mordowali nawzajem, podczas gdy oni opływają w rozkosze? — Wież mi, „Lipa”, gdyby nie ci wszyscy kombinatorzy, istny raj byłby na ziemi.

„Lipa”, widząc, że zanosi się na dłuższą rozmowę, wyciągnął rękę na pożegnanie.

— Bywaj zdrow, przyjacielu, muszę już iść.

Stary niechętnie podał mu wychudłą rękę; w oczach jego zabłyśły łzy.

— Idź z Bogiem. Tylko jedną prośbę mam do ciebie, przyjacielu: jak się spotkam na tamtym świecie, nie „przypucuj” się, że byłeś moim kolegą...

Roześmiał się z gorczyzą i dodał:

— A wiesz dlaczego, kochany brachu? Dlatego, że ci wszyscy, co na tym świecie uchodzą za wielkich

„chofraków“, tam będą tacy, jak ja dziś.

„Lipa“ przyglądał mu się przez dłuższą chwilę ze współzuciem, po czym jeszcze bardziej zlaniany na duchu, niż przed tym, opuścił pokój.

„KLAWY JANEK“

„Klawy Janek“ był sierotą. Gdyby nie przedwczesna śmierć matki, kto wie czy Janek nie zostałby po rządym i pożytecznym obywatelem. Młoda macocha, z którą ojciec się ożenił, była złą kobietą. W rok po ślubie wytransportowała na tamten świat zakochanego męża; nie zapomniała wpłynąć na niego, aby przed śmiercią, jej przepisał całą schedę.

Janek miał wówczas 14 lat. Czuła opieka macochy dała mu do zrozumienia, że życia nie będzie miał wysłanego kwiatami.

Cierpiał głód i nędzę. Nie dlatego, że macocha nie dbała o niego, przeciwnie wykazywała mu więcej uczucia i zainteresowania, niż ojciec. Młoda, niedoświadczona dusza chłopca nie była jeszcze na tyle zepsuta, aby zrozumieć, czego ona właściwie chce od niego...

Unikał jej pożądliwych spojrzeń. Czuł żal do niej, że pozbawiła go ojca. Jej przypisywał winę, że w czternastym roku życia został sierotą, oraz, że po tym musiał opuścić dom rodzinny.

Głód zmusił go do wyciągnięcia ręki do straganów, chłopskich wozów i sklepików. Zaawansował wkrótce, gdy nawiązał kontakt ze światem przestępczym. Koledzy poznali się na jego „zdolnościach“. Od waga i „szczęście“, które towarzyszyło mu w wyprawach, wysunęło go na czoło odesskiego świata podziemnego.

Kroczył coraz wyżej i wyżej. Mając 20 lat życia,

był już sławnym „rozpruwaczem“. „Branża“ poważnie go traktowała.

Męski, energiczny wygląd utorował mu dostęp do kobiet. Elegancki, uprzejmy w obejściu, nawiązywał łatwo znajomości z kobietami z towarzystwa. Zawsze znajdował odpowiedni moment, kiedy trafić do ich serca i biżuterii...

Był zawsze żywy, wesoły, pełen humoru i taktu. Lubił rzykować i nie spoglądał na „latarnię“. Był urodzonym graczem i traktował swój zawód jako sport. To właśnie było przyczyną, że przezwało go „Klawym Jankjem“.

Kobiety zmieniał, jak rękawiczki. Wiele z nich kochało go, ale on — żaźnej.

Były tylko dwie kobiety, które pozostawiły po sobie niezatarte wspomnienia. Okoliczności, które były związane z tymi romansami, przyczyniły się, by przypominał je sobie.

Jedną z tych kobiet była właśnie żoną naczelnika. Nie brzydka „sybiraczka“, której zawdzięczał wolność, dała mu odezwać w wiecznie nienasyconych ramionach gorsze więzienie, niż to z którego dopomogła mu uciec.

Z drugą kobietą zetknął się zupełnie przypadkowo. Poznanie to było tak romantyczne, że warto o tym wspomnieć.

Wypadek ten miał miejsce, kiedy pewnego razu musiał wiać z Belgii do Berlina. Był wówczas goły, jak święty turecki. To też nie mając innego wyjścia, postanowił jeszcze tej nocy zrobić „początek“. Wolał sam zaryzykować, niż zdać się na łaskę swoich niepewnych współników.

Wille, która mu wtedy wpadła w oko, postanowił za wszelką cenę „zrobić“ Cały jego majątek skła dał się z kilku precyzyjnych przyborów marnego „klawisznika“.

Przekonany, że „pana nie ma w domu“ przystąpił bez namysłu do dzieła. Rozpoczął już śmiałej badać obiekt swego zainteresowania.

Silny mróz popędzał go i naglił, by nie próżnował. „Łysy“ jakby na złość oświetlał wilgę i kłut promieniami prosto w twarz. Postanowił jednak dłużej nie czekać, aż go „łysy“ „zakapuje“. Zręcznym ruchem „skłuczył“ drzwi, prowadzące do długiego korytarza.

Chwila niepewności, po czym wsunął się śmiało po schodach na górę. Przydał się teraz księżyc, który wylał z kryjówki i oświetlił ciemny korytarz. Elektrycznej lampki, bez której „ludzie nocy“ nie mogą się obejść, nie miał tym razem do dyspozycji. Po omacku pchnął pierwsze drzwi, wiodące do jednego z pokojów.

Stał od razu jak wryty. Młoda dziewczyna siedziała w pozycji półleżącej na łóżku, czytając książkę. Wybałuszyła parę zdziwionych oczu i miękkim głosem rzekła:

— Pan się widać pomylił.

Janek momentalnie zorientował się w sytuacji.

— Owszem, pomyliłem się. Bardzo przepraszam, że przeszkodziłem; mieszkam w drugim pokoju.

Tym się sam zasypał: przez ścianę mieszkała koleżanka dziewczyny. Dom ten mieścił internat dla niezamożnych studentek.

Studentka odrzuciła książkę i skoczyła na równe nogi.

— Co pan za jeden?..

— Ja ja... — wybełkotał Janek, pokazując jej palcem usta, by milczała.

Dziewczyna stała przestraszona i zdziwiona zarazem. Jego przedziwne zachowanie się odniosło ten skutek, że pary z ust nie wypuściła. Janek wykorzystując ten moment, cofał się w tył. Pewny uśmie-

szek uwodźciciela igrał na jego ustach. Po chwili jednak zrobił krok naprzód by ująć śmiałą dziewczynę za rękę. Zdziwił się, gdy na jego odruch nie zareagowała.

— Kim pan jest?... Czego pan tu chce?... — szepnęła przerażona, patrząc mu prosto w oczy.

— Cicho, — szła... Jestem włamywaczem, zwyczajnym złodziejem moja piękna dziewczynko... Jednak nic złego pani nie uczynię. Już zmykam, tylko proszę nie krzyczeć!.. Błagam o to..

Słowa te wywarły niespodziewany dla niego skutek. Dziewczyna, nie tylko, że nie krzyczała, ale zaprosiła go, by siadł przykając drzwi na klucz.

Dłuższą chwilę przyglądali się sobie, po czym dziewczyna odważnie zawołała:

— Niestety, nie będzie pan mógł u mnie korzystać ze swego talentu. Nie ma poprostu, co kraść...—roześmiała się dobrodusznie.

Janek już pewniejszy siebie, widząc, że trafił na wyrozumiałą kobietę, odparł:

— Zabłądziłem tu przypadkowo. Już od dłuższego czasu mam pecha. Podziwiam odwagę pani. Inna na miejscu pani narobiłaby hałasu, by zwabić policję.

— Skąd ta pewność, że tego nie uczynię. Niech no pan spróbuje tylko źle się zachować, — uśmiechnęła się.

— Dla pięknych pań zawsze żywię uczucie szacunku, — odparł zuchwale.

— Bez komplementów, proszę. Nie udało się panu okraść mieszkania, próbuje pan szczęścia w innym kierunku.

— Niestety, mam już taki zwyczaj, — uśmiechnął się z łobuzerską. — Kiedy jestem w obcym mieszkaniu i nie udaje mi się czegoś zabrać, doznaję wrażeń, jakbym tam coś swego zostawił..

Dowcip tak się spodobał naiwnej studentce, że u-

stała swobodnie, zarzuciwszy nóżkę na nóżkę. Janek
nabrał odwagi i zaatakował ją z miejsca.

Dopiero nad ranem opuścił jej pokój..

Wkrótce po tym wypadku udało mu się ograbić
bank. Odrazu się odreperował i studentkę, która prze-
niosła się, za jego namową, z internatu do hotelu. u-
brał w drogie suknie i brylanty. Koledzy zazdrości-
li mu pięknej frajerki. Ich „ataki“ skierowane do
niej, okazały się bezskuteczne; zapewniała, że tylko
Janka kocha.

Nie długo jednak trwała sielanka zakochanych.
Janek powędrował do więzienia, a ekscentryczna stu-
dentka powędrowała do rak wiernych kolegów.. Nie
obeszło się przy tym bez bijatyk i „dintojry“

Zdecydowała się wreszcie pożegnać na zawsze
kochliwych towarzyszków Janka. Oddała się pod opie-
kę pięknego fordansera, którego poznała w jednym z
najwytworniejszych kabaretów Berlina.

Piękny berlińczyk okazał się handlarzem ży-
wym towarem: wytransportował ją do Buenos—Ai-
res...

Jankowi udało się i tym razem związać z więzie-
nia. Przede wszystkim przystąpił do odszukania ko-
chanki. Podążył za nią do Argentyny by wyrwać ją
z rąk bezczelnych alfonsów. Zastał ją w jednej
„kwadrze“ dokąd przybył w charakterze „gościa“.

Tego samego dnia dwaj rywale zetknęli się ze
sobą. Janek mszcząc się na uwodzicielu wbił mu nóż
pod samo żebro. Był też pewny, że odzyska teraz ko-
chankę i zabierze ze sobą do Europy.

Rozezarował się jednak. Nie tylko, że nie chciała
opuścić „kwadry“ gdzie „pracowała“ ale, nawet usiło-
wała go zdemaskować przed policją. Zabójstwo to
było jedyne w jego burzliwym życiu i sam nie uwa-
żał tego za „mokrą robotę“.

Świat argentyńskich alfonsów szukał zemsty

za zamordowanie kolegi. Jankowi jednak udało się
czynychnąć do Europy.

—O—

Kiedy Janek opuścił mieszkanie starego 'Hersze-
łe - Rozpruwacza', przemyślał każdy szczegół wspom-
nianego romansu ze studentką.

— Tamta też była studentką, jak i Aniela jed-
nak co ze mną zrobiła... Pojechałem na drugi koniec
świata aby ją ratować, a ona „wredna“ wyśmiała
mnie i chciała oddać w ręce policji.

— Oj, kobiety! Kobiety! — krzyknął Janek na
głos. — Może i stary „rebe“ ma rację kiedy nakazu-
je zwolennikom swoim omijać kobiety. Kto wie, czy
Aniela, o którą walczę, nie okaże się taką samą na-
iwną berlińską studentką.

Doznał jednak zaraz wyrzutów sumienia za to
porównanie.

— Nie... Nigdy! Aniela jest inna niż wszystkie
kobiety, które dotychczas znałem.

Ogarnęło go desperackie uczucie i popadał z każ-
dą chwilą w większą rozpacz. Chciał nawet podejść
do pierwszego lepszego napotkanego policjanta i wo-
łać:

— Jestem „Klawy Janek“. Zamordowałem polic-
janta... Mam setki innych przestępstw na sumieniu.
Bierzcie mnie i róbcie ze mną co się wam podoba...

Wariackie myśli opanowały go. Sunął bezwładnie
chodnikami ulic, nie mając odwagi urzeczywistnić
żadnej z myśli. Doznawał przykrego wrażenia, jakby
zapadł w koszmarny sen, z którego trudno się obu-
dzić.

Wszystko, jednak, co zaszło, było realne. smutne—
przykrą rzeczywistością.

Daremnie silił się wyrwać Anielkę ze swego ser-
ca. Zapragnął choć raz jeszcze ją ujrzeć.

Odrzucił jednak prędko tę myśl.

— Kому jestem potrzebny i kto się mną interesuje?... Jedynie more agenci z urzędu śledczego, chętnieby zainteresowali się moją nędzną osobą.

Gorytko uśmiechnął się.

Przeł jego oczami, przesuwwały się, jak na ekranie smażone w celach więziennych lata. Zdawało mu się, że słyszy wyraźnie dźwięki więziennych dzwonów, nawołujących do różnych czynności, związanych z bezdusznym życiem więźnia.

Zadrżał cały i chwycił się rękami za uszy, chcąc zagłuszyć te zniechęcające odgłosy. Nie mniej dokuczał mu zegar więzienny, wydzwaniający kwadranse, godziny i odmierzający małymi dawkami czas.

Nie znosił jego punktualności w długie zimowe godziny i jeszcze dłuższe piękne słoneczne lata. Nie nawiązywał mechanizmów, które każą więźniowi zaglądać w oczy rzeczywistości. Nieraz wyczekiwał uderzenia więziennego dzwonu, aby raczył dać sygnał na rozdanie „salamachy“ wygłodniałym żołądkom.

Panieżny strach przejął go do szpiku kości od tych przykrych myśli.

— Kto wie czy dziś, albo jutro nie będę zmuszony wściekać się pod opieką tych bezdusznych potworów.

— Nie! Nigdy! — odpowiedział sobie w duchu.

— Lepiej śmierć, niż powrót tam...

Kilku przechodniów zatrzymało się na chodniku, przyglądając mu się uważnie.

— Co panu jest? Dlaczego pan tak wykrzykuje?

— zagadnął go podejrzliwie starszy jegomość.

„Klawy Janek“ odrazu oprzytomniał. Rozejrzał się dokoła i zawołał:

— Zmykaj frajerze!.. Kur.. twoja...

Uczył duży krok naprzód. Starszy jegomość nie zdążył się jeszcze zorientować z kim właściwie ma honor, gdy Janek wskoczył do pędzącego tramwaju, pokazując mu język...

ROZDZIAŁ IX.

Także Antera błdziła całymi dniami ulicami i uliczkami. Nie zdawała sobie sprawy z tego, co się z nią dzieje.

Wyrzuty sumienia dokuczały wrażliwej duszy dziewczyny. Wyrzucała sobie, że źle postąpiła wobec ojca.

Miłości do „Klawego Janka“ także nie mogła zagłuszyć w sobie. Kiedy go pożegnała, była pewna że go zapomni, wyrwie ze swego serca, była jednak za uczciwa, aby mogła zapomnieć tego, którego pokochała. Należała do kobiet, które kochają raz w życiu. Właśnie z tego powodu więcej jeszcze cierpiała: bolało ją to, że swoją czystą miłością obdarzyła niegodziwego człowieka.

Postacie ojca i Janka ukazywały się jej raz po raz. Widziała rozpacz ojca i przygnębioną twarz Janka. Wyczuła swoim kobiecym instynktem, że Janek szalenie ją kocha.

Już wówczas, kiedy Janka pożegnała i uciekła z domu, pożałowała swego kroku.

Błąkając się alejami wiele przemyślała. Nie była zdecydowana jeszcze dokąd ma się udać; była atakowana przez różnych eleganckich panów. Poczula żal do tych panów, którzy napewno nie należeli do świata „Klawych Janków“. Wiedziała że mężczyźni ze świata podziemnego nie atakują z zasady nawet zawodowych prostytutek na ulicy.

Była bliska płaczu, kiedy w późnych godzinach wieczornych wstąpiła do pierwszorzędnej cukierni na szklankę herbaty. Oczy obecnych mężczyzn, jak na komendę, strzeliły w jej kierunku. Odważniejszy przysunął się nieznacznie do jej stolika i próbował różnymi sposobami nawiązać rozmowę.

Długo nie dali jej tam usiedzieć. Nie mogła znieść

tych zwierzęcych, zmysłowych oczu. Było już po północy, kiedy wyszła z lokalu i wpadła w oczy przechodzącego policjanta. Stróż bezpieczeństwa przekonał się, że z tą kobietą nic się nie da zrobić... zatrzymał i dołączył do aresztowanych z obławy.

Zwolniona przez komisarza Żarskiego, chciała wrócić do domu. Jednak nogi poniosły ją w innym kierunku. Szukała Janka. Błądziła po różnych melinach. Daremnie dopytywała się o ukochanego. Janek wpadł, niby kamień do wody.

Obawiała się zetknąć z ojcem. Wiedziała, że on ją poszukuje. Wstydziła się przed nim, że po tym wszystkim, co Janek jej wyznał, śmie go jeszcze poszukiwać.

Oszczędności, które bez wiedzy ojca posiadała, były na wyczerpaniu. Miała co prawda, na palcu brylantowy pierścionek — dar imieninowy od ojca. Żal jej było spieniężyć ten upominek.

Najwięcej cierpiała z powodu prześladowań mężczyzn. Świdrowali ją taksującymi spojrzeniami. Umizgali się do niej, jak oswojone psy, które poczuły tłusty ochlap. Nawet w pierwszorzędnym hotelu, gdzie zamieszkała, nie doznawała spokoju. Zaprasza li kolejno na kolację, spacer, na „pół czarnej“ do kina i teatru.

Poczuła niepoohamowany wstręt do tych wyfrakowanych mężczyzn. Podśluchiwała rozmowę portiera z jednym z najbardziej natrętnych wielbicieli

— Jak ja panu mecenasowi mówię, to murowane. Dziś w nocw dostarczę ją panu. Dobrze znam te samotne kobiety. One specjalnie lokują się w drogim hotelu. Wiedzą o istnieniu u nas „tłustych“ gości. Chca zarobić, panie mecenasie...

Krew uderzyła jej do głowy, słuchając, jak kupca jej osobą. Chciała otworzyć drzwi i napluć w nalaną twarz pana mecenasa i jego stręczyciela. Opa-

nowała się jednak, myśląc z goryczą, jak ludzie mogą uważać ją za taką..

Zadała sobie pytanie:

— Czy rzeczywiście na taką wyglądam?

Po raz pierwszy w życiu poczęła patrzeć innymi oczami na ludzi z lepszego świata, do których tak tęskniła.

W innych hotelach, gdzie nocowała, było jeszcze gorzej. Wszędzie widziano w niej piękną kobietę, a nigdzie pięknego człowieka. Dziwiła się, że wszędzie ją traktują, jak kobietę, która przyszła do hotelu, by zarobić...

Gdyby nie przejmujący chłód na ulicy, chętnieby przenocowała gdzieś w lesie, daleko od ludzi. Nie przyszło jej nawet na myśl, że tam dopiero mogliby się na nią rzucić różni erotomani, nie pytając wcale o jej zgodę.

Aniela, córka znanego złodzieja, była za uczciwa, by mogła wiedzieć, ile podłości i wstrętnych zasadzek czuła z każdego kąta na ładne kobiety, a do nich wszak ją zaliczano.

Krocząc Marszałkowską, zatopiona w rozmyśleniach, natknęła się przy przystanku tramwajowym na współników Janka.

Groźny Antek zrobił krok ku Anieli i zawołał:

— Wstyd! Porzucić własnego ojca i zmykać, diabli wiedzą po co i gdzie.. Ojciec biegnie, jak obłąkany po całej Warszawie za tobą!

Aniela udała, że nie słyszy i chciała oddalić się. Felek zastąpił jej drogę.

— Zlituj się nad ojcem! Wczoraj dostał ataku serca!

Aniela spuściła smutno oczy.

— Czemu milczysz? Mów, jedziesz z nami do domu, czy nie? — zawołał groźnie Antek.

— Ma rację, — dodał Felek. — Jazda, bierzemy dryndę i walimy do domu... Stary się ucieszy,

— Trafię i bez was, gdy zechcę.

— Nie! Musisz z nami jechać! I to już! Słyszysz!
— zagalopował się Antek, którego Felek nieznacznie pociągnął za ramię.

— Daj spokój... — szepnął.

Antek nie słuchał wcale i próbował ją przekonać.

— Masz już wrócić do domu... Jak nie...

Aniela wyprostowała się dumnie i odpowiedziała poważnie:

— Jakim prawem przemawiasz do mnie, łobu — zie, takim tonem? Nie znam pana...

— Słyszysz, Felek?

Felek odchrząknął, splunął w stronę i zdjawszy czapkę, ukłonił się.

— Bardzo panienkę przepraszam. Kolega jest zawsze pod gazem. Niech panienka ze mną pojedzie. „Jak pragnę wolności“, że stary się ucieszy..

Aniela nie słuchała już i wykręciła się bokiem.

— A ja mówię, że masz wrócić do domu! — krzyknął Antek, zastępując jej drogę.

— Odejdź pan, bo zawołam na policjanta!

— Co?... — ryknął Antek nie wierząc własnym uszom. — Ty to mówisz?!

— To, co pan słyszy — odparła Aniela. — Proszę odejść.

— Niedobrze mi się robi... — zawołał Antek. — Córka Staśka „Lipy“ grozi nam policjantem?!

— Nie robi tego — uspokoił go Felek.

— Więc panienka nie pojedzie do domu? — zniżył już ton Antek. — Ojciec na to nie zasłużył. Nie sypia po nocach. Interes zamknięty. Zagląda do bułki a wszvstko przez panienkę.

— Pewnie! — przytaknął Felek. — Niech panienka się namyśli!..

— Janka i tak diabli wzięli, — zawołał Antek —

Nawalił nam forse i zwał zagranicę. Nie ma za ktm się uganiać, moja panno.

Aniela zrobiła krok naprzód, nie wiedząc, jak postąpić. Wtem nadjechał tramwaj. Kilku pasażerów wysiadło, a inni zajęli ich miejsca. Oczy Anieli utkwiły w jednym punkcie. Prędkim krokiem wsiadła do tramwaju, który ruszył z miejsca. Antek i Felek wskoczyli za nią.

Tramwaj był wypchany pasażerami. Antek i Felek obserwowali Anielę, która ze swej strony stała, jakby wpatrzona w kogoś. Skamienieli ze zdziwienia, gdy ujrzeli przed sobą „Klawego Janka“, czytającego gazetę.

Oczy wszystkich czworga wreszcie zetknęły się. Antek przywitał oczami Anielę. Wspólnicy zmieszani i zadowoleni zarazem, że nareszcie przycupnęli go starali się nie stracić go z oka. Wiedzieli dobrze, że tu nie jest miejsce na porachunki.

Przy najbliższym przystanku pierwszy wysiadł Janek. Aniela zawahała się, jednak wysiadła ze współnikami, którzy podążyli pośpiesznie za Jankiem.

Janek zatrzymał się na rogu ulicy i oczekiwał na Anielę, która pierwsza wyciągnęła do niego rękę. Pocałował ją z uszanowaniem i dłuższą chwilę wzruszeni spoglądali na siebie milcząco. Tylko ich oczy przekomarzały się ze sobą.

Antek i Felek czuwali w odległości i nie śmieli przeszkodzić zakochanym. Nie mieli teraz odwagi przystąpić do herszta z pretensjami. Janek kroczył spokojnie obok Anieli i nie zwracał wcale uwagi na tropiących go kolegów.

— Czemu „nabzialesz“? — szturchnął Felek Antka. — Zatrzymaj go!..

— A ty się go boisz?

— Ja przecież na niego nie wyjadalem — odparł Felek, — Wiedziałem, że „Klawy“ nie nawali.

Antek spojrzał groźnie na Felka.

— Chcesz znowu dostać w nos?

Janek zauważył, jak współnicy kłócą się ze sobą: więc przystanął i zawołał:

— A wy, co się wleciecie za mną? Jeszcze żyję.

Obaj spojrzeli na siebie w milczeniu. Struchleli na widok bladej twarzy „prowidera“.

Janek głośno się roześmiał.

— Chodźcie-no bliżej.

Groźny Antek pierwszy z uszanowaniem wyciągnął rękę. Felek to samo uczynił.

— Mam z wami coś ważnego do pomówienia.

— Właśnie, — odparł nieśmiało Felek.

— Teraz idźcie do wielkiej cholery — zawołał Janek. — Gdzie chcecie się ze mną spotkać?

— A teraz nie można? — nabrał odwagi Antek.

— Załatwimy teraz — przysunął się bliżej Felek. — Szukamy cię już dość długo.

— Nie pali się — odparł Janek zdecydowanym głosem. — Dziś o dziewiątej wieczór, gdzie chcecie, abym się stawiał?

Wspólnicy zamienili ze sobą spojrzenia.

— Czy to prawda, co „Lipa“ nam powiedział o zgubie forsy?

— Teraz na ulicy nic nie powiem — odparł Janek dumnie. — Mam teraz do omówienia ważniejszą sprawę. — uśmiechnął się do Anieli, która udawała, że patrzy w wystawowe okno.

— Upałłeś się, to trudno — zawołał urażony Antek.

— Szkoła czasu! — zawołał Janek i zbliżył się do Anieli.

— Najlepiej będzie na Pradze — wołał za nim Antek. — Wiesz już u kogo...

— Dobra! — rzucił Janek nie obejrzawszy się

za sobą. Ujął delikatnie Aniela pod rękę i skreślił w boczną ulicę.

— Dokąd mnie prowadzisz? — przytuliła się do niego zawstydzona.

— Sam nie wiem, — uśmiechnął się Janek.

— Nie boisz się wałęsać ulicami?

— Naumyślnie to robiłem. Życie moje nie ma wartości bez ciebie. Jakby na złość policja mnie nie dostrzega.

Aniela spojrzała mu badawczo w oczy.

— A teraz także chcesz wpaść w ich ręce?

— O nie! Chciałbym tylko być tak niewinnym, jak ty jesteś, kochana.

Dłuższą chwilę kroczyli obok siebie w zamysle-
niu. Aniela przystanęła i zawołała smutnym głosem:

— Co masz zamiar zrobić ze sobą?

— Chodź, droga. uciekniemy w świat, gdzie oczy poniosą. Urządźmy się tam, gdzie nikt nie zna mojej przeszłości. Zapomnimy co było i rozpoczniemy nowe życie. Będziemy razem szczęśliwi... bardzo szczęśliwi...

Aniela spuściła głowę, a dwie wielkie łzy stoczyły się po jej przybladłych policzkach. Janek zauważył to i zrozpaczony wybuchnął:

— Nie płacz! Nie mogę znieść twoich łez. Rzucę się pod pierwszy lepszy tramwaj.

— Jakam nieszczęśliwa, — wybuchnęła Aniela płaczem, chwytając go za rękę.

— Ciszej. Ludzie patrzą na nas. Zapominasz, że znajdujemy się na ulicy.

Zatrzymał nadjeżdżającą taksówkę. Aniela zają-
rzała mu badawczo w oczy, kiedy niemal gwałtem wpełznął ją do taksówki.

Przytuliła się do niego w pełni zaufania, jak jesz-
cze nigdy. Wyczuła kobiecym instynktem, że prowo-

Kuje go; jednak za nadto go kochała, aby mogła się opanować.

— Tęskniłaś? — wyszeptał.

Aniela w odpowiedzi bardziej przytuliła się do niego i wyrzuciła jednym tchem:

— Sama nie wiedziałam, jak cię mocno Kocham. Kiedy cię pożegnałam, byłam pewna, że zerwałam z tobą na zawsze. Omyliłam się. Nie doznałam spokoju i szukałam cię wszędzie. Nawet we wstrętnych melinach Kocham cię... Jestem gotowa stanąć razem z tobą pod szubienicę — tkają.

Janek doznawał różnych uczuć, które wydusiły żył z jego stałowych oczu. Zapłakał po raz pierwszy w życiu. Litował się nad młodą dziewczyną i zrozumiał wreszcie, czemu ona jest dla niego.

— Pozwól się pocałować, Kochana.

Sama mu podsunęła policzek. Jednak nie mógł się opanować, by nie pocałować jej ust. Aniela odskoczyła zawstydzona.

Szofer, który zaobserwował to w lusterku, zrozumiał na co się zanosi, więc krzyknął na głos:

— Dokąd?

Janek podał nazwę hotelu i znów zamierzał ją całować. Aniela wzdrgnęła się na dźwięk słowa „hotel“ i odrazu oprzytomniała.

— Do hotelu nie pojedę!

— Uspokój się Kochana. Widzisz sama, że musimy gdzieś pomówić ze sobą bez świadków.

Aniela zatopiła przenikliwy wzrok w Janku, jak by chciała wyczytać jego zamiary.

Janek uchwycił jej myśli i odparł:

— Możesz mi w zupełności zaufać. Takim podłym „Janek Klawy“ nie jest.

Taksówka zatrzymała się przed wskazanym hotelem. Janek rzucił niedbale szoferowi banknot i wprowadził Anielę do swego pokoju.

— Zdejm płaszcz kochanie..

Wyciągnął rękę, jakby chciał Jej pomóc. Aniela cofnęła się w tył.

— Po co... Możemy i tak pomówić.

— Nie chcesz, to nie. Siadaj, proszę.

Aniela usiadła niepewna siebie. Twarz Jana nachmurzyła się. Przykre myśli przebiegły jego mózg:

— Teraz, kiedy z odzyskaniem Anieli wylaże się, że marzenia moje się spełniają, może wpaść lada chwila policja i położyć kres mojemu szczęściu. Za; ro wadzą tam, gdzie miłość i wszelka radość należą do przeszłości...

— Czemu nic nie mówisz? — zawołała Aniela bojaźliwie.

Obawiała się myśli Janka, które mogły być niekorzystne dla niej..

— Nie wart jestem twojej czystej miłości — wybuchnął nagle Janek, jakby chciał zagłuszyć przykre myśli. — Uważałem cię już za straconą dla mnie na zawsze. Jestem teraz najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem. Ty, Anielo, siedzisz teraz przy mnie. Zaklinam się na grób mojej matki, którą kochałem nad życie, że wolalbym gnąć za kratami niż być na wolności bez ciebie, bez twoich pięknych uśmiechów oczu. Ach, jak cię kocham, Anielo!... Jak wściekły pies szukałem twoich śladów...

Wyciągnął ręce, jakby chciał ją objąć w pól. Aniela wysunęła się zgrabnie i usiadła na kozetce. Janek snogłądał na nią pożądliwie i podziwiał kobiecy czar, który bił z jej dziewczęcej sylwetki. Siedział na przeciwko niej i duma rozpięrała jego piersi na myśl, że ta piękna kobieta należy do niego. Nie mógł oczu oderwać od jej kuszących warg...

Cała siła woli opanował się by nie popełnić głupstwa. Zbliżył się do okna. Zaczerniał powietrza

Aniela rozumiejąc dobrze, co się dzieje z Jan-

kiem, zbliżyła się do niego i przytuliła rozgorączkowaną twarz do swojej twarzy.

— Przysięgnij na naszą miłość, że więcej w życiu kraść nie będziesz.

— Przysięgam! — A ty, co masz zamiar robić ze sobą? Wróć do ojca.

— Będę szukała posady. Wszelką pracę gotowa jestem przjąć, nawet zostać służącą byleby uczciwie i z tobą razem.

— Tak, tak, uczciwie... To słowo brzmi dla mnie, jak legenda.

— Ja uczynię cię najuczciwszym człowiekiem pod słońcem. Przysięgam, że moja miłość tego dokona. Zawsze będę tylko twoją...

Janek musnął jej włosy wargami i odparł filozoficznie:

— Nie przysięgaj, moja droga. Los jest od nas silniejszy. Najpotężniejszy z wszelkich uczuć ludzkich.

Przez nawnóć zasłonięte okno wdzierało się do pokoju blade światło ulicznych lamp. Różowa bladeść padała na twarz Anieli, co dodało jej jeszcze więcej uroku. Oczy świeciły się, jak dwa brylanty. To wszystko podniecało Janka.

— Zdejm płaszcz, proszę cię... — zawołał błagalnie, obejmując ją w pół.

Aniela delikatnie wyrwała się, ściągając brwi.

— Zapominasz się Janku.

— Idź sobie! Idź! Nie mecz mnie!... Przestają panować nad sobą. Twoje spojrzenie pali mnie, jak żarzący węgiel. Doprowadzasz mnie do obłędu.

— Opamiętaj się Janku! Mnie przywyknąć do opanowywania złych skłonności. Bedzie to dla mnie najpewniejszą gwarancją, że się nawrócisz.

Janek uśmiechnął się nieznacznie.

— Kochać także należy do złych skłonności?

Aniela odparła poważnie:

— Wszystko zależy jak, gdzie, kiedy i z kim.

Janek silnie podniecony zaczął biegać po pokoju. Zmagały się w nim złe duchy. Podejrzewał, że ona go prowokuje. W jego przestępczej głowie nie mogło pomieścić się, aby kobieta, która szczerze kocha, tak mogła się drożyć.

Zbliżył się do niej i siłą porwał w objęcia. Obsypywał jej twarz i oczy płomiennymi pocałunkami. Aniela jednak okazała się silniejsza, niż sobie wyobrażał. Pchnęła go tak silnie od siebie, że zatoczył się pod ścianę.

Janek stał dłuższą chwilę zmieszany i przyglądał się jej to z zachwytem, to ze zdziwieniem. Zrobił krok naprzód, chwycił karafkę z wodą i wylał całą jej zawartość sobie na głowę.

Aniela wybuchnęła śmiechem.

— Drwisz z mojej uciążliwości? — zawołał urażony. — Nie graj mi na nerwach.

Aniela zbliżyła się do Janka. Wzięła jego głowę w swoje ręce i rzekła prztulnie:

— Co za duże nieokielznane dziecko? Niech się uspokoi.

— Ach, gdybyś nie była córką złodzieja...

— Coby wtedy było?...

— Gwałtem bym cię wziął!...

Aniela urażona zawołała:

— Nie życzę sobie, byś w taki sposób przemawiał do mnie. Zapominasz się Janku.

— Daruj kochana! Nie moja wina. Złodziejska zepsuta krew zagrała we mnie...

Nawpół uspokojony wziął delikatnie jej rękę w swoją dłoń i okrył pocałunkami.

— Masz rację. Moja wolność jest niepewna. Kto wie, czy nie czekają już za drzwiami, by mnie zakud

w kajdanki. Mały zaszczyt będzie dla ciebie zostać wdową po zbrodniarzu.

— Wydźwignę cię z brudu. Twoje ręce broiły, ale dusza twoja zawsze była przeciwna temu.

— Świetnie ujęłaś to, — rzekł z zachwytem — jak pięknie rozumiałaś mnie. Widzisz kochana, czołowiek wiek popełnia nieraz przestępstwo z różnych przyczyn i okoliczności, które czyhają na każdym kroku. Nieraz samo życie kwalifikuje przestępców.

Aniela, gdy mówił, głaskała go z uczuciem macie rzyńskim. Zauważyła po chwili:

— Twój sposób myślenia nie cechuje przestępcy. Jestem ciekawa poznać koleje twego życia, zanim upadłeś tak nisko..

Janek zamyślił się; grzebał w swej przeszłości.

— Gdyby ludzie mieli więcej zrozumienia dla nas zbrodniarzy, zaręczam, że więzienia byłyby puste. Moje pierwsze przestępstwo, to był — kwaśny ogórek..

Aniela roześmiała się i zawołała ze szczerością:

— Chyba żartujesz.. Czy z takiego, co kradnie kwaśny ogórek, może wyrosnąć „Klawy Janek“, jak cię ukoronowali tam, w waszym światku — król włamywaczy.

— Tak, tak, kochana. Nieraz w życiu kradzież ogórka, lub bochenka chleba dla zaspokojenia głodu, jest większą zbrodnią, niż wojna światowa, gdzie ludzie mordują się nawzajem, nie znając się zupełnie. Byłem sierotą. Cierpiałem głód i nędzę. Za kwaśny ogórek powędrowałem do więzienia na trzy miesiące. Tam nauczono mnie już kraść i jeszcze coś lepszego.

Aniela przygnębiona jego wznaniem i sposobem rozumowania objęła go za szyję i czule ucałowała.

— Żał mi ciebie, kochany. Dużo się nacierpiełeś w życiu.. Pragnę być dla ciebie matką, żoną, kochanką, przyjaciółką i doradczynią. Tylko taka kobieta

potrafi cię podnieść z brudu. Od dziś rozpoczynasz nowe życie.

Janek machnął beznadziejnie ręką i odparł:

— Czy dadzą? Ach, gdyby tak nastąpić miała ta chwila, kiedy mógłbym powiedzieć wobec świata i ludzi: byłem, ale więcej nie będę...

Aniela, siedziąca przykuta do miejsca. Po chwili namysłu rzekła:

— Wiesz zastanawiałam się nieraz nad tym czy dziecko od ojca takiego jak ty, może mieć złe skłonności. Ciekawi mnie, czy wogóle istnieje dziedziczność. Mój ojciec twierdzi, że jedynie dlatego został przestępcą, że rodzice nimi byli.

— Brednie. Głupstwa. Stare zardzewiałe przesady—unosił się Janek — Ty jesteś córką Staśka „Lipcy“, zawodowego złodzieja, a czy może być uczciwsza kobieta, od ciebie, droga Aniela?..

Aniela zapatrzona przed siebie odparła:

— Gdybym była uczciwa, nie uciekł bym z domu, nie zakochałabym się w „Klawym Janku“. Kto wie czy ja nie mam złych skłonności?..

— Nie smuć się, kochana. Udowodnię ci, że coś po dobrego nie istnieje.

— Dobrze, dobrze, zobaczymy. A teraz już czas pożegnać się, kochany. Muszę iść.

— Nie puszczę cię — zawołał. — Już nasyciłaś się moją obecnością?

Pociągnął Anielę w stronę kozetki. Usiadł przy niej i oparł głowę na kolanaach. Aniela czuła, że lada chwila znów wybuchnie jego namiętność.

— Muszę cię wytresować, Janku — odsunęła się od niego — niech ci się zdaje, że masz przed sobą przyjaciela, siostrę, a nie kobietę..

Janek zorwał się z miejsca i zaczął, jak opętany biegać po pokoju. Tam i z powrotem. Jego twarz przybierała wyraz potęgującego się niepokoju, buntu zmy

słowego. Oczy były nalane krwią i rozwarłe szeroko, jakby stracili zmysły.

— Nie kochasz mnie! — wołał w kółko. — Gdy byś mnie naprawdę kochała, byłoby już dawno po wszystkim...

Aniela uczyniła krok w kierunku drzwi.

— Znowu ta zepsuta krew uderzyła cię, Janku. O ile myślisz, że miłość tylko na tym polega, to biada jej...

— Co mnie tam będziesz morały prawić?... — skoczył do Anieli i objął ją silnie w pól.—Niech się dzieje, co chce... Dłużej nie wytrzymam'!!

Daremnie Aniela walczyła z całym sił. Janek usiłował prawą ręką przekreślić kontakt, a lewą przyciskał ją do siebie. Rzucił się na niej, niby wygłodniały tygrys, dusząc niemal w ramionach. Palce jego szarpały nerwowo jej odzież. Wtym nagle rozległo się ostre pukanie do drzwi. Janek przełęczniony odskoczył od Anieli.

— Kto tam?

— Policja!!! — padła odpowiedź, jak grom z jasnego nieba.

Aniela zsunęła się na podłogę zemdlona...

ROZDZIAŁ X.

Praga, najruchliwsze przedmieście Warszawy, ho dowala wówczas w swoim łonie niemniej melin i podejrzanym typów, niż sama Warszawa.

Świat podziemny stolicy nie zadawała się ulubionymi wtedy kącikami, jak Smocza Wola, Marymont, Czerniakowska, Mokotów i Starówka. Mniej sze złodziejaszki szukały schronienia wzdłuż niezamieszkałych brzegów Wisły. Tam było im najwygodniej obserwować „niespodzianki“. Czuwali zawsze i ostrzegali jeden drugiego przed oblawą, która od czasu do czasu przeprowadzała policja.

Wielkie płaszczyste obszary uważali oni za najwgodniejsze miejsce do zagrzebania łupu. Nie mniej technienia do hulanki i zabaw pod gołym niebem. Rżnięto w karty, ogrywając się w stosa nawzajem. Opróżnione butelki po alkoholu nieraz rozbijano na własnych głowach. Wisła była często świadkiem wyuzdanych orgii i „dintojrów“. Nie skąpiła też nigdy wody do obmycia ran zadanych nożami więcej dla wpraw, niż potrzeby.

Nie brakło tam restauracyjek i podrzędnych melin, gdzie można było się schronić, gdy policja deptała po piętach.

Warszawa nie powstydziała się Paryża ze swoimi apaszami i kawiarenkami. Typy świata podziemnego Warszawy są bardziej interesujące od apaszy paryskich z ich specyficznymi strojami. W wielu wypadkach przewyższają ich nawet sprytem, odwagą i miłośkami romantycznymi.

Apasze wyróżniają się tym, że żyją z hańby żon, kochanek i przyjaciółek. Rycerskość ich polega na tym, że walczą ze sobą o byle spódnizkę, od której mają zagarnąć zyski. Świat podziemny Warszawy żyje wyłącznie z pracy właśnie ich „dziesięciu palców“. Gardzą każdym, kto ciągnie zyski z hańby swych ofiar: alfonsa uważają za wyrzutka społeczeństwa..

Olbrzymie miasto Warszawa, może być dumne ze swoich ludzi nocu. Mają swoją etykę, moralność i nigdy nie wychodzą po za ramy zawodu.

Na jednej z mniejszych ulic Pragi znajdowała się lepsza melina, która była zwiedzana wyłącznie przez „arystokrację“. Właścicielem tej „Oazy“ był sam Bajgele, znany pod tym przezwiskiem niemal wygodnie było tam wygrzewać się na słońcu w piękne dni lata. Przecudna panorama Wisły dodawała na

na całym świecie złodziejskim. Był to swego rodzaju oryginał..

Wybiła godzina szósta. Na dźwięk zegara, obecni w melinie zerwali się z miejsca, jak na komendę.

— Widzicie!?! — zawołał ktoś, wskazując palcem na zegar ścienny.

— Tak, tak... — potrząsali głowami inni. — Co to ma znaczyć?

Właściciel meliny powstał z miejsca, przeciągnął się leniwie, po czym zwrócił się do jednego z gości:

— No i co, Antek? — zaśmiał się głośno — gdzie twój „Kławy Janek“?

— Niech was o to głowa nie boli! — odezwał się Antek. — Skoro Janek przyrzekł, że przyjdzie, dotrzyma słowa.

— Już szósta godzina — zauważył Felek — pewnie zajęty jest swoją..

Nie dokończył. Antek mu przerwał, podsuwając pięść pod sam nos..

— Czekać i milcz! Jest tylko człowiekiem, musiało mu się coś przydarzyć..

Na słowo „wydarzyć“ wszystkich przeszły dreszcze. Zrozumieli, co Antek ma na myśli..

Właściciel spelunki zapalił grube cygare i leniwie przemierzał pokój tam i z powrotem, mrucząc coś pod nosem.

— Nie mógł do mnie przyjść z tą walutą!.. Czyż bym mu źle zapłacił?!..

— Z jaką walutą? — zapytał Antek.

— No, z walutą hrabiny — odparł z uśmiechem.

— Już ci powiedziałem, co mu się przydarzyło podczas tej ucieczki. Nie ma ani grosza z tej roboty..

Gospodarz meliny utkwiał w nim małe chytre oczki przypierając go do ściany grubym brzuchem..

— Widzę, że jesteś prawdziwym frajerem.

— Obrażasz mnie — uniósł się Antek.

— Jesteś jeszcze czymś więcej od frajera. Babce możesz opowiadać takie bajdy, ale nie mnie. „Klawy Janek zgubiłby taki majątek, ha—ha—ha!!

— Widzisz, — mówiłem ci odrazu — triumfował Felek, a tyś się na mnie jeszcze zamierzał.

— Wara wam — krzyknął Antek. — Nikt z was nie zna tak „Klawego Janka“, jak ja, to co mówi jest prawdą.

— Osioł! — zawołał gospodarz meliny rozpierając się wygodnie w fotelu.

— A widzisz, że nie przyszedł, — rozpoczął Felek na nowo. — Już nic nie rozumiem. Cała sprawa wzdaje mi się tajemniczą. On uciekał niby ścigany przez policjanta. W końcu policjant nie żyje, i żaden z nich nie posiada pieniędzy...

— Może uciekł wraz ze swoją narzeczoną zagranicę? — dodał Felek.

— Staj pysk! — powiadam ci — zawołał Antek gniewnie. Nie tobie mówić o jego narzeczonej.

Jest zbyt czysta, byś ją plugawił językiem.

— Patrzcie, jak ich broni — zawołał właściciel knajpy, — Pociście przyszli do mnie? — Klócić się? Poszukajcie sobie innego miejsca. Nie chcę tego słyszeć.

— Czekamy na „Klawego Janka“ — odparł Felek.

— Daremne wasze oczekiwanie — zauważył — gospodarz meliny. — Byłby większym frajerem od was, gdy by tu przyszedł... Kto zapłaci za potrawy i trunki, które przygotowałem dla was?

— Myślisz tylko o jednym — wtrącił się inny, który dotąd nie odezwał się ani słowem. — Ty stary lisie! Przy każdej okazji szukasz tylko zarobku. Nie szczęście naszego brata nie wzrusza cię wcale.

— Mnie wzrusza tylko to — odparł meliniarz klopiąc się po brzuchu i pakując do ust dalszą por-

cję czekoladek. — Cały świat z jego mieszkańcami,
— to dla mnie ja i mój brzuch — roześmiał się cynicznie na głos.

— I jaki będzie koniec? — odparł Antek.
Zdechniesz i robactwo będzie miało prawdziwą przyjemność z twego brzucha...

— No, Józek, idziesz z nami?

— Mogę iść — odparł zapytany, który w świecie podziemnym znany był pod przydomkiem Józek „Zalewacz”. — Już mogę iść, ten stary lis i mnie dziś ocygań!

— A kogóż ja nie ocygań? — przekomarzał się gospodarz meliny.—Kiedy byłem młodszy, musiałem kraść dla paserów, teraz musicie kraść dla mnie.

Trójka „hultajska“ skierowała się do wyjścia. Gospodarz chcąc zatrzeć przykre wrażenie, jakie wywołał swoimi urąganiem odezwał się:

— Żartowałem. Znacie mnie przecież nie od dziś. Wiem, że jesteście spryciarzami. Kiedy się znów zobaczymy?

— Na Pawiaku — roześmiał się Józek „Zalewacz”.

— Tę przyjemność pozostawiam wam. Zaczekajcie, czemu się śpieszycie? Przyszła mi świetna myśl do głowy...

Wszyscy trzej obejrżeli się na rozmówcę.

— Czemu mi się tak przyglądacie? Siadajcie. Mam wam coś ważnego do zakomunikowania.

— Mów prędzej — odezwał się Józek „Zalewacz”.

— Jak widzę, chcecie nas znowu nabrać.

— Nie, tym razem nie — odparł gospodarz: — Przeciwnie, stawiam wszystko, co przygotowałem na dintojre z „Klawym Jankiem“ i nie żądam zapłaty ani grosza.

— Koń by się uśmieł—roześmiał się Józek „Zalewacz“. — Trzeba to zapisać na kominie, że stary Bajgele postanowił dać jeść i pić bez pieniędzy. Przy znaj się szczerze, jaką aferą zalatuje twój pomysł. Antek przerwał rozmowę.

— Każ się wypchać z twoimi potrawami. Nie mam głowy do jedzenia. A ty, Felek?

— Nie ma mowy. Tyle pieniędzy! Gdybyśmy na wet żyli jeszcze z tysiąc lat, taka robótka, jak u hrabiny nie nadarzyłaby się nam po raz drugi.

— Jeżeli chcesz, zostań! — zwrócili się obaj do Józka „Zalewacza“. Musimy najprzód ustalić, co się stało z „Klawym Jankiem“. Sprawa nie jest gładka.

Bajgele postawił dobrą butelkę koniaku z zagryhą, usiłując tym zdobyć Józka, który miał ochotę zostać. Antek i Felek stali już we drzwiach.

— Dokąd was diabli niosą? — zawołał Bajgele: — mówiliście wszak, żeście się umówili ze Staśkiem „Lipą“ u mnie.

— Właśnie! — zapomnieliśmy! — zawołali obaj spoglądając jeden na drugiego.

— Teraz jestem już w stu procentach pewny, że musiało się coś „Klawemu Jankowi“ przydarzyć — zawołał Antek. — „Lipa“ byłby punktualny. Wyłaził ze skóry z oburzenia, kiedy opowiedzieliśmy mu że „Klawy Janek“ wprowadził Aniełę.

Przyśiągł, że dziś jeszcze położy go trupem.

— Radze wam, bęście pozostali u mnie. Niechawem zejdzie się nasza gromada i dowiemy się co słychać na mieście — rzekł Bajgele.

— Ma racje — przvznał Józek „Zalewacz“ — Zaczynam wierzyć, że coś zaszło. Po „robocie“ u hrabiny niebezpiecznie jest nos wysunąć na ulicę. Co dzień urządzają się obławy, jedną po drugiej. Kto wie, czym się to skończy.

— Najgorzej, gdy się przy pracy popełnia mor-

derstwo — zauważył Bajgele — a wszak zastrzelony został policjant, „ich“ człowiek. Nie uspokoją się, aż nie pochwyć sprawcy. Znam ich dobrze. Ktoś padnie ofiarą, najpewniej człowiek niewinny.

— Któż to mógł naprawdę zamordować policjanta? — rzucił Józek „Zalewacz“.

— Bóg raczy wiedzieć — odparł Antek. — Co prawda Jankowi swędzi ręka na widok „męty“, ale co się tyczy zabójstwa policjanta jestem pewien, że to nie jego robota.

— Zdejmijcie płaszcze i siadajcie. Mówiłem już, że mam wam coś ważnego do zakomunikowania. Skoro się coś stało, to przepadło, na to nie ma rady. Nie nie poradzicie.

Felek i Antek pozostali. Od owej historycznej nocy nie zaznali spokoju. Wydawało im się ciągle, że sa tropieni przez wywiadców. Tym chętniej pozostali u Bajgele, by uniknąć przebywania na mieście.

Bajgele napełnił kieliszki koniakiem i wznosząc toast, zawołał:

— Pijemy za zdrowie złodziei, którzy gniją w więzieniach.

Wszyscy wypróżnili kieliszki, rzucili je na ziemię i zdruzgotali obcasami.

Bajgele ciągnął dalej:

— Nie sądzicie, że jestem takim leserem, że kocham tylko siebie. Chętnie pomagam naszym braciom w potrzebie.

— Wiemy, wiemy — poklepał go „Zalewacz“ po ramieniu. — Z powodu twego grosza nikt nie wyciągnie kopyt.

— Rozumiecie — ciągnął dalej Bajgele popijając z butelki — w interesie trzeba być twardym; trzeba zarobić. Ale pomoc naszemu człowiekowi jestem zawsze gotów.

— Taki rok na ciebie — roześmiał się Józek „Zalewacz“.

Bajgele udał, że nie słyszy tej uwagi i ciągnął dalej:

— Teraz, przyjaciele, wyjawię wam moją propozycję:

Jeszcze tej nocy trzeba dokonać „szłomu“ (kradzieży podczas snu). Nawinęła się klawa robota...

— To nie nasza specjalność. — zawołali wszyscy trzej prawie jednocześnie: — Szukaj sobie lepszych frajerów, głupszych od nas.

— Mówiłem wam, — odezwał się Józek „Zalewacz“ — że on nas zalewa. Bajgele to kombinator nielada. Nie mrugnie nawet okiem, by na tym nie zarobić. Odrazu domyśliłem się, że chce przy butelce koniaku ubić interes.

— Nie ma nic gorszego, niż kręcić się bezczynnie — odparł Bajgele nie zważając na słowa Józka. — Pozostańcie u mnie do północy, a po tym wskażę wam adres roboty.

— Spal się z twoim pomysłem! — zerwał się „Zalewacz“ z miejsca.

— Nie chcę z tobą mieć nic wspólnego. Dziś po raz ostatni musiałem się uciec do ciebie, byś opylił moje papiery wartościowe, ale odtąd nie będziesz więcej moim paserem.

— Namyślił się — odparł Bajgele flegmatycznie — Przecież komisariat policji nie opyli twoich towarów. Będziesz musiał przyjść do mnie. Jak się wam tedy spodobała moja propozycja? — zwrócił się do Felka i Antka.

— Bardzo dobra — odparł Antek, ale nie dla nas. „Pudło“ (kasa ogniotrwała), to co innego. Co tam można znaleźć pod twoim adresem?

— O to właśnie chodzi — odparł Bajgele z tajemniczym uśmiechem.

— Mów szczerze, co to za robota — zainteresował się Józek.

— Mówię wam cudo, a nie „robótka“. Taki rok na wszystkich złodziei. Jest to robota, że nawet „dolar“ nie będzie mógł zameldować o tym policji.

— Wiesz, co ci powiem, żeś mnie naprawdę zainteresował. No, mów prędzej! — wtrącił się Józek.

Bajgele mrugnął chytrze okiem. Przysunął się bliżej kompanów i rzekł niemal szeptem:

— Sprzedałem wczoraj pewnemu spekulantowi zagraniczne papiery wartościowe na sumę dziesięciu tysięcy dolarów. Byłem u niego w domu i wiem, gdzie przechowuje pakiet obligacyj. Można to łatwo „zrobić“. Płacę za to dwa tysiące dolarów gotówką — zakończył triumfującym tonem.

Wszyscy trzej zamienili się spojrzeniami.

— Nie zła robótka — zawołał Józek „Zalewacz“ zachwycony... ale nie dla mnie. Kraść dla ciebie nie mam zamiaru.

— Kto cię o to prosi — odciął się Bajgele pogardliwie. — Potrafisz tylko zalewać, ale nie kraść. Propozycję uczyniłem Antkowi i Felkowi, a nie tobie.

— Józek urażony w swej ambicji zawołał:

— Jeśli chodzi o zalewacza, jesteś większym ode mnie. Ale daremna twoja fatyga. Felek i Antek też nie dadzą się nabrać.

Antek i Felek pogrążeni byli w myślach. Obaj byli goli. Chętnieby przyjęli propozycję Bajgele, gdyby Józek „Zalewacz“ nie był przy tym obecny. Znali go dobrze, że więcej gada niż robi i dlatego też ochotczy no go mianem „Zalewacza“, aczkolwiek „Kapusiem“ (donosicielem) nigdy nie był.

Felek uszczypnął nieznacznie „Bajgele“ w nogę. Na znak, że interes jest zrobiony.

„Bajgele“ zadowolony, postawił butelkę dobrego wina.

— Teraz wypijemy za zdrowie „nygusów“, którzy dają się okradać...

Wszyscy parsknęli śmiechem. Podniecenie ogarnęło obecnych. Antek, zadowolony, że czeka go nie zły zarobek, jadł i pił, pragnąc zapomnieć o „Klawym Janku“. Tylko Felek siedział smutny. Nie cieszyło go to, że jako współnik Antka weźmie udział w wyprawie.

Zegar wybił godzinę 8. Józek „Zalewacz“ przegnał wszystkich i wniósł się. Felek i Antek, znużeni wydarzeniami ostatnich dni zamierzali wejść do sąsiedniego pokoju i położyć się, by odpocząć nieco przed „robotą“.

„Bajgele“ nie wypuszczał ich z domu, zapewniając, że u niego będą się czuli najbezpieczniej.

Nagle rozwarły się drzwi i do izby wpadł Stasiak „Lipa“. Błady, jak ściana, osunął się na krzesło...

Felek i Antek podbiegli doń.

— Mów, co się stało?!

Stasiak „Lipa“ rozejrzał się błędnym wzrokiem dokoła, jakgdyby lękał się kogoś. Po chwili wybuchnął spazmatycznym szlochem.

— Dziecko moje!.. Aniela!.. Aniela..! — wołał rozpaczliwie tłukąc głową o ścianę.

Izbę zaległa śmiertelna cisza. Nikt nie ważył się odezwać słowem. Wszyscy czekali z zapartym tchem, aż się „Lipa“ nieco uspokoi.

— Powiedz nam, wreszcie, co się stało? — odezwał się Antek błagalnym głosem.

Stasiak „Lipa“ zerwał się nagle z miejsca i zawołał:

— Pręcz ode mnie! Zastrzelę was wszystkich, jak pszy!...

W rękę jego błysnęła stal rewolweru. W gniewie

niu oka Felek i Antek rzucili się nań, trzymając go z całych sił.

„Lipa“ miotał się w ataku furii, aż piana wystąpiła mu na ustach. W końcu szal minął i starzec zaczął sznawować.

Gdy odzyskał jako tako przytomność umysłu, przebywał już w łóżku obłożony zimnymi kompresami. Felek i Antek czuwali przy nim, z opuszczonymi głowami, pogrążeni w zadumie. Cały świat podziemny Warszawy był już powiadomiony o nieszczęściu, jakie spotkało „Lipę“. „Nygus“ z papierami wartościowymi szczęśliwie nie został okradziony..

ROZDZIAŁ XI

Znów upłynęło kilka dni.

Komisarz Żarski pochłonięty nawałem pracy zapominał już niemal o pięknookiej Anieli.

Wołkow, który chciał zasłużyć się na awans, nie próżnował. Codziennie donosił telefonicznie o różnych przezeń dokonanych odkryciach. Ale Komisarz nie polegał całkowicie na Wołkowie, i prowadził dochodzenie na własną rękę.

Po proszonym obiedzie u hrabiny, Żarski nie przestawał myśleć o niej. Nie dawał mu spokoju fakt, że przez cały czas jego pobytu w pałacu hrabina wciąż go nagabywała, by się zbytnio nie przejmował dokonaną u niej kradzieżą.

— Jestem dość bogata — stale powtarzała — I tak się nie wykryje złoczyńcy. A gdyby go nawet ujęto, pieniędzy napewno nie zwróci.

Nie podobało się też komisarzowi Żarskiemu, że na pożegnanie hrabina, która wywarła nań niezwykle wrażenie, usiłowała wręczyć mu na pamiątkę pierścionek brylantowy, przyjęcia którego oczywiście, od mówił. Wcale nie wyglądała na leciwą panią, jaką

mu wydawała się, gdy przybyła do jego gabinetu w urzędzie. Wyglądała teraz młodo, pięknie, powabnie. Zrodziło się w nim w czasie tej wizyty podejrzenie, że córeczka, którą mu przedstawiła, nie jest jej dzieckiem.

Nie mógł pojąć kaprysu hrabiny, czemu nie chce by wykrył włamywacza. Jednym słowem, służba — wszystko razem wyglądało w jego oczach niezwykle podejrzanie..

Jeszcze więcej nieufności wzbudzał w nim Wołkow. Zupełnie przypadkowo spotkał go następnego dnia po wizycie u hrabiny w wytwornej restauracji ubranego po cywilnemu, w towarzystwie eleganckiej brunetki. Wołkow był zmieniony nie do poznania.

Komisarz Żarski zajął stolik w przeciwległym rogu sali i zasłaniając sobie twarz gazetą, nie spuszczał oka z rozbawionej pary, która siedziała odwrócona doń plecami.

Z zastawionego butelkami i kieliszkami stolika komisarz wywnioskował, że zabawa trwa już dość długo. Zauważył też, że parka rozmawia nawpół szepem, i że temat musi być ściśle konspiracyjny.

Kelner krzątał się zadowolony dokoła ich stolika, gotowy na rozkazy. W pewnej chwili brunetka odwróciła się w ten sposób, że komisarz Żarski mógł dojrzeć jej twarz...

Komisarz nie wierzył własnym oczom. Znał dobrze tę twarz z albumu policyjnego. Towarzyszka Wołkowa była jedną z najgroźniejszych aferzystek w Europie.

Zadowolony ze swego odkrycia, komisarz Żarski niepostrzeżony opuścił lokal. Przez kilka godzin błąkał się ulicami Warszawy, pogrążony w myślach, rozważając wszystko, co zaszło, powoli, ostrożnie.

Zapadał wieczór, gdy zmęczony wrócił do Urzędu Śledczego. Zasiadł do biurka, by na zimno rozważyć

plany, które sobie ułożył na długim spacerze. Miał jednak tylko chwilę spokoju, gdyż wnet zabrzączał telefon..

— Hallo! — rzekł komisarz zniecierpliwiony.

— Tu Wołkow — padła odpowiedź. — W jednym z najelegantszych hoteli, (tu wymienił nazwę hotelu) portier, który należy do „naszych“, poinformował mnie, że przed chwilą ulokowała się w numerze pewna podejrzana młoda para...

— Głupstwa!.. — przerwał komisarz — Hotel jest dla gości, dla młodych parok i dla starych. Co pan chciał przez to powiedzieć?

— Chciałem zameldować, panie komisarzu, że dokonałem niezwykłego odkrycia.

— Jakiego odkrycia? — zapytał komisarz zainteresowany.

— Tą młodą parą, okazali się „Klawy Janek“ z kochanką! — wyrzucił Wołkow jednym tchem.

— Co?!... „Klawy Janek“! — zawołał komisarz.

— Tak! Widziałem go na własne oczy!

— Niech się pan jeszcze raz przekona — wołał komisarz do słuchawki — To napewno pomyłka „Klawy Janek“ uciekł z Polski. Do hotelu tego zajeżdżają przez ważne cudzoziemcy. Żeby tylko nie zaszała brzydka pomyłka.

— Jestem przekonany, że to on, — obstawał Wołkow przy swoim.

— Więc aresztować! Natychmiast aresztować! — górneczkował się komisarz. — Uważaj pan tylko, by ptaszki nie wyfrunęły panu z klatki! Może przysłać panu po noc?

— W ciągu dwudziestu minut sprowadzę ich do aresztu! — odparł Wołkow triumfującym tonem. — Jesteśmy tu we trzech. Kajdanki mam przy sobie.

— Bądź pan tylko ostrożny — pouczał go komi.

sarz. — Pamiętaj pan z kum ma do czynienia. Ostrożnie i rozważnie. Na zimno. Ale i czym prędzej...! Cze-
kam!..

Upłynęło dwadzieścia minut i nie widać było „zde-
byczy”. Komisarz kroczył zdenerwowany po gabinecie,
raz po raz spoglądając na zegar. Zarzucał sobie, że zbyt
nie zaufał Wołkowowi i nie posłał mu natychmiast po
mocy. Z jednej strony komisarz Żarski był zadowolony,
że „Klawy Janek” wpadł w ręce poiejci, nie wątpił bo-
wiem, że kradzież u hrabiny to dzieło jego rąk. Ale z
drugiej strony nie mógł użyzyć Wołkowowi, dla któ-
rego nie żywił zbytnej sympatii, tak wielkiego sukcesu.

— Jeżeli to prawda, że „Klawy” wpadł w jego ręce
— kontynuował komisarz rozważania— urząd śledczy bę-
dzie miał trudny orzech do zgryzienia. — Kto wie czy
wszystkie nie wykryte ostatnio zbrodnie nie mają zwi-
zku z legendarną postacią „Klawego Janka”

Minęła przeszło godzina od czasu rozmowy z Woł-
kowem. Komisarz „wylaził ze skóry”. Chciał już zadzwo-
nić na auto, by samemu udać się na miejsce i spraw-
dzić co zaszło, gdy naraz zapukano do drzwi. Wołkow
zjawił się nareszcie..

— Gdzież oni?! — zawołał komisarz, świdrując Woł-
kova ostrym wzrokiem. Wyczuł że „coś zaszło“..

— Zwiśł panie komisarzu!

— Co???

Wołkow zbladł, jak chusta. Nogi ugięły się pod
nim ze strachu.

— Czyś pan oniemiał? — unosił się komisarz Żar-
ski.

— Jestem niewinny— wybełkotał Wołkow.

— Mniejsza z tym, kto jest winien! Już ja pana
nauczę..

— Panie komisarzu — opanował się Wołkow —
— przedziłem wszystko, jak najlepiej. Obstawilem jed-

nego z nas przy wyjściu, drugiego pod oknem a sam zapukałem do drzwi numeru.

— Mów pan, w jaki sposób „Klawy“ uciekł? — biegł komisarz wściekły po pokoju.

— Zapukałem — cedził Wołkow słowa — ale nikt nie odpowiedział. Zacząłem się dobijać z całych sił — nadaremnie. Wreszcie zapasowym kluczem portier otworzył drzwi...

Na podłodze leżała nieprzytomna dziewczyna — a „Klawego“ nie było...

— Nie rozumiem.

— Pokój miał jeszcze jedne drzwi, które prowadziły do sąsiedniego numeru, znajdującego się na samym końcu korytarza. Okno tego pokoju wychodzi na inną stronę, niż to, pod którym postawiłem policjanta.

— Czemu pan zawczasu nie pomyślał o tym? Proponowałem panu pomoc! — Tupał komisarz nogami.

— Moja wina, panie komisarzu. Ale głowę daję, że żywego czy martwego będę go miał jeszcze w swych rękach.

— POCO mi pańska głowa?... Takiego gagatka wypuścić z ręki!.. Podobna okazja nie prędko nadarzy nam się po raz drugi. Jeszcze dziś „Klawy“ może zwać zagranicę. Czemuś pan natychmiast nie zarządził pościgu za nim?

— Zorientowałem się natychmiast którądy uciekł. Przeszukaliśmy z miejsca całą okolicę, ale wszelki ślad po nim zaginął.

— I co teraz będzie? — rozłożył komisarz bezradnie ręce.

— Panie komisarzu! — zawołał Wołkow błagalnym głosem. — Zapewniam pana, że go odnajdę. Mam nawet dowody, że kradzież u hrabiny to jego sprawka oraz, że on zamordował policjanta.

— Gdzie ma pan dowody? — zapytał komisarz zdumiony.

— Trudno mi narazie ustalić dokładnie, ale jestem przekonany, że uda mi się to wszystko udowodnić, jak na dłoni.

— Jest pan nazbyt pewny siebie, panie Wołkow.

— Panie komisarzu! Żebym miał bodaj życiem przypłacić, muszę „Klawego Janka“ odnaleźć. Areszto wałem jego narzeczoną, a od niej dowiemy się wszystkiego. Będzie śpiewała!..

— Gdzież ona jest? Wprowadź ją pan natychmiast..

— Rozkaz, panie komisarzu! Wprowadzę ją za chwilę.

— Kto wie, — pomyślał komisarz zastanawiając się nad Wołkowem, którego tegoż dnia spotkał w eleganckiej restauracji w towarzystwie międzynarodowej aferzystki, — kto wie, czy Wołkow świadomie nie nawiązał z nią kontaktu, by od niej wydobyć potrzebne informacje. Niesłusznie go posądzałem.. Spryciarz z tego Wołkova!..

Komisarz nacisnął guzik dzwonka. Drzwi otworzyły się i przed obliczem komisarza stanęła — Aniela..

Żarski nie wierzył własnym oczom. Spoglądała nań dumnie, bez obawy — a wdzięczny, niewinny uśmiech zakwitł na jej twarzy.

— Pani znów tu?! — zawołał komisarz jednocześnie zdumiony i zadowolony.

Aniela nie odpowiedziała. Na miejsce poprzednie go uśmiechu na twarzy jej ukazał się grymas wstydu i bólu. Zrozpaczona rozglądała się dokoła swymi pięknymi oczyma, jak gdyby szukała pomocy.

Komisarz Żarski nie mógł od niej oczu oderwać. Wydawała mu się piękniejsza niż za pierwszym razem. Teraz uroda jej tak go olśniła, że stał jak osłupiały na miejscu.

Wołkow cichutko opuścił gabinet.

Komisarz wskazał Anieli krzesło. Opanował się i usiłował, jakby uwolnić się od pewnych myśli.

— Skąd pani się tu wzięła? — zapytał komisarz Żarski tym razem już tonem urzędowym.

Aniela uniosła głowę i odparła:

— Zapytaj pan swoich pomocników.

— Pragnę to usłyszeć z ust pani. Nie straciłem do pani zaufania, mimo iż nie spodziewałem się ujrzeć tu pani po raz drugi.

— Kto żąda od pana zaufania,?... — zauważyła Aniela wyniośle.

— Jeżeli pani będzie odpowiadała nadal takim tonem zmuszony będę przekazać prowadzenie śledztwa komu innemu.

— Dla mnie jest to obojętne.

— O, nie, łaskawa pani..

Spojrzenia ich skrzyżowały się jakby znagały się ze sobą. I Aniela zwyciężyła. Żarski opuścił wzrok.

Naraz komisarz zerwał się ze swego fotela, że Aniela aż drgnęła i zawołał.

— Skąd pani do „Klawego Janka“? Nie chcę uwierzyć i nie mogę.. pogodzić się z tym, by pani mogła mieć coś wspólnego z tym wyrzutkiem.

— To wy jesteście wyrzutkami! — poniosło Anielę z miejsca: — Czego chcecie od niego? — wybuchnęła płaczem.

Tego się komisarz nie spodziewał. Ściągnął surowo brwi i zagryzł aż dolną wargę ze złości.

— Moja panno! Widzę, że pani jest zbyt zde nerwowana i nie liczy się ze słowami. Daję pani dzieś minut czasu na uspokojenie się.

Aniela popłakiwała cicho, przesłaniając twarz futrzanym kołnierzem.

Komisarzowi było przykro, że się z nią obszedł niedość delikatnie. Płacz Anieli ranił jego serce, chociaż nie rozumiał dlaczego tak było. W ciągu

wielu lat służby nieraz już słyszał płacz i lamentowanie aresztowanych, ale bynajmniej nie wzruszał się tym tak, jak teraz.

— Niech się pani uspokoi! — odezwał się komisarz Żarski ze współczuciem: — Nie chcę pani skrzywdzić.

Aniela znów go przejęta spojrzeniem. Dreszcz przeszedł jego ciało. Takie same oczy, jak u hrabiny — przebiegła mu myśl.

Drepczyła go świadomość, że ta piękna dziewczyna należy do najniebezpieczniejszego zbrodniarza w Polsce. Ta, która stała teraz przed nim złamana i wyglądała jak uosobienie niewinności — była tylko pierwszą lepszą ulicznicą, którą zatrzymano w pokoju hotelowym przy boku „Klawego Janka“...

Czuł, że los chce mu spłatać figla i podsunał mu tę kobietę. W głębi duszy dawno już pieścił jej obraz; od pierwszej chwili, gdy ją ujrział. Walczył z tym uczuciem — lękał się go, wstyd mu było przed sobą.

— To niemożliwe, bym zdobył jej serce, gdy już pokochała zbrodniarza. Dwa kontrasty, które nigdy się nie zjedną. A może sama się ofiaruje? Może zechce coś wskórać dla swego ukochanego? O, nie! — odpowiedział sobie: — U mnie to nie przejdzie...

Spojrzenia ich spotkały się znowu, jakgdyby pochwyliła jego myśli. „Namyślisz się“ — drażnił go jakiś ukryty głos: — „to grzech zrezygnować z takiej kobiety“...

Komisarz stał przez pewien czas oparty o parapet okna i wbrew swej woli obserwował jej smukłą postać i piękną budowę.

Stał niezdecydowany. Wreszcie podszedł do drzwi i znów wezwał Wołkova.

— Weź pan do pomocy sześciu policjantów — rozkazał komisarz Żarski, — i nie spocznijsz pan w

poszukiwaniach, aż nie zdobędziesz czegoś konkretnego o „Klawym Janku“. Musi pan naprawić popełniony błąd. To pański obowiązek!

— Rozkaz, panie komisarzu. Mam tylko jedną prośbę.

— Słucham.

— Chciałbym się rozmówić z tą panią. Wówczas wiedziałbym co mam począć...

Aniela spojrzała na komisarza błagalnym wzrokiem, by nie oddawał jej w ręce Wołkowa.

— Nie pańska rzecz. Już ja się z nią rozmówię. Marsz.

Wołkowowi krew uderzyła do głowy, lecz opanował się.

— Rozkaz, panie komisarzu! — I cicho opuścił gabinet.

Komisarz Żarski zbliżył się do Anieli, która odrochowo uczyniła krok w tył.

— Czy teraz możemy ze sobą pomówić? — zapytał.

— Nie. Nie. Ode mnie nie dowiedcie się niczego!

— Powoli moja panno. Nie tak pewnie. Gdy tylko zechcę, wyśpiewa pani wszystko, jak katarak.

Aniela znów milczała. Wyczuła swym instynktem kobiecym, że mówi nie to co myśli. Pragnęła, by ją czymprędzej kazał odprowadzić do aresztu. Jego oczy nazbyt dobitnie wyrażały do czego zmierza.

— Pani milczy?... A więc ja zacząć mówić. Proszę mi powiedzieć, co panią łączy z „Klawym Jankiem“?

— To moja rzecz.

— Oczywiście, byłoby nam przyjemniej, gdybyś my tu mieli jego, zamiast pani.

— Nie wiem nic o nim i nie mogę powiedzieć.

— Nie mogę w to uwierzyć, aczkolwiek oczy pani mówią, że pani nie kłamie. Jak można być z kimś tak

blisko i nie nie wiedzieć o jego przeszłości? Co pani robiła z nim w hotelu?

Aniela nie odpowiadała.

— Rozumiem, — ciągnął dalej komisarz Żarski. — Trzeba przecież żyć. A „Klawu“ musiał być hojnym gościem dla tak pięknych kobiet, jak pani..

Aniela dumnie podniosła głowę. W jej oczach zabłyśły groźne płomyki i jednym tchem wyrzuciła

— Czemu wy, mężczyźni, jesteście tak ordyuarni, że w każdej kobiecie widzicie zaraz ulicznicę. Czy dlatego, że byłam z „Klawym Jankiem“ w hotelu, muszę już być koniecznie prostytutką?... Dla was jest Janek niebezpiecznym zbrodniarzem, dla mnie może on być zupełnie czymś innym.

— Może nawet bratem.

Chciała już przytaknąć głową. Nie mogła jednak zmusić siebie do kłamstwa.

— Nie!

— Prosiłbym o bliższe szczegóły co do pani osoby, — przybrał znów komisarz ton urzędowy, co całkownie kolidowało z namiętnym spojrzeniem jego oczu, jakim obejmował Anielę.

— Czego pan chce ode mnie? — zawołała Aniela smutnie: — Co to was obchodzi, kim jestem. Niech pan czyni ze mną, co mu nakazuje obowiązek.

— Niech się pani nie denerwuje. To szkodzi piękności — rzekł komisarz, starając się dać jej do poznania, że mu się podoba.

Aniela przeszła go wzrokiem, jakgdyby chciała się przekonać, czy mówi poważnie.

Komisarz pochwycił jej spojrzenie i triumfujący uśmieшек zakwitł na jego twarzy...

Przysunął się bliżej do niej i korzystając z półmroku, jaki panował w pokoju, oparł swą rękę na jej dłoń, która bezwładnie spoczywała na poręczy krzesła.

Aniela chciała cofnąć rękę, ale Komisarz uściśnął ją mocno.

W pierwszej chwili Aniela nie dopatrzyła się w tym nic złego; przypuszczała że komisarz się źle czuje i dlatego tak zwiesił głowę. Naraz poczuła na swej szyji gorący pocałunek.

Niby rażona prądem zerwała się z miejsca. Również komisarz stanął na równe nogi i opanowany szaleństwem namiętności porwał piękną dziewczynę w swe mięsne ramiona.

Aniela odwróciła głowę, zasłaniając usta przed pocałunkiem. Jego gorący oddech palił jej twarz.

— Proszę mnie puścić! Będę krzyczała!

Ale komisarz Żarski stracił już panowanie nad sobą. Zapomniał kim jest i gdzie się znajduje, że każdej chwili może ktoś zapukać do drzwi...

— Kocham cię!.. Kocham od pierwszego wejrzenia! — szeptał w rozmarzeniu.

Aniela walczyła jak mogła. Wpiła się pazurkami w jego szwy, zdzierając zeń skórę... A on jeszcze silniej tulił ją do siebie. Dygotała cała z oburzenia, ale w żaden sposób nie mogła się uwolnić z uścisku.

— Uwolnię cię... Dam spokój twemu kochankowi, tylko zostań moją... — szeptał w zapamiętaniu.

Pokrywał jej włosy pocałunkami i pożądliwie szukał jej ust, wykrzywionych strachem i odręzą.

Była tak przerażona i oszołomiona, tak bezradnie zawisała w jego ramionach, że zdawało się, iż zrezygnowała z dalszej walki i oporu.

Ale Aniela broniła się resztkami sił, wkońcu widząc, że nie poddała przemocy, zdobyła się na okrzyk:

— Ratunku!!...

Komisarz Żarski oprzytomniał.

Jednocześnie za drzwiami dały się słyszeć kroki. Rozległo się pukanie do drzwi i na progu stanął stary policjant.

— Pani zemdląta podczas przesłuchania. Szybko wody! — rozkazał komisarz.

W gabinecie panowała martwa cisza.

Komisarz nie śmiał podnieść oczu na Anielę która siedziała na kozetce i cicho popłakiwała. Dręczyły go wyrzuty sumienia.

— Ja.. — wyrzucił sobie Żarski — ja, który u ważałem siebie za wzór policjanta, człowieka, który nigdy nie przekroczy granie obowiązku, byłem zdolny do czegoś podobnego!.. Jak to człowiek nie zna siebie samego! Przed godziną jeszcze nie uwierzył bym za nic, że mógłbym..“

Ścierały się w nim najsprzeczniesze uczucia. To chciał jej się rzucić do nóg i błagać o przebaczenie za brutalne zachowanie się, to znów rozpierał go bunt: — „Kochanka złodzieja będzie mi tu sceny u rządziła! To dopiero wyrafinowana kokota!..“

Jej postawa, na widok starego policjanta, dała mu wiele do myślenia.

„Kim jest ta dziewczyna?! Inna na jej miejscu na widok świadka dopieroby urządziła skandal i karyera moja byłaby złamana.—Ślady jej paznokci na mojej skórze i wydarte z głowy włosy, w jej rękach byłyby wystarczającym dowodem winy. Jak wytłumaczyć jej taktowne zachowanie?.. Wszak jest kochanką „Kławego Janka“.

„Zwolnię ją, — postanowił komisarz Żarski, — by się bodaj częściowo zrehabilitować w jej oczach. Ale jak to zrobić?! Wołkow jest za starym wygą, by się nie zorientował, że nie wolno mi było jej wypuszczać z rąk..“

Zegar wybił godzinę 9-tą. To mu przypomniało, że musi się na coś zdecydować.

— Bardzo panią przepraszam, — odezwał się Żarski, nie spoglądając w stronę Anieli, — zapomniałem się.. Proszę wybaczyć staremu kawalerowi, któ-

remu po raz pierwszy w życiu spodobała się dziewczyna.

Widząc, że nie odpowiada, dodał, już zły na siebie:

— Do licha! Cóż jestem winien, że na widok pani czarujących oczu postradałem zmysły? Pod wpływem pani uwodzicielskich oczu dopuściłbym się najpotworniejszej zbrodni. I pod mundurem policyjnym bije czułe serce, które pragnie kochać.

— Panie komisarzu, jak długo będzie mnie pan tu dręczył?

— Proszę mnie wierzyć, najmniej chcę panią dręczyć. Działalem poprzednio pod wpływem niezwykłej siły, której nie byłem w stanie się oprzeć. Daję pani słowo honoru, że odtąd będzie pani miała we mnie najszczerzego przyjaciela, jeżeli mnie pani tylko wyzna prawdę o sobie.

Żarski mówił tak prosto i szczerze, że Aniela nie wątpiła w prawdziwość jego słów. Młoda dziewczyna zbliżyła się do komisarza i rzekła:

— Dziś proszę mnie zostawić w spokoju. Jestem tak wyczerpana, że nie mam siły skupić myśli. Jutro odpowiem panu na wszystko, co pana interesuje. Proszę mnie kazać odprowadzić do aresztu.

— Szkoda. Wielka szkoda, że poznałem panią w podobnych okolicznościach. Ale pani nie pożałuje naszej znajomości. Postaram się wynagrodzić wyrażoną pani krzywdę. Proszę źle nie sądzić o mnie.

— A pan o mnie, — dodała Aniela cicho.

— Kim jesteś piękna dziewczyno?! — zawołał komisarz zachwycony. — Po raz pierwszy w mej praktyce mam do czynienia z podobną kobietą!.. Skąd pani do Janka?.. Muszę się dowiedzieć!..

— Jak na dziś wystarczy, panie komisarzu!

— Żal mi zamykać panią w areszcie na noc. Pa

ni piękne ciało nie zniesie ataku pszczoł i innych insektów, których nie brak w każdym areszcie.

— Sądzę, że ataki waszych pszczoł są niczym wobec innych ataków...

Komisarz zawstydzony opuścił wzrok i odparł:

— Tak, tak, moje dziecko. Ludzie są nieraz gorśli od zwierząt, od najohydniejszego robactwa na świecie.

— Przekonałam się, niestety, o tym w ciągu ostatnich dni, — potwierdziła Aniela.

Przez chwilę milczeli oboje.

— Proszę mi wierzyć że chętniebym panią zwolnił. Jestem przekonany, że nie mam ze strony pani niegrozi. Gdyby nie Wołkow, który dopatruje się w pani niebezpiecznej zbrodniarki...

— Niech pan czyni, jak mu nakazuje obowiązek, — rzekła Aniela spokojnie.

— Mój obowiązek... — uśmiechnął się komisarz. — Nie mogę go spełnić, gdy mam do czynienia z tak piękną kobietą, jak pani.

— To bardzo źle, — odparła Aniela z tym samym uśmiechem.

Komisarz zastanowił się przez chwilę, po czym zadowolony z nowego pomysłu, jaki zaświtał mu w głowie rzekł:

— Mam do pani stuprocentowe zaufanie. Sam nie wiem czemu. Za pierwszym razem zwolniłem panią; teraz mam ochotę uczynić to samo, ale pod jednym warunkiem.

Aniela spojrzała nań podejrzliwym wzrokiem.

— Nie, nie o to chodzi, — usprawiedliwiał się komisarz. — Moim warunkiem jest, że stawi się pani u mnie jutro o 9-ej rano. Teraz jest pani wolna...

Aniela stała przez chwilę niezdecydowana. Nie była pewna, czy komisarz mówi to szczerze. Uśmie-

chnęła się uszczęśliwiona, że będzie mogła odszukać „Klawego Janka“.

W kilka minut później opuściła urząd śledczy.

ROZDZIAŁ XII

„Klawemu“ udało się naprawdę uniknąć aresztowania i szubienicy, ale czuł się jeszcze bardziej nie-szczęśliwy, niż przedtem.

Dręczył go wyrzuty sumienia, że tak nieludzko postąpił z Anielą — oddał ją w takich okolicznościach w ręce policji.

Przebrany w elegancki garnitur i kosztowne futro, wyglądał nie do poznania. Czarne wąsiki, które sobie przypiął i duże amerykańskie okulary upodobały go raczej do zagranicznego agenta handlowego, niż do herszta podziemi.

Onierając się na srebrnej rękojeści wytwornej laseczki, przechadzał się wolnym krokiem przed gmachem teatru „Nowości“ na Bielańskiej.

Różne myśli i plany przesuwaly się przez jego zmęczony mózg. Wiedział, że Anielą znajduje się obecnie na Daniłowiczowskiej i kto wie, czy nie wzięto jej w „krzyżowy ogień“ pytań i nie dręczą z jego winy.

Zdobył się na ucieczkę z hotelu pod wpływem pierwszego odruchu. Gdyby się przez chwilę zastanowił, nigdyby nie ratował siebie, pozostawiając ją w rękach policji.

Układał w myśli coraz to inne plany, jak ratować Anielę. W pewnej chwili był nawet zdecydowany udać się do urzędu śledczego i wyznać:

— Jestem „Klawym Jankiem“, którego poszukujecie. To ja dokonałem włamania u hrabiny; ja zamordowałem policjanta; ja jestem sprawcą wszystkich zbrodni. Ona jest niewinna! Jestem gotów. Pro

wadźcie mnie czym prędzej na szubienicę. Niech się to już raz skończy!...

Opanował jednak ten rozpaczliwy odruch. Zrozumiał, że pomysł oddania się w ręce policji dla uwolnienia Anieli — jest niedorzecznością.

— A co uczynię, jeśli jej nie zwolnię?... Nie, ten pomysł nie prowadzi do celu. Trzeba coś innego postanowić, by w jakiś sposób ją ratować.

Najlepiej byłoby — wpadła mu nowa myśl do głowy — dowiedzieć się, kiedy i którędy odprowadzą Anielę do więzienia kobiecego, by przy pomocy kilku suchów odbić ją konwojentom.

Ale i ten pomysł odrzucił wnet, jako niewłaściwy. Przy takim starciu mogłoby dojść do wzajemnego obstrzału. A kto zaręczy, że jedna z kul nie ugodzi Anieli?..

Z palcem na cynglu rewolweru, ukrytego w kieszeni futra, kroczył „Klawy Janek“ pewnym krokiem Placem Teatralnym, nie zważając na policjan ła, który stał na rogu ulicy i rozglądał się na wszystkie strony.

W godzinach wieczornych Pl. Teatralny roi się od ludzi. Elegancko ubrane panie i wytworni panowie zdążają do teatrów miejskich.

„Klawy Janek“ swobodnie poruszał się w tłumie, obserwując mijające go kobiety.

Różne typy kobiet przesuwały się przed jego oczami. Wszystkie młode (warszawianki się nie starzeją...); uszminkowane, powabne, kuszące, obnoszące swe wdzięki na pokaz, mężczyznom na zatracenie...

Gdy się widzi taką kobietę, wydaje się, że można by oglądać tysiące jej podobnych, a oko nie nasyciłoby się ich widokiem. Lecz gdy się zdobędzie jedną, odpada chęć do pozostałych... Wszystkie te kobiety są podobne do siebie, jakgdyby jedna matka je wy-

dała na świat. Wszystkie mają na sobie te same szminki, pachną tymi samymi perfumami, wyprodukowanymi w tych samych laboratoriach kosmetycznych...

Również ich smukłe, wiotkie kubicie są produktem żmudnej pracy gorseciarek, krawców, modystek...

Wszystkie te kobiety są modelowane na jeden wzór. Mają ten sam program życiowy. A najważniejszą dźwignią w ich życiu jest pieniądź...

Zapada noc, gdy stolica otwiera podwoje lokali rozrywkowych i kabaretów; gdzie aż do utraty przytomności można zabawić się przy szampanie i li kierce w towarzystwie nawpół obnażonych kobiet...

W godzinach tych, w pięknie urządzonych salonach rozpoczyna się dzień dla tych, którzy mają specjalne wymagania... Pod względem życia nocnego Warszawa nie ustępuje innym wielkim stolicom świata, gdzie pieniądź i zbrodnia idą w parze. Kto może korzysta z uciech i radości życia. Wyżywa się erotycznie bez cierpień, bez miłości doznaje rozkoszy rodzinnych.

W godzinach tych, w różnych potajemnych melinach „rycerze nocy“ szykują się do ataku na t. zw. „wyższe sfery“. Z chwilą gdy Warszawa zaczyna się bawić i muzyka rozbrzmiewa w cięskach lokali „rycerze nocy“ wylazą ze swych nor, by pod osłoną nocy realizować swe dzieło.

„Klawy Janek“ kroczył po Pl. Teatralnym tam i z powrotem.

Widział, jak przed gmachem Teatru Wielkiego zatrzymywały się jedna po drugiej eleganckie limuzyny, i hunt rodził się w jego sercu:

— Czemu świat jest tak zbudowany, że jeden czerpie z życia pełnymi haustami, a drugi musi kraść by się utrzymać na powierzchni?! Aby korzystać z uciech życiowych trzeba mieć pieniądze, du

żo pieniędzy. A więc człowieku rób, pracuj, handluj, produkuj, oszukuj, kradnij, rabuj nawet, ale miej pieniądze, by górować nad innymi. Dla wszystkich, którzy mają pieniądze, życie jest piękne, uroczyste. Ży wot ludzi bogatych usiany jest kwiatami i uśmiechami pięknych kobiet. Pałace, bruliony najkosztowniejsze zachcianki — to ich przywilej..

Tak... te godziny nocne mają w sobie dużo uroku; gdy bogaci zbliżają się do biednych, oczywiście na tyle tylko, by zaspokoić swe zachcianki, żądze i swe zdegenerowane pragnienia..

Smutek ogarnął „Klawego Janka“. Pożerał po prostu wzrokiem wszystkie parki, które miały go przytulone do siebie.

— Jakże byłbym szczęśliwy, — myślał Janek, — gdybym tak mógł swobodnie spacerować z mą Anielą, kochać ją niekępowany nikim i nieczym. Kto wie czy będę ją jeszcze mógł kiedykolwiek przytulić do swego serca... Co za frajer był ze mnie, że nie skorzystałem z okazji w hotelu!

Opanowała go niepomądana żądza, tak, że od ruchowo zaczął się rozglądać za kobietą. W takim nastroju zabląkał się w jedną z bocznych ulic.

Jakaś kobieta zatrzymała go i zapytała która godzina. Zorientował się odrazu, że należy do tego typu kobiet, które w podobny sposób zaczepiają wszystkich eleganckich panów. Spotkały się ich spojrzenia. Ale w tejże chwili przesunął się przed jego oczyma obraz Anieli. Nie odpowiadając na zapytanie niufty nocnej, poszedł dalej.

— Nie! Od tej chwili, gdy ją poznałem, nie wolno mi tak postępować! — karcił siebie w duchu.

Naraz doleciał go apetyczny zapach potraw. Rozejrzał się: stał przed restauracją. Pusty żołądek do pominał się o swoje prawa.

Wszedł do podrzędnej knajpy. Wszystkie stoliki

Były zajęte. Pijane okrzyki mężczyzn mieszały się z wyzdanym śmiechem podejrzanych kobiet, które czuły się tu, jak w swoim żywiole..

Nie wiedząc czemu, „Klawy Janek“ poczuł wstręt do tego otoczenia. Zajął miejsce w kąciku, by móc jaknajlepiej obserwować innych, pozostając samemu w cieniu. Postanowił siedzieć tu przez całą noc, a rano zabierze się do ratowania Anieli.

Zajadał z apetytem, od czasu do czasu spoglądając na gości, czy nie dojrzy jakiejś twarzy z którąby „si... nie chciał spotkać..

W pewnej chwili drzwi się rozwarły i do kawiary weszła kobieta w towarzystwie przodownika, zmierzając wprost w stronę, gdzie siedział Janek.

Kelner skłonił się nisko i przystawił stolik tuż obok stolika „Klawego“.

„Klawy Janek“ nie zdradził się najmniejszym ruchem, że nowoprzybyły sąsiad zainteresował go.

Przodownik zaś, tak był zajęty swą uroczą towarzyszką, że nie zwracał na nikogo uwagi.

„Klawy Janek“ siedział wpatrzony w gazetę, ale z nastrozonymi, jak zając, uszami wsłuchiwał się w każde słowo „męty“.

Słyszał jak przodownik zamówił najdroższe trunki i zakąski. Po czym bawił swą towarzyszkę zabawnymi historiami z praktyki policyjnej. Oczywiście przodownik był zawsze tym bohaterem który demaskuje i wylawia przestępców.

Naraz o uszy Janka odbiło się jego imię.. Padło słowo „Klawy Janek“! Słyszał najwyraźniej, że przodownik wspominał o nim, opowiadając o włamaniu u hrabiny..

— Sam wytropiłem tego niebezpiecznego ptaszka w hotelu — chwalił się policjant. — Byłem w stu procentach pewny, że mam go już w swych rękach. Ale bądź tu mądry, kiedy pokój jego łączył się z sąsied-

nim numerem, którego okno wychodziło na inną zupełnie stronę. „Klawy Janek“ zwał!.. Ale ja go pochwyć! — zawołał posterunkowy po chwili zastanowienia. — To jest obecnie głównym celem mojego życia.

— Widzę, kochany, że masz krótką pamięć, — zarzuciła mu piękna brunetka, uśmiechając się czarująco. — Przedtem mówiłeś, że ja jestem jedynym celem twójgo życia, — a teraz znów, jakiś złodziej!..

Przodownik roześmiał się, ucałował panią w rączkę, i rzekł:

— O tobie nie ma mowy. Wiesz, że jesteś dla mnie najdroższą istotą na świecie. —

— Gdybyś mnie naprawdę tak kochał, jak powiadasz, zerwałbyś ze swoją żoną.

— Cóż cię to boli? Czy nie dbam tylko o siebie? Czy brak ci pieniędzy? Zerwanie z moją żoną byłoby niewygodne dla nas obojga.

— Dlaczego?

— Dlaczego. Zapominasz, że jestem w policji!.. Gdybym porzucił żonę, wziętoby mnie za bardzo na oko — dodał ciszej.

Nalał sobie kieliszek koniaku i wypił jednym haustem.

„Klawy Janek“ natężył całą swoją uwagę. Uszy jego, przyzwyczajone do chwytania najminimalniejszych szmerów, starały się nie opuścić ani jednego słowa. Wpatrywał się uważnie w twarz policjanta, by ją sobie dobrze zapamiętać. Jego bystre oko zauważyło natychmiast, że przodownik jest większym złodziejem od niego. Rozumiał że ma nieczyste sumienie, gdyż pensja policjanta nie wystarczała na utrzymanie kochanek, na kupno futer karakułowych i srebrnych lisów.

Niespostrzeżenie obserwował kochankę przodownika. Nabrał przekonania, że piękna kobieta pochodzi

z nizin i trzyma policjanta pod pantoflem. Różne myśli przeszły mu przez mózg. Cieszył się z przypadku, który pozwolił mu poznać tajemnicę przodownika.

— Gdybyś wiedziała — opowiadał dalej przodownik, — z jak piękną dziewczyną bawił „Klawy Janek“ w hotelu. W życiu nie widziałas tak czarującej niewiasty. Powiadam ci, paluszki lizać.

— Ładniejsza ode mnie? — śliczna brunetka wyduła kapryśnie wargi.

— Niestety, piękniejsza..

— Coście z nią zrobili?

— Chciałem ją, co prawda, wziąć na „spytki“. Już by ona mnie wszystko wyśpiewała. Ale komisarz się uparł, że sam ją przesłucha. Zawsze czyni mnie na przekór. Nie lubimy się nawzajem..

— Czy aresztował ją?

— Oczywiście. Już raz wpadła w nasze ręce, ale on ją zwolnił niewiedomo czemu.

— Uważaj, by jej nie zwolnił po raz drugi. Skoro jest tak piękna, jak powiadasz, wszystko jest możliwe..

„Klawy Janek“ lykał każde słowo.

— Muszę jeszcze dzisiaj przetrząsnąć kilka mebli. Złapię go — żywego, czy martwego..

— A co to za typ zbrodniarza?

— Włamywacz! — wyjaśnił posterunkowy fachowym tonem.

— Więc dajcie mu pokój. Cóż to was boli, że o próżnia kasy burżujów. Licho ich nie weźmie. A gdy go przesładowacie, musi się ratować..

— No, daj spokój ze swymi poglądami. Nie zapominaj, że jestem przodownikiem. Mnie nie wolno słuchać podobnych słów.

— Mnie nie obchodzi twój mundur. Dla mnie jestes tylko moim najdroższym. Radziłbym ci wogóle kiedy masz już tyle pieniędzy, wystąpić z policji.

— Cicho! — zawołał przodownik błędąc i rozglądając się na wszystkie strony.

„Klawy Janek“ przesłonił sobie twarz gazetą.

— Ciekawa jestem jak wygląda ten „Klawy Janek“? — rzekła zaintrygowana towarzyszka przodownika.

— Napewnoby ci się spodobał — uśmiechnął się policjant. — Wysoki, smukły, o dużych czarnych oczach, mężczyzna, jakiego wy kobiety lubicie.

Przy tych słowach przodownik wyjął z teczki fotografię i pokazał ją swej towarzyszce.

— To jest jedyna fotografia, którą posiadamy w naszym albumie policyjnym — rzekł, po czym odtożył fotografię do teczki.

O — Morowy chłop! — zawołała zachwycona kobieta.

— Tylko nie zakochaj się, bobyś się musiała z nim szybko rozstać. Już stryczek czeka na niego.

— O, „Klawy Janek“ nie wygląda na takiego, któryby się dał złapać przez takiego niedojdę, jak ty — rzekła z przekąsem. CS

— Jak widzę, jesteś już „zagazowana“. Musimy się pożegnać. Dzisiejszą noc spędzisz beze mnie — szepnął jej do ucha.

— Obejdzie się! — zawołała kobieta.

„Klawy Janek“ uregulował rachunek, po czym wstał i, korzystając ze stanu podchmienienia sąsiadów, zabrał leżącą na krześle teczkę policjanta. Wyszedł niespostrzeżony. Zadowolony ze zdobyczy, „Klawy“ zatrzymał mijającą go taksówkę i kazał się wieźć na Pragę.

Zapukał do domu dobrego znajomego, który był właścicielem pokoi umeblowanych, a gdy znalazł się sama w numerze, sprawdził, czy rewolwer jest nabity.

Zorientował się, też co do możliwości ucieczki, na wy-
padek, gdyby zawitała policja, po czym zabrał się do
przeglądania teczek policjanta. Fotografję swoją scho-
wał do kieszeni, a pozostałe papiery i dokumenty któ-
re nie miały nic wspólnego z jego sprawą odłożył
z powrotem do teczek. Przy czym załączył liścik nastę-
pującej treści:

„Panie przodowniku!

Zwracam panu tekę. Zabrałem tylko swoją po-
dobiznę. Uczyniłem to dla tego gdyż nie chcę,
by moja fotografia znajdowała się w tak brud-
nych rękach. Niech pan unika spotkania się ze
mną, bo to się źle może skończyć.

Panna, którą pan aresztował w hotelu jest
niewinna. Gdyby ją spotkała krzywda, zemszczę
się na panu. Niech się pan strzeże, gdyż koniec
pana będzie smutny!..

„Klawy Janek“.

Następnie „Klawy Janek“ wezwał do siebie go-
spodarza i wziął u niego „złodziejskie słowo honoru“
że zaraz następnego dnia odeśle teczkę przodownikowi
do domu. Adres przodownika znalazł Janek wśród
dokumentów.

„Klawy Janek“ położył się na odpoczynek, ale
nie mógł zasnąć. Zastanawiał się nad każdym słowem
przodownika. Nie mógł sobie też przypomnieć, gdzie
widział jego towarzyszkę, która mu się wydawała
dziwnie znajomą. „Gdybym się mógł z nią zetknąć“
— rozumował „Klawy Janek“ — „napew-
nobyś zdobył niejedną tajemnicę, kompromitującą
tego przodownika.“

Wzrok jego padł na fotografię, którą znalazł w
teczce przodownika. Na odwrotnej stronie wypisane
było jego nazwisko, data urodzenia, data sporządze-
nia zdjęcia i t. d. „Klawy“ zdecydował, że właściwie

fotografie.

W noc w dręczył go złe sny. Zmęczony straszonymi widziadłami, zbudził się nad ranem i wezwał do siebie gospodarza.

— Czy mógłbym się u ciebie zatrzymać na kilka dni? — zapytał gospodarza „Klawy Janek“.

— Widzisz, ja bym bardzo chętnie ciebie tu gościł, tylko że... policja ma mnie na oku.

— A za tym muszę wiać...

— Czyż prędeż, przyjacielu! Nie chciałbym żebyś wpadł u mnie

— No to bądź zdrow! — wyciągnął „Klawy“ rękę na pożegnanie! — Ile ci płacę?

— Obrażasz mnie przyjacielu. Za kogo mnie bierzesz? Myślisz że, jeżeli zmienitem tryb życia, to już zupełnie wyzbyłem się złodziejskiego honoru? O, nie! Od takich, jak ty, nie biorę za gościnę pieniędzy. Powiedz nie wstydź się: może ci potrzeba forsy, mów!...

— Dziękuję ci, przyjacielu, tak źle jeszcze nie jest. O jedno cię tylko poproszę. Wyjdź na ulicę i rozejrzyj się, czy się nikt „z nich“ nie kręci. Wręć się stąd wyniosę.

— Bądź spokojny. Przez całą noc dbałem o to, by cię tu nikt nie niepokoił. Nie zmrużyłem oka i sam stałem na „cynku“. Chodź ze mną. Wprowadzę cię przez ogród na boczną uliczkę. Dojdziemy do rogu, do postoju drożek i taksówek. Już cię zawiozą. dokąd zechcesz...

W kilka minut później „Klawy Janek“ w towarzystwie gospodarza opuścił pokój; obaj udali się w stronę postoju pojazdów.

Nadjechała właśnie wolna taksówka i towarzysz Janka zatrzymał ją.

„Klawy Janek“ pożegnał się serdecznie z „przy-

nie powinien przechowywać takiego zdjęcia i podarł jacielem" i wszedł do taksówki. Był spokojny i pewny, że w tej chwili nikąd mu nie grozi niebezpieczeństwo... Tymbardziej, że właściciel pokoiów umeblowanych zauważył: „Możesz jechać z tym szoferem dokąd chcesz; to nasz“.

Otulony w futro, zaszł się „Klawy Janek“ w kątek taksówki; kazał się wieźć na Złotą. Zmęczony i nie wyspany od kilku dni, zdrzemnął się.

A taksówka mknęła z niezwykłą szybkością, co go jeszcze bardziej ukoiło do snu...

Naraz taksówka stanęła i w tej-że chwili „Klawy Janek“ przebudził się; szeroko otworzył oczy.

Szybko nachylił klamkę u drzwi, ale zamek nie ustępował. Spróbował wyjść drugimi dzwiczkami, ale i te były zamknięte. Straszliwa myśl przeszła jego mózg. Spojrzał przed siebie — przy kierownicy nie było nikogo...

I naraz zanim jeszcze „Klawy Janek“ zdołał się zorientować, gdzie się znajduje i co zaszło, drzwi taksówki się rozwarły...

Już teraz „Klawy Janek“ nie miał potrzeby się domyślać... Sprawa była zupełnie jasna...

W jednej chwili taksówka została otoczona policjantami.

— Wylaż! — padł rozkaz.

Odruchowo sięgnął ręką do kieszeni gdzie przechowywał rewolwer. Nie zdążył go nawet wyjąć. Dwie silne dłonie chwyciły go za ramiona.

Wszystko to spadło na niego tak nagle, niespodziewanie, że nie zdążył nawet zebrać myśli, by się na coś zdobyć.

Cyniczny śmiech szofera, w którym rozpoznał teraz przodownika z restauracji, uderzył go, niby obuchem po głowie.

Nie próbował nawet się bronić; wiedział z góry, że jego wysiłek jest niecelowy.

ROZDZIAŁ XIII

Gdy Aniela została po raz drugi zwolniona przez komisarza, pod warunkiem, że następnego dnia o godz. 9. rano stawi się w jego gabinecie, radości jej nie było granie. Ledwie opuściła urząd śledczy, postanowiła odszukać Janka, by go ostrzec i nakłonić do ucieczki z Polski, a conajmniej z Warszawy.

Była przekonana, że jeżeli nadal zostanie w Warszawie, wcześniej czy później wpadnie w ręce policji. Ale wnet zrezygnowała z pomysłu odszukania go. Przypomniła sobie, że często, gdy policja chce wytropić kogoś umyślnie zwalnia zatrzymanego współnika, by go śledzić i w ten sposób natrafić na ślady zbiega.

Tak było też tym razem. Gdy tylko wyszła z Urzędu Śledczego, komisarz polecił dwum agentom, by ją szpiegowali. Agenci nie spuszczała Anieli z oka, a następnego dnia o godz. 9. wrócili — wraz z nią — do urzędu z niczym...

Komisarz przyjął ją natychmiast.

— Jak widzę, pani wcale nie jest tak naiwna, jak się to na początku wydawało.

Aniela milczała.

Nagle zabrzmiał telefon. Komisarz podniósł słuchawkę i twarz jego rozpromieniła radość. Tryumfującym wzrokiem spojrzał na Anielę.

Rozmawiał przez dłuższą chwilę, ale nie takiego nie odpowiedział coby mogło Anieli wyjaśnić o co chodzi. Komisarz rzucał tylko do słuchawki słowa: „tak“ lub „nie“.

Po skończonej rozmowie komisarz kilkakrotnie przemierzył pokój, po czym stanął przed Anielą i odezwał się:

— Pani jest zupełnie wolna. Ale, jeżeli mi pani wpadnie w ręce po raz trzeci, będzie gorzej...

Aniela stała, jak przykuta. Serce jej mówiło, że ta rozmowa przez telefon ma coś wspólnego z nią.

Chwielec się na nogach, Aniela opuściła gabinet komisarza.

Na schodach, tuż przed samym wyjściem, stanęła, jak skamieniała. Rozdzierający okrzyk bólu wydarł się z jej piersi.

Aniela na własne oczy ujrzała swego Janka, zakutego w kajdany... Kilku policjantów otoczyło go ze wszystkich stron, a dwóch popychało naprzód.

Na początku „Klawy“ starał się nie zdradzić tym, że zna Anielę, lecz gdy ta wybuchnęła płaczem, rzekł złamanym:

— Bądź zdrowa, Anielo! Kocham cię!..

Wysoki policjant pechnął Anielę, zabraniając jej zbliżyć się do „Janka“.

Wółkow polecił zamknąć „Klawego Janka“ w celi a sam udał się do komisarza zameldować, jak mu się udało pochwycić „Klawego“.

Komisarz Żarski słuchał słów Wółkowa, po czym rzekł:

— Skąd pan wieział, że „Klawy Janek“ znajduje się w tym hoteliku.

— Właściciel hoteliku jest byłym złodziejem, który zerwał ze światem podziemi. Obecnie jest naszym konfidentem. I on to mnie zawiadomił, że gości u siebie „Klawego“. A że znam szoferkę, postanowiłem sam go sprowadzić do Urzędu.

— Pan to zaaranżował bardzo sprytnie. Postawię pana do awansu.

— Dziękuję, panie komisarzu! — skłonił się Wółkow.

W kilka minut później „Klawy Janek“ stał już przed obliczem komisarza.

— Niech pan siada, — rozkazał komisarz, spo-

glądając na „Klawego“ badawczym wzrokiem. —
Dawno jest pan w Polsce?

— Nie przypominam sobie.

— Jak widzę, jest pan takim samym spryciarzem,
jak dawniej.

— Jeszcze większym—odpowiedział „Klawy“ cy-
nicznie.

— Powiedz mi pan, kim jest ta dziewczyna, z któ-
rą pan był w hotelu?

— Dziewczyna, jak wszystkie dziewczęta. .

— Niech pan nie będzie tak cyniczny i nie zmusza
mnie do zmiany tonu.

— Może pan mówić jak pan chce, mnie to zupeł-
nie obojętne.

— Wiele pan ma lat.

— Proszę zapytać mojego ojca.

— Niech się pan uspokoi, — zawołał komisarz
gniewnie; — Proszę mnie odpowiadać do rzeczy, ina-
czej...

— Inaczej, co?... Będzie mnie pan bił?... Jestem
już na to przygotowany oddawna...

— Ale podobasz mi się. Jesteś morowy. Mimo,
że mamy cię w ręku nie zdradzasz strachu. Chcesz
papierosa?

— Nie palę.

— A w karty grasz?

— Jak kiedy panie komisarzu. Najlepiej lubię
się bawić z wami.

— A dużo kochanek osierociłeś na wolności? —
zapytał komisarz, usiłując nadal nawiązać rozmowę.

— To moja rzecz panie komisarzu.

— Nie widzę w tym nic złego. Taki piękny męż-
czyzna, jak ty musiał mieć kolosalne powodzenie.

— To teraz nie ważne.

— Ale i ta dziewczyna jest piękna, z którą byłeś
w hotelu.

— To żadna odpowiedź dla mnie.

— Jak pan uważa. Zresztą jest do tego sędzia śledczy, by mnie badał, a nie pan.

Komisarz Żarski zerwał się z miejsca i nacisnął guzik dzwonka. Po chwili zjawił się Wołkow.

— Rozwiąż mu pan język! — rozkazał komisarz.

Wołkow podskoczył do „Klawego“ chcąc go uderzyć w twarz. Ten zrećźnie cofnął się w tył.

— Ty psia jucho, nie masz prawa mnie bić! Je stęś większym z brodnierzem ode mnie! — zawołał „Klawy“ na cały głos.

Słowa te wywarły nadspodziewany efekt. Wołkow zbladł tak bardzo, że komisarz musiał go przytrzymać, by nie upadł.

Komisarz rozkazał Wołkowowi wyjść, a sam za pytał „Klawego“:

— Dlaczego pan zarzucił Wołkowowi, że jest większym zbrodniarzem od pana?

— Powiem, gdy nadejdzie odpowiedni moment, — odparł „Klawy Janek“ tajemniczo.

Komisarz zamyślił się. Różne myśli przesuwały się przez jego mózg. Od czasu kradzieży u hrabiny i zabójstwa policjanta Wołkow wydawał mu się dziw nie podniecony. Stale spotykał go w pierwszorzę dnych restauracjach, przy suto nakrytym stole w to warzystwie podejrzanych kobiet. Zastanawiało go rów nież, że Wołkow tak gorliwie zajął się sprawą odszu kania zabójcy policjanta.

Wołkow, co prawda wspomniał kiedyś że czeka go wielki spadek po matce, i to mogłoby częściowo tłumaczyć, skąd bierze pieniądze na hulanki. Ale wrodzony sceptycyzm nie dawał mu spokoju.

— I jak to się mogło stać, że pan, kuty na wszy stkie strony, dał się zawieźć taksówką wprost do U rzędu śledczego?

— Poprostu. Znałem dobrze właściciela hoteliku i nigdybym nie uwierzył, że jest donosicielem. Ale nie, wyjdzie mu to bokiem...

Komisarz znów zadzwonił i polecił odwiedzić „Klawego“ do Pawiaku.

— Tam będziemy go pewni — odezwał się komisarz Żarski do policjantów. — Uważajcie tylko po drodze. Nie zapominajcie tylko z kim macie do czynienia. Jesteście odpowiedzialni za niego...

— Niech pan będzie spokojny, panie komisarzu, — przerwał mu „Klawy Janek“ uśmiechając się cynicznie. — Muszę nieco odpocząć. Nie mam dziś najmniejszej ochoty uciekać.

Popychany przez policjantów „Klawy Janek“ wsiadł do karetki więziennej. Czterej policjanci i dwaj tajni agenci otoczyli go ze wszystkich stron, nie zdejmując zeń oka.

Przez całą drogę „Klawy Janek“ nie zdradzał najmniejszej obawy, ani przygnębienia. Przeciwnie, zacięty ironiczny uśmiech nie schodził z jego energicznej twarzy. Brakło tylko, by usta wypowiedziały słowa, które miał na języku:

— I tak ucieknę. Daremny wasz trud. „Klawy Janek“ nie tak prędko da się powiesić, jak się to wam wydaje, psie dusze...

ROZDZIAŁ XIV

Od chwili aresztowania „Klawego Janka“ upłynęło kilka tygodni. Wiadomość ta wstrząsnęła światem podziemnym, nie tylko w Polsce, ale i zagranicą.

Utworzył się nawet „Komitet Trzech“ który po stawił sobie za cel opiekować się „Klawym“ w czasie jego pobytu w więzieniu i umożliwić mu ucieczkę.

Pieniądze dawał każdy należący do tej braci. Na

wet Stasiak „Lipa“ i obaj wspólnicy „Klawego“: An tek i Felek, aczkolwiek byli źli na niego, czynili wszystko, by go wydstać z więzienia.

Aniela ze swej strony również szukała sposobów, jak go ratować. Do ojca nie wróciła więcej. Nie pomogły jego błagania, ani groźby. Nie chciała przebywać dłużej wśród niętów społecznych.

Stasiak „Lipa“ widząc, że policja ma go na oku, w ciągu jednej nocy zlikwidował interes i zamieszkał w hotelu, gdzie zameldował się jako fabrykant łódzki, oczywiście pod przybranym nazwiskiem.

W ciągu tych kilku tygodni zmienił się nie do poznania. Z dnia na dzień coraz więcej srebrnych nitok przybywało do jego bujnej czupryny. Nie mógł się pogodzić z myślą, że jego jedyna córka Aniela, porzuciła go. A jeszcze bardziej bolało go to, że całe to nieszczęście ściągnął na niego „Klawy Janek“, „swój człowiek“.

Obawiał się, by Aniela nie wpadła w niepowołane ręce. Jest piękna, młoda, bez opieki. Wcześniej, czy później będzie musiała się poślizgnąć. Odziedziczyła temperament po matce, który nie wróży nic dobrego..

— Wszystko tak, tylko nie to! — wołał w nim rozpacźliwy głos. — Własnymi rękami ją uduszę, jeżeli się stoczy na dno...

Szukał zapomnienia w wódce. Nawpół pijany biegał po mieście w pogoni za córką. Nie mógł jej znaleźć. Zniknęła, jak kamień w wodzie.

Po kradzieży u hrabiny i zamordowaniu policjanta komisarz Żarski rozpoczął otwartą walkę ze światem przestępczym. Policja przetrząsała wszystkie meliny, i kryjówki. Co „grubsza ryba“ uciekała za granicę, by tam przeczekać, do czasu, aż minie burza.

I „Stasiak „Lipa“ uciekłby chętnie z Polski. Nie

brakło mu pieniędzy. Ale bez Anieli nie chciał się ruszać z Warszawy. Od świtu do nocy szukał dziecka, po wszystkich kawiarniach, hotelach, lokalach.

Obawiał się, by policja go nie rozpoznała. Nie chciało mu się na starość gnąć w więzieniu. Nie ustawał jednak w ciągłym poszukiwaniu córki. Miłość ojcowska była silniejsza od strachu przed więzieniem.

Aniela nie mniej tęskniła za ojcem, niż „Lipa“ za córką, lecz żelazna wola zerwania ze światem przez stępczym zwyciężyła. Chciała się przekonać, który świat jest lepszy. Pierwsze doświadczenia na tej drodze sprawiły jej wiele zawodu.

Widok „Klawego Janka“, zakutego w kajdany, jeszcze silniej związał ją z jego losem. We śnie i na jawie widziała, jak go dręczą. Dniami i nocami myślała tylko o nim.

Sprzedła biżuterię, by kupić „wałówkę“ i za nieść na Pawiak. Odmówiono przyjęcia „wałówki“. „Klawy Janek“ trzymany był tak ostro, że nie przyjmowano nawet dlań pożywienia.

Fakt ten podziałał na Anielę przygnębiająco. Przez cały dzień wałęsała się przed więzieniem z „wałówką“ w ręku, w nadziei, że może jednak uda się przesłać Jankowi paczkę. Ze łzami w oczach błagała każdego napotykanego urzędnika więziennego, by przyjął od niej paczkę dla „Kłowego“. Bezskutecznie. Strażnicy więzienni nie są tak sentymentalni, by mogły ich wzruszyć łzy nieszczęśliwej dziewczyny.

Cały tydzień Aniela warowała przed Pawiakiem, aż „wpadła w oko“ jednemu ze strażników. Gotów był oddać „Klawemu“ wałówkę, ale... Aniela splunęła mu w twarz i więcej się już przed Pawiakiem nie pokazała.

Postanowiła szukać pracy, by pomóc ukochanej

mu w inny sposób. Zdecydowała powierzyć sprawę Janka pierwszorzędnemu adwokatowi. Nie zdawała sobie sprawy, że nawet stu najlepszych adwokatów nie uratuje „Klawego“.

Była chwila, kiedy gotowa była udać się do komisarza i oddać mu się, byłoby tylko ratował „Klawego“. Ale wnet, po chwili rozwagi oburzała się na siebie za tę myśl.

Codziennie przeglądała w gazetach dział ogłoszeń, poszukując odpowiedniego dla siebie zajęcia. W dziale „Nauka i wychowanie“ przeczytała anonis następującej treści:

„Potrzebna jest wychowawczyni z dobrożo domu i znajomością języków do 10-letniej dziewczynki.

Dzwonić między 4 — 6. Tel. „

Możliwość otrzymania takiej pracy przykuła uwagę Anieli. Znała języki, czuła się na siłach pokierować wychowaniem 10-letniej dziewczynki.

Jeszcze raz przeczytała ogłoszenie: „Wychowawczyni z dobrego domu...“ Z dobrego domu... — córka Staśka „Lipy“ to nie bardzo dobry dom. Co będzie, jeżeli zażąłają referencyj?... Ból ścisnął jej serce.

Postanowiła jednak spróbować szczęścia.

Punktualnie o godzinie czwartej Aniela zadzwoniła pod podany numer telefonu. Usłyszała sympatyczny głos pani, która poprosiła Anielę o osobiste zgłoszenie się, celem omówienia warunków pracy.

Był to pałacyk w pobliżu Saskiej Kępy, w dzielnicy will.

Zatrzymała się przed dwupiętrowym domem otoczonym dość wysokim murem. Portier w liberii otworzył Anieli drzwi i wyjaśnił, że ma się udać na drugie piętro, pierwsze drzwi naprawo.

Szerokie marmurowe schody alabastrowe posagi, puszyste dywany, — przepych i bogactwo, jakie wy-

zierały z każdego kąta onieśmiewały Anielę do tego stopnia, że poprostu nie miała odwagi nacisnąć guzika dzwonka.

Portier, który obserwował jej niepewne ruchy, uśmiechnął się życzliwie i zawołał zachęcająco:

— Proszę zadzwonić. Niech się pani nie lęka!

Aniela nacisnęła dzwonek, ale serce jej waliło tak silnie że sama dziwiła się swemu tchórzostwu.

Pokojówka otworzyła drzwi i wprowadziła Anielę do poczekalni. Pokój był urządzony bokato i gustownie.

Po chwili pokojówka poprosiła Anielę do salonu, gdzie czekała już na nią pani hrabina. Uderzyło to Aniela, że pani domu jest hrabiną, gdyż w ogłoszeniu było zaznaczone, że kandydatka winna być Żydówką. Co to ma znaczyć? W czasie rozmowy telefonicznej przysłała chlebodawczyni przedstawiła się, jako Zofja Osipowa. Aniela sądziła, że jest to jakaś zasymilowana rodzina rosyjsko - żydowska. Ale na dźwięk słowa „hrabina“ straciła zupełnie orientację.

Aniela niepewnym krokiem przesuwiała się po cennych perskich dywanach: zatrzymała się przed ciężką kotarą zawieszoną na drzwiach. Weszła do salonu...

W powietrzu unosił się świeży zapach bzu, który pięknie zakwitł w ogrodzie otaczającym pałacyk. Salon był wyrazem bogactwa i komfortu tego domu. Piękne srebrne żyrandole zwisały z sufitu na długich łańcuchach. Pokój utrzymany był w stylu wschodnim. Ściany zawieszono były arcydziełami mistrzów sztuki malarskiej.

Aniela ujrzała przed sobą piękną, elegancką panią w średnim wieku, pełną godności. Drobnym krokiem hrabina zbliżyła się do Anieli, podając jej rękę i poprosiła, by usiadła. Przez chwilę obie kobiety spoglądały na siebie. Twarz hrabiny wydała się Anieli

dziwnie znajomą, nie mogła sobie tylko przypomnieć, gdzie ją widziała i w jakich okolicznościach.

— Ile pani liczy lat? — zapytała hrabina życzliwie.

— Dwadzieścia — odparła Aniela, opuszczając zawstydzony wzrok.

— Czy pani ma rodziców?

— Nie. — wydobyla z siebie Aniela z trudem. — Jestem sierotą — dodała rumieniąc się cała.

— Nie ma się pani czego wstydzić — zauważyła hrabina. — Przeciwnie, powinna pani być dumna z tego, że nie mając ojca ani matki, rozwinęła się pani tak pięknie fizycznie i duchowo.

W oczach Anieli zaperłły się dwie wielkie łzy, które stoczyły się po jej bladej twarzy. Hrabina dostrzegła te łzy i nabrała sympatii dla młodej dziewczyny. Miała nawet ochotę przytulić ją do swej piersi i serdecznie ucałować.

— Niech się pani uspokoi — rzekła hrabina. — Pani jest piękna, młoda, cały świat stoi przed panią otworem. Takim pięknym oczom nie wolno płakać. I ja miałam podobne oczy. Ale zbyt wiele łez przelałam w życiu, dlatego staciły one dawny urok...

Hrabina zamyśliła się.

Jak w kalejdoskopie przewinęły się przed jej oczyma lata dziecińne, które nie były godne zazdrości, a następnie...

Potrząsnęła głową, jakgdyby chciała odpędzić od siebie natrętne myśli, które naraz tłoczyły się do głowy, a które napróżno starała się wypędzić z pamięci.

I w wyobraźni Anieli odżyły wspomnienia lat dziecińczych. Nie mogła sobie przypomnieć, skąd zna tę kobietę.

— Czy dawno straciła pani rodziców? — zapyta Hrabina po dłuższej przerwie.

Aniela znów stanęła w gąsach i, jakgdyby oba-

wiała się własnych słów, wyszeptła:

— Nie znałam wcale mojej matki. Ojciec nie wiele opowiadał mi o niej. Wiem tylko, że była piękną kobietą i odumarała, gdy miałam niespełna trzy latka. Tak opowiadał mi ojciec — dodała Aniela, opuszczając wstydliwie oczy.

— A ojciec?

— Ojciec... ojciec zmarł w ubiegłym roku, — z trudem wy dobyła z siebie Aniela.

— A czym trudnił się pani ojciec?

Aniela czuła, że traci grunt pod nogami. Wszystko zawiroowało jej przed oczyma. Zdawało jej się, że meble, lustra i obrazy spoglądają na nią z szyderstwem; otoczyły ją ze wszystkich stron i wirują w zawrotnym tempie, by wnet z lukim zwalić się na jej głowę. Uczuła ból w sercu, z trudem chwyciła powietrze; przed oczyma wypłynął jej obraz ojca w grocie kolegów po fachu — rycerzy nocy. Zimny pot wystąpił na jej czole; była bliska omdlenia.

— Pani wybacz, że sprawiłam pani tyle bólu, tłumaczyła się hrabina. — Przypomniłam pani sprawy, które człowiek pragnie zapomnieć. Nie wątpię, że ojciec pani był uczciwym człowiekiem.

Aniela milczała.

— A więc przejdziemy do rzeczy, — ciągnęła dalej hrabina. — Jakże pani ma wykształcenie.

— Ukończyłam gimnazjum w Niemczech.

— A jakie języki obce pani zna?

— Władam swobodnie francuskim, angielskim.

— Czy pani potrafi pokierować dzieckiem? Moja Wieroczka jest bardzo kapryśna.

— Spróbuje, — odparła Aniela. — Uczynię wszystko, by pani była ze mnie zadowolona.

— Gdzie pani pracowała poprzednio? — zapytała hrabina nagle.

— Nie pracowałam nigdzie. Żyłam z tego, co mi

pozostało po ojeu. Teraz postanowiłam się usamodzielnąć.

Wyrzuciła te słowa jednym tchem, jakgdyby się bała, że hrabina jej przerwie lada moment, by zasięgnąć dalszych informacji.

— A jak pani na imię?

— Aniela.

— Aniela.. — powtórzyła hrabina i twarz jej pokrył smutek.

W salonie zapanowała martwa cisza. Poprzez otwarte okna wdierał się do pokoju świeży powiew wiosny.

Hrabina oparła się o parapet okna i przez dłuższą chwilę stała pogrążona w myślach. Aniela nie zdejmowała z niej oka. Wydawało jej się ciągle, że zna już hrabinę od lat. Nabrała przekonania, że przepych i bogactwo nie dały hrabinie szczęścia.

Ujrzała teraz w wyobraźni „Kławego Janki“ zakutego w kajdany.. I żelazne okiennice na małych okienkach Pawiańskiego. I bladą twarz ukochanego, wyczierającą zza krat..

Dla ciebie będę pracowała. Tylko dla ciebie, najdroższy. Nikt mnie na świecie po za tobą nie obchodzi — huczało jej w głowie.

Przypomniała sobie ostatni wieczór w hotelu. Jego namiętne pocałunki. On musi zostać uczciwym czło-
wiekiem. Musi rozpocząć nowe życie. Skoro potrafił wykazać tyle silnej woli tam w hotelu, zdoła też pokonać inne przeciwności i zerwać ze światem przestępczym. Głupcy są ci, którzy twierdzą, że człowiek rodzi się ze złymi skłonnościami. I moi rodzice należą do świata podziemi, a jednak nienawidzę tych ludzi.

Ale w tejże chwili jakgdyby ktoś szepnął jej na ucho zjadł wie:

— A jednak ktoś się zakochał w złodzieju, jeże-

Od kłamstwa rozpoczynasz nowe życie. Jesteś jeszcze młoda; z czasem zupełnie zboczysz z uczciwej drogi. Pochodzisz ze świata przestępców i do nich musisz wrócić..

W głębi duszy musiała przyznać, że głos ten ma rację. Ale miłość do „Kławego Janka“ była silniejsza od głosu sumienia. Tłumaczyła sobie w ten sposób:

— Moja miłość do Janka oczyści go. Janek może jeszcze zostać pożytecznym człowiekiem..

— Od kiedy może pani objąć posadę? — zapytała naraz hrabina, przerywając myśli Anieli.

— Nawet od dziś — odparła Aniela.

— A ma pani wielu znajomych?

— Nie mam nikogo.

— Czyżby? — powątpiewała hrabina. — Tak piękna niewiasta, jak pani, żeby nie miała przyjaciół?

— A dlaczego pani o to pyta, jeżeli wolno wiedzieć?

— Bo nie chciałabym być mnie tu odwiedzano. Mieszkam od niedawna w Warszawie, a jednak zostałam ostatnim razem okradziona; zrabowano mi połowę majątku. Dlatego dobieram sobie tylko pewnych ludzi.

Anielę błyskawicznie przebiegła myśl:

— Kto wie, czy to nie ta sama hrabina, którą nie dawno Janek „obrobił“.

Zrobiło jej się nieswojo.

Hrabina zauważyła to i zaczęła się gęsto tłumaczyć:

— Pani wybaczy.. Jeżeli chodzi o panią, nie mam cienia wątpliwości. Z oczu pani patrzy uczciwość. Ale nie wie pani w obecnych czasach niewiedomo z kim się ma do czynienia. Któżby się spodziewał, że do mnie zakradną się włamywacze i wypróżnią kasę? Widocznie tak mi było sądzono..

Hrabina znów się zamysliła. Tym razem utkwiała uporeczywy wzrok w Anieli, tak, że dziewczynie serce

zamarło ze strachu.

— Kto wie — pomyślała Aniela — czy tu nie wpadłam.. Hrabina bawi się ze mną, jak kot z myszą. Wie, widać, że jestem narzeczoną Janka i dlatego porużyła ten temat..

Wreszcie hrabina odezwała się:

— Od jutra może pani rozpocząć pracę. Otrzyma pani sto złotych miesięcznie i pełne utrzymanie. Jeżeli będę zadowolona, podwyższę pani pensję. Teraz przedstawię pani moją córeczkę.

Hrabina zadzwoniła. Weszła pokojówka.

— Proszę wprowadzić Wieroczkę. Chcę ją zapoznać z jej nową wychowawczynią. Od jutra pani rozpoczyna u nas pracę.

W kilka minut później do salonu wpadła śliczna dziewczynka o kruczych włosach i wielkich czarnych oczach. Spojrzała na Anielę, po czym oparłszy główkę o ramię matki, zawołała,

— Dziękuję ci mateńko, za tak sympatyczną wychowawczynię. Wszystkie moje dotychczasowe panie wglądały jak straszyla — roześmiała się na głos.

Przyjaźń została zawarta.

— Mateńko, — prosiła dziewczynka, — niech panj odrazu z nami zostanie. Dlaczego dopiero od jutra?..

— Może pani zostanie, — zaproponowała hrabina, zadowolona, że panna przypadła Wieroczce do gustu.

— Musiałabym jeszcze przynieść swoje rzeczy, — zauważyła Aniela, wstając z miejsea.

— A ja pani nie puszczę, — zawołała dziewczynka. — Będę teraz miała z kim grać w piłkę. Stare nianie, które mnie dotąd wychowywały, poruszały się z trudem — zerknęła mała kokieteryjnie na Anielę.

— Nie, moje dziecko — odparła matka, — jutro jest właśnie pierwszy i pani rozpocznie pracę.

Pożegnały się serdecznie. Krabina zaprosiła Antelę na kolację, ale ta kategorycznie odmówiła i opuściła pałac hrabiny.

ROZDZIAŁ XVI.

Kilka tygodni upłynęło od czasu, gdy „Klawy Janek“ został aresztowany. Siedział wciąż na Pawiaku, w wąskiej celi, odseparowany od wszystkich. Miał dosyć czasu, by się zastanowić nad swoją przeszłością i przyszłością, przynajmniej najbliższą, którą oceniał jednym słowem: „plajta“.

Szare, wilgotne ściany więzienia, które dzieliły go od świata, dobijały go swą monotonią, i, by nie dostać obłędu, zaczął układać w myśli coraz to inne plany ucieczki.

Kajdany, które mu założono w chwili aresztowania, wpijały się w jego ciało, sprawiając fizyczny ból. Zębami by je przegryzł, gdyby nie grube ściany ze zdrazieckim „okiem“ we drzwiach, które śledziły go na każdym kroku. Z kajdanami dałby jeszcze radę, ale z okratowaniem w okienku było daleko trudniej.

Przez cały dzień kroczył po swojej celi tam i z powrotem, nie zważając na brzęk łańcuchów, który towarzyszył każdemu jego ruchowi. Wciąż myślał o Anieli. Gdyby nie ona zrezygnowałby wogóle z ucieczki i poddał się losowi.

Wielokrotnie wdrapywał się na stolik, by choć okiem rzucić na „tamtą stronę“ i przekonać się, czy świat jeszcze istnieje i czy ludzie na ziemi jeszcze żyją. A jasność dnia na wolności przekłuwała mu wzrok, który przywykł już do ciemnicy więziennej. Za każdym razem, gdy w oko wpadało mu światło dzienne, staczał się rozwścieczony ze stolika na podłogę kamienną i tłukł głową o wilgotne mury celi.

Któż zna bezsilne młotanie się więźnia w czterech ścianach celi, kiedy serce rwie się do wolności, do ukochanej, a tęsknota doprowadzić może do szału?

Ale oto wzrok jego dostaje się w sieci pająka, który w kącie celi przędzie pajęczynę, trzymając pewnie zdobycz — muchę. A muszka konwulsyjnie rzuca się w misternej sieci, wymachując skrzydełkami i brzęcząc rozpaczliwie, jakby błagała postronnego widza o pomoc. Złość ogarnęła teraz „Klawego Janka”. Rozgląda się dokoła, szukając oczyma czegoś twardego, by mógł nim dosięgnąć sufitu i tuczącego się krzywdą słabszego pająka. „Klawy Janek” podrzuca w górę czapkę, do której przylega natychmiast pajęczyna. Mucha jest ocalona, a pająk krwiożerczy — w ręku Janka.

Klawy Janek przyjrzał się nie bez uczucia słodkiej zemsty pająkowi, który w jego oczach urastał do potęgi agenta policyjnego — tego samego, który go w swoje sieci dostał i do celi zaprowadził. Z uśmiechem na ustach, skrzywionych z bólu, Janek myślał nad tym, jaką śmierć zadać pająkowi. Mówił przy tym na głos:

„O, teraz już nie wydostaniesz się z moich rąk!.. Jakie ci zadać tortury, by oduczyć od nastawiania zdradzieckich sieci i wtrącania ofiar do więzienia?!..

Oczy jego nabiegły krwią. Ale to wszystko trwało zaledwie minutę. Po chwili wybuchł histerycznie - głupawym śmiechem:

„Co się ze mną dzieje? Jakże idiotycznie i śmiesznie zarazem wygląda moje bohaterstwo wobec pająka? Nerwy moje są nadszarpnięte!..“

Rzuca pająka o ziemię i zaczyna swój bieg dokoła czterech ścian celi. A myśli ponownie krążą dokoła Anieli.

I niewiadomo jak to się dzieje, przed jego oczyma wylaniają się powabne kształty ukochanej, a na-

miętności targają jego zmysłami do bolesnego wyczerpania. Z zadziwiającą samoudręką przypomina sobie teraz najdrobniejsze szczegóły owego wieczoru, kiedy znalazł się z nią wę dwoje, w numerze hotelowym. Słyszał teraz wyraźnie jej głos, jak błagała, by zostawił ją w spokoju..

Wpija się palcami we własną skórę. Rwie sobie włosy z głowy. Czemu nie porwał jej w objęcia i nie nasycił zewu krwi, która nigdy już nie zazna spokoju!..

Błądny wzrok spoczywa przez chwilę na zakratowanym oknie. I, niby ostra strzała, przesywa jego mózg okrutna myśl:

— Daremny krzyk twej duszy... Już nie ujrzysz Anieli.. Ona już należy do innego!..

Milczą mury jego grobu za życia. Różne napisy na ścianach, poczynione przez jego poprzedników, sprawiają na Janku wrażenie napisów, umieszczonych na nagrobkach i pomnikach. Wzrok jego błądzi po ścianach grobu, gdy wtem drzwi celi się rozwierają.

Zgrzyt przekręcanego w zamku klucza przywraca mu przytomność umysłu. Przez sekundę spogląda na zielonkawy mundur surowego klucznika. Ich spojrzenia krzyżują się. Zdaje sobie sprawę, że drzwi nie zostały otworzone, by zwrócić mu wolność.

— Dlaczego nie meldujesz się? — rzuca ostro przez zęby strażnik pobrzękując pękiem kluczy, których nie wypuszcza nigdy z rąk.

Kławy Janek milczy.

— Ty, przeklęty psie, czy nie słyszysz, że mówię do ciebie? Czemu nie meldujesz się, gdy wchodzę do twojej celi? — unosił się strażnik.

— Bo nie mam ochoty — odpowiada Janek, „na zimno“.

— Co? Chęci nie masz? Cha, cha, cha!.. Nie

chce mu się!.. A może nie podoba ci się więzienie?..

Klawy Janek odwraca się do strażnika plecami i porwidojuje sobie złodziejską piosenkę.

Strażnika złość podrywa z miejsca.

— Do ciemnicy cię wracę! Do karceru!.. Gnić tam będziesz!.. Na wodzie i chlebie cię potrzynam!.. Już my cię nauczymy tu moresu!.. Z nami nie będziesz żartował!..

Przy tych słowach strażnik podsuwał klucze Janekowi aż pod sam nos.

A Klawy Janek stał niewzruszony, jakby to wszystko nie jego dotyczyło.

— Co ty sobie myślisz? — wrzeszczał strażnik. — Ale popamiętasz mnie! Już ja twój upór przełamie! Musisz się podporządkować rygorowi więziennemu! Nie ma wyjątków! Melduj natychmiast dlaczego przebywasz tu w celi!.. Zrozumiano?..

— Te czy się tak odwalisz ode mnie?.. — najspokojniej w świecie wypowiedział te słowa Janek.

— Co??? — krzyknął strażnik, nie wierząc własnym uszom.

— Mówię wyraźnie — odparł „Klawy Janek“ uśmiechając się z rozkoszy, że zalał strażnikowi sadła.

— Od kiedy to jestem twoim przyjacielem, że mnie „tykasz“, ty, psie parszywy!.. — aż zzieleniał ze złości strażnik.

— Od kiedy, mój kochany? Od chwili osadzenia mnie w tej celi, mój słodziutki!.. — nie przestawał Janek nagrywać się z klucznika.

Strażnik nie wytrzymał.

Klucznik uniósł do góry pęk kluczy, by opuścić je na głowę „Klawego“.

Ale „Janek“ zręcznym ruchem podbił rękę klucznika i pęk kluczy z donośnym rukiem runął na ziemię.

Strażnik jak nieprzytomny wybiegł z celi, i z taką siłą trzasnął „Klawego Janka“ drzwiami, że ten aż podskoczył z bólu. W kilka minut później, zapłut „Klawy“ zdołał sobie uświadomić jaką go czeka kara, drzwi się znów rozwarły. Ujrzał przed sobą trzech strażników i starszego dozorcę więziennego.

„Klawy Janek“ jedną ręką oparł się o ścianę, a drugą podtrzymywał kajdany. Jego groźna postawa widać podziałała na oprawców. Przez chwilę stali niezdecydowani po czym starszy klucznik odezwał się:

— Co tu wyrabiasz? Codziennie mam z tobą do czynienia. Pamiętaj, że znajdę sposób na poskromienie ciebie. Masz natychmiast meldować się, zrozumiano?

— Rozumiem, — odparł „Klawy Janek“.

— Więc czemu nie meldujesz się?

— Bo nie chcę. Nie jestem w wojsku, abym musiał stawać na baczność — odparł „Klawy“ spokojnie.

„Mendy“ spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

— A więc odmawiasz posłuszeństwa. Buntujesz się. Czy wiesz, jaka cię czeka za to kara?

— Wiem. Morzyć głodem. Wieszać. Rozstrzelać — zawołał Janek nerwowo i splunął starszemu strażnikowi prosto w twarz.

— Brać go! — zawołał czerwony z oburzenia klucznik, ocierając twarz chusteczką.

„Klawy Janek“ wtułił się plecami w kąt celi, a rękami objął żelazny stolik, gotowy do walki.

Strażnicę przez chwilę zawahali się. Wiedzieli, że będą mieli niełatwą przeprowadkę. I, jakby na komendę, rzucili się na Klawego we trójkę naraz. Rozgorzała nierówna i mordercza walka. „Klawy Janek“ walczył jak lew. Zagrożonym trzem klucznikom dopomogli inni strażnicy. Po dłuższej walce

zanieślono Klawego owiniętego w kołdrę do karceru...

Gdy żelazne drzwi karceru zatrzasnęły się, Janek leżał na wilgotnym asfalcie, który pokrywał się coraz gęstsza warstwą upływającej krwi.

Po pewnym czasie „Klawy Janek” odzyskał przytomność. W karcerze było ciemno, jak w grcbie. Janek nie był z siebie zadowolony.

— Poco mi to było potrzebne? Przecież to utrudnia mi ucieczkę stąd? Będą mnie strzec. Złe postępuję! Trzeba nagiąć karku, by w ten sposób przebieć sobie „drogę”... Ja tu jestem jeden—a ich jest więcej! Przecież nie mogę staczać bojów z wiatrakami! Doswć! — zawołał groźnym tonem na samego siebie, stając na równe nogi. Kajdany boleśnie zwisały u nóg.

Nazajutrz, gdy drzwi celi się otworzyły, by podać więźniowi chleb z wodą, strażnik usłyszał słowa, którychby nigdy się nie spodziewał. Nie wierzył własnym uszom, a jednak była to prawda.

— Panie strażniku, melduję posłusznie, że tu w areszcie przebywa „Klawy Janek”, oskarżony o popełnienie kradzieży! — oświadczył Janek.

Klucznik uśmiechnął się przez węs i odrzekł:

— Tu siedzisz za awanturę! Dopiero gdy wrócisz do swej celi, będziesz meldował, że siedzisz za kradzież.

— Tak jest, panie strażniku! — po żołniersku zameldował „Klawy Janek” — Panie strażniku, melduję posłusznie, że tu siedzi „Klawy Janek” za wywołanie awantury!

— Oho! To, co innego!.. Doskonale! Zresztą, poco ci zadzierać z nami! Gdy będziesz się dobrze sprawował i będziesz posłuszny, zabierzemy cię także i na roboty.

Zadowolony z obrotu rzeczy, klucznik pobiegł do kancelarii więziennej z „nowiną”, że „Klawy” pod

Od tej chwili, Janek trzymał się odmiennej taktyki. Po odsiedzeniu siedmiu dni w karczerze, był przeniesiony z powrotem do celi.

Cele, w której przebywał, utrzymywał we wzorowym porządku. Podłoga połyskiwała niby zwierciadło, a łóżko zaściłane było, jak w hotelu. Straż więzienna na odcinku „Klawego Janka“ była zadowolona. Doszło do tego, że gdy do więzienia przybyła jakaś delegacja społeczna w celu wizytowania, zaprowadzono ją do celi „Klawego Janka“, jako wzoru czy stości i porządku.

Z biegiem czasu, za dobre sprawowanie, zdjęto mu kajdany, a później otrzymał nawet prawo korzystania z czytelni więziennej. Wolne godziny wypełniał marzeniem o ucieczce i odzyskaniu Anieli.

I nastał dzień, gdy po raz pierwszy poddany był przesłuchaniu przez sędziego śledczego, który przybył specjalnie w tej sprawie na Pawiak.

— Siadajcie — rzekł sędzia śledczy.

„Klawy Janek“ mechanicznie spełnił polecenie i skurczył się tak, aby nie rzucić się w oczy. Przyjął tak niewinny wyraz twarzy, że przez moment sędzia śledczy zwątpił, czy może zadać bez wyjątku wszystkie pytania, zgóry na papierze opracowane...

— Nie przyznawanie się do winy nie ma najmniej szego sensu,—ciągnął sędzia śledczy oschłym i monotonnym głosem. Więć jak tam było z jubilerem na św. Marcina?“...

— Jak widzę, panie sędzio, chce pan mnie obarczyć winą za wszystkie popełnione w Polsce przestępstwa. Rozumiem: musicie znaleźć przestępcę. Wy musicie zawsze mieć rację!.. Wszak sprawiedliwość musi zwyciężyć... Jesteście ludźmi, którzy nigdy się nie mylą

— To już nasza rzecz, — odpart sędzia obrażo-

nym tonem.—Pan jest znany, jako przestępca. Na-próżne są pańskie pretensje. Jesteśmy przekonani, że pan jest sprawcą wszystkich wykroczeń, które miały miejsce w Warszawie w ciągu ostatniego czasu, pan i pańscy wspólnicy, których policja ma już na oku.

— Uważajcie tylko, byście mnie nie przylepili fałszywych współników -- uśmiechnął się Janek cynicznie. — Wy to potraficie!

— Czy mogę się dowiedzieć, jak brzmi pańskie prawdziwe nazwisko? — zapytał sędzia, udając że nie doświadczył słów „Klawego“.

— Mówiąc szczerze, już sam nie pamiętam, jak się nazywałem.

— A więc pan miał wiele nazwisk? — podchwycił sędzia śledczy.

— Tak, — odparł Janek śmiało, przekonany, że udawanie na nic się nie zda.

„Klawy Janek“ wyprostował się na swym krześle. Spoglądał z nienawiścią na sędziego. Zaprezentował się w całej swej okazałości.

— Najlepiej będzie, jeżeli zagramy w otwarte karty, — rzekł Janek wstając ze swego miejsca. — Powiedz mi pan otwarcie, czego żądacie ode mnie?..

Sędzia nie spodziewał się takiego postawienia sprawy. Instynktownie rozejrzał się niepewnym okiem dokoła siebie. Gdy ujrzał stojącego we drzwiach strażnika, odezwał się uspokojony:

— Przyjmuję pańskie życzenie, ale pod jednym warunkiem...

— Bym mówił prawdę — wtrącił „Klawy“.

— Tak. O to mi właśnie chodzi.

Janek namyślił się przez chwilę i przysiadł się bliżej sędziego. Ten odruchowo, cofnął się nieco do tyłu.

— Ode mnie, „Klawego Janka“ — złodzieja i przestępcy żąda pan prawdy?! — Ha — ha — ha!--

Miliony „uczciwych ludzi“ korzysta z wolności, a jak że są dalecy od prawdy! A pan, zawsze mówi prawdę?..

— No, no, ostrożniej! — powstrzymał go sędzia śledczy w zapędzie. — I ja będę z panem szczery. Z głębi duszy pragnąłbym pana posłać na szubienicę.

— O tym wiem. Tym razem nie wątpię w prawdziwość pańskich słów. Ale czy zasłużyłem na szubienicę — to pytanie. I wieluż to niewinnych ludzi skarał pan na więzienie i śmierć?

— To już moja rzecz — odparł sędzia wymijająco. — Przystąpmy lepiej do sprawy.

— Proszę bardzo.

— A więc, jak się pan nazywa?

— Na razie „Klawy Janek“.

— Bardzo mi przyjemnie. Ale jak się pan nazywał wówczas, gdy dokonał włamania do banku i zrabował sześćdziesiąt tysięcy dolarów i dziesiątki milionów marek polskich?..

— Nie wiem, o jakie dolary chodzi. Tyle dolarów zrabowałem w życiu, że już nie pamiętam dokładnie wiele, gdzie i kiedy i jakie to sumy. Jeżeli chodzi o marki polskie starałem się je zawsze unikać. Woląłem ustabilizowaną walutę, która na dodatek zajmuje mało miejsca w portfelu, jak naprzykład funty, dolary, franki szwajcarskie..

— Nie wątpię, że pan lubi obcą walutę. Najlepszym dowodem jest hrabina, którą pan obrabował. Tam chyba nie brakło dolarów?..

— Możliwe — odparł „Klawy Janek“. — Niestety, w tej sprawie nie mogę udzielić żadnych informacji. Z zasady przyznaję się tylko wówczas, gdy jestem przyłapany na gorącym uczynku, lub gdy istnieją dowody przeciw mnie. Ale przyznać się do przestępstwa, które pan mnie obecnie zarzuca, na razie nie mam ochoty. Zresztą od czegoż jest urząd śled-

czw?.. Szukajcie dowodów przeciwko mnie, a wów-
czas zobaczymy. Na razie nie wiem nic i nie mam za-
miaru przyznawać się do czegośkolwiek..

Sędzia śledczy podziwiał logikę i odwagę prze-
stępcy. W ciągu 20-letniej praktyki, jako adwokat,
sędzia śledczy, prokurator, sędzia, potem znów sędzia
śledczy, poraz pierwszy zdarzyło mu się słyszeć z
ust przestępcy podobne słowa.

Był tak zaskoczony jego cynicznymi odpowiedzia-
mi, że miał już ochotę kazać go odprowadzić do wię-
zienia i spisać protokół, który skończyłby się dla Jan-
ka karcerem. Nie mógł się jednak zdobyć na taki
krok. „Klawy Janek“ zaimponował mu. Pragnął poz-
nać bliżej psychikę tego przestępcy.

— Nie jest to najlepsza droga — odezwał się
wreszcie do Janka. — Możemy aresztanta długo prze-
trzymywać w więzieniu śledczym. Mamy cierpliwość
i czas.. Poczekamy, aż będziecie sami błagali, aby
was przesłuchano.

— O, to za długo wypadnie panu sędziemu cze-
kać. Nie należę do tych przestępców, którzy najprzód
popelniają zbrodnię, a potem składają petycje do
władz..

— Czyli pan jest niewinny i nie popełnił zarzu-
canych mu przestępstw.

— Tego nie powiedziałem. Jestem winny, ale nie
w takim stopniu, jak to władze uważają.

— To przyznajcie się do tych przekroczeń, do
których się pozuwacie, a dalej zobaczymy.

— Jeszcze się namyślę.

— I ja mam czas — rzekł na zakończenie sędzia
śledczy, zabierając papiery.

— Kiedy znów się zobaczymy? — zapytał „Kla-
wy Janek“.

— To zależy od was. Gdy nabierzecie ochoty
składania zeznań, zameldujecie się do kancelarii. A

wówczas tu przybędę. Nie sądźcie, że milczenie jest najlepszą metodą.

— Sądzę, że najlepszą. Przecież nie obce panu przysłowie: „mowa to srebro, a milczenie — złoto“. A ja tak kocham złoto!

Sędzia śledczy stracił panowanie nad sobą:

— Każę was zakuć w kajdany! Trzymać was będę w odosobnionej celi! Już wam język rozwiążą! I będziecie mi śpiewać jak słowik!..

— Ale na wolności — roześmiał się „Klawy Janek“

Strażnik więzienny, który na korytarzu podsłuchał urywki rozmowy, odprowadzając „Klawego Janka“ do celi, nie mógł opanować śmiechu. „Klawy Janek“ przypadł klucznikowi do gustu, tak że poczęsto wał aresztanta papierosem.

— Z ciebie zuch! — poklepał Janka po ramieniu.

Ledwie zamknęły się drzwi celi za „Klawym Jankiem“, zgrzytnął klucz w zamku i na progu uchylonych drzwi ukazał się inny klucznik.

— Wstąp! — rozkazał Jankowi. I „Klawy“ znów pomaszerował do pokoju sędziego śledczego.

— Posłuchajcie — rzekł sędzia śledczy poważnym tonem — wezwałem was tu, bo wiem, że jesteście człowiekiem inteligentnym. Rozumiecie, że muszę spełnić swój obowiązek. Każdy sędzia śledczy na moim miejscu postawi wam te same pytania. Trzeba, byście udzielili odpowiedzi na te pytania, a wszak tylko wasze odpowiedzi są protokołowane. Jeżeli jesteście niewinni sprawdzimy to. Dołożę starań, by dochodzenie zostało jaknajszybciej zakończone. Niewiadomo zgóry, jaki zapadnie wyrok: możecie prosto z sądu wyjść na wolność.

Ostatnie słowa sędziego śledczego wypowiedział, od

wracając głowę w bok. „Klawy Janek“ pomyślał sobie w duchu:

— Stary wyga!.. Ale trafijes na niewłaściwy adres.. Mnie za język nie polechcesz!..

Ale „Klawy Janek“ jednocześnie powziął decyzję nie bawić się w ciuciubabkę z sędzią śledczym. Myśl o ucieczce z więzienia nie opuszczała go na chwilę. Dla dobra sprawy należało pogodzić się z niektórymi „przykrościami“ życia więziennego.

— Ale co mam panu sędziemu powiedzieć? Proszę stawiać pytania, postaram się na nie odpowiedzieć.

— O, to już co innego! Może zapalicie papierosa?

— Z rozkoszą.

„Klawy Janek“ wziął odrazu kilka papierosów z podsuniętej mu papierośnicy, uśmiechając się przy tym zachowato.

— Krytycznej nocy, kiedy u hrabiny ograbiono kasę, został również zamordowany policjant. Czy nie przypominacie sobie, jaka to była data? — przystąpił sędzia śledczy do ponownego badania.

— Niestety, nie przypominam sobie, panie sędzio. Po raz pierwszy słyszę o tym wypadku, jestem kasiarzem, ale uczciwym — to każdy panu sędziemu powie. Na „mokre“ roboty nie chodzę. Unikam zasadniczo takich wypraw.

— Naturalnie, że wiem o tym. Ale zdarzają się nieraz wypadki, kiedy policjant włazi naraz w paradę i chcąc nie chcąc człowiek popełni zbrodnię.

Przy tych słowach sędzia śledczy przejął Janka ostrym spojrzeniem, jakby chciał go przejrzeć do szpiku kości.

Ale Klawy Janek spokojnie palił papierosa i odrzekł:

— Oho, niejednemu w ten sposób podwinęła się

noga. Wolność u naszych braci to największy dar! A skoro jakiś policjant natrętnie naprasza się na „pulpecik“ to nikt nie ponosi wszak winy. Ale ja o sobiście w mojej praktyce nie miałem takiego wypadku.

Spojrzenia ich znów się skrzyżowały. Sędzia śledczy coś zanotował w papierach i dalej kontynuował badanie:

— Ile czasu upłynęło od waszego ostatniego pobytu w Londynie?

— Co pana obchodzi Londyn? Scotland Yard pracuje dość sprawnie i jak będzie mnie potrzebował napewno odnajdzie moj adres. To czemu pan się troszczy o zagranicę?

— Na was ciąży tyle grzechów, że nie wiem prosto od którego zacząć. Od kilku krajów otrzymałem „ukłon“ Czekają tam na was z rozwartymi ramionami.

— Bardzo mnie to cieszy, że jestem sławny aż na całym kontynencie. Ale mam na to wszystko jedną odpowiedź.

— Mianowicie? — zainteresował się sędzia śledczy.

— Nie mam pojęcia o niczym.

Słowa te wypowiedział „Klawy Janek“ takim tonem, że sędzia był przekonany, że się już niczego nie dowie, póki nie będzie miał przeciwko niemu konkretnych dowodów winy. Spróbował jednak po raz ostatni?

— Jak się nazywają wasi współnicy?

— Miałem tylu współników, że trudno mnie wymienić nazwisko każdego. Zresztą nas nie obchodzi nazwiska, chodzi tylko o to, by był „fachowcem“.

— Więc odmawiacie składania zeznań?

— Przepraszam, ale za te kilka papierosów, któ

rymi mnie pan uraczył, zdaje się, już opowiedziałem dość dużo.

Sędzia śledczy nie mógł już dłużej zapanować nad sobą. Zerwał się z miejsca i zawołał:

— Pierwszy lepszy protokół policyjny wystarczy, by was posłać na szubienicę. Sądziłem, że mam do czynienia z inteligentnym, mądrym złodziejem, który rozumie, że podobne odpowiedzi mogą mu tylko pogorszyć sprawę. Ale omyliłem się.

— Panie sędzio — odezwał się Janek zdecydowanym tonem. — Pan mi zarzuca zbyt wiele przestępstw, bym się mógł do czegokolwiek przyznać.

— Przyznajcie się do tych przestępstw, z powodu których odczuwacie teraz wyrzuty sumienia.

— Wyrzuty sumienia? Ha — ha — ha!.. — parsknął Janek śmiechem. — Mnie mają dręczyć wyrzuty sumienia?... A czy was, sędziów, dręczy kiedyś sumienie? Wie pan, panie sędzio, jakie mam wyrzuty sumienia? Że jestem więźniem i nie mogę hułać na świecie...

Sędzia dał znać strażnikowi więziennemu, by odprowadził Janka do celi.

ROZDZIAŁ XVII

Na dawnym Dworcu Wiedeńskim w Warszawie było rojno i tłoczno. Była to pora odjazdu najważniejszych pociągów, zdążających zagranicę lub do Moskwy, Kijowa i Petersburga. Ruch pasażerów, pędzących z walizkami w rękę, tłok odprowadzających, którzy otaczali najbliższych, głośne rozmowy, czułe pocałunki, okrzyki, oraz łoskot podrzuconych bagaży, to wszystko zlewało się w dziwną symfonię podniecenia i febry podróŜowania.

W tym oto zgiełku i ruchu znaleźli się Antek i Felek. Ale któżby ich teraz rozpoznał. Przeciwnie, wy różniali się eleganckim strojem dżentelmenów.

Na rękach mieli wspaniałe pledy. Odziani w angielskie palta podróżnicze sprawiali wrażenie wytwornych obcokrajowców.

Antek przechadzał się po sali dworcowej, Felek zaś zajął miejsce na jednej z ławek, rzucając dookoła nerwowe spojrzenia. Spostrzegłszy to, Antek, przy mijaniu przyjaciela zbliżył się tak, by móc mu szeptem powiedzieć:

— Mam jeszcze 15 minut czasu. Skoro przyrzekł, że przyjdzie, dotrzyma słowa. Bądź spokojny i nie rzucaj się nikomu w oczy.

Antek znów zaczął przechadzać się po peronie, émiac grube cygaro. Felek udawał, że czyta gazetę. W chwilę później wychudły policjant przystanął obok walizek Felka i zaczął odczytywać nalepki hoteli zagranicznych. Czując na sobie przenikliwe spojrzenie „władzy“ Felek szarmancko i bez zastanowienia zapytał po angielsku:

— Wybacz pan, o której odchodzi express do Paryża?

— O dwunastej trzydzieści — policjant zasalutował, odpowiadając w języku rosyjskim, rozumiejąc dwa słowa z pytania pasażera:

„Paryż“ i „express“.

Felek udawał znów, że nie rozumie mowy postę runkowego, ale podziękował ruchem ręki przy kapeluszu i uczynił kilka kroków w kierunku Antka, który, na widok rozmawiającego z Felkiem policjanta, wolał oddalić się od nich.

— Za trzy minuty pociąg odchodzi — unosił się Felek, gdy stanął przy Antku — a jego wciąż nie ma. Pełno tu policjantów i trzeba tylko cudu, by nie wpaść w jej ręce.

Ale ledwie skończył, spostrzegł kogoś, który mrugnięciem lewego oka dał poznać swoją obecność.

Gdy zajęli we trójkę miejsca w przedziale pierwszej klasy pociągu Warszawa — Berlin, kurier zakotłosał się i ruszył w daleką drogę.

Nowoprzybyły mężczyzna był silnej budowy, wysokiego wzrostu, o eleganckich manierach i uśmiechu, który nigdy nie znikał z jego męskiej twarzy.

Natura wyposażyła go oprócz ładnej prezencji, jeszcze w inne zalety. „Z lepszej strony“ był on znany wśród ludzi nocą prawie we wszystkich częściach świata. Władał dwudziestoma językami. Sześciolatnia kuracja w słynnym więzieniu Sing-Sing w Ameryce dała mu dość okazji do pracy nad sobą. Ale od tam nigdy nie przebywał w więzieniu.

Na pierwszy rzut oka wglądał na mężczyznę lat trzydziestu, ale, po bliższym przyjrzeniu się, można było pochwycić poszczególne srebrne nitki, które przetykały jego ładnie falującą czuprynę. „Ministerialne“ czoło harmonizowało z jego wytworną postacią. Jednym słowem, wyglądał na człowieka, przed którym policjant ustępuje z drogi z respektem...

Urodzony w przyzwoitym domu w małej miejscinie pod Chicago, jako obywatel amerykański miał wszędzie dostęp w charakterze turysty zagranicznego. Z łatwością przenosił się z Warszawy do Nowego-Jorku, z Londynu do Tokio i znów do Berlina.

W świecie podziemi nazwisko jego wymieniane było z wyraźnym szacunkiem. Nie miał przydomka jak to zwykle bywa w świecie przestępczym. Mo że działało się to dlatego, że nigdy nie bawił w jednej miejscowości zbyt długo. Unikał melin, które nienawidził. Znajomości z ludźmi świata przestępczego za wierał bardzo rzadko i to tylko w tych wypadkach, gdy zachodziła konieczność. Jego nazwiska nikt nie znał. Znano go z imienia Moryc.

— Wybaczcie mi, panowie, z powodu małego opóźnienia. Po raz pierwszy w życiu, tu w Warszawie byłem niepunktualny — rzekł Moryc, gdy tylko usiedli w wagonie. — Ale gdy wam opowiem powód spóźnienia, otrzymam napewno wasze rozgrzeszenie.

Ze zwykłym uśmiechem na ustach, rozmówca wyciął z kieszeni wypchany portfel, który w pośpiechu przeglądał. W pewnym momencie wyciągnął brylantowa kolia i zawołał zadowolony:

— Oho, prawdziwy klejnot, opłacało się. Portfel — także, daj Boże zdrowie. Gdy bawiłem w waszej Warszawie na Nalewkach w pewnym składzie manufaktur nieźle się obłowilem, a teraz na dworcu, tuż przed wyjazdem także wcale dobrze mi się powiodło. Gościńca w Warszawie opłaciła się. Kochane miasto — roześmiał się.

Moryc zasłonił okno przedziału firaneczkami, po czym silnym ruchem ręki przeciął ostrym nożem obicie miękkiej ławki na której siedział i „zatopił“ pod pluszem portfel z kolia. Spostrzegłszy zdziwienie współników, wyjaśnił im:

— To jest mój wielokrotnie wypróbowany sposób ukrywania niewygodnych rzeczy. Nawet w razie nieszczęścia, przy wstępie, nigdy konduktorom nie wpadnie na myśl przetrząsanie wyścielanych ławek kolejowych. Dopiero później, na końcowej stacji, wymuję „bagaż“ i idę sobie z Bogiem..

— „Klawy Janek“ ma złote ręce. — ciągnął dalej Moryc. — Gdy tylko się dowiedziałem w Londynie, że „siedzi“ wsiadłem do pierwszego pociągu i przbyłem do Warszawy. Taki ptak jak on, musi być wolny!.. Każdy dzień, który on spędza za kratkami to kolosalna strata dla wszystkich złodziei.

— Naturalnie. — zawołał Antek. — Za takiego frajera jak Janek warto pójść w ogień i wodę.

— Oczywiście — dodał Felek. A jednak popełnił

on wielki błąd. Po dzień dzisiejszy pojąć nie mogę, co się z nim stało u hrabiny.

— W życiu się wszystko zdarza — zauważył Moryc flegmatycznie. — I mnie się przytrafiły takie rzeczy, że się wprost wstydzilem samego siebie. Nasz fach złodziejski jest pełen tajemnic i niespodziewanych przypadków na każdym kroku. Tu nie można być mądrym.

Antek i Felek z zachwytem wchłaniali jego słowa.

— Już wszystkiego próbowałem — opowiadał dalej Moryc — Rozpocząłem praktykę od kolei podziemnych u nas, w Ameryce. Mam lekką rękę; powodziło mi się dobrze. Wycinanie kieszeni przychodziło mi z większą łatwością, od przepołowienia jabłka. Ale z biegiem czasu przekonałem się, że to mi nie da nagatku. Po wtóre przykro mi było ciągle okradać proletariuszy, którzy jeżdżą tramwajami i kolejami podziemnymi. Businessmani, bankierzy, fabrykanci, dyrektory jeżdżą własnymi luksusowymi limuzynami. Do ich kieszeni nie tak łatwo się dostać. Miałem zawsze większe ambicje. Marzyłem o tym, by się raz grubo obłowić, — a po tym odpocząć, zwiedzić świat.. Jestem pewny, że gdybym nie został złodziejem, byłbym albo bankierem albo szefem policji kryminalnej. Te oba zawody pełne są tajemnic i hazardu, bez czego nie mógłbym żyć.

— A „mokra robota“ zdarzyła ci się kiedykolwiek? — zapytał Felek zaciekawiony.

— Wszystko, tylko nie to! Tfuj! — splunął. — Nie znoszę krwi. Zabijanie ludzi — to nie mój fach. Jestem zawsze džentelmenem..

— Ale nasze warszawianki potrafią nie gorzej wyróżniać portfele od ich amerykańskich siostrzyczek — zauważył Felek.

— Tę sztukę znają wszystkie kobiety na całym świecie — odezwał się Moryc. — Gdy byłem w Indo-

Chinach pewna nawpół dzika małajka tak mnie na-
ciągnęła, że zanim jeszcze zdążyłem się obejrzeć, by-
łem już ogołocony. Tylko, że warto było; tak pięk-
nej kobiety nie widzieliście napewno w życiu. Piękne
kobiety i funty angielskie, to dwie najpotężniejsze si-
ły, które kierują mną w życiu. Moje sześć lat ciężkich
robót w więzieniu Sing-Sing mam też im do zawdzię-
czenia...

— Powiedz mi Moryc — wtrącił się Antek do
rozmowy — jakie wrażenie wywarła na tobie narzeczona
na „Klawego Janka?“...

Moryc zamyślił się na chwilę. Zwykły uśmiech
znikł z jego twarzy.

— Tak, jest to rzadkiej urody kobieta. Gdyście
wówczas przyszli z nią na umówione miejsce, nie mo-
głem się nadziwić jej piękności. Jakimi rzewnymi
łzami błagała mnie bym go ratował. Jak ona go gorą-
co kocha! Wicie co mi An-ela powiedziała?

— Co? — zawołali obojaj jednocześnie.

— Oświadczyła, że jeżeli Janek nie będzie wolny
do pierwszego czerwca, popełni samobójstwo.. Wy-
czytałem z jej twarzy, że to nie czeza pogróżka. Da-
łem jej słowo, że, do wyznaczonego przez nią terminu
Janek będzie na wolności.

Moryc wychylił duszkiem kieliszek koniaku i
dodał:

— Jednego tylko pojąć nie mogę, jak Janek
wpadł w ich ręce.

— I my tego nie rozumiemy. Przysięgłbym, że to
jeden z „naszych“ go „zakapował“ — zawyroko-
wał Antek. — Nie wiem tylko kto.

— Tak, i nas w Ameryce nie brak „kapu-
siów“. Gdyby nie oni, nigdybym nie zakosztował sma-
ku więzienia. Z policją można sobie dać radę.

— Gdy odsiadywałem karę w więzieniu berliń-
skim, — rozpoczął opowiadanie Antek, — zaprzyjaź-

niłem się z pewnym aresztantem, niejakim Krygiem który od pierwszej chwili przypadł mi do gustu. Był to morus pierwszej klasy. Wydobyć od niego słowo było trudniej, niż pieniądze z kasy ogniotrwałej. Był tak silny, że żelazne bransolety, pod naporem jego mięśni, pękały niby szkło.

— No, no, zaczyna być ciekawe, — przerwał Moryc.

— W warsztatach więziennych — ciągnął dalej Antek, — pracowało nas około trzydziestu osób. Siedzieliśmy dokoła dużego, okrągłego stołu i pracowaliśmy bez wytchnienia, nie wypuszczając pary z ust. Po środku zajmował miejsce nadzorca więzienny, który wszystkim miał na oku. Cmił swoją fajkę i od czasu do czasu mruczał coś pod nosem, niby zły pies. Był to typowy Niemiec, który niby automat, przestrzegał przepisów więziennych mających na celu uprzykrzenie więźniom życia. Był istotą bez serca. Za najmniejsze poruszenie ustami spisywał natychmiast raport za co karano surowo.

— Dokładnie w dwa tygodnie po osadzeniu mnie w więzieniu — kontynuował Antek — wybuchła wojna. Odczuliśmy to w osobliwy sposób na własnej skórze. Zredukowano nam wikę do połowy, a potem z dnia na dzień zmniejszano porcje. Roboty natomiast przybyło, tak że pracowaliśmy na trzy zmiany dniami i nocami. Pudełka do różnych leków i inne wyrobki potrzebne były dla wojska. Nadzorcy, stali się wymagającymi. Najgorszy los spotkał więźniów, którzy mieli obywatelstwo krajów będących na stopie wojennej z Niemcami.

Pewnego dnia zasiadłem do pracy, wygłodniały, bezsilny. Zapach świeżo zgotowanego klajstru drażnił mi nozdrza. Przypomniła mi się zapach makaronu. Nie mogłem dłużej wytrzymać. Schwyciłem misę klajstru i zanurzyłem w niej twarz. Nadzorca zerwał

się z miejsca, i zaczął okładać mnie kijem. Ale nie zważałem na nic. Nie wypuszczałem miski z rąk, aż jej zawartość nie powędrowała do mego żołądka.

Za zbrodnię tę ukarano mnie karcerem. Okazało się, że Niemcy i zaczęli na ewentualny „apetyt” więźniów, dodawali specjalnego proszku chemicznego do kłajstru, który wywoływał torsje. Skowytałem z bólu, błagając o lekarza. Grube, wilgotne mury karceru nie przepuszczały mych jęków..

Gdy ból puścił, zainteresowałem się tajemniczym pukaniem, do mojej celi. Znałem alfabet, jakim porozumiewali się więźniowie i odcyfrowałem co następuje:

„Dzień dobry, przyjacielu. Nachyl się do centralnego ogrzewania, do rury, która biegnie tuż obok asfaltu, pod oknem po prawej stronie..“

Przyłożyłem ucho do rury i usłyszałem głos, jakby dochodzący z pod ziemi.

„Jak się nazywasz, bracie? Za co powędrowałeś do karceru?“

Opowiedziałem mu historię z kłajstrem.

Sądziłem, że wykpi moją przygodę, ale ten milczał przez chwilę, po czym zawołał wściekły:

„Sadyści!“.

Więcej nie rozmawiał ze mną. Napróżno pukałem do niego i wzywałem. Zbywał mnie krótkimi odpowiedziami: „Tak“ lub „nie“.

Następnego dnia zaprowadzono nas obu do łazni więziennej. Ujrzałem przed sobą mężczyznę atletycznej budowy, lat około trzydziestu pięciu.

Ukradkiem zamieniliśmy się kilkoma zdaniem, a potem, gdyśmy wrócili każdy do swego lochu, wznowiliśmy pogawędkę przez rurę. Przypadłem mu do gustu. Krywier opowiedział mi, że jest obywatelem rosyjskim rodem z Łodzi. Okazało się, że mamy wspólnych znajomych i że znał również „Klawego

Janka". Jedno mnie tylko dziwiło: gdy tylko naprowadziłem rozmowę na temat ucieczki, natychmiast zmieniał przedmiot rozmowy. Na trzeci dzień, leżąc na twardym posłaniu, usłyszałem naraz hałas, dochodzący z karceru Krygiera. Neteżyłem słuch, ale grube mury nie pozwalały pochwycić słowa. Przez cały dzień pukalem do niego, wzywałem — Krygier nie odpowiadał. Wieczorem przetransportowano mnie do innej celi — na drugi oddział. Gdy po siedmiu dniach karceru wróciłem do swej celi, dowiedziałem się, że Krygier zwiął. I tak minęło wiele lat, a z Krygierem się nie spotykałem. „Klawy Janek“ opowiadał mi tylko, że Krygier jest jego najlepszym przyjacielem i uchodzi w Europie za króla kasiarzy. Nie ma na świecie więzienia, z którego Krygier nie potrafiłby zbiec. We wszystkich jego przedsięwzięciach i ucieczkach pomagała mu jego żona, kobieta niezwyklej urody, z zawodu aktorka filmowa.

Antek odsapnął, poczym mówił dalej:

— Przed kilkoma tygodniami spotkałem się przypadkowo z jednym z dawnych współników, który przybył z zagranicy. Poprosiłem go o pożyczkę. Nie odmówił. Zapytał tylko ile mi trzeba. A gdy mu opowiedziałem, że nie zarabiam, gdyż „Klawy Janek“ zo stał uwięziony, zaproponował mi robotę

— Uchwyciłem się propozycji obiema rękami, zaзначиłem mu tylko, że mam starego współnika w osobie Felka.

— Nie szkodzi. Starczy dla wszystkich — odrzekł krótko.

Umówiliśmy spotkanie na szóstą wieczór na rogu Nowego - Świata i Krakowskiego Przedmieścia. Stawiliśmy się punktualnie. Nie czekaliśmy długo, gdy przed nami zatrzymała się taksówka. Kolega dał nam znak ręką, byśmy wsiadli. Auto pomknęło dalej..

Ogółem było nas sześciu. Podczas jazdy nikt nie odezwał się ani słówkiem. Dziwiło mnie to milczenie, więc w końcu zapytałem:

— Hipku, dokąd nas wieziesz?

— Bądź spokojny, — odparł. — Nie jesteś 18-letnią panną. Nie uprowadzę cię.

— Na obróbkę kasy trzeba jechać aż za miasto? Co to ma znaczyć?

Hipek wybuchnął śmiechem.

— Stałeś się dziwnie nerwowy i ciekawy. Siedź i milcz! — zawołał stanowczo.

Felek miał już ochotę wskoczyć z taksówki. Z trudem go utrzymałem. Ale muszę przyznać, że i mnie się ta sprawa wydawała podejrzana.

— Kto wie, co tu się kryje? myślałem sobie w duchu. W dzisiejszych czasach wszystko jest możliwe. Może Hipek został agentem policji? Jego dwaj koledzy również nie wzbudzali zaufania. Twarzy szofera wogóle nie mogłem dojrzeć.

Po dwu godzinach strachu zatrzymaliśmy się wreszeie. Wysiedliśmy. Szofer pozostał w taksówce.

— Idziemy! — zawołał Hipek. — Czemu macie takie miny, jakgdyby was prowadzono na szubienicę?

— Powiedz, dokąd nas prowadzisz? — zawołał Felek.

— Czyż nie mówiłem. Mamy „obrobić“ kasę.

— A gdzie masz narzędzia? — zapytałem, widząc, że nie mają ze sobą paczek.

Wszyscy trzej, jak na komendę, wydobyli po dwa rewolwery z kieszeni.

— Oto nasze najnowocześniejsze narzędzia — odparł z tryumfującą miną i wszyscy trzej parsknęli śmiechem.

— Cóż to za komedia?..

— To nie komedia, bracie! — odparł Hipek po-

ważnie. — Tej nocy „obrobiny“ bogatego obszarnika i bankiera, który dziś urządza przyjęcie w pałacu.

— Napad rabunkowy?

— Oczywiście. To najłatwiejsza droga do bogactwa. Poco mam się skradać, aby mnie serce drżało, kiedy lepszy jest napad zbrojny, by tamtemu serce waliło.

— Po to nas zabrałeś? — zawołał Felek oburzone. — Wiesz wszak, że nie nadajemy się do podobnej roboty..

— Przekonam was, — odparł spokojnie Hipek, — że łatwiej być „bandziorem“ niż kasjarzem.

— Za to grozi kara śmierci. Nie, za nie w świecie nie wezmę udziału w podobnej wyprawie!

— Rewolwery w rękach naszych współników przekonały nas, że nie ma rady — opowiadał dalej Antek. — Rozumiesz, Moryc, że w podobnych okolicznościach można od najlepszego przyjaciela dostać w łeb. Poszliśmy.

A w pałacu zabawa szła w najlepsze. We wszystkich oknach płonęły światła. Taksówka, którą przyjechaliśmy posuwała się za nami i zatrzymała w pobliżu pałacu. Z lasku wybiegła grupa złożona z ośmiu osób i przyłączyła się do nas. Wszyscy byli uzbrojeni w rewolwery, jakdyby wybierali się na wojnę.

Przedostaliśmy się do pałacu jako zaproszeni goście. Zasiadliśmy do stołów. Po upływie kilku minut zgasło światło... Zanim goście zorientowali się, co zaszło, oślepił ich światłem latarek elektrycznych. Przy każdym dwóch krzesłach stanął jeden z naszych ludzi z rewolwerem w ręku. „Ręce do góry“! — padł okrzyk, który przejął zgrozą zgromadzonych.

Hipek i jego towarzysze wypróżnili pugilaresy ze branych panów, po czym zabrali się do biżuterii pań. Nie oszczędził nawet obrączek ślubnych.

— Fe, to już nie po dżentelmeńsku, — zauważył Moryc. U nas w Ameryce bandyta musi przede wszystkim być dżentelmenem. Ale gdzie wam, europejczykom, do naszej kultury! — machnął Moryc lekceważąco ręką.

— Dlatego mamy też mniej bandytów — bronił się Antek.

— Ale odbiegamy od tematu — zauważył Moryc zaintrygowany. — Opowiadaj dalej.

— Zamknęliśmy wszystkich w jednym pokoju, a Hipek uprzedził „towarzystwo“, że gdyby który z nich próbował wzywać pomocy, podpali pałac.

Wszystko poszło, jak po maśle. Ale gdyśmy opuścili pałac jeden z gości zawołał na mnie po imieniu. Zbladłem. Hipek obejrzał się niespokojnie i polecił kamratom zabrać gościa ze sobą i pilnować nas obu jak oka w głowie. Wsiadliśmy do auta. Taksówka pomknęła z gwałtowną szybkością.

Była ciemna noc. Zatrzymaliśmy się w lesie. Hipek który przez całą drogę mileżał, rozkazał nam wysiąść i skierować się wraz z kamratami do lasu.

— Co to ma znaczyć? — zapytałem wystraszony.

— Zaraz się dowiesz — odparł Hipek groźnie, Skolei zapytał zatrzymanego gościa: „Skąd go znasz?“ Ten odwrócił się do mnie i, patrząc mi prosto w twarz, rzekł:

— Jestem Krygier! Poznajesz mnie?

— Krygier! — zawołałem uradowanym głosem i padliśmy sobie w ramiona.

Hipek nie był zadowolony z tego spotkania. Miał ochotę nas obu zakałtrypić. Ale nazwisko Krygiera było zbyt popularne w świecie podziemnym, by się zdecydował na coś podobnego. Krygier opowiedział nam, że przed niedawnym czasem nabył w tej miej-

scowości majątek ziemski i uchodzi w okolicy za boga tego Amerykanina.

Skończyło się na tym, że podzieliliśmy łup na różne części. Upředzić, oczywiście, zwróciliśmy Krygierowi zrabowane mu dziesięć tysięcy dolarów. Wszyscy goście w pałacu byli przekonani, żeśmy zamordowali Krygiera. — zakończył Antek opowiadanie.

Pociąg zbliżał się do Poznania.

— No, chłopcy, czas się zbierać, — rzekł zadwolony Moryc, zapalając cygaro. — Podróż minęła nam bardzo mile. Oby się tylko nam dalej tak wiodło... Jak się nazywa narzeczona Janka?.. — zapytał naraz.

— Aniela — odparli Antek i Felek jednocześnie.

— Ale ona jest naprawdę anielsko ładna, Warta grzechu...

— Szkoła gadać. Nic u niej nie wskórasz.

— Przekonamy się — uśmiechnął się Moryc pewny siebie.

Poznań. Pasażerowie w pośpiechu wysiadają z pociągów. A wśród nich wolnym krokiem posuwają się z oddzielną nasą trzej behaterowie. Za nimi postępuje elegancka pani, ubrana w kostium sportowy ze srebrnym lisem. Mijając ich kobieta rzuca słówko — nazwę hotelu, dokąd mają zajechać.

Nasza trójka szybko wsiada do taksówki, każąc się wieźć do umówionego hotelu. Elegancka niewiasta wsiada do następnego wolnego auta i podaje nazwę tegoż hotelu. Każdy z nich zajmuje oddzielny pokój.

Gdy wszyscy zebrali się w pokoju Amerykanina, Moryc zapytał elegancką panią:

— Jak przedstawia się sprawa? Trzeba się zabrać do roboty.

Ale młoda kobieta zwiąsła ze smutkiem głowę.

— Co się stało?

Elegancka niewiasta westchnęła ciężko, po czym wyjęła z torebki list i położyła go na stole.

Ręce trzech kompanów wyciągnęły się jednocześnie w stronę listu. Antek przeczytał na głos:

„Koledzy! Mamy dokładne informacje, że planujecie zamach na tutejszy bank. My, jako fachowcy, powinniśmy wam życzyć powodzenia. Niestety, jednak musimy was ostrzec, byście się nie ważyli w naszym mieście na konkurencję. Nie chcemy cierpieć za grzechy innych. Życzymy wam powodzenia gdzieindziej. Jeżeli można coś zarobić w banku to mamy pierwszeństwo. Potrafimy to nie gorzej od was... Bądźcie zdrowi i nie paskudźcie nam pod nosem Swoi...“

— Tego się nie spodziewałem! — zawołał zgorzszony Morvc.

— Kiedy otrzymałaś list? — zapytał Antek.

— Wczoraj, gdy wracałam z kina do domu, ktoś wsunął mi ten skrawek papieru. Dodał też, bym się miała na baczności, gdyż policja ma mnie na oku...

— Jak mogliście zaufać tajemnicy kobiecie? — czynił Morvc współlakom zarzuty.

— Mimo, iż jestem kobietą, potrafię lepiej dochować tajemnicy od mężczyzny.

— Ona jest niewinna! — zawołali jednocześnie Antek i Felek.

— Więc czuja to wina? — nie przestawał złorzeczyć Morvc. — Wstaliście ją na dwa dni wcześniej. Tak długo się kręciła po kinach, restauracjach, lokalach, aż ściągnęła na siebie uwagę...

— Jeszcze mogą usłyszeć — zwróciła mu kobieta uwagę. — Pan się za bardzo złości dżentelmenie amerykański. Do tutejszego hotelu zajeżdżają cudzoziemcy i znają język angielski nie gorzej od nas.

Moryc aż zsiniał ze złości. Podeszedł do niej bliżej i spojrzał prosto w oczy.

Niewiasta uśmiechnęła się ironicznie, zмирzając go od stóp do głów. Antek i Felek spoglądali na siebie zdziwieni. Nie wierzyli, że flegmatyczny Moryc potrafi się tak unosić.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi.

Wszyscy stanęli jak wryci, spoglądając na siebie ze strachem. Młoda kobieta uśmiechnęła się tylko i otworzyła drzwi. Do pokoju wszedł portier.

— Poproszę o dowody osobiste — rzekł uprzejmie.

— Proszę bardzo.

Wszyscy wręczyli mu dokumenty. Portier skłonił się i wszedł.

Dopiero teraz wybuchnęli śmiechem.

— Siadajcie! — rozkazała młoda kobieta. — Mówię wam, że można nas podsłuchać. Wszak portier w tym hotelu rozmawia po angielsku. Mam wam jeszcze coś do powiedzenia. Tylko, proszę bez nerwów. Wiecie kogo spotkałam tu, w Poznaniu? — rzekła młoda niewiasta tajemniczym tonem.

— Kogo? — zapytali wszyscy trzej jednocześnie.

— Adolfa Krygiera!

— Krygiera? — zerwał się Antek z miejsca.

— Tak. Autentycznego Krygiera. Mieszka w Poznaniu.

— Dziś właśnie opowiadałem Morycowi o nim. Muszę się z nim zobaczyć.

— Pozostawcie bank kasjarzom poznańskim — radziła kobieta — opracowaliśmy z Krygierem lepszy plan.

— Jaki lepszy? — zapytali wszyscy trzej.

— Sto razy lepszy. Pokażę waszemu Amerykaninowi, co my, kobiety potrafimy.

— Zależy kiedy — zauważył Moryc ironicznie.

— Nie tylko w tej sytuacji, którą pan ma na myśli. Widziałam wasze zachowanie się, gdy portier zapukał do drzwi.

Moryc spojrzął na nią z zainteresowaniem. Kobieta zaczynała mu się wyraźnie podobać.

— Teraz odrocznicie! — rzekła kobieta rozkazującym tonem — a po obiedzie pokaże wam Regina co potrafi. Żegnaj!

Z tymi słowami opuściła pokój.

Postawa Reginy wydawała się wszystkim dziwnie zagadkowa. Antek i Felek poraz pierwszy słyszeli z jej ust tak zdecydowane słowa. Była zawsze posłuszna i nigdy nie okazywała podobnej zuchwałości, jak dziś.

— Nie ufam tej kobiecie — rzekł Moryc. — I z wami i z Krygierem też nie jest jasna sprawa..

— Co znaczy? — zawołał Antek.

— Na razie nic. Ale w życiu, szczególnie w naszym „fachu“, wszystko jest możliwe..

— Co masz na myśli?

— Obawiam się, by nas tu nie zaaresztowano.

Ludzie podziemi zwykli podejrzewać siebie nawzajem, nawet gdy chodzi o najlepszego przyjaciela. Leżąc na posłaniach jeden podpatrywał drugiego, a w myśli każdy z nich opracowywał plan osobistego bezpieczeństwa.

A nade wszystkim górowała myśl, że istnieją jeszcze na świecie kobiety, wódka, policja, agenci, konfidenci i... więzienia.

Nie mogli jednak zasnąć, jakgdyby leżeli na rozżarzonych węglach. Głośniejszy dzwonek tramwaju, gwałtowniejszy sygnał auta, donośniejsze wołanie dorożkarza napinały ich nerwy, nie pozwalając zmrużyć oka. Ogarniał ich niepokonany lęk.

A obok straszliwych wizyj, przed oczyma Moryc

ca stawał obraz urodziwej Anieli, która ze łzami w oczach, błagała go o ratunek dla Janka..

Zmysłowy, zadowolony uśmiech zakwitł na twarzy Morvca, ale znikł natychmiast. Nie chce myśleć o Anieli. Nie znosi kobiet. Długie lata, które spędził z winy kobiety w więzieniu Sing - Sing zakorzeniły w jego psychice nienawiść dla rodu niewieściego. A jednak..

Po zniknięciu postaci Anieli, jakby przez mgłę zaczęła się wyłaniać w jego wyobraźni postać Janka. Widział go złamanego, zakutego w kajdany, błagającego o pomoc. Przypomnił sobie dni „szczęścia i nędzy“, jakie spędzili razem w czasie trwania wiernej spółki. Moryc uświadomił sobie teraz po co przybył do Polski i zimny pot oblał go od stóp do głów. „Kto wie — prześladowała go myśl — co mnie tu czeka.. Przybyłem tu by ratować, a zdaje się, że sam dostanę się w pułapkę. Tutejsi przestępcy nie podobają mi się. Są zbyt naiwni, a ich mózgi pracują ospale. To nie ludzie interesu, jak my „Amerykanie“..

I znów wypłynął w jego wyobraźni obraz Anieli. Pragnął mieć ten obraz jaknajdłużej przed oczyma. Przeszywał go dreszcze.. „Musi być moja!“ — wyrывa się nagle z jego piersi. Ale wnet skarcił same go siebie: „gdzie twój honor złodziejski?.. Wszak to narzeczona Janka! Nie.. My, Amerykanie, nie jesteścieśmy tacy podli..

Zmęczony, wyczerpany zasnął z nawpół przymkniętymi oczyma. A we śnie dręczyły go koszmarne wizje.

ROZDZIAŁ XVII

„Klawy Janek“ zrezygnował już niemal z ucieczki. Jego dotychczasowe doświadczenie pod tym względem i plany ułożone w czterech ścianach celj okaza-

ty się bez wartości. Dniami i nocami Janek myślał. Kombinował, szukał różnych dróg — w końcu musiał przyznać, że pomysł jego są nie do urzeczywistnienia. Władze więzienne miały go dobrze na oku. Cella, w której go zamknięto, znajdowała się akurat na *vis a vis* punktu obserwacyjnego, umieszczonego na wysokim murze ogrodzenia, gdzie dniami i nocami czuwała warta.

W nocy Janek obserwował w tajemnicy, jak warta spełnia swój obowiązek. Szczególnie śledził, za chowanie się posterunku podczas silnej ulewy w ciemną noc..

Ale im więcej badał, tym bardziej się przekonywał, że tym razem pozostanie już w celi więziennej na zawsze.

Sędzia śledczy odwiedzał go niemal codziennie, zarzucając mu coraz to nowe przestępstwa i zbrodnie. Widział, że oplata go coraz gęstsza sieć, z której nie ma ratunku..

Myślał już nawet o popełnieniu samobójstwa, ale pamięć o Anieli powstrzymywała go od desperackiego czynu

Tak mijał dzień za dniem. Upływały tygodnie i miesiące, a „Klaww Janek“ miotał się, jak wściekły pies w czterech ścianach grobu za życia, godzinami dyskutując z samym sobą. Każdy dzień wydawał mu się wiecznością. Doszło nawet do tego, że cieszył się, gdy sędzia śledczy swoimi wizytami urozmaicał mu czas, upływający w osamotnieniu.

Nieraz wydawało mu się, że sędzia śledczy jest prosto uzdolnionym kryminalistą, obdarzonym talentem literackim i przychodzi jedynie po to, by mu odczytać prace, czekając na jego „Klawego Janka“ ocenę.

Razu pewnego, natychmiast po obiedzie, gdy sędzia śledczy wezwał go do siebie i rozpoczął odczyty-

wanie nowego „dzieła“ Janek nie wytrzymał i parsknął takim śmiechem, że kilku urzędników się zbiegło: sądili, że więzień postradał zmysły. Tego dnia przesłuchanie przeciągnęło się na długo po „apelu“, kiedy to więźniowie muszą się natychmiast układać do snu. Gdy Janek wrócił do celi, był tak znużony, że nie tknął nawet „kolacji“, którą pozostawiono dlań w menażce.

Bezsilny, złamany fizycznie i duchowo zasnął twardym snem i nie słyszał nawet „kontroli“ którą każdej nocy dokonywano włącznie w jego celi.

Gdy leżał pogrążony we snach, poczuł naraz ciężką rękę na ramieniu. Nie zbudził się jednak, tylko przewrócił na drugi bok. Dostał jeszcze jednego szturchańca. Janek gwałtownie usiadł na posłaniu. Ktoś szepnął mu do ucha. Janek wybaluszył oczy. Te raz dopiero odzyskał świadomość.

— Sz... cicho!.. zasłonił mu usta ręką nieznanymi, ubrany w mundur strażnika więziennego.

„Klawy Janek“ schwycił go za rękę, jakgdyby się chciał przekonać, czy to sen, czy prawda.

— Sz.. Cicho!..

Janek poczuł, że przybyły wsuwa mu do ręki paczkę..

— Bądź ostrożny!.. Zabierz się jeszcze dziś do roboty — ostrzegł go po raz drugi głos strażnika po czym przybyły szybko znikł z celi, zamykając za sobą drzwi.

Przez chwilę Janek siedział nieruchomo z paczką w rękę, nie rozumiejąc jasno co się dzieje. Naraz zerwał się z posłania. Jednym skokiem wdrapał się na wysokie okno i przy świetle ulicznej latarni elektrycznej sprawdził zawartość paczki..

Serce waliło mu, niby młotem. z nadmiarem radości, gdy poczuł w rękach zimną stal brauning. Małe zawiniątko kul rewolwerowych zrodziło w nim ty-

Ie nadziei, że omal nie krzyknął ze szczęścia. Chciało mu się tańczyć, krzyzczeć, płakać, szaleć, gdy ponadto znalazł w paczce kółka „włosów angielskich” do przecinania kręty.

Jeszcze bardziej zdziwił go widok skrawka papieru, do którego była przyklepiona mała fotografia.

Wbił wzrok w zdjęcie i nie mógł uwierzyć własnym oczom: trzymał w ręku podobiznę Aniela.

„A więc nie zapomniała o mnie” — powtarzał w duchu wielokrotnie te słowa. I łzy wzruszenia potoczyły mu się z oczu na wizerunek ukochanej, którą namiętnie obsypywał pocałunkami.

Odwrócił fotografię i odczytał umieszczony tam napis.

„W chwilach rozpacz i beznadziejności wspomnij o mnie!

Twoja Aniela!”

Natężył wzrok, by przy bladym odblasku światła odczytać tekst tajemniczego grypsu przyklepionego do podobizny. Charakter pisma był nader wyrazisty, jakby złożony był czeionkami drukarskimi. Nie pisała tych słów jego Aniela, to nie był jej charakter pisma. Autor tego listu jakby zgóry świadom był słabego oświetlenia celi więziennej.

Wypadki, które teraz następowały z tak błyskawiczną szybkością, były tak oszałamiające, że „Klawy Janek” tracił panowanie nad sobą. Z nadmiaru radości zapomniał o środkach ostrożności, i począł odczytywać liścik na głos:

„Kolego! Niech żyje wolność!.. Jużro w nocy masz być gotów do ucieczki. „Zrób” kratę, lub kaber. Na straży na vis a vis twego okienka, stac będzie blatny mę”, zresztą ten sam, który ci to wszystko wręczył.

Na rogu, po prawej stronie, w kącie, nad pa-
kanem, zwiśać będzie wąż.

Nasz parol brzmi: Mars.

Czekamy..“

Ale oto rozległy się echa ciężkich kroków straży więziennej. Te pełne trwogi uderzenia wyrwały go momentalnie z ekstazy, w którą popadł. W mgnieniu oka runął na postanie i naciągnął na głowę koc. Jego wyostrzony słuch podchwycił szmeru u drzwi celi. Serce omal nie pękało mu z przerażenia. „Zagalopowałem się“ — karecił siebie teraz w duchu, ścisnąc w gorącej dłoni zimną stal browningu.

Kroki „menty“ poczęły się oddalać od jego drzwi, bo zapewne chodziło tylko o kontrolę zamka. Odetchnął z wielką ulgą. Teraz mógł rozważniej obmyśleć, co ma uczynić.

„Nigdybvm w życiu nie pomyślał, że z tego Kowalskiego przekupna dusza — rozmawiał Janek z samym sobą. — Uważałem go za najsurowszego klucznika. A tu naraz..“

Ale już po chwili „Klawy Janek“ potrząsnął silnie głową, jakby chciał odpędzić od siebie niewłaściwe rozmyślanie. Musiał teraz skoncentrować uwagę na

planie ucieczki.

W ciemnościach tulił do siebie podobiznę Anieli, u której szukał teraz poaniety i odwagi w wykonaniu ryzykownego przedsięwzięcia. A wszak teraz decydują się jego losy: śmierć, albo życie, wolność, albo powolne konanie, do czasu wyznaczenia egzekucji..

Ach, gdyby mógł teraz tak odrazu zahrać się do roboty! I żeby tak nie trzeba było czekać do jutra w nocy!

Minuta wydawała mu się teraz wiecznością.

Echa donośnego chrapania więźniów napelniają-

cego gmach więzienny drażniły jego napięte nerwy i wytracały z równowagi.

Na nic nie przydało się nad słuchiwanie, czy strażnik więzienny nie stoi gdzieś w pobliżu, czy nie posuwa się bezszelestnie w gumowych pantoflach. Głośne chrapanie zagłuszało te ledwie dosłyszalne szmerki.

Cicho i zwinnie Janek wślizgnął się, niby wąż, w górę, do zakratowanego okna; ostrożnie zbadał całość i szukał „rozwiązania”: od którego miejsca rozpocząć pracę. Nerwowo biegały jego palce po ciemnej kracie, próbując ich siłę wytrzymałości. Wreszcie doszedł do wniosku, że najlepiej będzie, gdy zacznie podpiłowywać kratę od dołu, gdzie krata wchodzi w szeroką żelazną sztabę. Jako fachowiec wykombinował tak, by kratę trzeba było piłować tylko w jednym miejscu i to w ten sposób, by wewnątrz celi miejsce piłowania było niewidoczne.

Znów rzucił się na posłanie, uprzednio „zatopiwszy” rewolwer w sienniku. Na szczęście ubiegłego dnia przeprowadzono gruntowną rewizję w jego celi. Był spokojny i wierzył, że tak prędko drugiej rewizji nie dokonają. Ufał, że broń może „przemelinować” w sienniku.

Najbardziej podniecała go myśl zabezpieczenia podpiłowanej kraty, by nie została spostrzeżona przez „menty” w czasie kontroli..

Po upływie pewnego czasu Janek znów ześlizgnął się ze swego łóża. Nad słuchając przez dłuższą chwilę, nabrał przekonania, że w miarowym chrapaniu więźniów kryje się spokój w więzieniu. Zabrał się do wypróbowania „włosu angielskiego”. Umiął się świetnie obchodzić tym narzędziem. Towarzystwo jego nie zapomnieli nawet założyć mu kawałka fluszu. Nasmarował uprzednio miejsce, które miało być „operowane” i przystąpił do ryzykownego dzieła.

Otulony w czarny koc, by nie być spostrzeżonym z zewnątrz celi, z największą zreżnością i bezszelstnie zatapiał „włos angielski“ coraz głębiej w kratę.

Ale naraz z korytarza dobiegły go raptowne kroki. Odniósł wrażenie, jakby twardym butem deptano po jego głowie. Serce rwało się i pękało ze strachu. Nie mógł uczynić najmniejszego ruchu. Skamnieł. A kroki stawały się coraz donośniejsze, szybsze..

Kurczowo trzymał się parapetu okna. Ledwie zdążył oderwać rękę od nadpilcowanej kraty, gdy wtem silne uderzenie rozległo się pod jego drzwiami.

Ileż to takich tajemniczych wypadków naliczyć można w więzieniu? Wystarczy, by gdzieś w celi więziennej ktoś uderzył nieostrożnie w mur, a sąsiad w drugiej celi staje przed zagadką, i jego fantazja zaczyna usilniej pracować... Albo niech więzień przez nieostrożność w czasie snu nogą wywróci stółek, na którym układa się odzież, a odgłos huku wprawia wszystkich w stan podniecenia.

Janek wnet się uspokoił i zabrał do kontynuowania rozpoczętej pracy. Zamienił „włos angielski“ trzymany w rękę na inny, świeży i ostrzejszy. Coraz głębiej wrzynał się „włosem“ w metal, niby w twardy ser szwajcarski.

Ciemności nocy ustępowały powoli zbliżającemu się świtowi. Szare mury więzienne coraz ostrzej rysowały się w pierwszych przeblaskach wschodzącego słońca. Janek musiał przewać robotę. Zdążył dorównać kratę do takiego stanu, jaki sobie wymarzył.

Zadowolony i zarazem niespokojny, ułożył się do snu. Ale sen nie przychodził. Myśli jego krążyły dokoła jutrzejszej ucieczki. Jak urządzić się, by pod

czas „kontroli“ nie spostrzeżono, że krata od zewnątrz została podpiłowana. Obliczył, który ze strażników tego dnia będzie sprawdzał stan bezpieczeństwa celi. Dzień w dzień śledził ruchy strażników podczas „kontroli“ i zapamiętał, który z nich uderza w kraty młotem z całych sił, a który dotykał dla czczej formalności.

Kamień węgielny pod fundamenty jego wolności został już położony! Teraz musiał doprowadzić rozpoczętą budowę do końca. „Odwrotu“ już nie było. „Rany“ w bramie żelaznej nie można było już zagoić. Poprzysiął sobie jeszcze raz w duchu: wolność, albo śmierć. Nawet nie ukrył rewolweru w sienniku.

— Po co? W razie „poruty“ zajrzą i do siennika. Przynajmniej, mając rewolwer w ręku, będę mógł się bronić... Niech wiedzą z kim mają do czynienia — myślał.

Tulił do siebie fotografię Anieli. Dla niej musi być wolny. Dla niej rozpocznie nowe życie, do którego dążył, mimo, iż wszystkie drogi były przed nim zamknięte.

W głębi duszy poprzysiął sobie, że musi wykryć zabójcę policjanta i zdemaskować osobnika, który sprzątnął zgubioną tekę z óciarami. Przez długie dni i bezsenne noce, opracował w więzieniu dokładny plan tej akcji.

Klucznik na korytarzu stawiał już pewniejsze kroki i zaglądał do każdej celi, czy czasem „lokator“ pod osłoną nocy, nie wyprowadzi się... „W życiu wszystko jest możliwe“ a strażnicy wiedzą o tym do skonała.

Więzienie budziło się do życia. Raz po raz slychać było suchotnicze pokasływanie, bezradne postękiwanie. Gdzie indziej pogwizdywano na nutę piosenki złodziejskiej.

Wreszcie rozległ się po całym więzieniu donośny dzwon, który codziennie o tej samej godzinie sygnalizował „pobudkę“! Teraz spóźnieni więźniowie w pośpiechu trzaskają drzwiami, a rozkazy surowych kluczników zlewają się z odgłosami trzepów drewnianych więźniów, szybko schodzących żelaznymi schodami.

Janek zerwał się z postania pełen nadziei i nowych sił do walki ze wszystkimi, którzyby stanęli mu na drodze do wolności, do ukochanej Anieli. Błyskawicznie zastał łóżko, a w duszy myślał: „Oby już po raz ostatni!“

I jakgdyby uląkł się własnych słów, uszczypnął się do bólu.

„Więcej rób, a mniej gadaj!“ Tym razem sprzątał całą wyjątkowo dobrze. Rzucił się na zimny, wilgotny asfalt i nacierał go z całej siły, by wydobyć połysk ze śnoły, którą są freterowane podłogi w celach więziennych.

Pracował tak pilnie, oblewając się potem, że nawet nie dosłyszał, jak klucznik otworzył celę i zawołał rozkazującym tonem:

— Śniadanie!

Janek schwył naczynie, podał je by nalano mu trochę czarnego płynu imitującego kawę. Płyn piczył się, jakby podana kawa była cukrzona mydłem.

Drzwi celi zatrzasnęły się o wiele szybciej, niż zo stały otwarte. Janek podskoczył z radości, gdy się przekonał, że „pajka“ chleba jest świeżego wypieku.

Miękkim kawałkiem chleba zalepił „cięcie“ w kratę, odpowiednio naślinił to miejsce, a potem wygładził, by wszystko doprowadzić do należytego porządku. Nawet uderzył kilkakrotnie swoją łyżką o kratę, by „wyprobować“ odgłos. Z zadowoleniem stwierdził, że wrażenie słuchowe nie budzi najmniejszego podejrzenia.

Skolei zabrał się do uporządkowania celi. Chodziło mu głównie o „zabicie czasu“, który dziwnie tego dnia dłużył się w nieskończoność. Wiedział, nadto z doświadczenia, że gdy menta zerknąwszy do celi, stwierdza, że więzień jest zajęty robieniem porządków, daje mu spokój.

I tak upłynęło kilka godzin. Jeszcze nigdy przed tym cęła jego nie miała tak idealnego wyglądu. Asfalt połyskiwał, niby zwierciadło. Następnie Janek zabrał się do mycia okna.

Strażnicy więzienni mają wprawne oko. Odrazu spostrzegają kto myje okno „dla pucu“, to jest by mieć okazję do odetchnięcia świeżym powietrzem i jed nocześnie — rzucenia oknem na przechodzącą ulicą kobietę — a kto myje okna z potrzeby.

I, rzeczywiście, gdy Janek szeroko rozwarł obie połowy okna, strażnik, pełną gębą w budce, przez chwilę bacznie go obserwował, ale wnet rozpoznał swój miarowy „spacer“ tam i z powrotem. „Kławy Janek“ był wspaniałym aktorem (właściwie ludzie no cy obdarzeni są do pewnego stopnia zdolnościami aktorskimi.) Pilnie wycierał okno, jakby go nic po za tym nie obchodziło. Potrafił jednak niepostrzeżenie dla nikogo rozejrzeć się dokęła, a głównie poznać teren, położony za parkanem, i opracować w myśli plan ucieczki, oraz obrać najlepszą „drogę“.

Dzwon więzienny oznajmił godzinę obiadu. Było zaledwie południe. Jeszcze długich czternaście godzin dzieliło go od chwili odzyskania wolności. Obliczył w myśli, ile to minut, sekund! Wieczność!..

Nerwowo krążył po celi. Wreszcie drzwi się otwały. Litr „sałamachy“ przelał się z kotła do jego miseczki. Specyficzny zapach, którym w pierwszych dniach pobytu w więzieniu dusił się, zaległ jego cęłą. Będąc już myślą na wolności, stracił apetyt do obiadu więziennego. Ze złością wylał obiad do kubka.

Nie odczuwał głodu. Był nasycony myślą o wolności i ukochanej Anieli, którą jeszcze dziś w nocy tulić będzie w swoich ramionach...

Na myśl o tym, zinysty braty go w niepodzielne władztwo. Żądza go opanowała do utraty przytomności. Ale jedno spojrzenie na kratę starczyło, by odyskiwał powoli spokój. Musiał o czym ważniejszym pomyśleć, chociaż i ten problem jest jednym z najaktualniejszych w więzieniu...

Zastanawiał się teraz nad dwiema rzeczami: jak przeżyć dzielący go jeszcze od ucieczki czas, by nie dostać ataku szału, oraz czym poczernić „cięcie“ w kratce, które niedawno zalepił. Chleb wysechł i jeszcze dobitniej uwidaczniał to miejsce. Ale oto Janek wpadł na świetny pomysł.

Pociągnął za dzwonek przy drzwiach. Z bijącym sercem oczekiwał zjawienia się strażnika. Wnet drzwi celi się otworzyły i Janek wyciągnąwszy się niby żołnierz na baczność zameldował w myśl przepisów więziennych.

— Pocoś dzwonił? — zapytał dozorca więzienny ostro i nie bez podejrzenia. Spostrzegłszy jednak idealny stan celi i odbicie własnej twarzy w połyskującej podłodze asfaltowej, zauważył łagodnie:

— Ot, to co innego! Zaczynasz mi się podobać! Będą z ciebie ludzie...

Janek odparł z szacunkiem:

— Przekonałem się, że swoimi kawałami niczego nie wskóram. Trzeba pogodzić się z reżymem więziennym, i tak czekają mnie długie lata pobytu w celi.

— Masz jakieś życzenie?

— Chciałbym prosić o papier i atrament.. Muszę napisać prośbę.

— Do kogo?

— Do sędziego śledczego.

— Poco?

— Postanowiłem przyznać się do winy... Muszę opowiedzieć całą prawdę.

— Słusznie! Prawdą człowiek zawsze zwycięża!— zawołał klucznik rozentuzjasmowany.

— I tak, widać, nie wykręcę się, więc niechaj już mój proces odbędzie się wcześniej.

— Słusznie. A gdy będziesz już odsiadywał karę, będziemy mogli cię zabierać na roboty i nie będziesz całymi dniami tłukł się w czterech ścianach celi więziennej. Dobre zachowanie się więźnia prowadzi do tego, że przenosi się go do ogólnej celi, w której przebywa dwadzieścia i więcej osób. Zawsze jest różnic i weselej.

— Właściwie dlatego postanowiłem przyznać się do winy. Chwilami odnoszę wrażenie, że oszaleję w tej separacie.

Dozorca więzienny wyciągnął z kieszeni notes i po skontrolowaniu odnośnego ustępu, rzekł:

— Według przepisów prośby do władz można kierować po pierwszym.

Klucznik zamierzał już zatrzaskać drzwi, ale „Klawy Janek“ ponowił swoją prośbę:

— Panie dozorczo, dziś mam za ledwie siódmego. Można przecież postradać zmysły do następnego pierwszego. Sędzia śledczy powiedział mi, że każdej chwili mogę go tu wezwać, o ile tylko postanowię przyznać się do winy.

— W takim razie opowiem o tym naczelnikowi więzienia.

Wkrótce po tym, na polecenie inspektora, klucznik przyniósł Jankowi papier do pisania i atrament.

Janek powiódł ręką po czole, jakby tym ruchem mógł ułatwić sobie powzięcie decyzji co do dalszego postępowania. Przede wszystkim zabrał się do pisania prośby, wczuwając instynktownie, że klucznik szpieguje go przez „wizyterkę.“

— Co pisać? — łamał sobie
na jego twarzy zakwitł szelmowski uśmiech,
Napisaj co następuje:

PROŚBA

Klawego Janka
więźnia śledczego
na Pawia

Celem pokory i ze złamanym sercem ośmięgam
się zwrócić do Pana Sędziego Śledczego z na-
stępującą prośbą:

Obrzydło mi życie w separacie. Nie mogę tu
dłużej wytrzymać. Postanowiłem przyznać się
do wszystkich przestępstw, które są mi zarzuca-
ne. Pan Sędzia Śledczy miał słuszność, gdy twier-
dził, że wcześniej, czy później, sprawiedliwość
zatriumfuje.

Bardzo proszę Pana Sędziego o jaknajwcześ-
niejsze przybycie do mojej celi, gdyż pragnę opo-
wiedzieć bardzo ciekawe szczegóły moich prze-
winięć.

Tak mi nakazuje sumienie.

Mam nadzieję, że prośbie mej stanie się za-
dość.

Klawy Janek“.

Po przeczytaniu prośby, „Klawy Janek“ parsknął
śmiechem. Pół życia dalby, gdyby choć przez dziurkę
od klucza mógł obserwować twarz sędziego śledcze-
go, gdy będzie czytał jego prośbę. Ledwie powstrzy-
mywał się od spazmatycznego śmiechu na myśl o tym,
jaką minę będzie miał sędzia śledczy, gdy zjawi się na
Pawia i dowie się o wszystkim, co zaszło.

Przez kilka sekund nadsłuchiwał pode drzwiami,
po czym jednym skokiem znalazł się u podpłytowanej
kraty, którą w pośpiechu posmarował atramentem. Bo

tylko w tym jedynym celu, aby móc posmarować czernidłem „ciąćce“, oblepione świeżym kawałkiem chleba, „Klawy Janek“ wymyślił tę historię.

Znów poddał się rozmyślaniom na temat bliskiej ucieczki.

— O, jakbym już chciał dożyć nocy!!

Zegar więzienny wybił godzinę czwartą popołudniu. Pozostało zaledwie dwie godziny do „apelu“ i „kontroli“.

— Gdyby tak już było po wszystkim!...

Wodzi błędnym wzrokiem po celi. Czym tu „zabić“ czas?

Naraz staje pośrodku celi i zaczyna liczyć cegły w wysokim kominie fabrycznym elektrowni więziennej. Ale wnet porzuca tę pracę i kładzie się na asfaltową podłogę, by ją nacierać rozżarzonymi rękami. Gorące krople potu ściekały mu teraz z czoła na zimną podłogę.

A zegar posuwał się naprzód. W stanie wzrastającego podniecenia Janek spożył kolację. Jeszcze pół godziny czasu pozostało do „kontroli“. Te pozostałe minuty wyczekiwania sprawiały mu nieludzki ból. Wziął podobiznę Anieli, na odwrocie której widniał napis: „W chwilach zwątpienia i rozpaczcy wspomnij o mnie“ — i przywarł ustami do podobizny ukoślanej. I w duszę jego wstępowała nowa nadzieja. Namacał ręką rewolwer. Doznał przyplýwu siły, jakby za nim stał silny oddział uzbrojony i gotowy do walki za jego wolność.

Przypomniał sobie, że już czas na wystawienie ubrania aresztanckiego na korytarz. Do jego uszu dolatują odgłosy uderzeń w kraty okienne. Zbliżyły się decydujące chwile. Naprędcie zrzucił z siebie odzież. Naładowany rewolwer ukrył w kołdrze.

Uderzanie w kraty staje się coraz wyraźniejsze — to znak, że „kontrola“ zbliża się. Obliczał teraz w

myśli, że kontrolowano cele 229, a potem 229, a oło już stanęli przy celi 230. Drzwi jego celi rozwarły się.. Okrzyk bólu zamarł gdzieś w jego podświadomości. Tym razem kontrolował cele jeden z najsurowszych dozorców. Tajemniczy głos szptał Jankowi:

„Jesteś zgubiony“.

„Klawy Janek“ wyszedł na korytarz, w myśl przepisów, i oparł się o mur obok swej celi, na czas trwania „kontrolki.“ Śledził każdy ruch klucznika. Oczy przesłaniała mu mgła. Prawie nic nie widział. Tylko każdorazowe uderzenie w kraty więzienne spa dało na niego niby obuchem po głowie. „Kontrolka“ trwa zaledwie kilka sekund, ale te sekundy wydawały mu się nieskończonością. Stał nieruchomy i przybity do miejsca, jakby zastygł na wieki.

A klucznik uderzał powoli, systematycznie. Kraty odpowiadały miarowo i głośno. Odnosiło się wrażenie jakby ta muzyka ponurych tonów napawała dozorcę więziennego niewysłowioną rozkoszą.

— Dyń, dyń!..

Silny dreszcz wstrząsa Jankiem. Kurczowo zamyka oczy... Ręka klucznika opuściła się na „operowaną“ kratę. Silne uderzenie rozlega się w celi, wywołując wstrząs w mózgu aresztanta.

Klucznik mruknął coś pod nosem i jeszcze raz mocno uderzył w to samo miejsce. Janek już był gotów do skoku, by z pod kłedry wydobyć rewolwer. Ale w tej samej nieomal sekundzie klucznik schodzi ze stołu, na którym wydzwaniał najokropniejsze tony dla Janka. Dozorca objął okiem całość celi, wreszcie wycedził ostro przez zęby:

— Włazić!

Janek, silnie wzruszony, podniósł ręce w górę, jak by tym ruchem chciał podziękować niebiosom, a z oczu trysnęły mu łzy wielkiej radości.

Gdy minęły pierwsze wrażenia doznanych emo-

cy, uświadomił sobie, że czeka go jeszcze osiem godzin pobytu w celi. Dopiero o 2 w nocy miał stąd zwiać.

Janek rzucał się niespokojnie na posłaniu. A gdy zegar więzienny wybił godzinę dziewiątą wieczorem, krzyknął z bólu:

— Jeszcze cztery godziny!

Więzienie zaległa niezmacona cisza. Nawet donośne zazwyczaj chrapanie więźniów, tej nocy, jakby na zło, ucichło. To jeszcze silniej podniecało Janka. By przedrzeć śmiertelną ciszę, głośno chrząknął. Wie lokrotne echo przebiegło dziedziniec więzienny i zamarło gdzieś w kącie..

Janek, wyostrzonym słuchem podchwycił ciche kroki nocnego strażnika i natychmiast rzucił się na posłanie. Rozległ się zgrzyt przekręcanego kontaktu i zabłyśło światło. „Wizyterka“ we drzwiach została odsunięta. Szare, niby kocie oko, wsunęło się przez otwór i przejrzało celę na wylot, by po chwili, zniknąć w ciemnościach, które znów zaległy dokoła.

Teraz „Klawy Janek“ był pewny, że tak prędko zdradzieckie oko klucznika tu nie zajrzy. Wstał z łóżka i położył rewolwer na stół. Zegar wybił godzinę dwunastą w nocy.

„Klawy Janek“ ujrzał, jak nastąpiła zmiana wart pod oparkaniem więzienia, przy czym rozprowadzający posterunkiem oświadczył:

— Mieście na uwadze cele 103 i 230.

Janek wyciągnął stąd logiczny wniosek, że nie jest tu wyjątkiem i że w tym więzieniu mają jeszcze jednego na oku.

Znów opanovało go uczucie zwątpienia. Wszystko wypadło mu z rąk. Pożerała go gorączka czynu. Z wielką rozkoszą napił się zimnej wody. Uczucie zimna przywracało mu spokój. Zabrał się do pracy.

Przed wszystkim przygotował „linę“ po której miał się spuścić z okna w dół. W tym celu rozpostarł prześcieradło, wykonane z chłopskiego płótna. Był zadowolony z tej „swojskiej“ produkcji; płótno było mocne i można było spodziewać się, że wytrzyma ciężar człowieka. Janek postanowił jednak wypróbować wytrzymałość płótna. Zaczepił prześcieradło o brzeg łóżka i z całych sił pociągnął. Można „mu“ zaufać. — Taka była jego dewizja.

Zegar więzienny wybił raz jeden. Janek w zdenerwowaniu nie mógł ustalić, czy to zegar wybił na znak wódo do drugiej, czy pierwszej po północy. Żałował, że już podał koc. Co uczyni, gdy „menta“ jeszcze raz zajrzy do jego celi?

Janek machnął ręką, jakby już na niczym mu nie zależało. Niech się stanie, co się ma stać!. Teraz musi doprowadzić rozpoczęte dzieło do końca!

Pospiesznie owijał się w kawały czarnego sukna.

Wreszcie zegar wybił godzinę drugą.

Serce Janka zaczęło walić z całych sił. To był marsz radości i strachu na cześć tego co miało nastąpić.

Jednym skokiem znalazł się na stoliku przy oknie. Znów zmieniła się warja. Przeczekał chwilkę i otworzył okno.

Natężył mięśnie, by wyjąć podpiłowaną kratę. Okazało się, że trzeba ją było jeszcze podrzynać. Dopiero potem ustąpiła. Skasował ją.

Odetchnął z ulgą. Ucieczka w pięćdziesięciu procentach udała się.

Przywiązał „sznur“ do kraty i za jednym zamachem opuścił się w dół. Stopa dotknął ziemi, odgrozionej od świata wolnych ludzi wysokim parkanem.

Strażnik nerwowo kręcił się przy budce na parkanie tam i z powrotem. Janek na dole wyczuł, że

„menta“ na górze nie mniej jest podniecony od niego. Na czworakach poczołgał się do węgla, gdzie przy budce „menty“ zwiisał już „wąż“. Bez namysłu Janek uczepił się sznura.

Ale oto stało się coś nieprzewidzianego; sznur się urwał i Janek zwałił się z powrotem na dziedzińiec więzienny.

Nie odczuwał teraz bólu, chociaż dotkliwie się potłukł. Naraz nadzieje uzyskania wolności pękły, niby bańki mydlane. Ujrzał siebie, w wyobraźni zakutego w kajdany i wtrąconego do ciemnego lochu. Wzrok jego spoczął przez chwilę na oknie celi, do którego przywiązany był sznur, podrzucany w różne strony podmuchem wiatru. Wydawało mu się, że lada moment jego celę zaleje światło elektryczne, ustąpi, że zwiął i — wybiegną na podwórze i pochwycą.

Ścisnął w rękę rewolwer.

— Teraz — pomyślał — pozostało mi tylko jedno: wpakować sobie kulę w łeb.

I w momencie, gdy już przykładał lufę rewolweru do skroni, usłyszał nad sobą syknięcie: „tsss“. Prawie jednocześnie poczuł coś twardego na głowie. To „menta“ spuścił mu sznur.

Po chwili był już na parkanie, a w minutę później — znalazł się po tamtej stronie — na wolności! Potłuczony i oszołomiony tym, że kilkakrotnie zawisł między śmiercią a życiem, nie wiedział co się z nim działo.

Trzej osobnicy, otuleni w czarne płaszcze deszczowe, porwali go natychmiast jak dziecko, i zanieśli do oczekującego auta, nie wymawiając ani słowa. Janek był bezsilny i pozwalał ze sobą czynić wszystko, co chcieli. Odnosił wrażenie, jakby śnił.

ROZDZIAŁ XVIII

Cichymi uliczkami Poznania sunęła, pod osłoną nocy limuzyna z pogaszonymi reflektorami.

Za miastem, w uroczym zakątku, wśród drzew i kwiecica, położona była luksusowa willa bogatego przamysłowca. Nikt w pobliżu nie znał pochodzenia, ani przeszłości właściciela tej posiadłości. Jego zewnętrzna prezencja i imponujące, tajemnicze gesty, zamykały usta, nawet tym, którzy skorzy byli do zmyślenia plotek, uwłaszczających jego osobie.

Tylko tyle wiedziano o właścicielu tej willi, że więcej przebywa zagranicą, niż w swej posiadłości.

Wysoki mur, okalający tę nowoczesną willę, brocił dostępu do niej z wszystkich stron. Wysoki, barczysty dozorca, z zawieszonym na piersiach dużym zegarem kontrolnym, warował całą noc na terenie willi. Pomocne mu w tym były dwa wielkie psy.

Auto zatrzymało się przed żelazną bramą, wmurowaną w ogrodzenie. Specjalny sygnał, który służył jako umówione hasło, spowodował, że wrota natychmiast otwarły się i auto bezszelestnie prawie wtoczyło się do ogrodu.

Psy przyjaźnie obstąpiły jednego z trzech przybyłych dżentelmenów, głośno szczekając na powitanie.

Na zlecenie gospodarza służba przejęła chorego, którego zanieśli na rękach z największą pieczołowitością. W ślad za chorym, z tyłu, szedł młody człowiek, odziany w elegancki strój sportowy. Czapkę sportową miał jednak tak zsuniętą, by nie można było dostrzec jego twarzy. Dopomogły mu w tym: umyślnie podniesiony kołnierz i duże rogowe okulary.

W kilka minut później chorey spoczął w wielkim, luksusowym łóżku, które stało w dużym, nowoczesnie urządzonej pokoju.

Wszyscy trzej przez kilka chwil stali w milczeniu, przysłuchując się mowie chorego, który wyrzucał z siebie słowa w gorączce:

— Oto ona idzie.. widzę go.. Strzelaj!.. Dajcie mi atrament!..

A po chwili znów wołał:

— Dajcie mi sznur.. Błagam was! Schwytajcie go!.. Zabierzcie kraty!.. Błatny menta!..

Zehrani rozglądali się bezradnie. Jeden z nich, jak to było nie trudno domyśleć się — Krygier rozkazał wszystkim, by opuścili pokój. Jedyne młodzieńiec pozostał przy łóżku chorego, płacząc na głos. Krygier po ojcowsku uspakajał młodego człowieka:

— Płaczem nie dopomożemy mu. Pójdę po lekarza. Niech się stanie, co się ma stać. Z więzienia wydostaliśmy go, by tu na wolności skonał nawet bez pomocy lekarskiej? O, nie!

— Ratuście go! Ratuście go! — rzucał się młodzieńiec Krygierowi do nóg. A z jego ust wydobył się bolesny krzyk:—Nie przeżyję tego! Przecież on mnie nawet nie poznaje!

— Bądź spokojna! Nieławem sprowadzę tu najlepszego lekarza! Przebierz się, może wówczas cię rozpozna!

— Czy nie ryzykujesz zbyt wiele? — zapytała zrozpaczona Aniela. — Lekarz może zainteresować się zajściem. A może go rozpozna z fotografii, którą renowowano prawie we wszystkich dziennikach? Wydaje mi się, że zaniemóg! na zapalenie mózgu! — wybuchnęła na nową płaczem.

— Wystarczy tych łez! — stanowczo zareagował Krygier. — Kobieta nigdy nie przestaje być sobą: płacze i tylko płacze. Wstydzilibyś się lepiej, ty, córka Staśka „Lipy“ i naręczona „Klawego Janka“! Powinnaś być inną, niż zwykłe kobiety!

— Cóż mam począć, kiedy serce pęka mi z bólu? Spójrz, jak go spała gorączka!

Zaraz po jego odejściu, Aniela przekręciła klucz w zamku i błyskawicznie zrzuciła z siebie ubiór męski. W mgnieniu oka przystojny młodzieniec zamienił się w urodziwą pannę.

Przez chwilę przyglądała się zniemcomiałej twarzy Janka. Oczy jego dziwnie wpatrywały się w sufit, jakby zdradzały upór szaleńca.

Uklękała przy łóżku i szeptała mu prawie do ucha:

— Janeczku, najdroższy, najukochańszy...

Ale chory nie słyszał tych słów. Pozostawał jakby w innym świecie. Z jego piersi wydarł się okrzyk:

— Nie chcę więcej!.. Zabierzcie kajdanki!.. Wolności!.. Wody!.. A potem wybuchł spazmatycznym płaczem, który w kilkanaście sekund później zamienił się w histeryczny śmiech. Dreszcz zgrozy przebiegł ciałem Anieli.

W pewnym momencie chory usiłował zeskoczyć z łóżka, wołając na głos:

— Nie chcę więcej!.. siedzieć w więzieniu!..

Aniela z całych sił stawiała opór. Przez dłuższy czas szamotał się z nią, później legł na posłaniu nawpół omdlały.

Ciszę przerwało pukanie do drzwi.

— Kto tam? — zapytała nie bez strachu.

Rozpoznawszy głos Krygiera, otworzyła drzwi.

Półmrok pokoju przecięła jasność dnia.

— Córuchno — rzekł Krygier, dając Anieli do

zrozumiem, że winna odegrać rolę jego córki — przy
byłem w towarzystwie doktora.

Starszy, elegancki pan z małą walizeczką w re-
ku, ledwo uklonił się na powitanie.

Zapalono większe światło.

— Chorego trzeba odwieźć do kliniki.

— Co?! — zawołali prawie wszyscy jednocześnie,
wstrząśnięci tym orzeczeniem.

— O ile pragniecie, by pozostał przy życiu, nie-
ma innego wyjścia — ponowił lekarz swoją decyzję.

Aniela wybuchnęła płaczem. Krygier odezwał
się:

— Panie doktorze, to niemożliwe, bo nie chciał-
bym, aby matka chorego, której jest jedynakiem, do-
wiedziała się o tej katastrofie samochodowej.

— Hm... Skoro tak, — oświadczył lekarz — bę-
dę musiał zwołać konsylium.

— POCO? Mamy do pana doktora całkowite zau-
fanie. Oddajemy chorego pod pańską opiekę.

— Dziękuję, — odrzekł doktor — ale nie mogę
wziąć na siebie całkowitej odpowiedzialności. Orea-
nizm chorego, co prawda, jest silny, ale gorączka jest
bardzo wysoka.

Lekarz wyjął notesiki począł notować:

W pokoju zaległa cisza, gdy naraz chory zaczął
krzyczeć:

— Wołkow!.. Dawaj cyng!.. Błatny menta!.. Nie
zamordowałem policjanta!..

Lekarz zbliżył się do chorego, jakby nie chciał
uronić ani słowa z tego, co teraz wyrzucał w malig-
nie. Obecni porozumiewali się spojrzeniami. Chory
znow zaczął krzyczeć:

— Dajcie mi spluwę!.. Muszę odzyskać wol-
ność!.. Aniela!.. Ty, „Lipa“, won stąd!..

Na doświadczonej twarzy lekarza zaigrał ledwie
dostrzegalny uśmieszek ironiczny..

— Chory musi mieć absolutny spokój. Za dużo ludzi przebywa w tym pokoju.

Obecni wysunęli się z sypialni i przeszli do następnego pokoju. Aniela chciała pozostać przy Janku, lecz doktor jej zabronił.

Gdy pozostał sam na sam z chorym, doktor wpił się w jego twarz swym wzrokiem, jakby chciał wyczytać z niej niepokojącą go tajemnicę. Sytuacja sprzyjała lekarzowi, gdyż Janek znów zaczął mówić:

— Nie opłacała się robota u hrabiny? Opłacała się! Solidna była kasa, ale Janek się z nią uporał..

Doktor już nie miał wątpliwości, że ma przed sobą przestępcę. Machinalnie sięgnął ręką do kieszeni i ledwie jego wzrok spoczął na ilustracji, umysł jego przebiegła dziwna myśl. Kilkakrotnie wodził wzrokiem to po gazecie, to po twarzy chorego. Był oszłamiony własnym odkryciem:

— Tego bym się nigdy nie spodziewał!

Chory tymczasem znów popadł w głęboki sen. Doktor zaś, rozglądając się dokoła po dziwnie umeblowanym pokoju, zastanawiał się nad tym, jak się tu wy dostać.

Lekarz zaczął układać narzędzia do walizeczki i skierował się do wyjścia. Ledwie uczynił jeden krok, drzwi się otworzyły. Lekarz stanął coko w oko z Krvgierem.

— Choremu sen dobrze zrobi — rzekł lekarz. — Konieczne jest dokonanie przepisane go przeze mnie za strzyku. Wieczorem tu przyjdę, by zbadać stan chorego.

— Jestem zdania, panie doktorze — powiedział Krvgier — że najlepiej byłoby, gdyby pan doktor tu został..

— Jak to pan rozumie? — rzekł ostro lekarz, a w duchu pomyślał: „jestem zgubiony!“

— Pan doktor pozwoli ze mną do pokoju — rzekł

Krygier uprzejmie, ale i rozkazująco: — Sądzę, że pan nie będzie stawiał oporu, bo z zasady nie tolerujemy...

Urwał zdanie i nie zdejmował oczu z twarzy przestraszonego lekarza.

— Czego pan chce ode mnie? — zawołał doktor. Ale ledwie zdążył jeszcze coś powiedzieć, prawie-że się został wpełchnięty do pokoju.

— Niech się pan uspokoi, panie doktorze! Panu tu nic nie grozi, o ile nastąpi między nami porozumienie...

— Przemawia pan do mnie tajemniczo i dwuznacznie.

— Słusznie. Najlepiej uczynimy, gdy przystąpimy do rzeczy otwarcie i szczerze. A za tym niech mi pan pokaże swoją gazetę.

— Co to wszystko ma znaczyć?

— Wymagam, by pan spełniał tu tylko te funkcje, po które pana wzywałem! Krótko i węzłowato: pan tu ma być lekarzem, a nie tajnym agentem.

— Ja... ja... — trząśnięty lekarz z oburzenia — jestem profesorem Uniwersytetu i nigdy agentem policji nie byłem.

Przez chwilę zapanowało w pokoju milczenie.

Profesor wyjął z kieszeni gazetę i wręczył ją Krygierowi.

— A zatem panu wszystko jest wiadomem — rzekł Krygier.

Przypuśćmy, że tak — odparł profesor.

Krygier zatopił wzrok w gazecie, w której wydrukowano olbrzymimi literami nagłówek: „Sensacyjna ucieczka więźnia z Pawiaka“.

„Nocy dzisiejszej w tajemniczych okolicznościach nastąpiła z Pawiaka ucieczka międzynarodowego kasiarza „Klawego Janka“. Policja, zaalarmowana w całym kraju o tym zuchwałym wyczynie, rozpoczęła energiczny pościg za zbiegiem.

Władze więzienne nie mogą wyjaśnić, jak to się mogło stać, że ucieczka więźnia nie została w porę spostrzeżona. Wraz ze złoczyńcą zginął bez wieści ci strażnik, który stał na parkanie.

Policja jest na tropie zbiega. Nadto podaje się do wiadomości publicznej, że wyznaczono nagrodę w wysokości tysiąca rubli za schwytanie lub przyczynienie się do ujęcia zbiega. Dla ułatwienia pościgu i ujęcia „Klawego Janka“ reprodukuje tu obok jego podobiznę“.

— H.n... Pana profesora, jak widzę skusiła nagroda 1000 rubli?

— Czy pan wierzy w to, co pan mówi?

— Może mi pan tedy wytłumaczy przyczynę, dla której pan zainteresował się bliżej osobą chorego?

— Z punktu widzenia naukowego, jako studium psychologiczne.

— I pan go nie wyda w ręce policji?

— Nigdy. Zresztą, jak pan wyczytał z gazety, policja jest już na jego tropie.

— To jest przysłowiowy styl komunikatów policjnych... — rzekł Krygier z przekąsem. — Zapewnia pana, że nikomu nie wpadnie na myśl, iż zbieg przebywa teraz w naszym ustroju i że spoczywa w tak wygodnym łożku.

— Podziwiam właśnie wasz spryt. Jesteście ludźmi przedsiębiorczymi, ale co to ma wspólnego ze mną? Czego chcecie ode mnie?

— Postąpimy z panem tak, jak pan sam zacytuje. Wszak jest pan psychologiem i studiuje pan świat przestępczy. Niechże pan nam powie, co by pan uczynił, będąc na naszym miejscu? Ale o jednym proszę pamiętać, że ten chory (tu wskazał na „Klawego Janka“) jest nam droższy od stu profesorów.

— Ja?... Kierowałbym się w takim wypadku rozu mem, a nie sumieniem — odrzekł szczerze doktor.

— Słusznie. Czekam na pańską decyzję.

Profesor zaczął przechadzać się nerwowo po pokoju. W pewnej chwili odezwał się nie bez ironii:

— Według pana muszę odegrać tu rolę waszego współnika?

— Dlaczego odrazu współnika? Pańska rola winna ograniczyć się do tego, by udzielić pomocy choremu, aby jaknajprędzej wyzdrowiał i mógł sam decydować o swoim losie. A my z naszej strony żywić będziemy wdzięczność.

Profesor po pewnym namyśle odparł:

— Ciekaw jestem, jak postąpiacie ze mną, gdy odrzucę wasz wniosek?

— Hm... Chyba pan się domyśla, że będziemy zmuszeni zastosować środki przymusu.

— Ale panowie chyba zdajecie sobie sprawę z tego, że nie mieszkamy na odлюдnej wyspie, wśród iudożerców.

— Przepraszam bardzo. Jak widzę, pan profesor woli wdawać się z nami w dyskusję, a tymczasem czas nagli. Sądzę, że pobyt u nas dostarczy panu profesorowi dosyć materiału dla swoich obserwacji psychologicznych. Teraz pragnę dowiedzieć się, czy pan zostaje u nas dobrowolnie, czy pod przymusem?

— Czyż mam inne wyjście do wyboru? — roześmiał się lekarz. — Jedyłą mam tylko do was prośbę.

— Wszystkim pańskim życzeniom stanie się za-
dość, o ile, naturalnie nie nastęczą nam niebezpieczeń-
stwa.

— Zapewniam was, że z mojej strony nic wam zagrażać nie będzie. Stawiam wam tylko jeden warunek.

— Mianowicie.

— Abście panowie byli ze mną szczerzy. Przez cały czas mego pobytu u was, pragnę być traktowany, jak swój człowiek.

— Zrobione. Pragnę tylko zaznaczyć — dowcipkował się Krygier, — że materiał do badań przez nas dostarczony pochodzi z pierwszej ręki. Pozwolę sobie zwrócić jeszcze uwagę pana profesora na to, że opinia niektórych znawców o nas była absolutnie mylna. Po krótkim z nami współżyciu, napewno podda pan rewizji dotychczasowe swoje poglądy na świat przestępczy.

— Zrobił pan na mnie wrażenie wykształconego człowieka. Jak pańska godność?

— Nazywają mnie różnie. Tu w Polsce nazywam się Frank.

— A więc, panie Frank, pragnę wyluszczyć moje życzenie. Chcę pojechać na dwie godziny do domu. Wszak żona i dzieci będą zaniepokojone moją dłuższą nieobecnością i tajemniczym zniknięciem. Muszę ich uprzedzić, że wyjeżdżam na kilka dni. Sądzę, że to leży również w waszym interesie, aby nie wszczynano za mną alarmujących poszukiwań. Nadto muszę zaopatrzyć siebie w odnośne narzędzia i lekarstwa, potrzebne dla chorego i jego kuracji.

Krygier zatopił ostre spojrzenie w twarz profesora, jakgdyby chciał przeniknąć jego myśli i zamiary na wskroś. Po czym odezwał się:

— Panie profesorze, czy mogę odnieść się do pańskich słów z zaufaniem?

— Słowo honoru daję wam, że po upływie dwóch godzin znajdę się ponownie wśród was.

— A ja panu daję nasze słowo złodziejskie, że będzie pan z nas zadowolony.

— Czy wolno zapytać o rolę, jaką ta panna odgrywa w waszym otoczeniu? — wskazał lekarz na Anielę.

Aniela wybuchnęła w tej chwili płaczem:

— Ratuj go pan, panie profesorze! Będę panu wdzięczna przez całe życie!

— Znow płaczesz! — zawołał Krygier. — Panie profesorze, skąd się bierze tyle łez u kobiet?..

— Kobiety dlatego tyle płaczą, bo my mężczyźni do tego je zmuszamy. One poplakują i za nas. Ich serca są wrażliwsze od naszych.

— To tylko fałszywa teoria — odparł Krygier.

Na pożegnanie lekarz uściśnął ręce Anieli i Krygiera po czym jeszcze raz zapewnił ich:

— Punktualnie o 9 wieczór powrócę do was!

Na wiadomość o tym, że wezwany lekarz opuścił wille, Moryc dostał ataku furii.

— Jak możesz polegać na danym przyrzeczeniu? On nas wyda w ręce policji!

Krzyki Morycy przebudziły Janka, wobec czego Krygier wyszedł z nim z pokoju.

Janek otworzył szeroko oczy i zawołał słabym głosem:

— Gdzie jestem? Kto to?

— To ja jestem, ja, twoja Aniela!.. — rzekła doń pieścizotliwie.

— To ty, Aniela?.. Ty, najdroższa?..

— Tak.. — zamknęła jego usta pocałunkiem. — Jak się czujesz, najukochańszy? — głaskała jego czu prykę.

— Jestem szczęśliwy, że znow przy mnie siedzisz..

Naraz Janek zauważył Krygiera, który ustawił się w ten sposób, by chory nie mógł go spostrzec. Janek utkwiał w nim wzrok i zapytał:

— Krygier, to ty?

— Tak, przyjacielu, — uściśnął jego dłoń.

— Jemu zawdzięczasz wolność, — rzekła Aniela.

— Siadaj bliżej mnie — zawołał Janek. — od razu skapowałem, że umożliwienie mi ucieczki jest zasługą jednego ze starych i wypróbowanych przyja-

ciół. Czymże się odwdzięczę?

— Wyzdrowieniem — odrzekł Krygier.

— Nie nadwerężaj sił — prosiła Aniela Janka spokojnie.

Krygier opuścił pokój chorego i zwołał kompanów na nagłe zebranie w zakonspirowanych podziemiach willi. Zebranie odbyło się w izbie bez okien. Ściany były wyścielane filcem i udekerowane „pamiątkami“ różnych wypraw złodziejskich. Było to jednocześnie muzeum złodziejskich narzędzi pracy. W kącie stała kasa ogniotrwała według konstrukcji Krygiera.

— Cha, cha, cha — śmiał się Moryc — wypuściłeś go na „słowo honoru“. A czy frajerzy nam ufają na słowo?

Dyskusję tę przerwał służący, który zameldował, że przed furtką stoi pewna dama, która chce się tu dostać.

— Czy dała „cyng“? — spytał Krygier, pozostawiając uwagi Moryca bez odpowiedzi.

— Tak — odrzekł służący.

— Jaki?

— „Rej“!

— Wpuścić! — padł rozkaz Krygiera.

W kilka minut po tym obecni przywitali swoją znajomą, która ostrzegła ich w hotelu przed dokonaniem planowanego włamania. Była tak ubrana i ucha-rakteryzowana, że czyniła wrażenie starszej o 20 lat, niż w rzeczywistości. Ale wnet zrzuciła z siebie zbyteczną odzież i odświeżyła twarz.

Skolei przybyła przystąpiła do zdania relacji z nałożonych na nią obowiązków.

— Co uczyniłaś z rentą więziennym?

— Już jest za granicami kraju. Jeszcze wczoraj znalazł się po tamtej stronie...

— Świetnie. Ile kosztowało?

— Mam jeszcze resztę.

— Co słychać w warszawskiej „gorzełni” (Turzędzie śledezym)?

Tam panuje popłoch. Potracili głowy. Podobnej ucieczki jeszcze nie było. Ale za to w naszym światku radość panuje niebывała. Są zachwyceni tą robotą.

Krygier wyjął z kieszeni złotą bransoletę, wysadza ją brylantami i, wręczając ją sprawozdawczyni, rzekł:

— To w dowód, że jesteś odważną kobietą. Gdyby w naszym światku były ordery, otrzymałabyś najwyższe odznaczenie za plan wykradzenia Janka. Gdyby nie ty, gniliby jeszcze dziś za kratami.

— A teraz pamiętajcie o tym — ciągnął dalej Krygier pod adresem Antka i Fełka — że dziś jeszcze o czwartej po południu powinniście wyruszyć w drogę. Macie bezpośrednią komunikację kolejową do miejsca przeznaczenia. Mam do was zaufanie, że nie ukryjecie przed nami łupu. O ile dobrze wywiążecie się z zadania, zostaniecie naszymi stałymi współpracownikami. Zamierzam coś nowego, ale teraz jeszcze nie pora o tym tu mówić.

Gdy po pożegnaniu się, Antek i Felek opuścili „salę obrad”, jedyna uczestniczka posiedzenia zauważyła:

— Żal mi tych chłopców. Złote serca mają.

— Nie możemy się tym liczyć — odparł krótko Krygier. — Kogoż mielibyśmy tam wydelegować? Przecież prawie jeszcze nie zakosztowali chleba wiśniowego. Nie szkodzi, mogą zarzykować.

— Ale ta robota wszak w dziewięćdziesięciu procentach jest skazana na niepowodzenie — zauważył Moryc.

— To ich rzecz. W razie powodzenia, przyniosą prawdziwy skarb. Trzeba ich właśnie wypróbować, czy nadają się na moich współpracowników.

Moryc spojrzął na zegar i zawołał przerażony:

— Już po dziewiątej, a doktora jakoś nie ma!

— Przyjdzie! — odezwał się Krygier, choć już tracił pewność siebie.

— Któż wątpi, czy przyjdzie? — ironizował Moryc. — Pytanie tylko, czy sam, czy w towarzystwie..

Ale akurat w tym momencie zameldował służący, że profesor wrócił. Wszyscy przeszli do pokoju chorego. Na widok profesora Moryc zawołał w języku angielskim:

— Z pana prawdziwy dżentelmen.

— Pan ma świetną wymowę angielską. Czy pan jest Amerykaninem? — zapytał profesor. — Czy zna pan wiele obecnych języków?

Krygier wtrącił się do rozmowy i rzekł z uśmiechem:

— Władamy takimi językami, o których pan na wet nie marzył..

W pokoju zapanował wesoły nastrój. Aniela pomagała profesorowi w rozpakowaniu walizeczki, którą przyniósł ze sobą. Obecni zauważyli, że przywiózł ze sobą piżamę i inne drobnostki, potrzebne na pobyt kilkudniowy poza domem.

Spostrzegłszy, że chory siedzi i przypatruje się spokojnie wszystkiemu, co się dzieje dookoła, lekarz stwierdził:

— Niebezpieczeństwo już minęło..

Przy łóżu chorego przez cały dzień czuwała Aniela i.. Moryc, którego, oczywiście, nikt nie podejrzewał, że jest przykutym do łóżka Janka dla Anieli, w której zakochał się na zabój. Wiedzano w tym gronie, że Moryc przybył tu z Ameryki jedynie dla wyciągnięcia Janka z więzienia i nikt nie przypuszczał, że w duszy miał plan odbicia Jankowi Anieli..

Prośba Janka, którą wystosował z celi więziennej jedynie po to, by mieć pretekst do skorzystania z atramentu, została doręczona sędziemu śledczemu. Nie

trudno się domyśleć, że sędzia był oszołomiony nagłą decyzją Janka.

Nazajutrz o dziewiątej rano zjawił się w kancelarii więzienia. Jakże wielkie było jego zdziwienie, gdy, w odpowiedzi na żądanie natychmiastowego wprowadzenia „Klawego Janka“, usłyszał, że, niestety, jest to niemożliwe.

— Jakto, niemożliwe?

— „Klawy Janek“ opuścił nas... — wyjaśnił nieśmiało inspektor więzienny.

— Co?..

— Tak, tej nocy uciekł nam...

Krew nabiegła mu do twarzy, a w oczach zapłonęły złe ogniki! Nie mógł panować nad sobą. Ciskał gromy na zarząd więzienny i strażników. Groził karą i surowym dochodzeniem. Ponościło go. Pobiegł do celi, by się naocznie przekonać, że tam Janka nie ma.

Ledwie przekroczył próg celi, jęknął głucho. To co tam ujrzał przekraczało jego fantazję. Na ścianie widniał rysunek, przedstawiający Janka, który pokazuje sędziemu dwie „figi“.

— Żywego lub martwego, ale dostać go musimy w swoje ręce! — pęknął się ze złości.

Była to pora śniadania. Więźniowie, którzy w związku z rozdawnictwem chleba krzżeli się na korytarzu, nie ukrywali radości ra widok ciskającego się sędziego śledczego i na odgłosy jego przekleństw i pogróżek. Lotem błyskawicy rozniosła się po celach więziennych wieść o sensacyjnej ucieczce „Klawego Janka“, budząc wszędzie podziw i poklask.

Sędzia śledczy opuścił ginach więzienny złamanym i rozgoryczonym.

Podobny nastrój zapanował w Urzędzie Śledczym na wiadomość o zawitym wypadku na Pawiaku.

Pierwszy o tym dowiedział się Wołkow, który za

schwytanie „Klawego Janka” zaawansował na aspiranta policji. Był tą wiadomością oszołomiony.

Udał się do celi, w której Janek spędził ostatnią noc. Staranne oglądziny przeciągały się. Wołkow drobiazgowo badał każdy sprzęt. Z lupą oglądał nacięcie w kracie. Jego pomocnicy, wywiadowcy, za pieciami, zamieniali szydercze spojrzenia na temat przesady, w jaką ich szef zawsze popadał...

Po nitce do kłębka Wołkow posuwał się z wywiadowcami wzdłuż trasy ucieczki, gdy naraz jeden z agentów, który zatrzymał się pod parkanem, zawołał:

— Panie komisarzu! Tu są ślady stóp kobiety! Co tu robiła tajemnicza dama?

Długo węszone, badano, odmierzano i postanowiono wrócić do Urzędu. Wtem nadjechał komisarz policji śledczej, Żarski, który zmierzwszy ironicznym spojrzeniem Wokowa, rzekł doń na powitanie:

— No, cóż panie aspirancie, facet znikł, jak kamfora, co?

Wołkow zagryzł wargi i salutując, odrzekł:

— Moim zdaniem należy zarządzić obławę w całej Warszawie. Wiem, że tam zbiega nie znajdziemy, ale może natkniemy się na jego ślady.

Na pierwszy ogień poszła Praga. Obława została w ten sposób pomyślana, by jednocześnie zaatakować wszystkie meliny, i by „cyngierzy” nie mogli nikogo uprzedzić o grożącej wyspie. Na skrzyżowaniach ulic ustawione były gęste posterunki. Wołkow, nie wypuszczając rewolweru z ręki kierował całą akcją.

Ucieczka Janka pozbawiła go spokoju. Domyślał się, że Janek nie przepuści okazji „wywdzięczenia” się. Im dłużej nad tym myślał, tym większy strach go oblaływał. Przypominał sobie teraz swoją przyjaciółkę.

ową brunetkę, która również nie dawała mu spokoju.

Od pierwszej chwili, ich znajomości miał przeczuć, że z jej strony coś mu grozi. Była dziwnie tajemnicza. To przwijażywało go do niej i potęgowało w nim uczucie zazdrości. Ale miewał chwile, kiedy żałował tej zazdrości z przyjaciółką. Była zbyt tajemniczona w jego „sprawki“, aby zdobył się na odwagę porzucenia jej. Należała do typu kobiet, które nie tak łatwo wypuszczają ofiarę ze swoich rąk. Surowy i przebiegły Wołkow w jej ręku był bezsilny. Sprytna brunetka deptała drobnymi stopkami niezłomną wolę Wołkova, którą się tak chełpił.

Niekiedy próbował buntować się przeciw niej, ale bezskutecznie. Nie ulękała się nawet jego szarzy koni-sarza, przeciwnie, z chwilą, gdy zaawansował, postanowiła go jeszcze silniej trzymać pod pantoflem. Wołnow czas spędzał z nią na dancingu, w kawiarni, restauracji i kaharecie. Wołkow domyślił się, że hulanki wzbudzają podejrzenie przełożonych, którzy wiedzieli, że pobory jego ledwie mogą starczyć na wyżywienie żony i trojga dzieci, ale nie na „utrzymankę“. Wołkow sprytnie się urządził: pierwszego dnia wszystkie pisma rozpiśały się o znacznym spadku, który utrzymał po matce jeszcze ze jej życia...

Był tylko jeden człowiek, który z uporem śledził Wołkova, chociaż bez dodatnich wyników. Wołkow o tym wiedział doskonale, że był to komisarz Żarski, zwany „filozofem“.

Bywały jednak chwile, kiedy Wołkow nie dowierzał swojej gwiazdzie szczęścia. I teraz właśnie przeżywał podobne nastroje, kiedy kierował oblawa na Pradze.

Oho, zrozumiał, że Janek teraz nie da się tak łatwo pochwycić. Z bólem wspominał chwile, kiedy

Janek siedział obok niego i ukochanej w barze i pod-
słuchiwał ich rozmowę.

— Niedobrze, ta kobieta (miał na myśli swoją „brunetkę“) ściagnie jeszcze na mnie nieszczęście!

Wołkow przystąpił do przeprowadzenia ostatniej rewizji, która miała się odbyć na melinę „Bajgele“. Spodziewał się, że tam zastanie „znajomych“, którzy niejedno będą mogli mu powiedzieć. Poleciał dwóm uzdolnionym wywiadowcom aby pozostali w braniu, a sam udał się do meliny.

Pewny siebie Wołkow zapukał do drzwi. Przez nieco uchylone drzwi ktoś zapytał basowym głosem, zdradzającym podejrzenie:

— Do kogo i po co?

— Otwórz. To ja! Nie poznajesz mnie?

Drzwi rozwarły się i obaj mężczyźni spojrzeli sobie w oczy.

— Można się przekonać kogo gościsz u siebie? „Bajgele“ bez słowa sięgnął po pugilares.

— Nie, dziś nie biorę — odrzącił jego rękę Wołkow.

— Dlaczego akurat dziś nie? Co za święto? Ca-

Wołkow energicznie ocinał go na bok, usiłując się dostać do przyległego pokoju, z którego dolatwały go gwizdy, śmiechy i krzyki rozbawionego towarzystwa. Ale „Bajgele“ zastąpił mu drogę i jednocześnie, wsunawszy dwa palce do ust, przeraźliwie gwizdnął. Na odgłos sygnału ostrzegawczego w sąsiednim pokoju powstała panika. Słychać było, jak ludzie skaczą po stołkach i krzesłach które przewracały się z łaskotaniem. Po upływie kilku chwil harmider ustąpił i zaległa cisza.

„Bajgele“ z pogardą spoglądał na Wołkova.

— Czuj nie płacę ci regularnie tygodniówki?

— Zapamiętasz to sobie ty staro galerniku!

— Albo ja zapominam? — „Bajgele“ pociągnął

głupkowato plecami. — Najlepiej o tym świadczy, że już pięć lat przebywam na wolności.

— Wystarczy ci tej wolności. Dziś będziesz się pocić!

— Nie pleć głupstw. Widzę, żeś zanadto zde-nervowanv. Pamiętaj, że, gdy ja się będę pocić, to i ty nie mniej ode mnie. Sądziś, że po tym jak zaawansowałś możesz sobie na wszystko pozwolić? Ten awans może cię drogo jeszcze kosztować.

Wołkow zbladł.

— Więc wiecie o wszystkim?

— Nawet o tym, że wyspał go właściciel pokoi n-meblowanych, oraz o tym, żeś odegrał rolę szotera taksówki, która zawiozłaś Janka do „gorzelni“. Ale wiedz teraz że obu was czeka „dintojra“.

— Jak śmiesz do mnie tak przemawiać?

— Domyślasz się przyczyny.

— Raz na zawsze zrywam z waszym światem! Nie będę w waszym ręku ślepym narzędziem!

— Zerwać? I ja bym chciał zerwać z tym światem!.. To nie jest takie łatwe i proste!

Wołkow przez chwilę jakby zastanowił się nad tym, co powiedział właściciel meliny, po czym odparł:

— Teraz muszę już iść. Na dole czekają na mnie moi ludzie. Jeszcze się spotkamv. Ale na pożegnanie powiedz mi, co wiesz na temat uciezki..?

— Jakiej uciezki?

— Nie udawaj. Wiesz przecież, że potrafię od-płacić się za usługę.

— Szkoda fatygi. Kapusiem nje byłem i nie będę.

Gdy Wołkow wracał do Urzędu, rozmyślał nad tym, co się wydarzyło w melinie „Bajgele“ W du-

chu postanowił, że za wszelką cenę musi zlikwidować tę bandę.

Nie odpoczywał ani przez chwilkę w ciągu najbliższych dni, przeprowadzając liczne rewizje i aresztowania w świecie podziemnym.

Wółkow nie wiedział że jego przwajaciółka znana jest w podziemiach pod pseudonimem „złota kokota”.

ROZDZIAŁ XIX

Mińło kilka tygodni. Było już u schyłku lata. Ogród w willi Krygiera upajał zapachem przekwających kwiatów, a pałacyk lśnił w słońcu, mieniąc się tęcza barw.

W tym uroczym ogrodzie przebywało tylko dwoje ludzi: profesor i Aniela. Pozostali mieszkańcy woleli nie opuszczać murów pałacu.

Rekonwalescencja Janke posuwała się pomyślnie naprzód. Był już bliski zupełnego wyzdrowienia. Aniela zamiast radować się, pogrążała się w coraz większym smutku. Rzadko na jej ustach zakwitał uśmiech pogody i szczęścia. W duszy staczała ze sobą ciężką walkę, która nie wróżyła nic dobrego.

Lekarz opiekował się nią teraz w większym stopniu, niż Jankiem. Odbiwał z nią spaceru i rozmowy, okazując młodej dziewczynie współczucie ojcowskie z tego powodu, że wbrew moźe swej woli musi pozostawać w tym towarzystwie. Aniela wyznała wszystko doktorowi, który był zresztą specjalistą w wydobywaniu najszytszych myśli i uczuć, czym się bardzo interesował.

Janek dyskretnie obserwował zachowanie się profesora. Nie podobało mu się to, że lekarz prowadzi przydługie rozmowy z Anielą. W duszy obawiał się,

by, pod wpływem „frajera“ Aniela nie porzuciła go.

Profesorowi nie brakło materiału naukowego. W dłuższych dyskusjach z Krygierem i Morvcem musiał przyznać, że człowiek nie przynosi ze sobą na świat zbrodniczych skłonności. Najwięcej zainteresował się osobą Moryca, który niebawem dostarczył mu swoim zachowaniem nieładną sensację.

Stało się to pewnej nocy.

Morvc w myśli zastanawiał się nad planem zdobycia Aniela dla siebie. Szukał bezustannie okazji, by móc pozostać z Aniela w cztery oczy. Ale Aniela, wyczuwając kobiecym instynktem, że ze strony Moryca grozi jej niebezpieczeństwo, unikała spotkań z nim sam na sam.

Morvc jednak nie rezygnował. Starał się jej imponować i pozyskać jej zaufanie. Zamierzał jej zaproponować ucieczkę z nim do Ameryki.

I oto pewnej nocy, kiedy Janek zasnął i Aniela wróciła do swego pokoju na noc, ledwie zdążyła się ułożyć do snu, usłyszała tajemnicze szmery w swoim pokoju.

— Kto tu? — zawołała przerażona. Drżącą ręką przekreśliła kontakt i ostre światło padło na posuwającego się na palcach Moryca.

Przybyły stanął jak wrwoty. Ten zuchwały i bezgranicznie odważny mężczyzna załamał się pod presją karcącego spojrzenia Aniela. Nie śmiał uczynić kroku naprzód. Był zmieszany i oszołomiony, nie mogąc wydobyć głosu.

Aniela bez słowa uczyniła gest ręką, wskazując mu drzwi. Ten ruch brzmiał jak rozkaz, któremu nie można było nie ulec.

Morvc utkwiał bezradnie oczy w twarzy Aniela, padł u jej bóżka na kolana i począł wyrzucać z siebie gorące słowa miłości, a jednocześnie prośby o przebaczenie.

zni słowem na jego wyznanie. Na jej twarzy tylko odmalowała się pogarda, która mroziła Morycowi krew w żyłach.

Oburzenie Anieli wzrastało z każdą chwilą. Raptownie usiadła na łóżku, gotowa do nagłego czynu.

W tym momencie Moryc przestał panować nad sobą. Bliskość Anieli oszałamiała go. Zapomniał, że przed sekundą jeszcze błagał o przebaczenie. Rozwiera silne ramiona, by porwać Anielę, przytulić mocno do siebie i...—

Ale ręce jego zawisły, jakby w powietrzu. Aniela nie krzknęła, nie uczyniła nic, co by świadczyło, że zamierza się bronić. Nie spuszczała trójkę oczu z tego twarzy, a jej uśmiech szyderczy przeświadczał jego mózg.

Chciał się oddalić, ale czuł, że nie może tego uczynić. Jakby był przykuty do miejsca. Wzrok Anieli trzymał go w niewoli i nie pozwalał się oddalać teraz na krok. Ten wzrok działał na niego, niby magnes.

— Jesteś nieszczęśliwy i podły! — rzekła doń. — Idź, i więcej nie waż mi się pokazywać na oczy.

Moryc opuścił jej pokój, złamanym i zbesztany. Zimne poty wystąpiły mu na czole. Ledwie stanął na korytarzu, klucz w pokoju Anieli został prekręcony korytarzu, gdy naraz poczuł na swym ramieniu czyjąś rękę.

— Chodź ze mną przyjacielu, muszę z tobą o czymś pomówić — rzekł Krygier stauowczym głosem. I nie czekając na zgodę, wziął Moryca energicznie za rękę, wlokąc go niemal za sobą.

Ledwie weszli do jednego z pokoi, dwa siaroczyście policzki padły na Moryca, niby grom z jasnego nieba.

— Ty, dżentelmenie amerykański! — zawołał Krygier z pogardą.

— Wybacz mi, masz rację.

— Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co uczyniłbyś teraz z tobą Janek, gdyby się dowiedział o tym wydarzeniu?

— Przysięgam, że to się więcej nie powtórzy. Nie zdawałem sobie sprawy ze stanu duchowego... To były czary... psychoza... to było coś silniejszego ode mnie.

— Znam ten stan duszy — odparł spokojnie Krygier. — Chyba ci wiadomo, że wśród nas przebywa jeszcze jedna kobieta. Tanta może nie pogardziłaby tobą...

To było czymś gorszym od policzka.

Moryc milczał. Krygier ciągnął dalej:

— Straciłem do ciebie zaufanie. Przybyłeś aż z Ameryki, by ratować przyjaciela, ale byłeś tak podły, by popełnić zbrodnię, którą w naszym świecie zmywa się tylko krwią.

Moryc wpił wzrok w Krygiera, który przy tych słowach zaczął manipulować rewolwerem.

— Co zamierzasz uczynić?! — zawołał przerażony Moryc.

— Ja, nie? Tylko ty! Oto masz rewolwer! Uczyni to, co my powinniśmy z tobą uczynić!.

W tym drzwi się uchwiliły i profesor wślizgnął się do pokoju. Krygier powitał go uśmiechem.

— To nie ładnie z pańskiej strony: panie profesorze. Pan już zanadto miesza się w nasze sprawy.

— A pan bije po twarzy zbyt głośno — odrzekł z uśmiechem przybły.

Sprawa przyjęła teraz inny obrót. Nie trzeba chyba dodawać, że Moryc ocalał dzięki interwencji profesora, który, po zlikwidowaniu targu, z pospiechem zanotował coś w swoim notesiku.

Krygier odzyskał dobry humor i zauważył:

— Panie profesorze, składam panu ofertę: moją Anielą nie wzywała pomocy, nie odpowiedziała

że pan przyłączy się do naszej grupy, wierzę, że z czasem stałby się pan wcale dobrym fachowcem.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Profesor podziękował za zaufanie.

Krygier wręczył lekarzowi kilkaset dolarów za pomoc okazaną Jankowi.

— Panowie mnie obrażają — odrzekł lekarz — Nie przyjmę żadnego honorarium.

— Profesor boi się, a nuż banknoty są sfalszowane. — zażartował Moryc.

— Nie dlatego.

— Może, że pochodzą z kradzieży — ironizował Krygier. — Więc niechaj pan wie, że wszystkie waluty przesłanknięte są potem i krowią, a kasy, z których wydobywamy pieniądze przechowują właśnie skarby gromadzone cudzą krzywdą.

— Według pana, nie ma uczciwie zarobionych pieniędzy?

— Przyjm pan honorarium, bo pan, panie profesorze uczciwie je zarobił.

— Ja może tak, ale panowie? Żałuję bardzo, że moja obecność nie wpłynęła uszlachetniająco na was... I dlatego będzie lepiej, gdy się rozstanjemy. Pozwolicie że od czasu do czasu was odwiedzę.

— To będzie niemożliwe, bo jutro opuszczamy Poznań.

— Obawiacie się mnie — zauważył dotknięty profesor.

— Nie, dalecy jesteśmy od tego. Wystarczy nam pańskie słowo honoru. Uważamy jednak za wygodniejsze dla obu stron, aby nasza znajomość ustała. Wille sprzedałem i już jutro ją opuszczamy — oświadczył Krygier.

Gdy profesor zegnał się z Jankiem, wszystkich ogarnęło wzruszenie, ale wraz z zamknięciem przez

dozorcę furtki willi za odjeżdżającym lekarzem, urósł dawny mur między dwoma odrębnymi światami.

ROZDZIAŁ XX.

Poprzez opuszczone relety wdzierały się promienie słońca, do pokoju Janka, który już opuścił łóżko. Przeżycia wycisnęły na nim piętno wielkich zmian nie tylko fizycznych ale i duchowych.

Ale najboleśniej przeżywał przełom, jaki przechodziła Aniela. Czuł, że ją traci na zawsze, że między nimi wznosi się z każdym dniem coraz wyższa ściana, że jej stosunek do niego stopniowo słabnie. Nie mógł zrozumieć przyczyny tych zmian.

Po wyjeździe profesora Janek udał się do pokoju Anieli. Na jej widok stanął zdumiony: Aniela siedziała zapłakana i złamana.

Janek podszedł bliżej i położył rękę na jej ramieniu, ale uczyniła ruch, jakby chciała powiedzieć: to mi pomóc nie może...

Janek nie zraził się tym. Postanowił dziś wyjaśnić sytuację. Próbował przytulić do siebie Anielę, która stanęła naprzeciw niego jakaś obca, dziwna. Utkwiła w nim przejmujące oczy, które go olśniły. Jego usta szeptały tylko:

— Pociś mnie wyrwała z objęć śmierci. Nie chcę takiego życia!

Janek zapłakał. Jego mózg przebiegały dziwne myśli: „Ona zakochała się w kim innym. Musi się do wiedzy, kto wkradł się do jej serca. On już z nim...

— Nie kochasz mnie już? — wyjąkał i osunął się na fotel.

Aniela zbliżyła się doń. Litość malowała się na jej twarzy. Pochwycił jej rękę i przywarł do niej ustami. Aniela wzdrygnęła się. Nie miała odwagi wyr

wał ręki. Ale gdy Antek usiłował ją objąć, odsko-
czyła odeń. Był tym oszołomiony.

— Pocóż mi wykradła z celi więziennej? Nie
warto było... — dodał z gorzkim uśmiechem. — Ma-
że mi wytłumaczysz dziwną przyczynę twego zacho-
wania się? Czy wyrządziłem ci jakąś krzywdę?

— Kochałam ciebie. bo sądziłam, że uda mi się
ciebie przerobić, że będziesz innym człowiekiem. A-
le teraz już wiem, że twój los jest przesadzony.

— A więc dlatego?

— Spędziłeś noc w podejrzany hotelu na Pra-
dze. skąd podstępem sprowadzono cię na policję.
Jak mogłeś wobec mnie w ten sposób postąpić.

— Przysięgam, że to kłamstwo, nieprawda. Te-
raz raczej ty wyznaj mi prawdę. kto ci zawrócił gło-
wę: profesorek, czy Moryc? Wy, kobiety!..

Na dźwięk imienia, „Moryc“ rumieńce wystąpiły
na twarzy Aniela.

— Jak śmiesz mnie o to podejrzewać?

— Zakochanemu najdziksze pomysły przychodzą
do głowy.

— Więc wybij to sobie z głowy. Czy ty wogóle
wiesz co to miłość?

— Zależy jak sobie wyobrażasz nasze życie.

— Bardzo prosto — odparła Aniela: spokojnie,
bez polieji i więzienia. By pędzić żywot szczęśliwy i
spokojny, należy unikać wszystkiego, co kryje w so-
bie niebezpieczeństwo i niesie cierpienie. Tymczasem,
od chwili gdy ciebie poznałam, nie byłam wolna na
sekundę od niebezpieczeństwa. Ile już zdążyłam z
twego powodu przecierpieć?

— Znać po tobie wpływ rozmów i dyskusyj z pro-
fesorem, Filozofujesz?

Aniela zbliżyła się do niego. W oczach ukazały
się jej łzy.

— Powiedz mi naprawdę, czyś bawił w hoteliku na Pradze z kobietą?

— Nie. To oszczerstwo. Tylko ciebie kocham. Gdyby nie ty, dawno skończyłbym ze sobą.

— Po co ze sobą. Lepiej z tym sposobem bytowania.

— Już nie mam odwrotu, wszystkie drogi są dla mnie odcięte.

Siedzieli przez dłuższą chwilę przytuleni do siebie. W duchu pomyślała sobie, że Janek mógłby zostać porządnym człowiekiem, tylko że świat mu to uniemożliwia. Życie go nie oszczędzało..

— A czy ty wiesz — zapętała naraz — że i ja uczestniczyłam w akcji wykradzenia ciebie z więzienia? Byłam pod parkanem więziennym w przebraniu mężczyzny.

— Ty, moja! — podskoczył w zachwycie. — Uczyniłaś to dla mnie?

— Tak. Moja miłość do ciebie uwikłała mnie w pierwszy konflikt z kodeksem karnym. Jak widzisz, już nabrałam kwalifikacyj na przestępczynię.. — uśmiechnęła się gorzko. — Moglibyśmy być szczęśliwi, gdyby nie twoja przeszłość.. — jęknęła z bólu

Cisza zaległa w pokoju. I choć nie mówili ze sobą, rozmowa ich trwała w duszy, w myśli, i w pewnej chwili Janek zawołał:

— Powiedz, czego chcesz? Rozważ, a życie poświęcę dla ciebie! Co mam uczynić, abyś była szczęśliwa? Może chcesz, wyjedziemy stąd daleko, hen, za oceany, gdzie cywilizator - człowiek nie stanął jeszcze stopą na ziemi — tam, gdzie nie obowiązują kodeksy karne, gdzie będziemy mogli żyć w wolności i miłości

— To fantazje! Dziecinada! Łudzisz się naiwnymi wyobrażeniami o przyszłości! Gdyś mnie poznała, również poddawałam się złudzeniom, ale życie jest

silniejsze od nas. Największe twoje ofiary nie dadzą mi szczęścia. Najlepiej uczynimy, gdy się rozstanemy.

Aniela, zdenerwowana zaczęła biec po pokoju, po czym usiadła na kozetce, zakryła twarz rękami i wybuchnęła płaczem.

Usiadł przy niej. Objął ją silnym ramieniem. Bliskość jej ciała oszalała go do nieprzytomności.

Drżała, jak w febrze. Była bezbronna. Patrzył na Anielę, która przymknęła oczy. Janek wyrzucał raz z siebie gorące słowa o miłości, szczęściu i rozkoszy. A w mózgu huczało i wołało: „Janek, prędzej, prędzej teraz albo nigdy!” Jego zuchwałość potęgowała się z chwili na chwilę. Już był tak bliski szczęścia!.. Zdawało mu się że i ora tego pragnie!..

Już nie panował nad sobą. Uniesienie go porwało. Nie wiedział, co czyni. Ale oto Aniela, zwinny n ruchem zadała mu silny cios w twarz.

— Ty.. — nie dokończyła zdania. — Jak śmiałość?..

— W Warszawie mówiłaś mi, że pragnęłabyś mieć dziecko, którego byłym ojcem.

— Wówczas byłam szalona. jeszcze wierzyłam w możliwość twego nawrócenia

— Nie mam do ciebie żalu. Do razów przywykłem. Wolałbym być przez ciebie bity przez całe życie, niż stracić cię..

— Nie chciałam tego — szlochała, obejmując go ciepłymi ramionami. — Gdy ujrzałam naraz twoją wykrzywioną twarz, nabięła krwią, twarz przestępcy, opanowała mnie taka odraza, nienawiść, że musiałam ciebie odepchnąć od siebie..

— Rozumjem odparł Janek — wystarczy, gdy mi powiesz: — idź sobie, a więcej mnie nie ujrzyś!

— Będę z tobą szczerą: powiedz mi prawdę, czy Krygier wpakował w twoje uwolnienie, tyle piemiędzy nie po to, by ciągnąć z tego jakieś korzyści? Czy możesz go w każdej chwili puścić kantem bez spłacenia długu wdzięczności?

W tym momencie wszedł do pokoju Krygier.

— Jak długo jeszcze będziesz się z nią patyczkował? Słyszałem, jak cię zdziesiąła. Ona na zbyt wiele sobie pozwała. Wyślij ją do tarw.

Janek nie odpowiedział. Po chwili znaleźli się w zakonspirowanym pokoju narad, gdzie ich oczekiwali Morve i Regina.

Janek był pogrążony we własnych myślach i nawet nie słuchał słów Krygiera. Jego twarz zdradzała przwgnębienie i rozpacz. Zagryzł wargi, by nie krzyknąć z bólu. W wyobraźni już widział swoją Anielę w nocnych lokalach, gdzie zdegenerowani panowie umilają sobie życie płatnymi rozkoszami.

— Wszystkiemu winne są kobiety! — wrzasnął ze złością Krygier.

— Poproszę cię, by tu o niej jaknajmniej wspomiano! — zawołał w uniesieniu Janek.

— Masz rację — odparł Krygier obrażony. — To jest zapłata za wolność, którą ci przywróciłem.

— Co to za wolność? Świnie także się tuczy po to, by ją zarżnąć. Mnie wykradłeś z więzienia, wylczyłeś, karmiłeś i ubrałeś po to, abym znów narażał życie, by dalej kraść, włamywać się i przeżywać strach przed ponownym zamknięciem!

Obecni spojrzeli na siebie ze zdumieniem, nie wierząc własnym uszom. Czy to ten sam „Kławy Janek“?

Wtem ktoś zapukał do drzwi.

Janek uczynił krok, jakby chciał podesć do drzwi, ale Krygier rzekł doń:

— Mamy tu ważne sprawy do omówienia, i ona nie powinna nic o tym wiedzieć.

„Nie czekając na zezwolenie, Janek przekreślił klucz w zamku i wpuścił Anielę do pokoju.

Aniela spojrzała wpięw na Janka, a po tym na zebranych i oświadczyła stanowczym tonem:

— On z wami więcej nie pójdzie na wyprawę! Nigdy!

— Nie pójdzie, powiadasz? — rzekł cynicznie Krygier. — A ja cię zapewniam, że pofrunie nawet! Czy sądzisz, moja panno, że dla jego czy twoich pięknych oczu łożyłem na jego ucieczkę z więzienia i za bezcen sprzedałem moją wille? Janek wie o tym, że musi dług uregulować. Gdybym go nie potrzebował do obróbki „skarbcza“ nad którym pracuję, byłby do dziś dnia jeszcze gnit na Pawiaku. Zresztą, to sprawa honorowa. Przypuszczam, że Janek nie okaże się wobec mnie „łatkciem“.

— Uspokój się! — wtrącił się Janek. — Muszę z nimi pójść! Inaczej być nie może.

— To będziesz wybierał: ja, albo oni!

— Jeszcze ten jeden raz, a po tym wyjedziemy zagranicę, zgadzasz się?

— Podli ludzie! — oburzyła się Aniela — Sądziłam, że ratujecie Janka z dobrego serca, że robicie to z poczucia solidarności, którą szczyli się wasz światek podziemny. Ale rację miał profesor: jesteście urodzonymi przestępcami!

— Aha, kto miał rację? — podskoczyła teraz Regina. — Nie mówią wam, że ten frajerski profesor zdemoralizuje ją!

Naraz rozległo się pukanie do drzwi

— Dagar!.. — odezwał się głos.

Drzwi się rozwarły i na progu stanęli Antek i Felek. Byli zmęczeni i złamani. Byli ubrani w łachmany.

— Zmykajcie czym prędzej. Policja jest na waszym tropie.

Wszyscy natychmiast wybiegli z pokoju.

ROZDZIAŁ XXI

Nadchodząca jesień napełniała ludzi nocy nadzieją na lepsze czasy. Dzień się kureczył, a noc się wydłużała. Noc, pełna tajemnic, jest odwieczną pomocnicą ludzi podziemi.

„Karpie głowy“ świata podziemnego zjeżdżają się z różnych uzdrowisk, przygotowując się do nowego „sezonu“. Opuścili lokale rozrywkowe, gdzie mieszały się z rozbawioną burżuazją, sypiąc pieniędzmi na lewo i na prawo.

Ci ludzie ufają swojej gwiazdzie i talentowi. Są pewni, że noce zimowe zwrócą im przehulane pieniądze z procentami...

Komisarz żarski siedział za biurkiem pogrążony w rozmyślaniach. Szukał sposobu uchwycenia Janka, by wreszcie wyjaśnić tajemnicę zabójstwa policjanta. Ta sprawa ciążyła na jego sumieniu.

Obławy, rewizje, pościgi i wiele innych przedsięwzięć przeprowadzonych przez władze śledcze nie dały rezultatu. Wywiadowcy i wywiadowczynie ofiarowali swoje usługi — „Klawy Janek“ jakby ulotnił się z tego świata.

Polecił wezwać aspiranta Wołkowa. A gdy ten się zjawił, komisarz żarski wyczytał z jego twarzy ślady niepokoju.

— Co się z panem dzieje?

— Nic. Jestem tylko trochę niewyspany — odparł Wołkow, siląc się na uśmiech.

— Przy czym się pan tak nadwyręzał?

— Co znaczy „przy czym“? Postanowiłem zlikwidować bandę „Klawego Janka“ i muszę tego dokonać.

— Hm, — bandę... Ale oni są sprytniejsi od nas. Dziś dokonali włamania do kolektury na Placu Teatralnym. I to jest ich robótka. To samo cięcie kasy.

— Jużbym dawno zlikwidował tę bandę, gdyby nie...

— Gdyby nie co?

— Gdyby nie pan, panie komisarzu!

— Dlaczego to ja przeszkadzam panu?

— Bo pan stale odnosi się podejrzliwie do moich przedsięwzięć. Wyczuwam to z każdego pańskiego ruchu, słowa, decyzji. Często ręce mi opadają.

— Przesadza pan. Ja i samego siebie podejrzewam niekiedy... Mam wrażenie, że zaawansował pan na aspiranta nie bez mojej pomocy.

— Uczciwie sobie na to zasłużyłem.

— Nie przeczę i zapewniam pana, że w razie zlikwidowania bandy „Kłowego Janka“, dołożę starań, aby pan, panie aspirancie dalej awansował...

Wołkow z jeszcze większą podejrzliwością przyjął te słowa, ale odrzekł tylko:

— Rozkaz, panie komisarzu!

— I zapewniam pana, że, z chwilą wytropienia zabójcy policjanta, natychmiast przedstawię pana do awansu na komisarza.

Żarski nie spostrzegł, jak przy tych słowach Wołkow silnie zbladł. Udało mu się ukryć swoje zmieszanie pogrążając się w czytaniu pewnych dokumentów, leżących na stole.

— Podejmuję się „wykończenia“ tej bandy pod jednym warunkiem: zaufania mi w stu procentach i zezwolenia, aby nikt nie towarzyszył mi w pracy. Do piero gdy wszystko będzie przeprowadzone, zażądać pomocy.

— Czyń pan, jak uważa za potrzebne!

Uścisnęli sobie ręce. Wołkow opuścił gabinet Żarskiego, uspokojony, nie wiedząc o tym, że dopiero teraz spotęgował podejrzenie komisarza.

W kilka minut po tym Żarski otrzymał telefoniczne połączenie z Poznaniem. To dzwonił do War-

szawy Komisarz Borewski który poinformował Żarskiego o dokonaniu wielkiego włamania do jednego z poważnych banków.

— Sądząc ze sposobu rozprucia kasy — mówił dalej komisarz Borewski — jest to robota warszawskich cwaniaków. Zrabowano dużą sumę. Wiem, że u was w mieście dokonano wielu podobnych włamań, proszę przeto pana, panie komisarzu, o pofatygowanie się do Poznania.

W Poznaniu komisarz Żarski stanął wobec zagadki. Rozpruwacze kasy nie pozostawili żadnego śladu, któryby mógł naprowadzić policję na trop przez ślepców.

— Oto właśnie chodzi — rzekł komisarz Borewski. — Nie wiem od czego zacząć. Może tymczasem udamy się na posiłek?

— Dziękuję — rzekł Żarski zamyślony. Ale zaraz dodał, przechadzając się po pokoju i przysłuchując odgłosom własnych kroków. — Czy panów nie zainteresowała sprawa, jakim sposobem rozpruwacze dostali się do banku?

— To oczywiście — odparł komisarz Borewski — przy pomocy podrobionych kluczy, bo w tej nocy czuwa specjalny dozorca.

— Nie, nie! — przerwał mu zniecierpliwiony komisarz Żarski. — Tu pod nami — w tym momencie uderzył kilkakrotnie nogami — nie ma podłogi. Czy pan nie wyczuwa tu pustki?

W kilka minut później świetnie dopasowane podsadzki zostały wyjęte, a pod nimi, zamiast normalnej podkładki podłogi, znajdowały się szmaty, którymi rozpruwacze wyścielili wolną przestrzeń, by się podłoga nie zawałiła..

Po nitce do kłębka został wykryty tunel podziemny, w którym rozpruwacze nawet przeprowadzili instalację elektryczną. Przekrecono kontakt. Teraz za-

uważono, że podkop prowadził do tunelu kanalizacyjnego.

ROZDZIAŁ XXIII

Od pierwszej chwili, gdy Antek i Felek wyruszyli na wyznaczoną im przez Krygiera wyprawę, zaczął ich prześladować pech. Robotę, im poleconą wykonywali, ale ledwie uszli z „zarobkiem“ wpadli w objęcia posterunkowego... Mieli jeszcze szczęście, że tej nocy, kiedy osadzono ich w areszcie, zdołali uciec. Próbowali na własną rękę coś zarobić, ale bez powodzenia. A zależało im na tym by nie wrócić z pustymi rękami do Krygiera. Po kilku tygodniowej „wędrownicy“ z miasta do miasta, zrezygnowani wrócili do Poznania, spostrzegli w okolicy willi Krygiera komisarzy Żarskiego i Barewskiego w towarzystwie wywiadowców. Zrozumieli, że policja posuwa się wzdłuż linii podkopu i czym prędzej uprzedzili Krygiera oraz jego kamratów.

W ten oto sposób luksusowa willa została opuszczona przez swoich lokatorów w ciągu kilku minut.

Gdy weszli do ogrodu willi wszystkich ogarnęło uczucie zwątpienia. Wszędzie panował idealny ład i porządek. Nic nie przemawiało za tym by stąd mieli uciekać niebezpieczni włamywacze. Dał temu wyraz komisarz policji miejscowej, ale komisarz Żarski nie dał się zwieść różnym uwagom. Poprosił towarzyszących mu w tej wyprawie, aby zechcieli poczekać na niego w hallu, aż wróci. Pragnął osobiście wszystko jaknajdokładniej obejrzeć i zbadać zanim liczna brygada wszystkiego się dotknie i przez nieostrożność niejedyn cenny, a napozór błahy ślad, zatrze.

Z brauningiem w jednym ręku i z latarką w drugim posuwał się teraz komisarz Żarski ciemnym korytarzem naprzód.

Naraz natknął się na coś miękkiego. Trup. Takim był jego pierwszy odruch. Przyświecił latarką w dół.

Zimny dreszcz przebiegł jego ciało. Były to dwa zastrzeleno psy. Już nie żyły.

Żarskiego zastanawiała okoliczność, że w drzwiach do każdego z pokoi sterczały klucze, jakby same napraszały się: pozwól pan do środka. Komisarz zakasłał głośno, jakby chciał kogoś sprowokować. Prócz echa — nikt się nie odzywał. Przez chwilę jeszcze nad słuchwał, wreszcie nabrał odwagi i otworzył drzwi. Wspaniałe umeblowanie pokoju nie przykuwało teraz jego uwagi. Nie mógł przypuszczać, że w tym pokoju „Klawy Janek“ przeżył okres ciężkiej choroby. Że w tym pokoju przy jego łóżu czaiła się urodziwa Aniela, z powodu której Żarski spędził niejedną noc bezsen- na. Żarskiego teraz obchodziło tylko to, dlaczego ten pokój jednak był przystosowany dla ludzi, odczuwają- cych potrzebę konspiracji. Górow był przysiędź, że w tym pokoju jeszcze przed pół godziną był człowiek. Dlaczegoż tedy wszystko tonie w ciemnościach? W pewnej chwili zauważył flaszeczkę z sygnaturą lekar- ska. Odnotował nazwisko lekarza i adres apteki.

Zaintrygowały go drzwi, prowadzące do piwnicy. Może tam się ukryli?

Zszedł na dół. Raptownie otworzył drzwi i zawo- łał ostro:

— Rece do gór!

Ale tylko echo odpowiedziało mu wielokrotnie. Nawet miał wrażenie, że słyszy jakieś podejrzan- e szmery. Stał jakby przykuty do miejsca.

Energicznie postąpił naprzód. Był to pokój taj- nych narad Krzyżera. Ściany, obite grubym filcem, da- wały Żarskiemu dużo do myślenia. Zastanawiał go jeden szczegół. Dlaczego wbito w ściany tyle haków? Nie mógł wiedzieć, że tu było jednocześnie muzeum dziwołagów świata podziemnego, i że z haków za- wczasu pozdejmowano cenne okazy.

Tymczasem brygada wywadowcza z komisarzem

miejscowym na czele, niepokoiła się długą nieobecnością Zarskiego. Wbrew przyrzeczeniom, że zaczekają na jego powrót lub na hasło weszli w głąb gmachu. I oni ulegli tajemniczemu nastrojowi, który panował w tym domu, ale wyciągał wręcz odwrotne wnioski. Nabierał coraz większego przeświadczenia, że ta willa nie mogła być siedliskiem zbrodniarzy. I gdy komisarz miejscowy spotkał się z Zarskim rzekł doń:

— Panie komisarzu, mam wrażenie, że będziemy mieli przykrości, gdyż lada moment zjawi się prawdziwy właściciel i....

— Bodajby się zjawił — ironizował Zarski.

Spostrzegwszy pod łóżkiem parę pantofelków damskich, przypomniał sobie w tej chwili szczegół z pierwiastkowego śledztwa na Pawiaku na wiadomość o ucieczce Janka. Wówczas znaleziono pod parkanem, okalającym Pawiak, ślady stóp kobiecych. Daktyloskopijne odciski zostały wykonane. Zarski włożył pantofelki do swojej torbki.

Ale oto naraz rozległo się za oknem wołanie jakiegoś mężczyzny.

Był to dozorca, który na widok agentów, szperających po willi, uderzył na alarm. Zaprowadzono go do pokoju, w którym przebywała „władza“.

— Jak długo pan tu służy?

— Przeszło rok czasu.

— A przed tym u kogo pan był zatrudniony?

— U pana pułkownika.

— U jakiego pułkownika?

— U męża pani hrabiny.

— Jak się ona nazywała?

— Hrabina Mołdowska.

Komisarz Zarski opamiętał swoje zdumienie.

— Jakto, hrabina Mołdowska z Warszawy jest właścicielką tej willi?

— Napisałem do niej, że pan Krygier sprzedaje

wille. Pani hrabina po tem gdy ją okradziono, postanowiła opuścić Warszawę.

Żarski począł krążyć podniecony po pokoju. W pewnym momencie rozkazał:

— Przetrzęsnać całą willę!

— Nie pozwolę na to — zawołał dozorca. — Do swé się napracowałem przy porządkowaniu po ich wyjeździe. Hrabina ma w tych dniach przyjechać...

— Po czym wyjeździe — przerwał mu komisarz Żarski.

— Po wyjeździe tych, którzy tu mieszkali — odrzekł dozorca bez zająknięcia.

— Długo tu mieszkali?

— Sporo czasu, dokładnie nie pamiętam.

— Jak widać ma pan słabą pamięć. To nie szkodzi, gdy będzie potrzeba, przywołamy panu wszystko.

— Jak wglądał właściciel willi?

— Przystojny, wysoki poważny.

— A jak się nazywał?

— Krygier, mówili nawet, że to baron, czy lord. Ja tam nie wiem.

— A gdzieście byli, kiedy wchodziliśmy do willi.

— W ogrodzie.

— I nie słyszeliście, jak tu gospodarujemy cztery godziny czasu?

— Głuchawy jestem.

— Aha... Głuchy... Ma słaba pamięć — rozważał komisarz Żarski — A psu kće zastrzelili?

— Ja. Tęskniły za panem swoim. Zaczęły zdradzać niepokój. Wściekały się.

— A czy pan prowadził interesy? Czy przychodzili do niego ludzie? Kobiety, może?

— Mój pan najczęściej przebywał zagranicą. Tu, w willi nikogo nie przyjmował.

— Ale kobiety przebywały w tej willi? — dopytywał się komisarz Żarski.

— Tylko na krótko przed wyjazdem widziałem tu dwie panie i kilku eleganckich panów.

— A jak wyglądały panie?

— Jedna była starsza, wysoka, a druga — młoda ładna dziewczyna.

Żarskiemu w tym momencie przypomniała się Aniela. Wrazła się głęboko w jego pamięć i nie dawała mu spokoju.

— A czy ta młoda panna była brunetką o czarnych, gorących oczach?

— Tak, — odrzekł dozorca nieco przerażony tym, że komisarz coś podejrzewa.

— Czy wszyscy razem opuścili tę willę? To jest czy ta młoda panna wyjechała razem z panem Krygierem?

— Tak jest.

— Może pan wie, którym pociągiem wyjechali?

— Własnym autem w kierunku Warszawy.

— A numer auta pan zauważył?

— A jakże: 6841.

— A jak wyglądali obcy panowie?

— Jeden wydawał mi się Amerykaninem, a drugi..

— Może to ten — raptownie komisarz podsunął fotografię. — Pan go poznaje? — zapytał surowym głosem komisarz. — Proszę odpowiedzieć!

— Nie wiem. — odparł dozorca. — Drugiego

— Bo zawsze miał obwiązaną twarz jakby cierpiał na ból zębów: nadte rogowe duże okulary prze-

— Jak to możliwe że pan służąc tu rok czasu, nie był w pokojach pana?

— Byłem może kilka razy ale na korytarzu, gdy zdarzało się, że ktoś przyjeżdżał i trzeba było zaność walizkę..

Komisarz Żarski widział, że od dozorce czegoś nie wydobędzie.

— Tego dozorcę zabierzemy z sobą, — rozkazał komisarz Żarski, — przed willą ustawić straż. Nikogo nie wpuszczać i nie wypuszczać.

W mgnieniu oka kajdanki znalazły się na rękach dozorcey.

Komisarz poznański był oburzony na Żarskiego, ale nie mógł mu robić zarzutów. Wszak sam zaprosił tego „Rosjanina“ do Poznania, by wytropił warszawskich cwaniaków, którzy przybyli na gastrole do Poznania. Komisarz Borewski, rodem z Wielkopolski, przyzwyczajony był do innej, niemieckiej szkoły śledczej, gdzie systematyczność i rozwaga odgrywały najważniejszą rolę. Tymczasem komi Żarski z Warszawy działał intuicyjnie, jak pod wpływem nagłego naziw „trofeów“ Żarskiego. Zdanie n Borewskiego, dozorca jest niewinny, a willa nie była siedzibą kasiarzy. Postanowił tego jeszcze dnia zlikwidować akcję Żarskiego jako fatalną. Zamierzał to uczynić przy obiedzie, na który chciał zaprosić Żarskiego. Niespodziewanie Żarski odmówił, przyrzekając, że odwiedzi Borewskiego po obiedzie w jego gabinecie, w Urzędzie.

O umówionej porze zjawił się w gabinecie Borewskiego.

— Oj! nasze zwycięstwo — rzekł Żarski, kładąc na biurku Borewskiego pantofel damski i buteleczkę z płynem.

— Pantofel — odparł komisarz Borewski, nie bez ironii — miałem już przyjemność oglądać. Pan kolega, widać, jest amatorem damskich nówek...

— Jak czasem — z przerwaniem rzekł Żarski. — Ale w pantoflu leży moja ładnieja. Razem z tą flaszeczką mamy dwa klucze do rozwiązania naszej zagadki.

— ?? — Borewski podniósł oczy na Żarskiego, a na ustach jego zastygło pytanie

— Zaraz panu wyjaśnię mój plan działania. Ale na wstępie jedno zapytanie: czy zna pan w Poznaniu profesora Schwarza?

— A jakże. To wybitny lekarz i uczoney. Znany jest także ze studjów w zakresie psychologii przestępców. Ale co on ma wspólnego z naszą zagadką kryminalną?

— Bardzo wiele. Poproszę o wezwanie go do Urzędu.

— Profesora? — komisarz Borewski zaczął tracić cierpliwość. Poruszył się na krześle nerwowo jakby siedział na szpilkach. — Nie mogę na ślepo słuchać pańskich rozkazów. Odpowiedzialność ja ponoszę. Njech mi pan wytłumaczy potrzebę tych zarządzeń.

— Muszę kolegę przeprosić za mój sposób postępowania, ale wynika ono niemożliwość z własnej metody tropienia przestępców — wyjaśnił Żarski. — Mogę tylko tyle na razie panu powiedzieć, że Poznań gościł u siebie jednego z najzuchwalszych przestępców poszukiwanym przez światowe centrale policyjne ze słynnym Scotland Yardem na czele... Występuje on pod różnymi nazwiskami najczęściej Franka. Jest z zawodu doktorem chemii. Włada swobodnie kilkunastoma językami. Prawdziwe jego nazwisko brzmi Krvgier.

— Krvgier? Tak, tak. Przypominam sobie teraz to nazwisko. Słyszałem o nim będąc w berlińskiej szkole policyjnej — zawołał komisarz Borewski. — Ale na jakiej podstawie, sądzi pan, miał on być właścicielem tej willi?

— To jest jego ulubiony chwyt — wyjaśnił Żarski. — Gdzie tylko objera sobie bazę działania, uabliwa majątek ziemski, willę podmiejską lub pałacyk.

Gotów jestem przysiąc, że tu z nim bawił również „Klawy Janek”.

Komisarz Borewskij zagryzł wargi. Słowa Żarskiego wywarły na niego oszalamiające wrażenie.

— W takim razie nadamy telefonogramy do wszystkich posterunków policyjnych. Pochwyćmy go w nasze ręce.

— Krygiera? Po dwudniowej nieobecności w tej willi? Wolne żarty... — uśmiechnął się Żarski. — To nie zwykły sobie ptaszek. To czuwał w świecie przestępczym!

— Więc co robić?

— Tymczasem należałoby zadzwonić do profesora Schwarza...

— Ale co z tym wspólnego ma profesor Schwarz? — zaniepokoił się komisarz Borewskij.

— Panie kolego, cierpliwości! Niech pan do niego zadzwoni! Niebawem przekona się pan, że jestem na dobrej drodze.

Gdy profesor Schwarz zjawił się sprawił wrażenie człowieka, który czekał tylko na to wezwanie...

Przez kilka minut w gabinecie panowało przykre milczenie, jakby ci ludzie myślą i intuicją wzajemnie się badali. Naraz spojrzenie profesora spoczęło na sygnaturce, przymocowanej do buteleczki z lekarstwem. Profesor powiódł wzrokiem po twarzach obecnych Borewskiego i Żarskiego, uśmiechając się przy tym porozumiewawczo.

— Więc to jest przyczyną nagłego wezwania mnie do Urzędu — wskazał profesor Schwarz na buteleczkę z płynem kolorowym.

— Doskonale, panie profesorze — zawołał Żarski, zachwycony bystrą orientacją profesora-psychologa.

— Był pan u chorego a za tym poznał jego otoczenie w tej willi. Zechce pan, panie profesorze, ia-

skawie określić wygląd zewnętrzny mieszkańców owej willi.

Profesor nie tracił humoru i odrzekł:

— Miałoby to wizytę mam dziennie? Czyż mogę obserwować bliższe otoczenie chorego? I to w dodatku z taką drobiazgowością, jakiej wymaga zazwyczaj policja w celach śledczych?

Żarski zorientował się w sytuacji. Postanowił wziąć profesora „pod włos”.

— Gdybym powiedział panu profesorowi o kogo nam chodzi, nie weźmie pan za złe, że go fatygujemy.

— Ależ to drobnostka..

— Poszukujemy tu dwóch niebezpiecznych przestępców, z którymi policja na całym świecie nie mogła się uporać. Mamy wszelkie dane do przypuszczenia, że oni właśnie byli mieszkańcami tej willi..

— Ale cóż to może mnie obchodzić? — przerwał mu profesor Schwarz.

— Chorym był „Kławy Janek“, o którym pan profesor zapewne czytał w prasie, że uciekł z Pawliaka.. Przesadzając mur okalający więzienie, musiał on uderzyć się w głowę.. Był upust krwi, a może i inna choroba, w związku z którą pana profesora wezwano do willi..

Profesor nagle wstał z miejsca, jakby zamierzał już odejść i rzekł:

— Panowie mi wybaczyćcie, ale, niestety, nie mogę służyć żadnymi informacjami. Lekarz jest jakby spowiednikiem. Lekarz leczy ciało, — duszpasterz — duszę. Ale nikomu z nich nie wolno zdradzać powierzonej mu tajemnicy.

— Ależ, panie profesorze, tu chodzi o niebezpiecznych przestępców — unoszą się komisarz Żarski.

— Dla mnie człowiek to pacjent bez względu na

Jego pozycję moralną, społeczną i materialną. Moje ostatnie słowo brzmi: o niczym nie wiem!

— Pan o niczym nie wie, czy pan niczego nie chce nam powiedzieć?

— Mogą sobie panowie to tłumaczyć według swego kryterium. Pragnę tylko zeznać, że moje oświadczenie, które panom złożyłem jest dostatecznie uzasadnione, aby panowie mniej więcej nie niepokoili.

— Ręczyć za to nie mogę — odparł Żarski. — Na gromadzony przeze mnie materiał przekażę sędziemu i niechaj sobie wyciąga dla siebie odpowiednie wnioski. Żałuję tylko że pan profesor odmawia mi pomocy w ujęciu szkodliwych dla społeczeństwa jednostek.

— Pytanie tylko kto jest szkodliwy dla społeczeństwa: przestępcy, czy ci, którzy ich do przestępstwa popychają — rzekł profesor poważnie.

— Ależ, panie profesorze, mam wrażenie, że jest to obowiązkiem każdego człowieka, pomóc nam, policjantom, w ciężkiej walce ze światem podziemnym. Niech mi pan powie: gdyby tak szło o usunięcie wściekłego psa, czy zawahałby się pan przed zastrzeleniem go? Czy ludzie tego pokroju nie zasłużyli na kulę w łeb.

— Nie będę się wdawał w rozważania filozoficzne. Pan spogląda na ludzi oczyma policjanta, ja — oczyma lekarza. Spoglądam na ludzi jak na chorych, którzy nabawili się choroby może wbrew swej woli.

Profesor prosił o wybaczenie, że, nieszety, jego obecność nie przyczyni się do rozwiązania ich zagadki i pożegnał obu komisarzy.

Komisarz Żarski na pożegnanie użył wypróbowanego triku:

— Przekonam pana, panie profesorze, Tego pan zna? — zapytał Żarski, podsuwając Schwarzwowi z błyskawiczną szybkością podobiznę „Klawego Janka”

i zatapiające przy tym ostry wzrok w twarzy profesora.

Profesor jednak ani drgnął. Twarz jego zdradzała dobroduszną.

— Njech pan się dobrze przyjrzy tej podobiznie, może pan rozpozna swego pacjenta?

Profesor flegmatycznie wyjął okulary, wsadził je na nos, zbliżył się do stołu, na którym stała lampa elektryczna i rzekł:

— Ciekawa twarz, nieco podobna do pańskiej, panje komisarzu.

— Widzę, że profesor nje ma ochoty nam pomóc, może większe szczęście spotka sędziego śledczego.

— Nie większe niż pała.

Tak się skończyło badanie profesora Schwarza.

ROZDZIAŁ XXIII

W godzinę po tym komisarz żarski siedział w przedziale wagonu pierwszej klasy. Gdy zdrzemnął się, marzył już o tej chwili, kiedy będzie mógł zmusić urodziwą przyjaciółkę Janka do wzajemności... Nie wątpił na chwilę że pańofel, który woził teraz w tecze, należy do niej...

Sporo czasu upłynęło od owej krytycznej nocy, kiedy hrabina Młodowska została ograbiona. Tej nocy posterunkowy Michał padł trupem. Śmierć jego wstrząsnęła Warszawą, ale czas czyni swoje: większość nawet jego kolegów zapomniła o tym wypadku. Była jednak osoba, która nie mogła się z tym faktem pogodzić. Często składana na jego grobie wiązanka róż, świadczyła o tym, że gdzieś serce kobiece ścisła ból na wspomnienie o śmierci Michała... Była to jego narzeczona, która nachodziła urzędy, żądając

satisfakcji... Jej marzeniem było, aby morderca został ujęty.

Ludzie nocy przechodzili wtedy okres największego sezonu. Długie noce zimowe najlepiej sprzyjały ich zamjarom. Pod osłoną nocy nasza znajoma trójka: „Klawy Janek“, Krygier i Moryc wybierała się na śmiałe wyprawy. Jakże potrafili się odmienić, by czujne oko policyjanta nie zdołało ich rozpoznać? Mielł to do zawdzięczenia genialnemu Krygierowi. Ten, przejąwszy od żony swojej — artystki filmowej — sztukę charakteryzacji, doprowadził zdobytą wiedzę do niebywalej perfekcji. Wspecjalizował się nie tylko w przekształcaniu rysów twarzy, ale także w przeobrażeniu ruchów, które tak cechują poszczególne jednostki.

Za dnia wyglądał na 60-letniego staruszką o niezwykłej prezencji. Na sekundę nie wypuszczał monokla z oka. W luksusowym hotelu, gdzie zamieszkał, był zameldowany jako obywatel ziemski o znanym, arystokratycznym nazwisku.

W nocy grał rolę... nocnego stróża. Krążył ulicami z grubą laską w ręku i z dużym zegarem kontrolnym, zawieszonym na piersiach. Robił wrażenie typowego wroga ludzi nocy, gotowy w każdej chwili do walki. Tak świetnie mu było w tej roli, że nie wzdudzał nawet podejrzeń u policyjantów, patrolujących ulice w nocy.

Krygier dbał także o zewnętrzny wygląd swoich kamratów, którym nadawał odmienną „skórę“, według swego pomysłu i smaku. Janek, którego cenił, jako utalentowanego i jedynego swego zastępcę przekształcił w eleganckiego Anglika. Moryc pozostał niezmieniony: był nadal typowym wataśkiem amerykańskim... Tak działo się za dnia. W nocy sytuacja kardynalnie się zmieniała. Janek wkładał mundur „okoczo-ocznowo“ — dzielnicowego. Uniform leżał na nim,

jak ulany. W „szynelu“ robił wrażenie typowego przodownika...

Do północy trójka nasza bawiła w lokalach, spędzając wesoło i bez troski czas, ale po dwunastej, ułajniłali się i przystępowali do realizacji zgóry powziętych planów.

Z początku przebiegali się i charakteryzowali w melinie naszego dobrego przyjaciela „Bajgele“, do którego odnosili się ze stuprocentowym zaufaniem ale później, zresztą za jego namową, przenieśli się do innej, frajerskiej meliny, o którą się szybko wystarali.

W hotelu, w którym się rozgościłi, jako eleganccy panowie, nie wzbudziłi niczyjzego podejrzenia. Była nawet wśród służby konfidentka policji, ale ta akurat upatrzyła sobie na „ofiara“ jednego jegomości, co do którego ubzduriała sobie, że to... „Klawy Janek“. Niejednokrotnie alarmowała policję, że go... ma, ale gdy przybywała na miejsce policja ze wstydem dowadywała się, że urojenie konfidentki przesłania jej rzeczywistość... Nadaremnie konfidentka narażała swoją cnotę na niebezpieczeństwo...

Antek i Felek rozlokowali się w innym hotelu. Ci nie mieli wcale powodu do wystrzegania się policji. Wykorzystali oni tę okoliczność do obserwacji i po to, by donosić kamratom o wszystkim co ich dotyczyło lub mogło zainteresować.

Regina także przeniósłi się z całą „paczką“ do Warszawy. Wynajęła sobie eleganckie mieszkanie w okolicy Miodowej. Na liście lokatorów widniał napis: kapitalistka, utrzymuje się z własnych funduszków... Jako kobieta, była bardzo dystygnowana, zresztą wyniosła to z bogatego domu rodzinnego, z jakiego pochodziła. Była córką bogatego przemysłowca. W domu czuwalil nad jej edukacją w dzień i w noc. Ale... W życiu zawsze bywa jakieś „ale“, które pląta człowiekowi figle, nie licząc się z jego dążeniami, wyko-

rzystując jedynie słabą wolę i podszepty diabełka, który w każdym z nas gdzieś się kryje. I takie „ale“ sprowadziło Reginę do świata podziemnego.

Była na plaży, gdy nagle spostrzegła, że jest obserwowana. Ledwie odwróciła głowę, a natknęła się na urodziwego młodzieńca który wpił się w jej ciało rozżarzonymi od żądy oczyma. Próbowała odwrócić uwagę swoją od natarczywych spojrzeń młodego mężczyzny, ale nje mogła. Zmieszana się i.. opuściła plażę. Ale oczy tego mężczyzny prześiadowały ją. Miała niespokojną noc. I chociaż to było przed egzaminami maturalnymi nje mogła zebrać myśl. Nawet w chwilach największego skupienia wylanała się naraz sylwetka owego mężczyzny. I jakby wiedziona tajemniczą ręką Regina, nje mogąc oprzeć się pokusie, skierowała się w kilka dni po tym na plażę.. Nadaremnie. Młodzieniec znikł jak kamfora. W międzyczasie odumarał Reginie ojciec, później matka. Bogaty dom rodzicielski legł w gruzach. Regina była samotna, jak kołek, gdy znów zetknęła się z tajemniczym młodzieńcem z plaży. Zakochała się w nim od pierwszego wejścia. A gdy poślubił ją, była najszczęśliwszą kobietą. Nje wiedziała, że jest z zawodu złodziejem...

A gdy urodziła dziewczynkę, na zawsze była już związana z „nowym światem“. Zerwała stosunki z dawnymi znajomymi, którzy zresztą stopniowo od niej się odsuwali. Także opiekunka, która zajmowała się z początku Reginą tuż po śmierci jej rodziców, zerwała z nią przywłaszczwszy sobie uprzednio pozostałe kosztowności, a wzamian obdarzywszy Reginę grubą porcją morałów...

Ale Regina na nje nje zważała, bo ukochany jej był wzorowym mężem i ojcem. Nje miała mu nic do zarzucenia. I tak minęły dwa lata pożycia z nim w szczęściu i miłości, uwiecznione „dalszym“ pokoleniem: Regina wydała na świat ślicznego chłopczyka.

Z czasem Regina dowiedziała się o „zawodzie“ męża, a ten wjeżdżał, że zona jego jest z tego powodu przygnębiona. Stopniowo likwidował więzy, łączące go ze światem podziemnym, ale od czasu do czasu zrywał się w nocy z łóżka „na robotę“, żegnając żonę czułym pocałunkiem. Regina przyjmowała biernie pocałunek, udając, że śpi, jakby między nimi zawarte było ciche porozumienie, aby „o tym“ nie mówić..

Pewnej nocy zimowej, gdy znów usiłował wysliznąć się swoim zwyczajem, Regina usiadła raptownie na łóżku i zawołała:

— Nie chodź! Zostań tu! Przeczucie mi mówi, byś się nie ruszał z tą!

Krzyk i płacz matki chudziły dzieci. W izbie zapanał ponury nastrój. Ojciec zmieszają się. Przyrzekł, że nie wyjdzie z domu. Ale „charakter złodziej-ski“ dręczył go. Nie mógł jako wychowanek ulicy, który przejął się zasadami moralnymi ludzi nocy, zostawiać kamratów na umówionym miejscu, tymbardziej, że był ich hersztem i przewodnikiem.

I gdy tylko stwierdził, że domownicy zasnęli, wysliznął się bezszelestnie, jak wąż. W duchu przysiął sobie, że czyni to poraz ostatni.

Ale w niespełną godzinę po tym, gdy przystąpili do „pracy“, znalazł się wraz z kamratami w ręku policji. Wyrokiem sądu powędrował później na kilka lat do więzienia. Kary nie odbył, gdyż zmarł w więzieniu. Rozstanie z żoną i dziećmi było dlań boleśniej sze od wyroku skazującego. A wyrok był surowy i jak na recydywistę dość wysoki: opiewał na sześć lat pobytu w więzieniu Sto-krzyskim.

Regina postanowiła zabrać się do ciężkiej pracy, by wychować dzieci na uczciwych ludzi. Ale nawet nie zorientowała się w jaki sposób i kiedy to się stało, że związała swoje losy ze światem podziemnym.

Nie jeden z ludzi nocy ubiegał się o względy urodziwej Reginy, która nieraz była świadkiem, jak ostrze noża decydowało o tym, do kogo ma należeć... Po raz drugi zamąż nie wyszła. Kochała następców męża „na słowo”, ale dziwne fatum ich prześladowało. Jeden za drugim przechodził nieszczęścia. Regina stała się postrachem mężczyzn, którzy zaczęli jej unikać w obawie przed smutnym losem... Ludzje nocy, choć płonęli do niej afektem, trzymali się w rezerwie, szepcząc sobie ostrzegawczo na ucho: „zostaw w spokoju tego anioła śmierci..“

Regina miała swoją specjalność w światku przestępczym: „szpiegostwo“. Prowadziła wywiady dia tych, którzy planowali grubszą robotę. Umiała przeniknąć tam, gdzie najmilszi bohaterowie nocy nie odważyliby się pokazać. A pokryjomu podkochiwała się w Krygjerze...

Ubośtwniała Krygjera za jego żelazną wolę i wyjątkowy charakter. Znając go z tej strony, nie narzucała mu się swoim uczuciem. Drżała na myśl, że mo że go stracić na zawsze.

Krygjer, z zawodu inżynier, przystępował do pracy ze zgóry opracowanym planem. Każde jego przedsięwzięcie było tak obmyślane że detektywi naprzód łamali sobie głowę, oczywiście, po fackie dokonany... Napawały go radością sensacyjne spory w gazetach, poświęcone jego „robotom“... Miał chwilami wrażenie, że tu chodzi o zakład między nim a policją kto kogo...

Krygjer był namiętnym zbieraczem drobnych narzędzi złodziejskich. W Niemczech miał swoje zbiory, które były nie gorzej zaopatrzone od słynnego Scotland Yardu. W tajemnicy przed wszystkimi pracował nad dziełem naukowym o kryminalistyce, któ-

re zamierzał zostawić w spadku temu państwu, gdzie powiła go anioł śmierci... Jedyną powiernicą Krygiera w tej dziedzinie była właśnie Regina.

Regina przebywała teraz w swojej sypialni, zarządzanej według nakazów ostatniej mody. Nie utrzymywała stosunków z ludźmi acoy, ale za to chętnie przyjmowała u siebie w domu komisarza policji, wyższego urzędnika więziennego i.t.d. Zlecenia Krygiera spełniała, jak rozkaz. W duszy tliła się nadzieja: „może tym go sobie pozyskam”. Ale cóż z tego kiedy Krygier był twardy, jak skała...

Była 10-ta rano, kiedy zadzwoniono u drzwi mieszłania Reginy. Wiedziała kto ma przyjść. Unyślnie pozostała w łóżku. Nie omyliła się w swych rozważaniach. Krygier, wpuszczony przez pokojówkę, nie zważał na jej prośbę, by zaczekał na panią w saloniku, i od razu skierował się do sypialni. Tam zastał Reginę w negliżu. Na jego widok krzyknęła przerażona: „ach!..” Ale Krygier odparł ze spokojem:

— Nic nie szkodzi... Muszę z tobą pomówić w bardzo ważnej sprawie.

— Co się stało? — starała się Regina rozmowę zwrócić na siebie uwagę Krygiera.

— Nje.

— Jesteś dziwnie bład i opryskliwy.

Ale Krygier, jakby nie słyszał jej słów, rzekł.

— Musjmy coś poradzić na to, by pozbyć się narreszcie Anieli.

Oboje spojrzeli sobie prosto w oczy.

— Nje, to nie sposób. Zapominasz, że to córka Staśka „Lipy“...

Regina tymczasem ubierała się w wyrafinowany sposób, by zbudzić pokusę u Krygiera.

— Szkoda twoich zabiegów... Nje przyszedłem tu

na „ciepłe nóżki“. Ruszaj się szybciej! Nie interesuję się tobą, jako kobietą.

Regina zbladła przy tych słowach. Tego już było za wiele.

— Jeśli tak, możesz poczekać na mnie w drugim pokoju!

— Słuchaj, Regino. Polubijem cię od pierwszej chwili i pragnę, by nasza przyjaźń była dożyonna. Uważam, że przyjaźń między mężczyzną a kobietą trwa dopóty, póki nie utrzymują ze sobą bliższych stosunków. A ja chcę, by naszej przyjaźni nie zagrażała żadna przeszkoda.

Regina wybuchnęła płaczem.

— Płaczesz? — zawołał Krygier. — Sądziłem, że takie kobiety, jak ty, nie płaczą nigdy.

— Ty człowieku bez serca! — odezwała się pogardliwie. — Dla mnie nie było trudnej sprawy, gdy tylko dotyczyła ciebie, ale ty..

— Ee, wy kobiety!.. Zawsze wasze myśli obraca ją się dokoła jednej rzeczy.. Ubieraj się szybciej! Mam ważną rzecz z tobą do załatwienia.

Krygier wyszedł do przyległego pokoju, gdzie za brał się do przeglądania prasy porannej.

Wnet wyszła do niego Regina.

— Klawy Janek, to stracony człowiek — oświadczył Krygier na wstępie, nie patrząc na Reginę.

Regina milczała.

— Dlaczego nie odpowiadasz

— Janek nie ma tak zatwardziałego serca, jak ty.

— Masz rację, ale tego już zmienić się nie da.

— O, nie! — wybuchnęła na nowo płaczem

— Nie płacz. Podobne głupstwa nie łążą mi po głowie.

— Miłość to dla ciebie głupstwo,

— Pewnie! Wszystkie nieszczęścia pod słońcem biorą swój początek w miłości!

Zapanowało milczenie, które Krygier przerwał nagłym pytaniem:

— Czy byłaś kiedyś uwięziona?

— Nie.

— Ani zakuta w kajdany?

— Chyba że nie.

— A nikt ci w oczy nie pluł i nie wołał „złodziej“?

— Nie.

— O, nie życzę ci tego, abyś przechodziła moje koleje życia. Szkoła życia wyposażyła mnie w stalowe nerwy, nie czule na łzy, cierpienia i inne subtelne uczucia, jak np. — „miłość“. Znam jedną tylko wartość — pieniądze. Wiem, że za pieniądze szczęścia kupić nie można! Ale przy pomocy pieniędzy można njejedno nieszczęście ominąć...

— Gdyby nie ty, dawnobyłm już zerwała z tym ohydnyłm życyem. Dla cębyę gręzney coraz głębyey w błocy. Kto wie, czy koniec konców nie dostanę się za kraty. A co wówezas stanę się z moymi dziećmij?

Regina zalewała się łzami.

— Przestań. Uważaj co ci powiadam. Jeszcyę jedną robotę wykonamy w Polsce i koniec. Wjedziemy zagranęę. Do Paryża lub Londynu. Dokąd zechcesz. Dopomogę ci w urzędzeniu magazynu. Sędziesz mogła prowadzić spókojnny tryb życia. Stawiam ci tyłko jeden warunek.

— Nowy warunek? — przeraziła się Regina.

Krygier krążył po pokoju zdenerwowany. Zastanawiał się, widać, nad tym, jak przystąpić do sędną sprawy.

Wreszcie przystanął, wjął monokl z oka i, spojrzawszy prosto w twarz Reginie, zapytał:

— Powiedz mi, czy potrafiłabyś zawrócić głowę jednemu z moich współników?

— Zależy od tego, kogo masz na myśli.

— Powinnaś się zabrać do Janka. Musimy się Anieli pozbyć za wszelką cenę. Ona jest nam zawadą

— Ale jak sobie wyobrażasz wykonanie twego planu?

— Zaprosisz do siebie Janka.

— Już był u mnie.

— Tym lepiej. Słuchaj uważnie. Wpakowałem w podkop pod skarbiec grube tysiące złotych. Robota jest już na ukończeniu. Za dwa tygodnie będzie.ny z nią gotowy. Tam, w tym skarbcu, czekają nas legendarne sumy i klejnoty. Będzie tego ogromna ilość, że nawet nie będziemy w stanie wszystkiego wynieść. Już wykopaliliśmy tunel długości 50 metrów. Jeszcze wywieziemy ze czterdzieści aut ziemi, a przystąpimy do właściwej pracy. Garaż i dwa auta ciężarowe, nabyte specjalnie w tym celu, pochłonęły wiele tysięcy dolarów. Szczęściu ludzi pracuje bez przerwy w dzień i w nocy.

Krygier zrobił pauzę, wyjął cygaro hawańskie i je zapalił.

— Klawy Janek — ciągnął dalej — jest zakochany po uszy, jak głupiec. Aniela trzyma go w swoich łapkach, jak kot myszkę. Od chwili zawarcia przez nich znajomości, Janek jest do niczego. Muszę raz na zawsze skończyć z jego miłością. Zresztą, lituję się nad Staśkiem „Ijpa“ Uważam, że złodziej nie powinien wziąć złodziejka za zięcia.

— Ale co ty na to możesz poradzić?

— O, bardzo wiele — odrzekł Krygier chytrze.

Regina zauważyła jego wyraz twarzy. Drgnęła. W oczach błysnęły jej złe ogniki.

— To ohydne! Gdy człowiek nie jest zdolny do

miłości, niechaj przynajmniej innym nie przeszkadza w tym.

— Mnie jego miłość nie wzrusza, nie grzeje ani ziębi. Ale nie mogę zaniedbać moich najważniejszych spraw dla jego miłości. Janek jest doskonałym robotnikiem. Ma złote ręce a skarbiec ustawił pierwszorzędnym inżynierowie zagraniczej. Nie będę w stanie sam uporać się z pancierzem stalowym i betonem chroniącym skarbiec przed włamaniami. A Janek celuje w takich włamaniach.

— Więcej?

— A on łajdak, włóczy się gdzieś ze swoją Anielą. Już dwa dni nie spotkałem go. Obawiam się, że Anieła oderwie go od nas na zawsze. I na to mam jedną tylko radę.

— ?

— Kobietę.

— Ja się nie nadaję do tego.

— Wręcz przeciwnie. O ile tylko zechcesz...

— To wykluczone.

— Dlaczego?

— Wstydzę się nawet za ciebie, że się podliz i znizasz do roli alfonsa.

Krygier zagryzł wargi. Regina trafiła w czułe miejsce. Ale nie dał się zbić z tropu.

— Zmierzam do celu bez względu na przeszkody. Są wypadki, kiedy muszę stosować środki, przeciwne memu charakterowi. Dojdę do celu nawet gdyby mi wypadło kroczyć po trupach.

Regina utkwiała wzrok w twarzy Krygiera. Gdzie jego „wzorowa moralność złodzieja“? Jak śmie postępować wbrew etyce światka podziemnego?

— Odrzucam twoją podłą propozycję.

— Odmówisz mi posłużenia? Hm. Tego się po tobie nie spodziewałem. A przed chwilą powiedziałeś mi, że dla mnie uczyniłabyś wszystko.

— Nje, tego nie zrobię! — wybuchnęła Regina płaczem.

— Nje zrobisz? Dobrze. Wiedz-że o tym, że przyrzeczonych na dziś pięćset dolarów nie dostaniesz.

— Mało usług ci oddałam?

— Moje trzy waliży, które tu stoją, jeszcze dziś stąd zabiorę.

Wetknął w oko monokl i skierował się do wyjścia.

— Krygier! — zawołała Regina zrozpaczona.

— Więc, jak? Zgadzasz się na moją propozycję?

— Muszę..

— Odrazu trzeba było udzielić zgody.

Krygier wielkopańskim gestem wyjął portfel z kieszeni, wyłożył pięć banknotów stu-dolarowych i rzekł:

— Nie martw się. Nigdy tego nie pożalujesz.

Regina przez pewien czas trwała w milczeniu. Dławiła w sobie płacz, przestawiając oczy chusteczką. Odezwała się złamanym głosem:

— Gdybym nie musiała dziś przekazać należności za dwa miesiące pobytu moich dzieci w internacie w Szwajcarii, nie zgodziłabym się na twoje żądanie. Z miłości do ukochanego zostałam żoną złodzieja, z miłości do dzieci upadam coraz niżej..

— Dosyć tego! Nigdybym nie uwierzył, że ty, którą ludzie nocą przezywają „cichym aniołem śmierci“, jesteś taka sentymentalna.

Regina uspokoiła się. Zapytała:

— Co mam robić? Spełnię twoje rozkazy, ale zastrzegam się, że za skutki nie ręczę. Wątpię czy Janek da się uwikłać w sieci, które nastawię.

— Uważaj tylko na siebie i bacz, abyś dobrze wywiązała się z zadania. Pamiętaj, że Janek inaczej spogląda na Anjele, a inaczej na inne kobiety... Się-szta zależy od ciebie.

Reginę opęnowały sprzeczne uczucia. Chciała krzyknąć, płakać, napluć mu w twarz, wzywać pomocy, zadenuncjować policji. Zmysł praktyczny powstrzymywał ją od szaleństwa.

— Zbyt związana jestem z tą bandą. W wielu przestępstwach brałam czynny udział. Nje stać mnie na takie ryzyko. Dzieci moje pozostaną bez matki.. — rozumowała w duchu.

Krygier obserwował jej twarz, z której jakby wy czytał wewnętrzną walkę. Regina, ujrzawszy grymas na jego twarzy, rzekła:

— Co z tego wyniknie?

— Już ci powiedziałem: dostań go tylko w swoje siła.. Bądź kuszącą kobietą. Resztę sam wykonam.

Na pożegnanie pocałował czoło Reginy.

— Wybacz, że ci sprawiłem mimowolnie przykrość, ale wiesz, że prowadzę ostrą walkę z policją i społeczeństwem. Dlatego obce mi są uczucia litości, o której frajerzy prawią ludziom na każdym kroku.

— A bodajbym was nigdy nie poznała i na zawsze pozostała frajerką..

— I ja też.. — dodał Krygier.

ROZDZIAŁ XXIV

Janek, Krygier i Moryc w porę ulotnili się z hotelu, w którym zamieszkałi. W międzyczasie zdążyli rozpruć jedną z kas. Zrabowane pieniądze uważali za sumy, potrzebne na „drobne wydatki“ do czasu wykonania głównej roboty, na którą Krygier zaprosił ich do Warszawy.

Komisarz Żarski był bliski utraty zmysłów. Wy siłki jego, zmierzające do zlikwidowania bandy rozprowadzcy, spełzły na niczym.

Także aspirant Wołkow nje trwał w bezczyn-

ności. Robił co mógł, ale bezskutecznie. Schudł. Uca jego pokryła chorobliwa białość. Zamieđbał nawet przyjaciółkę, zwaną „zińcą kokotą“, która zdążyła już urządzić mu kilka awantur i zagrozić, że go skompromituje. Nadaremnie przebieierał się i charakteryzował do niepoznania, gdy wybierał się na „tawy“, ale bez rezultatu.

A nasza trójka hultajska najmniej przejmowała się tym, że czołowi kierownicy brygady śledczej nie mogą spać po nocach.

Ktoby uwierzył, że Krygier, nieustraszony król kaspiarzy, ulokuje się jako sublokator u wdowy po prokuratorze?...

A pani prokuratorowa chwaliła go jako bardzo porządnego sublokatora i uczciwego człowieka. mówiła o nim, że to dżentelmen w każdym calu...

Moryc znów odnajdął pokój w luksusowym mieszkaniu, którego główny lokator podupadł i poszukiwał na sublokatora „eleganckiego pana“...

To samo uczynił „Kławy Janek“. On znów zamieszkał u emerytowanej nauczycielki gimnazjalnej. Gospodyni chwaliła ją przed kumą: „tak inteligentnego młodego człowieka jeszcze nie miałam u siebie“.

Trójka nasza wychodziła ze słusznego założenia, że jako sublokatorzy w prywatnych mieszkaniach będą mniej „widzialni“. Aniela znów nie miała potrzeby, jak sądziła, uarywania się przed policją. Odnajęła skromny pokój przy inteligentnej rodzinie. Czyż mogła przypuszczać, że pozostawiła po sobie ślady pod parkanem Pawjaka? Że jej pantofle wycisnęły swoje piętno na mokrej ziemi? Nie wpadło jej na myśl, że pozostawiony pantofel w willi Krygiera może stać się bronią przeciw niej i... Nie, nie mogła przewidzieć, że jej pantofel będzie skarbem w ręku komisarza Żarskiego.

Aniela przypadkowo spotkała na ulicy ojca. Był to dla niej wielki wstrząs moralny. „Staszek Lipa” postarzał się. Nagła utrata jedynej córki, którą chciał wychować na pożytecznego członka społeczeństwa, wyrzuciła go z równowagi. „Staszek Lipa”, który swoją prezencją zewnętrzną nie budził podejrzeń i mógł dostać się bez przeszkód do każdego towarzystwa, sprawiał teraz wrażenie łachudry i pijaka z użm.

Na jego widok z piersi Anieli wydobyl się okrzyk rozpaczny. Ale „Staszek Lipa” uradowany przypadkowym odnalezieniem dziecka, wziął Anielę za rękę, niby małą dziewczynkę. Nie brniła się. Poszła z nią.

Czas rozłąki trzymał „Staszka Lipę” w nieustannym strachu o los córki. Wiedział z doświadczenia, jak jest zazwyczaj koniec miłości z ludźmi z jego sfery. Najcięższa kara więzienia nie zwałaby go z nóg, ale myśl o tym, że jego córka jego Aniela może stać się kobietą ulicy, doprowadzała go do rozpaczny.

Gdy przybył do pokoju hotelowego w którym „Staszek Lipa” zamieszkał, wziął ją na kolana jak za czasów dzieciństwa, obsypał ją pocałunkami i szepotał:

— Anielcju, droga, kochana, powiedz mi... cłkę wiedzic..

Na twarzy jego odmalowała się groza tragedji ojcowskiej.

— Jestem, coprawda, twoją córką, ale wstydu ci nie przysporzę...

— A czyż mogłaś mi wyrzucić większą krzywdę od tej, jaką jest ucieczka z mego domu z Klawym Jankiem?

— Jeżeli powracasz do tego tematu, lepiej będzie, gdy sobie stąd pójdę.

Uwolniła się z objęć ojca i zabrała się do wyjścia. Ale „Staszek Lipa” nie zamierzał puścić teraz córki. Jednym skokiem był przy niej. Jego oczy nabrały dziw

nego, odrażającego blasku. Krew nabiegła mu do twarzy. Po raz pierwszy ujrzała go w takim stanie.

„Tak musi wyglądać, gdy popelnia zbrodnię” — przebiegła jej móż myśl. Serce jej ścisnęła karczewy ból. Krzyknęła:

— Tato!

Instykt samozachowawczy doradzał jej, by czymprędzej stąd uciekła. Dreszczem przejmował ją uśmiech, który wykrzywił usta ojca. Jego palce uprzygodobniły się do szponów drapieżnika. Posuwał się teraz ku niej wolnymi, ledwie dostrzegalnymi kroczkami. Zdawało się jej, że już czuje na swojej szyi te palce, które lada moment zacisną się jeszcze silniej.

— Zadzuszę cię!.. — syknął ojciec nawpół oszalały.

W mgnieniu oka Anjela odskoczyła od ojca. Raptownie nacisnęła klamkę. Drzwi lekko się uchyliły. Wypadła na klatkę schodową. Jednym susem zwinnie zbiegła ze schodów. „Staszek Lipa” popędził za nią. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Stracił równowagę i runął wdół.. Łoskot spadającego ciała zmieszał się z okrzykiem przerażenia. A potem rozległy się jęki.

Przez krótką chwilę Anjela stała na dole i nadstuchiwała. Wrócić, czy oddalić się? Przemogło w niej uczucie córki. Pobjęła w górę. Pomogła mu podnieść się. Waski strumyk krwi sączył się z jego głowy. Karetka Pogotowia Ratunkowego przewiozła go do szpitala. Gdy wyzdrowiał po tygodniu, znów prześladował córkę ojcowską miłością, zaklinając na wszystko, by zerwała z Jankiem i wyjechała z nim w świat. I choć Anjela w Poznaniu zdecydowała się na zerwanie z Jankiem nie starczyło jej na to odwagi. Uwolniła się od ojca, gdy wynajęła w nowowynudowanej dzielnicy pokój przy rodzinie. Adres jej znał tylko Janek. Z krótkim całym dniami obmyślała plany uwolnienia się od najebezpiecznego Krygiera, jedynej przeszkody w ich szczęściu.

Janek, który siedział teraz przytulony do Anieli i przeżywał drogie chwile szczęścia zakochanego, jakby naraź przbudził się:

— Sam nie wiem.. Przy tobie nie chcę myśleć o niczym.. Daj mi szczęście.. Daj mi słodycz twoich ust, rozkosz twojej młodości..

Przywarli do siebie w największym uniesieniu. Jankowi zdawało się, że teraz już go nie odtrąci i że połączą się na zawsze. I Anieli czuła, że traci siły. Była bezwolna w jego ramionach. Ale oto przypomniała sobie scenę w pokoju hotelowym w Warszawie, kiedy Janek rzucił się na nią, niby zgłociałe zwierzę. W błyskawicznym tempie przesuwały się teraz przed jej oczami obrazy przeszłości. Przypomniała sobie chwilę podobną w willi Krygiera w Poznaniu. I tam zdawało się, że..

— Czemu znęcasz się nade mną? — wyjąkał ziamany i zdruzgotany.

— Musisz się hartować, a byś umiał stawiać czoło pokusie kobiety — odrzekła z ironją.

— Pożadam cię każdym dniem kłębieniem mojej duszy.

— Czy Janek ma w ogóle duszę? — drażniła go.

— Mam, może wyrodną, ale tylko ty potrafisz ją przekształcić. Ty możesz mnie wyciągnąć z bagna. Jesteś dla mnie jedyną kobietą na ziemi. Ty dasz mi szczęście.

— Przez ciebie przemawia teraz złodziejska krew.. Przechłósł zдохycz..

— Nje urodziłem się złodziejem.. życie nauczyło mnie kraść.

— Ciekawa jestem, jak to się zaczęło.

— To smutna historia. Byłem sierotą. Cierpiałem nędzę i głód. Poraz pierwszy ukradłem ogórek.

— Ogórek? — roześmiała się Anieli. — Takie głupstwo zaprowadziło cię..

— Od tego tylko się zaczęło — przerwał jej Janek. — Kodeks karny nie zna kompromisu. Społeczeństwo dopatruje się niekiedy większej zbrodni w kradzieży głupiego ogórka, niż w wywołaniu pożaru światowej. Złodziej ogórka w bardzo krótkim czasie urósł na rozpruwacza kas.

— Ile miałeś wówczas lat?

— Piętnaście. W rok później odumarała mi także macocha. To była ohydna kobieta! Odmawiała mi ja dzenia, chcąc mnie zmusić do potwornych rzeczy...

— Czego chciała od ciebie?

— Prawdę powiedziawszy, wówczas nie wiedziałem nawet dokładnie o co jej chodziło. Ale potem zrozumiałem wszystko. Była zdemoralizowana do szpiku kości. Byłem głodny. Udałem się na rynek. Skradłem ogórek kwaszony. Straganjarki rzuciły się na mnie. Oddano mnie w ręce policji. I tak trafiłem do Domu Poprawczego. Po sześciomiesięcznym pobycie w Domu Poprawczym udało mi się zbiec. Tam koledzy wyszkolili mnie w dziele złodziejskim...

— Co było dalej? — zapytała zaintrygowana ta spowiedzią Anjela.

— Byłaby to zbyt długa historia. I musiałbym to opowiadać tygodniami. Ważniejsze od tego, co było, jest terażniejszość. A obecnie jestem szczęśliwy, że mam ciebie przy boku.

Objął ją ramieniem i obsypał pocałunkami.

— Dostyc się nacierpiałeś — odezwała się Anjela — i dlatego już najwyższy czas, abyś skończył z tym psiem życiem.

— A czyż ja tego nie chcę?

— Nie dotrzymujesz słowa. W ubiegłym tygodniu znowu brałeś udział w wyprawie.

Janek zawstydzony zwięsł głowę. Odparł:

— Byłem „góły“.

— A co robją inni, gdy nje mają pieniędzy?
Nie wszyscy kradną!

— Widzę jak na dłoni na czym się skończy: po-
wędruję znów za kraty, a ty... ty poślubisz lepszego
ode mnie...

— Nje, najdroższy! Nas tylko śmierć zdoła roz-
dzielić!

Aniela zarzuciła na szyję Janka ramiona i, spoj-
rzawszy mu prosto w oczy, zapytała go:

— Będziesz jeszcze kradł?

— Tak — padła odpowiedź.

Aniela odskoczyła od niego, jakby rażona prądem.
Splunęła tuż przy nim i krzyknęła:

— Precz stąd! Wynieś się z tego domu i nie wra-
caj tu! A ja sądziłam, że ty naprawdę mnie ko-
chasz!...

— Anielo! — rzekł Janek w skupieniu. — Nie od-
trącaj mnie! Bądź moją!. Zaczynam cię podejrzewać,
że mnie nje kochasz, bawisz się moim kosztem... Daj
mi dowód, że należę chcesz tylko do mnie, a przesła-
nę kraść.

— Idź, kradnij, rób, co ci się żywnje podoba. I
tak zdechniesz złodziejską śmiercią!

— Wypędzasz mnie?

— Tak. Mój warunek brzmi: zerwiesz z tym świa-
tem, wyjedziesz ze mną za granicę, a gdy rok czasu
wytrzymasz w nowym życiu, dopiero wówczas będę
twoją.

Janek był oszołomiony tym nagłym zwrotem.
Wiedział, że teraz musi się zdecydować na decyzję, a na
to brakło mu odwagi. Zbliżył się do Anieli i na klęcz-
kach ją błagał:

— Jeszcze jeden raz muszę uczestniczyć w wypra-
wie Krygiera. Za dwa tygodnie będzie po wszystkim.
A potem pójdę z tobą, gdzie tylko każesz. Nie zabraknie
nam pieniędzy. Urządzimy się wygodnie, w dostatku..

Daleko od wszystkich. Będziemy żyli w szczęściu, jak para gotąbków...

— Nje — zagrzmiał nad nim głos Anieli. — Wołę mieszkać z tobą w suterynje, chodzić boso i nago niż w pałacu i kosztownych strojach za kradzione pjeniądze. Wybieraj: ja albo Krygier.

— Zapominasz o tym, co Krygier uczynił dla mnie — odezwał się po chwili Janek. — wydobyl mnie z więzienia. Musiał z mego powodu uciekać do Poznania. Nje mogę tak nikczemnie postępować wobec niego. Tylko ta jedna ostatnja robota i..

— Ja albo Krygier — ponowila stanowczo swoje żądanie.

Janek byłby gotów uciec z Anielą na koniec świata, gdyby nie jego ambicja złoźcieia, która nje pozwalała mu tak postąpić wobec „swego“ człowieka, poniekaąd dobrodzieja.

Janek biegał nerwowo po pokcju. Był między młotem i kowadłem. Nerwy jego nie wytrzymały tego napięcia. Podeszedł do okna, by zaczerpnąć zimnego powietrza. Naraz przystanął i rzekł:

— Zajmę rozstajemy się, pragnę cię tylko o jedno zapytać.

— Mów szvdko, ale tylko prawdę.

— Otrzymałem poufną wiadomość, że natrafiono na ślady twoich stóp pod Pawiakiem, które utrwalono w gipsie. Czyś czasem nje zostawiła w willi Krygiera swoich pan:ofelków?

— Tak. Ale co to ma wspólnego?..

— Nawet bardzo dużo wspólnego — przerwał jej Janek. — Teraz i ty już jesteś „w porządku“. Za to przestępstwo grozi ci do sześciu lat więzienia.

— Co???

— Taka jest naga prawda.

Trupia bladeść pokryła lica Anieli, która przerażila się tej ewentualności. Wybuchnęła płaczem.

— Ach, ja nieszczęśliwa!..

— Nie rozpaczaj. Płacz nie pomoże. Powiedziałem ci to, nie po to abyś się martwiła, lecz abyś zrozumiała, że bez pieniędzy zginiemy.

— Co będzie? — wyjąkała.

— Muszę jeszcze raz uczestniczyć w wyprawie Krygiera. Muszę skwitować z długu. Nigdy nie dopuściłem się wobec kompanów czynu, sprzecznego z etyką ludzi podziemi. Chcę się z nimi rozstać tak, aby nikt nie mógł mi czynić wyrzutów. Musisz mnie zrozumieć.

Aniela nie odezwała się słowem.

— Dlaczego milczysz?

— Com miała powiedzieć, już ci oświadczyłam. Stanowiska mego nie zmieniałam: ja albo Krygier.

— Nie zapominaj, że to nie tylko o mnie chodzi, ale także i o ciebie. Nie przeżyłbym tego, gdybyś miała być wtrącona do więzienia.

— Troszcz się o siebie, nie o mnie.

— To twoje ostatnie słowo?

Aniela nie znalazła odpowiedzi. Już wjele doświadczyła w życiu, które nauczyło ją rozumieć nie tylko swoje pragnienia. Zdawała sobie sprawę ze stanu duchowego, podjęcenia Janka, którego trawiła gorączka zmysłów. Nie dziwiła się, że przy niej traci panowanie nad sobą. Dlaczegoż miałby być lepszy od „ludzi z towarzysstwa“, którzy ma jej widok z dżentelmenów zamieniają się na hieny, gotowe w każdej chwili do skoku na upatrzona zdobycz. Na każdym kroku mężczyźni dają jej do poznania, że świat dzieli się na dwa gatunki — na samce i samice.

Przysunęła się do Janka tak blisko, że ustami muskała jego twarz. Oparła głowę o jego ramię i szepotała:

— Jak mi źle na świecie. Muszę walczyć ze sobą, staczać boje z tobą, z ojcem, z policją, z całym światem.

tem, i to wszystko po to, byś mógł być na zawsze moim. Wiem, że mógłbyś być dobrym człowiekiem, gdyby nie twoja przeklęta przeszłość.

Aniela rozplakała się. Zakryła twarz rękami i przywarła ciałem do tapczana. Janek przez chwilę spoglądał na nią bezradnie. Ale oto myśli jego zaczęły krążyć dokoła innej sprawy. Nie słyszał teraz jej płaczu. Oczy jego przykuwała wąska kibić i zgrabne nóżki Anieli. Postanowił wykorzystać jej chwilę słabości. W mgnieniu oka oplótł ją silnymi, stalowymi ramionami.

Aniela była bezsilna wobec niego. W mózgu jej huczało: „uczyni ze mną, co zechce...”

Ale oto rozległo się głośne pukanie do drzwi. Po chwili ktoś stanął na progu pokoju.

Janek odskoczył na bok i najpierw z przerażeniem, a potem z oburzeniem utkwiał wzrok w przybyłym. Na progu stał Krygier. Ironiczny uśmiech zaigrał na jego ustach.

— Czego tu chcesz? — zawołał ostro Janek.

— Spokojnie, tylko spokojnie — odparł Krygier.

— Powinienesz być zadowolony, że w porę się tu zjawiam...

Aniela, opanowawszy wstyd, rozkazała Jankowi:

— Precz stąd...

Janek z początku nie wiedział, jak zareagować na afront Anieli w obecności Krygiera, ale, gdy pierwsze wrażenie minęło, zwrócił się do Krygiera:

— Krygier, chodźmy stąd!

Na odchodne rzucił pod adresem Anieli:

— Dość mam tego wodzania za nos! Ja cię jeszcze nauczę!

Krygier ukrył zadowolenie z powodu obrotu sprawy. Szedł obok Janka milczący, jakby świadomie nie chciał przerwać milczenia, które zapanowało między nimi na ulicy. Janek pierwszy odezwał się:

— Przeszkodziłeś mi! Nigdy ci tego nie zapomnę!
Gdyby nie ty...

Naraz Janek przystanął na chodniku i rzekł:

— Muszę do niej wrócić.

— Co? Już trapią cię wyrzuty sumienia?

Janek nie odpowiedział.

— Słuchaj Janku! Od wielu dni nadaremnie cię poszukuję, wreszcie teraz mam okazję powiedzenia ci, co o tym sądzę. Wybij sobie z głowy tę dziewczynę. Ona nie jest dla ciebie. Najlenszy dowód, że po dziś dzień jeszcze nie jest twoją...

— To moja вина.. — mruknął Janek.

— Ale poco zawracasz sobie z nią głowę? Nie zapomnij, że Aniela jest córką złodzieja. Przemocy nie wolno ci stosować.

— Znadto grała mi na nerwach! Człowiek nie jest ze stali!

— Nie brak innych kobiet.

— Muszę wrócić do Anieli. Muszę ją przeprosić.

Miłość moja jest silniejsza ode mnie!..

— Nie bądź pantoflarzem! Kobiety nie lubią mężczyzn, którzy tarzają się u ich stóp. O ile nie chcesz jej stracić, nie wracaj teraz.

— Może masz rację. Ale mam do ciebie prośbę. Idź do niej na górę. Obawiam się by nie popełniła samobójstwa. Będę czekał tu na ciebie.

— Nie kręć się na ulicy. To może być njebezpieczne. Idź do Reginy, a ja tam wrócę — wykombinował Krygier.

Krygier zastał drzwi pokoju Anieli zamknięte na klucz. Po dłuższym pukaniu Aniela wpuściła go. Była zajęta pakowaniem rzeczy do walizki.

— Czego pan sobie życzy?

— Muszę z panią pomówić — odrzekł Krygier i, nie czekając aż go poprosi, rozsiał się wygodnie na krześle.

Krygier w duchu przyznał Jankowi słuszość. Aniela warta jest poświęcenia i miłości. Urok bił z każdego jej ruchu, gestu, słowa. Krygier szybko umiał wzwalać się z pod czaru kobiecy. Przysiadł więc odrazu do rzeczy.

— Dokąd się pani wybiera, że pakuje manatki?

— Czy ze wszystkiego muszę panu zdawać relacje?

— Jeżeli panj ma zamiar prowadzić rozmowę w tym tonie, wolę odrazu panją pożegnać. Pragnę tylko dodać, że przybyłem tu raczej dla pani dobra.

— Gdzie on?

— Już pani za nim tęskni?

— O, nie — odrzekła nieco zażenowana i zarumieniona. — Rozczarowałam się zupełnie co do niego, gdyby nie pańskie nagłe zjawienie się w moim pokoju, byłby mnie przecież udusił, ten bandyta...

Krygier uśmiechając się, powiedział:

— Chyba wiem lepiej o jani, do czego Janek jest zdolny.

Rozmowa się urwała. Aniela zamyślona wyglądała przez okno. Promienie słońca zimowego rzucały na jej twarz dziwny blask, który wskrzesił w skamieniałym sercu Krygiera iskrę uczucia ojcowskiego. Odezwał się do niej:

— Znam dobrze ojca panj. Serce mnie boli, że córka „swego“ człowieka będzie skrzywdzona przez jednego z ludzi nocy. To, co miało miejsce przed pół godziną między wami wystarczy, aby panj zerwała z Jankiem i wróciła do ojca.

Aniela zawstydzona zwiesiła głowę:

— Oho, już nie pozostaje z nim nigdy w cztery oczy. Mężczyźni są jak dzikie zwierzęta...

— Jeszcze pani młoda. I czeka ją nie jeden powstęp. Tak uroczą kobietą, jak panj, musi się zawsze mieć na baczności. Na piękną kobietę wszędzie zasta-

wiają sieci. Niekoniecznie tylko w święte podziemnym. Nawet gdyby mi się udało stąd wiać i osiedlić się z panją za granicą, czyż tam brak zdolnych de-tektywów i więźni? On wszędzie będzie tym, kim jest. Za granicą, zresztą, nie brak kas ogniotrwałych.

Anieta nie dała się zbić z ładu. Wzrastalo w niej przekonanie, że Krygier przybył tu, by ją rozłączyć z Jankiem.

— Pan chce go zohydzić w moich oczach. Zależy panu bym zwróciła Jankowi wolność. Chce go pan eksploatawać do swoich złodziejskich celów. Oho, zdążyłam już pana przejrzeć. Pan jest człowiekiem bez serca. Kroczy pan po trupach. Janek dostaje się w pańskie sieci.

—Przesada. Jesteśmy obaj ofiarami sieci, nastawionych na nas przez społeczeństwo. Już nikt i nic nas nie zmienia. Pan jest obce uczucie zemsty, którym społeczeństwo przepełniło nasze serca potępionych. I nie pomoże nawet takie uczucie, które rodzi miłość. Janek pójdzie po linii zakreślonej mu przez życie. Nawet miłość panj na nic się tu nie zda.

— Nje, nie, nje! Kocham go i wytnę go z tej matni! Nie pozwolę na to, by gnął w więzieniu!

— Egzaltacja!.. — ironizował Krygier. — Panj żyje w wielkim błędzie. Jest panj zbyt młoda i niedoświadczona, aby wszystko ogarnąć. Pierwsza lepsza kobieta, która tylko potrafi pobudzić jego pożyteczność, może sprawić, by Janek zdradził panją przy pierwszej nadarzającej się okazji. Tacy już jesteśmy mężczyźni.

— Pan mnie nie przekona. On jest inny. Co Janek robił przedtem, mnie nie obchodzi, ale od czasu, gdy mnie pokochał..

— W takim razie, szkoda moich słów. Chciałem

pani otworzyć oczy, ale skoro tak, może i lepiej, że pani będzie nadal zaslepiona..

— Ale njech pani odrazu mówi, bez tych wstępów i usprawiedliwień! — podniecała się Aniela.

— Jestem w życiu pedantem i pragnę wszystko mieć w idealnym porządku. Jeżeli pani chce bym jej wszystko opowiedział, proszę przed tym napisać do mego notesika następujące słowa:

„Ja niżej podpisana, Aniela córka Słaska „Lipy“ zobowiązuję się nigdy nie zdradzić nazwiska osoby, która dla mego dobra, zdemaskowała Janka“.

Aniela, która była już kłębkim nerwów, spełniła życzenie Krygiera, byle dowiedzieć się czymprędzej prawdy o Janku.

— Twój Janek — rzekł teraz Krygier poufnym tonem — zdradza cię z inną!

— Co?..

— Niestety, to prawda.

Aniela była blijska obłądu. Chciała, krzyknąć, płakać, tłuc głowa o ścianę. Ale naraz uprzytomniła sobie że Krygier stara się za wszelką cenę ich rozłączyć. W przystępie szału, schwyła go za kłapy i zawołała:

— Podły! Tyranje! Precz stąd!..

— Milczeć! Siadaj i słuchaj!

Słowa te były wyrzeczone z taką mocą, że Aniela mimo woli wykonała jego rozkaz.

— Nje cofam nigdy słów. jeżeli mi nje ufasz, mogę cię o tym przekonać.

— Proszę ze mną.

Aniela machinalnie sięgnęła po palto i kapelusz.

— Ale jeszcze raz proszę o dyskrecję — powiedział Krygier, gdy znaleźli się na ulicy. — I musj mi pani przwrzec, że zachowa się tam spokojnie i nje wywoła awantur.

Po otrzymaniu tych zapewnień, Krygier podał Anieli adres Reginy.

— Tam zastaniesz Janka — powiedziały jej tajemniczo.

Krygier wszystko świętnie obmyślił i wyreżyserował. Jego potworna gra udała się. Powiodło mu się na obu frontach: u Anieli i u Janka.

Aniela, ledwie przekroczyła próg mieszkania Reginy, nie czekając na zgodę pokojówki, pobięła do dalszych pokoi i...

Jak wpadła, tak wypadła z mieszkania Reginy. Nagle przybycie Anieli spadło na Janka, jak grom z jasnego nieba! Aniela zastała go w niedwuznacznej pozycji. Splunęła mu w twarz i wybiegła bez słowa.

ROZDZIAŁ XXV

Krygier osiągnął swój cel. Janek był mu teraz całkowicie posłuszny. Po wysypie u Reginy zrezygnował z Anieli. Szukał zapomnienia w kieliszku. Zaczął pić. Teraz Janek naglił z robotą.

Gdy o tym wypadku dowiedział się Moryc, zacięrał ręce z zadowolenia. Radził mu się, że Anieła zerwała z Jankiem. Dawało mu to nadzieję pozyskania wszelkich Anieli. Był przekonany, że teraz wybiła „jego“ godzina...

I tak każdy z członków bandy Krygiera skrobał sobie rzepek... A razem zgodnie pracowali nad ogrobnieniem skarbcia, który znajdował się w podziemiach wewnątrz najładniejszego solidnej budowy domu w śródmieściu. Był to dom należący do jednego ze znanych bankierów międzynarodowych, który zbudował w wbitym architekcie. Jeden z najzdolniejszych inżynierów konstruktorów wybudował w podziemiach ze stali i betonu skarbiec, w którym bogaci ludzie wynajmowali safesy dla przechowania kosztowności i większych sum. Skarbiec ten cieszył się najlepszą opinią u ludzi z bogatych sfer. Wiedzano, że ten skarbiec jest zupełnie pewny i że za-

den włamywać nie będzie w stanie pokonać trudności, jakie nastęrczyłaby chęć dostać a się doń.

Krygier nie zważał nawet na to, że wielokrotne próby zamachu na ten skarbiec, podejmowane przez najsilniejszych rozpruwaczy, nie powiodły się. Krygier miał swój system. Szedł z duchem czasu. Konstruktorzy ulepszyli skarbcę, a on ulepszył narzędzia do ich rozpruwania. Wychodził z założenia, że niema takiej rzeczy, zbudowanej przez człowieka, której inny człowiek nie byłby w stanie zepsuć. Kierując się tą zasadą, postanowił dobrać się do skarbcza, którego safesy miały być wypełnione złotem, brylantami, perłami i innymi kosztownościami.

I nastąpiła decydująca chwila. Po północy uczestnicy tej wyprawy sunęli jeden za drugim, niby zaklęte duchy, ciemnym tunelem podziemnym, który biegł od dobrze zainstalowanego garażu. Raz po raz odkręcali kontakt, by oświetlić na kilka chwil drogę.

Janek posuwał się za Krygierem automatycznie, nie rozmyślając nad tym, dokąd i poco odbywają ten pochód w podziemnym tunelu. I teraz posuwając się pochylony w wilgotnym tunelu przypomniał sobie, jak Aniela wyglądała, jaka pogarda biła z jej twarzy, gdy przekonała się w mieszkaniu Reginy o tym, do czego jest zdolny... Janek czuł teraz do siebie odrazę. Z takimi myślami Janek posuwał się posłuszny krok w krok za Krygierem.

Za nim szedł Moryc zrięty we dwoje. W myśli obliczał jaki będzie połów i ile przypadnie mu w udziale. Nawet w takich chwilach był bussinesmanem..

Antek i Felek jako ich pomocnicy wlokli za sobą na sznurze walizki z narzędziami.

Pochód tej szóstki podziemnym tunelem urządzoneym na wzór korytarzy w kopalniach węgla, wywierał niesamowite wrażenie. Raz po raz gasili za sobą świa-

łto, przekraczając kontakty, licznie przymocowane do ścian. W tunelu panowała cisza grobowa. Tylko od czasu do czasu rozbrzmiewało tu echo przejeżdżającego tramwaju nocnego. Wówczas mieli wrażenie, jakby tramwaj toczył się po ich głowach.

— Stop! — naraz zawołał Moryc, a głos jego zdradzał przerażenie.

— Co się stało? — padło raz po raz sześciokrotnie powtórzone pytanie, a serca uczestników tej „ekipy“ zabiły mocno i niespokojnie.

— Usłyszałem zgrzyt. Zdaje się że ktoś tam się dobiera. — wyszeptał Moryc.

Przez chwilę wszyscy stali bez ruchu, jakby skamienieli. Należyli słuch, by pochwycić najmniejszy szmer. Naraz kilka szeszurów prześlizgnęło się między nogami Moryca. Ten odskoczył, nie mogąc opanować okrzyku, który wyrwał mu się z piersi. Jego przerażeniu towarzyszył wybuch śmiechu kompanów.

Wszyscy mieli na sobie kombinезy robotnicze, a na rękach, aż po łokcie, skórzane rękawice. Każdy zaopatrzone był w latarkę elektryczną — na wszelki wypadek, gdyby instalacja elektryczna zawiodła, no i — rewolwer — w razie gdyby...

Wreszcie dotarli do betonowej ściany skarbcza.

Stoimy przed „burżujką“ — rzekł z zadowoleniem Krygier.

Pod ścianą tunel rozszerzał się, by uczestnicy wyprawy mogli się swobodniej poruszać. Krygier wypróbował wytrzymałość ściany przy pomocy płynu chemicznego. W pewnej chwili odezwał się do Janka:

Запомни! Язык не высовывай!

Janek powiódł ręką po czole jakby chciał odpaść od siebie natrętne myśli i jednocześnie uprzytomnić sobie coś ważnego. Nie wyrzekłszy ani słowa Janek zbliżył się do ściany betonowej i zajął miejsce Krygiera.

Zebranych ogarnęła zrozumiała ciekawość. Z uwagą śledziły manipulacje Janka, który miał orzec o stopniu wytrzymałości betonowego muru. Również Janek manipulował płynem chemicznym, próbował nawet wkreślić się borem w mur..

— No, co sądzisz? — zapytał niecierpliwie Krygier.

Janek nie odrzekł tylko chwycił za rydel, by odkopać sporo ziemi pod ścianą.

— Oszalałeś! — zawołał Krygier. — Ściany mają fundamenty kilkumetrowej głębokości.

Ale Janek nadal cierpliwie kopał ziemię. Zimny pot ściekał po jego twarzy.

— Odrzucajcie dalej ziemię — rozkazał. — Zaraz nie będzie czym oddychać.

Rozkaz Janka został wykonany. Odrzucono tyle ziemi przed siebie, że prawie zatarosowali odwrot.

Dwie godziny kopano i odrzucano ziemię, ale bez wyniku. Janek po szyję stał w wykopanym dole. A fundament z tegoż betonu, co ściana, sięgał jeszcze dość głęboko. Dalej kopać było niemożliwością.

— Podaj mi rękę — zawołał Janek, by go wyciągnąć z grobu. Zmęczony zwałił się na grudę ziemi.

— Co będzie? — zapytał rozczarowany Moryc. — Cała praca była daremna.

Krygier odepchnął go od Janka;

— „Złota rączko“, siedź cicho. To nie twoja rzecz, co będzie dalej.

Janek znów skoczył do dołu i zabrał się energiczniej do kopania. Popychała go jakaś niesamowita siła.

W chwilę potem i Krygier skoczył do dołu.

— Dosyć! — położył Krygier rękę na ramienia Janka. — Dalej kopać nie wolno. Woda nas tu wnet zaleje.

Janek utkwiał w Krygierze dziwny warok, jakby

nie wiedział co się z nim dzieje. Przy pomocy sznurów wyciągnięto ich obu z dołu, który natychmiast przysypano.

— Nie przejmuj się — uspakajał Krygier Janka. Miałeś rację, że od dołu będzie łatwiej dostać się do skarbcza, ale ziemia jest tu gliniasta.

Ale naraz stała się rzecz nadzwyczajna. Janek z okrzykiem: „duszę się!“ rzucił się w stronę wylotu tunelu.

Krygier pobiegł za nim, wciąając:

— Janku, nie uciekaj! Robotą musz być dziś ukończona! Mam już sposób na pokonanie przeszkód!

— Precz ode mnie! — zawołał Janek groźniejszym tonem. I, nie czekając na dalsze perswazje, począł wymachiwać rewolwerem na znak groźby. Widząc z postawy Krygiera, że ma zamiar wytrącić mu broń z ręki Janek dwukrotnie strzelił. Na szczęście kule utkwiły w ścianach tunelu.

Wszyscy pośpieszyli z pomocą Krygierowi. Jankowi wyrwano bronię z ręki, po czym związano go sznurem i rzucono na „pagórek“ mokrej ziemi. Jankowi ukazała się piana na ustach. Rzucił się, wykrzykiwał, odgrażał się policją. Nie ulegało wątpliwości, że postradał zmysły. Kompani bezradnie spoglądali na Krygiera i niemym wzrokiem zapytywali, co będzie. Ale Krygier opanował wnet sytuację, poleciwszy swemu wiernemu słuzącemu „Miłczkowi“ pilnowanie chorego, pozostałym zaś uczestnikom wyprawy przydzielił inne funkcje tonem rozkazującym, wykluczającym opór i nieposłuszeństwo. Krygier był zdecydowany, za wszelką cenę dostać się do skarbcza. I po długich godzinach pracy, gdy już zaczęło świtać, dokonano pierwszego wyłomu w skarbcu.

Krygier odetchnął z ulgą. Beton był większą przeszkodą od pancерnej stali. Maszynki borujące szybciej

dzłurawiły ściany kasy od betonu, gdyż po ścianie betonowej bormaszynka ześlizguje się.

Jako król rozpruwaczy, Krygier w błyskawicznym tempie otwierał kasy. W ciągu godziny uczestnicy wyprawy ujrzeli owoc ryzykownego przedsięwzięcia. Kieszonki były niewystarczającym schowkiem dla łupu. Tytuły złota, brylantów, klejnotów i pieniędzy jeszcze nigdy przed tym nie widzieli na oczy. Zaczęto nimi napęcznieć skórzane walizy, które zabrali ze sobą.

Byli tak pochłonięci ogromem szczytów z powodu nadzwyczajnego łupu, że nie słyszeli dzikich okrzyków i wybuchów śmiechu oszalałego Janka. Na próżno „Milczek“ mocował się z szaleńcem. W żaden sposób nie można mu było zatkać ust. Wołał, że zabije Reginę, zadencuncjuje o wszystkim policji, błagał Anję o przebaczenie.

Przed opuszczeniem skarbcza, Krygier mokrą szmatką zmył ściany kas, mimo, iż wszyscy pracowali w gumowych rękawiczkach. Krygier był znany ze swej przezorności. Baczyl, by jego współpracownicy nie brali papierów wartościowych, przy zbyciu których można łatwo wpaść w ręce sprawiedliwości. Doradzał zgarniać tylko rzeczy bardzo wartościowe gdyż na ewentualne opróżnienie safesów trzeba by co najmniej dobrać. A tu czas naglił. Trzeba było pomyśleć teraz z kolei o tym, jak ulotnić się stąd w niedostrzeżony sposób dla postronnego oka.

Jeden za drugim, obciążeni słodkim ciężarem olbrzymiego łupu, posuwali się teraz w stronę tunelu, gdy naraz usłyszeli krzyki oszalałego Janka.

Potworna myśl przeszła im jednocześnie mózgi: „Trzeba go będzie wystudzić“...

Ale żaden z uczestników wyprawy nie ważył się na głośne powtórzenie tej myśli. Bezradnie przystanęli przy Janku, na którego spojłał przy świetle laterek. Zorientowali się w momencie oka, że stan przyja-

ciela jest bardzo ciężki. Trudno było dopatrzeć się w nim bohatera podziemi. W młoczeniu stał dokoła naka. W myśli każdy zapytywał: Jak tu się pozbyć tej nagłej przeszkody, by czym prędzej znaleźć się w bezpiecznym miejscu i móc przez niego „zarobek”. Chętnieby teraz zwiali, pozostawiając Janka własnemu losowi. Uczucie wstępu hamowało ich zapędy.

Młoczenie przerwał Krygier:

— O, tak! jest los zakochanego.. Brać go!.. — padł rozkaz — Szkoda czasu..

Gdy próbowano wziąć Janka za ręce i nogi, zaczął się rzucać i krzyczeć:

— Oddajcie złoto i brylanty! Bandyci- Złodzieje! Anjelo, pomóż mi!.. Nie chcesz?... Weź forsę i zamów dla mnie pogrzeb..

Janek oparł się o ścianę tunelu i na całe gardło począł popisywać się znaną rosyjską piosenką katorżnika.

— Zatkać mu usta! Ale tak, jak trzeba!.. — rozkazał Krygier „Mjlezkowi“.

Sługa zawahał się.

— Masz sroćnię rozkaz! Zbliżemy się do wylotu tunelu, a jego krzyki mogą nas zdradzić i bylibyśmy zgubieni.

— Czeka nas zguba — mruknęli wszyscy potwierdzająco. — Takie nadspodziewane nieszczęście!..

Po kilku minutach Janek miał usta zakneblowane. Wyglądał teraz okropnie. Jego duże oczy stały się większymi, jakby za chwilę miały wyskoczyć z orbit. Drżał, jak w febrze.

— Nakryć go czymś! — wydawał Krygier dalsze polecenia.

Wszyscy utkwili wzrok w twarzy Krygiera, oczekując z niecierpliwością dalszych jego poleceń.

Krygier był skupiony. Mlezał. Na jego twarzy odmalowała się zacięta walka, która toczyła się teraz w

jego duszy. Poznać było po nim, że chce powziąć decyzję wbrew sumieniu. Krygier, jakby się dziwnym nie wydawało, miał hamulce moralne. Cierpiał z powodu nieszczęścia Janka. Byłby gotów zrezygnować z łupu za cenę przywrócenia zdrowia Jankowi. Zdawał sobie sprawę, że zawinął wobec Janka, którego nerwy nie wytrzymały ostatniej próby po tych ciężkich przeżyciach. W duchu zatował, że wyreżyserował wypadek z Reziną.

Krygier w duchu chwiał się Moryca, który uchodził za starego przyjaciela Janka. Może sprzeciwić się wykonaniu jego postanowienia. Ale w tej samej chwili błysnęła mu myśl:

„Moryc zakochany jest w Anieli będzie raczej zadowolony, że jego rękaw zostanie uprzątnięty“.

Krygier odezwał się na głos:

— Jego trzeba tu zostawić — wskazał przy tym na Janka. — Nie widzę innego wyjścia.

Moryc utkwił wzrok w twarzy Krygiera. I jakby naraz urosł o kilka głów wyżej. Z pogardą rzucił teraz Krygierowi słowa oburzenia i potępienia:

— Tak postępują ordynarzi „kapusie“ a nie ludzie kulturalni.

Ledwie urwał, otrzymał silny cios między oczu od Krygiera, że zwałił się wprost na Janka. Jego upadkowi towarzyszył brzęk złota.

— I zapamiętaj sobie — dodał Krygier tonem pouczającym, nie tracąc spokoju — że nie masz prawa mnie moralizować. Wolę jednego sraconego już, niestety, poświęcić, aniżeli szczęciu.

Korytarz zaległa cisza śmiertelna. Po chwili Moryc podniósł się z miejsca i zaczął zbierać zgubione klejnoty i monety. Rzucił krótko pod adresem Krygiera:

— Pożalujesz tego

Wtem odezwali się jednocześnie Antek i Felek.

kłórcy dotychczas nie brał udziału w tej rozmowie:

— Podejmujemy się wywieźć cię stąd Janka.

— A czyż ja inaczej sądziłem. Zamierzałem tu potem skierować kogoś z taksówką, by go stąd wywieźć.

— Ja sprowadzę taksówkę — zaoferował się Felek. — Mam szofera, morowego chłopca, Napewno się zgodzi. W ciągu 20 minut będę tu z powrotem.

— Proszę bardzo — wyraził pierwszy zgodę Moryc — ale zechcesz przed wyjściem opróżnić kieszenie. Możesz zapomnieć o potrzebie powrotu do nas. To znany zresztą trick...

Nieufność stała się udziałem wszystkich. Nikomu nie chciało się wierzyć, by ktoś, mając taki skarb gotów był narażać się na powrót na miejsce przestępstwa dla ratowania towarzysza.

Felek bez słowa zaczął wypróżniać kieszenie.

— Zamknij tylko za sobą drzwi garażu na klucz — rzucił mu na odchodne Krygier, niezadowolony z tego obrotu rzeczy.

Wszyscy stali zgrupowani dookoła Janka. Każda minuta wydawała się im wiecznością. Zegar wskazywał, że już dawno dzień nastał. Nad nim panował w miejscu ożywiony ruch. Zdawali sobie sprawę że to pogarsza ich stan, choć łatwiej wślizgnąć się w ogólny ruch ludzki i nie wzbudzać podejrzeń.

Czas upływał. Niepokój wzrastał. Każda minuta zwiększała niebezpieczeństwo...

W tym napięciu każdy z nich zastanawiał się nad planem wywiezienia Janka. Zdawali sobie sprawę, że to przedsięwzięcie następcza wysokie ryzyko. Cała wyprawa oraz włamanie do skarbcza nie kryło w sobie tyle niebezpieczeństw, ile następczo ratowanie oszalałego kompana. Wiedzieli też że tu w tunelu Janek nie może wyrządzić im krzywdy, ale tam — na górze...

Oh! Czyż trzeba wyjaśnić jaka byłaby to sensacja gdyby pochwycono Janka, którego policja z całej

Polski nadaremnie poszukuje od dłuższego czasu po niebывalej ucieczce z Pawiaka? A czyż mniejsza byłaby sensacja, gdyby wraz z Jankiem schwytano jego „świętę“ z legendarnym Krygierem na czele?

Przyznawali w duszy, że najlepszym wyjściem byłoby pozostawienie Janka w tunelu... Ale charakter złodziejski nie pozwalał im na to.

— Jak go wwniesiemy stąd? — przerwał Krygier milczenie. — Przecież może nam „zaśpiewać“ na górze tak, że płakać się będzie chciało.

— Mam na to radę — wtrącił się Moryc. My amerykańkanie zawsze potrafimy kulturalnie załatwić sprawę.

— No, to pokaż już raz swoją kulturę amerykańską — denerwował się Krygier.

Moryc wyjął z kieszeni małą buteleczkę z płynem. Podsunął ją, po odkorkowaniu, pod nos Janka, który na chwilę podniósł głowę do góry, wybaluszzył oczy, by potem zarzucić w tył głowę bezwładnie. Zasnął.

— Uważaj, by nie zasnął na wieki — dodał z przekąsem Krygier, niezadowolony, że Moryc popisał się przed zgrają.

— Jesteś, coprawda, inżynierem — nie pozostał Moryc Krygierowi dłużny — ale wiedz, że i ja coś niecoś wiem o chemikaljach. Grunt to kultura — dorzucił sentencjonalnie.

W tym momencie rozległ się turkot motoru, a w chwili później usłyszano parol Felka Wrócił z taksówką.

— Brać go! — zakomenderował Krygier. — Szkoda każdej chwili. Broń w pogotowju!

Wszyscy zarepetowali automatyczną broń palną. Antek i „Milczek“ powoli posuwali się w stronę garażu, nosząc „paczkę“. Wyprzedzała ich trójka, która miała haczyć, by nje było wspany.

Ale taksówka ruszyła z miejsca i w mgnieniu oka zniknęła za zakrętem. Pełnym gazem pomknęła w

stronę Pragi, gdzie zatrzymała się przed dwunietrowym domkiem. Tam mieściła się melina Bajgele“.

A Warszawa miała sensację! Czegoś podobnego jeszcze nie było! Gazety rozpisły się o niebывałym włamaniu do banku jego skarbcza i kasetek. I chociaż szczegółów było brak, reporterzy poświęcali olbrzymie opisy tej niebывalej grabieży. Kilka dni upłynęło zanim można było dostać się do skarbcza i ustalić wysokość strat. Uszkodzone drzwi żelazne nie otwierały się. Dyrekcja banku telegraficznie wezwała z zagranicy inżyniera, który zbudował skarbiec. Dyrektorowie w duchu podeirzewali, że ze skarbczem nie wszystko jest w porządku, ale nikomu nie wpadło na myśl, nawet zawiadowczej policji, że drzwi te zostały świadomie zasypane ziemią przez włamywaczy. A przecież nie mogło im wpaść na myśl, że gdzieś aż z czwartego podwórza, włamywacze podkopywali się pod ziemią i tunelem dostali się do skarbcza...

Garaż, od którego nasza paczka rozpoczęła pracę podkopu, mieścił się na posesji, położonej w odległości 4 domów od banku. Komuż to mógł wpaść do głowy takj pomysł? Dopiero, gdy po wielkim wysiłku, drzwi pancerne wyważono — pękła „bomba“.

Zabrano się przede wszystkim do dozorcę domu, w którym mieścił się garaż. Dozorca nie ukrywał niczego. Przecjwnie — chwalił się nawet, że widział, jak wyniesiono z garażu dziwną paczkę, ale odtąd „ludzie z garażu“ nie pokazywali się więcej.

Dozorca przechodził pjełkę w Urzędzie. Posądzono go o udział w grabieży. Nie można było uwierzyć w to, by dozorca nie zauważył choć razu jednego, jak włamywacze wywozili wykopaną ziemię. Dozorca tłukił głową o mur, zaklinał się na wszystkie świętości, że o niczym nie wie i że niczego nie widział. Ale jego słowa nie budziły zaufania. Wzmocnił on podejrze

nie władz śledczych w stosunku do swojej osoby, gdy nie rozpoznał nikogo z fotografii, okazanych mu w Urzędzie Śledczym. Komisarz Żarski okazał mu również fotografię „Klawego Janka”.

I jakże dozorca mógł rozpoznać włamywaczy, kiedy uczestnicy zuchwałego przedsięwzięcia byli świetnie ucharakteryzowani? Nie tylko dozorca nie mógł ich o to podejrzewać, ale komisarz Żarski także nie wpadł na podobny pomysł..

Komisarz Żarski nie miał wątpliwości, że włamanie do skarbca banku dokonali mieszkańcy wili w Poznaniu, ale nie miał się czego uczyć. Włamywacze nie pozostawili po sobie żadnych śladów, któreby ułatwiły ich wytropienie. Musiał teraz zachować większą ostrożność, tym bardziej, że w Poznaniu nie we wszystkim mu się powiodło. Ogrodnika, którego zatrzymał musiał, z braku dowodów winy uwolnić.

W rozmowie z hrabiną Mołdakowską, którą zaprosił do siebie tuż po powrocie z Poznania, nabrał przekonania, że ogrodnik jest niewinny. Hrabina, dowiedziawszy się od kogo nabył jej administrator wille w Poznaniu, zrezygnowała z przeprowadzką i pozostała w Warszawie.

Na dnie duszy Żarskiego rozmowy z hrabiną pozostawiły dziwny osad. Żarski miał blade przecucie, że hrabinę otacza jakaś tajemnica. Nie śmiał o tym mówić na głos.

Komisarz Żarski nie zapominał o Anieli, która zniknęła, niby kamfora. A jej pantofel, w co nie wątpił że tak jest, strzegł u siebie, jak żrenicy w oku.

A Wołkow przechodził tajemnicze przemiany. Był zakochany, zadumany, roztrzępany. Robak ukryty toczył jego organizm. Przewnął się w rozmowie z Żarskim, że zdrowie mu nie dopisuje i dlatego nie powiodły się jego usiłowania w kierunku wytropienia

bandy. Po włamanju do skarbca Banku, Wołkow był tak wstrząśnięty, jakby conajmniej stracił wielki majątek, układowany w jednej z kasetek ograbionego skarbcza. Z roznów z Wołkowem komisarz Żarski przekonał się, że aspirant coraz częściej zagląda do kieszki.

— Muszę pić — tłumaczył się Wołkow — ta banda wytrąca mię z równowagi.

Dawne podejrzenia, które Wołkow wzbudzał w komisarzu Żarskim odzywały się z większą siłą. Ale żadnych dowodów przeciw Wołkowowi nie udało się Żarskiemu zebrać. W ducnu Żarski począł powątpiewać w swój talent detektywa.

Wołkow przechodził istne piekło ze strony swojej ukochanej, przezywanej „zimną kokotą“. Stawała się dla niego coraz niebezpieczniejsza. Z każdym dniem jej władza nad nim wzrastała. Trzymała go mocno pod zgrabnym pantoflem. Już nie ukrywała przed nim, że utrzymuje stosunki ze światem podziemnym. Nie była zawodową prostytutką. Wiedziała że to prowadzi do rynsztoku. Wołkow nie był jej pierwszą ofiarą, która dostała się w jej sieci pajęczę. Ale jego potrafiła na dłużej przykuć do siebie. Instynktem kobiecym wyczuła, że Wołkow coś ma na sumieniu. I trzymała go mocno w swoich szponach.

Wołkow płacił grubszy pieniądz za luksusowo umeblowane mieszkanie, które jej wynajął. Na tym terenie jej prowadzenie się było bez zarzutu. Nie przyjmowała tu mężczyzn, ale gdy ją kto zapraszał do swojej garsonjery, to i owszem. Nie odmawiała.

„Zimna kokota“ była jedną z tych urodzinych warszawianek, u których Moryc miał powodzenie i z czego był dumny.. Poznał więcej ładnych kobiet, ale żadna go tak nie nacigała, jak przyjaciółka Wołkowa.. Ona się tak świetnie orientowała w sytuacji, że dawała mu do zrozumienia, że donuwała się w jakiej

„branży“ jest czynny.. Teraz, gdy Moryc bawił w Warszawie, często z nią spędzał wolny czas, a po obłowieniu się wyprawą do skarbcia obdarzył nawet „zimną kokotą“ klejnotem. Spotykali się u znajomej jej siostry, znanej „szopenfeldziarki“ warszawskiej..

Moryc jej nie wyznał tajemnicy swego życia, ale „zimna kokota“ widziała go raz na ulicy w towarzystwie Janka, którego od razu poznała z fotografii, okazanej jej pierwszego razu w restauracji.

Wółkow nie podejrzewał swej przyjaciółki o zdradę. Kiedykolwiek nie przychodził do niej o późnej godzinie, była sama w mieszkaniu, jakby czekała tylko na niego.. Wylewał przed nią swoje żale i rozczarowania. Odgrażał się:

— Ja ich przyłapię.. wytypię.. zniszczę..

Ale pewnego razu, gdy Wółkow wyrzucał z siebie przekleństwa pod adresem ludzi nocy „zimna kokota“ przerwała jego potok słów i zapytała obcesowo:

— Czym jesteś lepszy od nich? Czy w mundurze nie dopuszczasz się gorszych świąństw? Stul pysk!

Wółkow nie wierzył własnym uszom. Tak przemawiała jego przyjaciółka. Bładość pokryła jego twarz. Instynktownie sięgnął ręką po rewolwer. Przyjaciółka przekonała się, że przeholowała i obróciła to wszystko w żart. Ale znienawidziła go jeszcze silniej, nie dając tego po sobie znać.

Była córką starego katorżnika i złodziejki. Jej bliscy byli czynni w świątku podziemnym. Czyż mogła naprawdę pokochać policjanta?..

Już jako piętnastoletnia dziewczyna, dobrze zbudowana, o zgrabnych nóżkach, powabna i zalotna była znana we wszystkich lokalach gdzie panowie szukali zabawy i rozkoszy. Odrazu ohrzecono ją przydomkiem „zimna kokota“, gdyż umiała wykorzystać swoje ofiary, które narzucały się jej na każdym kroku.

Dwa lata grasowała po nocnych lokalach, nie od-

dając się nikomu, chociaż obsypywał ją drogiemi klejnotami i kosztownymi prezentami. Ale oto nastąpiła chwila, która przecięła tę niebezpieczną grę z namietnościami ludzkimi. Była to chwila kiedy napotkała na swojej drodze przeznaczonego i zakochała się w nim na zahój. I już następnego dnia upuściła się szczęściem miłości. Ale przeznaczony, człowiek z jej sfery, człowiek nocny, wnet zaofiarował jej podróż do Argentyny... Co prawda, jej bracia pomścili krzywdę uwiedzionej, ale niejeden kawaler księżycy usiłował zarzucić na nią swoje sieci. Musiała sobie znaleźć możnego protektora i znalazła go w osobie Wołkowa.

Spokoiła się w osobliwych okolicznościach: została zatrzymana w czasie jednej z licznych obław. Wołkow zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia i ona rozumiała że będzie jej dobrze z nim.. Kawalerowie księżycy byli odtąd zażwoleńsi, gdyż Wołkow zostawiał ich w spokoju... Zdawała sobie sprawę, że przyjaźń z policjantem nie da się długo utrzymać, zresztą jej bracia nie mogli znieść tego wstydu, że ich siostra zadaje się z wrogiem ludzi nocy.. Wiedziała, że musi odkupić ten grzech w opinii świata podziemi i czekała na odpowiednią chwilę.

I wkrótce ta okazja się zdarzyła. Wołkow, będąc podchmiewony, wygadał się przed przyjaciółką. A opowiedział jej o takich rzeczach, które mogły go zniszczyć. Gdy wytrzeźwiał nje pamiętał nawet, jakie głupstwo popełnił. Ale za to jego przyjaciółka obdarzona była świetną pamięcią. Odtąd trzymała go krótko. Został pantoflarzem. Wołkow nawet nie zdawał sobie sprawy z tej przemiany; nje domyślał się, że sam przy czynił się do tego.

Teraz, gdy Wołkow mówił do niej, że kosztowne upominki, które jej przynosił, pochodzą z bogatej schedy po zmarłej w Ameryce matce, ledwie dostrzegalny uśmiech igrał na jej ustach.. „Zimna kokota“

już była doskonale poinformowana o źródle pochodzenia jego skarbu..

Ostatnio częściej przebywała w towarzystwie Moryca, niż w obięciach Wołkowa. Nie kierowało nią uczucie miłości do Moryca. Zależało jej na zetknięciu się z „klawym Jankiem“... Wiedziała o tym, że Moryc jest współnikiem Janka.

Janek jej imponował. Od pierwszej chwili, gdy ujrzała podobiznę Janka w teczce Wołkowa, poczuła do niego sympatię. Jego śmiała ucieczka z więzienia, a po tym włamanie do skarbcza gotowały w jej wyobraźni bohaterstwo „Klawego“.

„Zimna kokota“ wypytywała Moryca o szczegóły życia Janka i w ten sposób dowiedziała się o jego nagłym ataku szału. Moryc zapewnił ją, że to nic poważnego i że Janek wnet wróci do zdrowia. Opowiedział, że do chorego telegraficznie wezwano profesora z Poznania, który go uzdrowił.

ROZDZIAŁ XXVI

W jednej z wytwornych i wziętych kawiarni warszawskich przy stoliku siedziało dwóch panów, którzy byli zajęci lekturą gazet. W pewnym momencie, ładnie zbudowany szatyn trącił łokciem sąsiada, szepcząc mu do ucha:

—Spójrz!..

Ten podniósł oczy na wchodzącą niewiastę.

— To ona. Napewno ona! — ciągnął dalej przystojny szatyn.

— Tak, to ona — potwierdził komisarz.

Obaj policjanci nieczymś się różnili od pozostałych gości. W cywilnych ubraniach sprawiali wrażenie bogatych mieszczan.

W kilka chwil później do kawiarni wszedł starszy pan o siewiącej czuprynie. Na pierwszy rzut oka

można było sądzić, że to człowiek nauki. Oczywiście powódł po zebranych, po czym szybkim krokiem skierował się do stolika Anieli.

Komisarz Żarski nie wierzył własnym oczom. W przybyłym rozpoznał profesora z Poznania. Komisarz Żarski w mgnieniu oka powiązał zjawienie się profesora z ostatnim włamaniem do skarbcza. Gorąca fala krwi znamionowała jego radość. Był niemal pewny, że teraz natknął się na klucz do największej zagadki. Nie miał wątpliwości, że profesor poznański też jest udziałowcem międzynarodowej bandy rozpruwaczy.

Żarski stwierdził, że Anjela nie zdradza ani niepokoju, ani podniecenia. Jej duże oczy łagodnie spoglądały na profesora, który flegmatycznie o czymś rozprawiał.

Upajał się teraz jej urodą. Wąska kibić, piękne nogi, urok który bił z jej czarnych, płonących oczu, regularne rysy twarzy — to wszystko składało się na postać wymarzonej Bogini, której usta teraz całował w myśli, doznając utajonych rozkoszy.

Wiedział że przemoc i siła nie odniosą u niej skutku. Żałował w duchu, że w swoim czasie próbował ją ujarzmić siłą.

Nie mógł pojąć, co za rolę przydzielila Anieli banda Janka. Był pewny, że mimo wszystko Anjela nie macza rąk w zbrodni. Janek ją przykuł do siebie swą męskością, odwagą, bohaterstwem.

Wółkow zorientował się w sytuacji. Dostrzegał to, co rozgrywało się „pod skórą“ Żarskiego i był zadowolony z jego słabości. Komisarz Żarski wyczuł ukryte myśli Wółkova i zrobiło mu się nieswojo.

Ale oto stała się rzecz nieoczekiwana. Oczy profesora zderzyły się z wzrokiem komisarza. Obaj mężczyźni jakby na chwilę skamjenieli. Ale już po minucie pokonał mimowolne zmieszanie. Tajemniczy uśmiech na twarzy profesora jakby mówił: „znowu spotkaliś-

my się, ale to nie; wiem o tym, że pan mnie szpieguje". Komisarz Żarski lekko się uklonił na znak powitania. Profesor schylił w jego kierunku głowę, po czym dał znak kelnerowi, że chce płacić.

Gdy profesor opuścił w towarzystwie Anieli kawiarnię, obaj policjanci poszli w ich ślady. U zbiegu ulic profesor pożegnał Anielę i poszedł w innym kierunku.

Komisarz Żarski polecił Wółkowowi dalsze śledzenie profesora, sam zaś postanowił zatrzymać Anielę.

Podążył za nią i zatrzymał przy przystanku tramwajowym.

— Przepraszam.. — uchylił komisarz Żarski kapelusza.

Aniela utkwija w nim swój wzrok.

— Sądziłam, że pan już zapomniał o mnie.

— Ja.. ja.. Muszę pani oświadczyć na wstępie, że jestem zmuszony panią aresztować. Obowiązek służbowy przede wszystkim.

— Aha, domyślałam się: tam pan zamierza przeprowadzić przymiarkę pantofla..

— Tym lepiej, skoro pani jest uprzedzona..

Aniela zmierzyła go spojrzeniem, które zmusiło Żarskiego do porzucenia urzędowego tonu. Odezwał się po chwili:

— Chciałbym z panią pomówić o czymś ważnym.

Na twarzy Anieli pojawił się grymas:

— Pana tematy rozmowy nie są mi obce. Wszak nie zapomniałam jeszcze „tamtej“ rozmowy.. Proszę zostawić mnie w spokoju.

Żarski zawstydzony spuścił oczy.

— Ulica nie jest odpowiednim terenem dla rozmowy. Zapraszam panią do kawiarni. Niech pani odniesie się do mnie z odrobiną zaufania. Nie chcę wyrządzić pani krzywdy.

Po krótkim wahaniu, Aniela zgodziła się na propozycję komisarza Żarskiego. Wrócili do poprzedniego lokalu, gdzie zajęli separatkę.

Żarski ujął rękę Anieli i przywarł do niej ustami.

— Kocham cię! Zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia!

— Panie komisarzu, pan się zapomina. Wstyd mi za pana.

— Pani ma słuszość. Ale i pod mundurem policjanta bije serce ludzkie, które zdolne jest do wielkiej miłości.

— Ale ja kocham złodzieja — odparła lodowatym głosem.

— Nie chcę wiedzieć, co było przede mną. Przeszłość dla mnie nie istnieje. Poślubię cię. Odrodzisz się. Będziesz innym człowiekiem, wejdziesz do innego świata.

Aniela wstała z miejsca i zawołała:

— Nje, przenigdy! Nie zmienię moich uczuć! Gdy kobjęją kocha złodzieja, nie może kochać policjanta!

Żarski zwiesił głowę ze smutkiem. Teraz przekonał się, że jej nie przerobi. Postanowił w duchu zmienić wobec niej postępowanie, mimo iż sumienie mu na to nie pozwalało.

— Zadzijwa mnie pani najwność.

— Co w tym najwno?

— Że panj nie orientuje się w swojej sytuacji. Czy pani sobie zdaje sprawę, że, gdybym tego zapragnął, po upływie dziesięciu minut może pani się znaleźć za kratami. Czy wie pani, że ja czeka surowy wyrok za udzielenie pomocy zbjegowi z więzienia.

— To co? — zapytała Aniela z ironią w głosie.

— W imieniu prawa aresztuję panią!

Ale Anielę to tylko rozśmieszało.

— Nie widzę powodów do śmiechu!.. — odezwał się dotknięty jej zachowaniem komisarz Żarski

— Jakże się tu nie śmiać, kiedy w imieniu prawa i ładu społecznego usiłuje mnie pan zmusić do prostytucji.

Żarski nie spodziewał się takiego zarzutu. W duchu przyznał jej rację. Czuł, że wstępuje na śliską drogę występku.

— Co się ze mną dzieje? — wyrwało mu się z ust. Zjawił się kelner, wezwany dzwonią. Żarski ujął należność.

I jakby nic nie zaszło między nimi opuścili lokal. Gdy znaleźli się na ulicy, Żarski ujął Anielę pod ramię. Aniela spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Niech pani się nie wzbranja. Tak pragnę z panią spacerować. Zapewniam, że odtąd nie będę się więcej narzucał uczuciami miłosnymi. W moim wieku człowiek zaczyna popełniać głupstwa.

— Pan jest przyzwoitym człowiekiem.

— Pierwszy komplement pani napelnia mnie radością. Dla pani jestem gotów wszystko uczynić.

— Wszystko? — uśmiechnęła się Aniela. — Nawet gdyby to było sprzeczne ze sprawiedliwością?

Żarski był tym zaskoczony, ale po pewnym namyśle, odezwał się:

— Dla pani jestem gotów skoczyć w ogień i wodę. Moja miłość jest silniejsza od wszystkiego.

— Pan to mówj poważnie?

— Daję na to moje słowo honoru, że żadna kobieta nie oczarowała mnie tak, jak pani. Jestem gotów dopełnić dla pani czyny nawet wbrew sumieniu.

Aniela, przytuliwszy się nieco do Żarskiego, odparła:

— Jeżeli tak, niech mi pan przyrzeknie, że odtąd nie będzie więcej prześladował „Klawego“ Janka...

Komisarz Żarski drgnął, jakby poczuł ukąszenie żmii.

— Wszystko — tak, z wyjątkiem tego żądania.

— Gdyby pan naprawdę mnie kochał, byłby to pan uczynił, ale pan mnie tylko pożąda... — rzekła z wyrzutem w głosie.

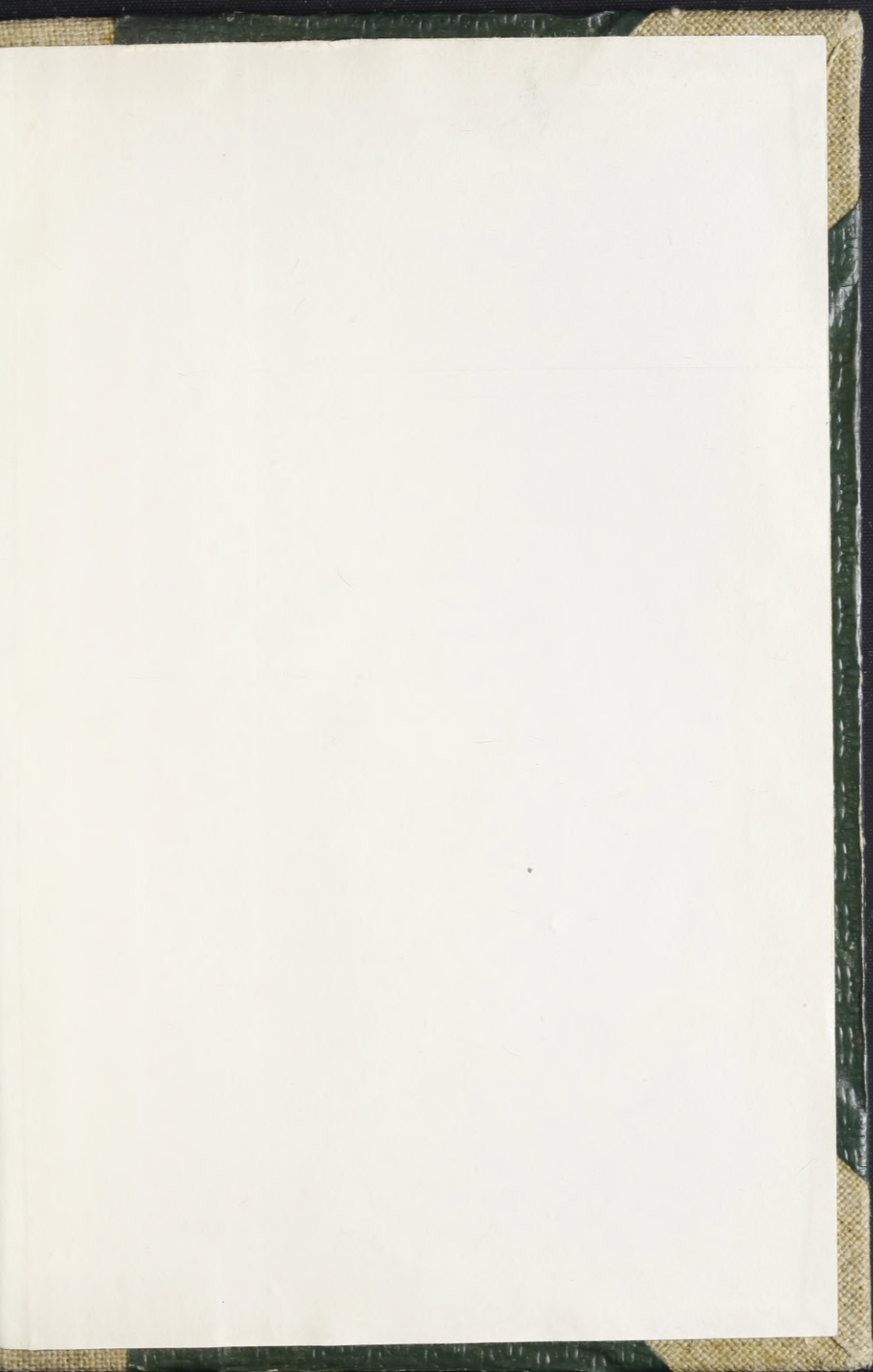
— Twego Janka będę odtąd prześladował jeszcze energiczniej, niż przedtem. Po pierwsze dlatego, że go kochasz, a po drugie — że popełnił ostatnio zbyt wiele zuchwałych przestępstw, byśmy go wypuścili z rąk. Jego miejsce jest na szubienicy!

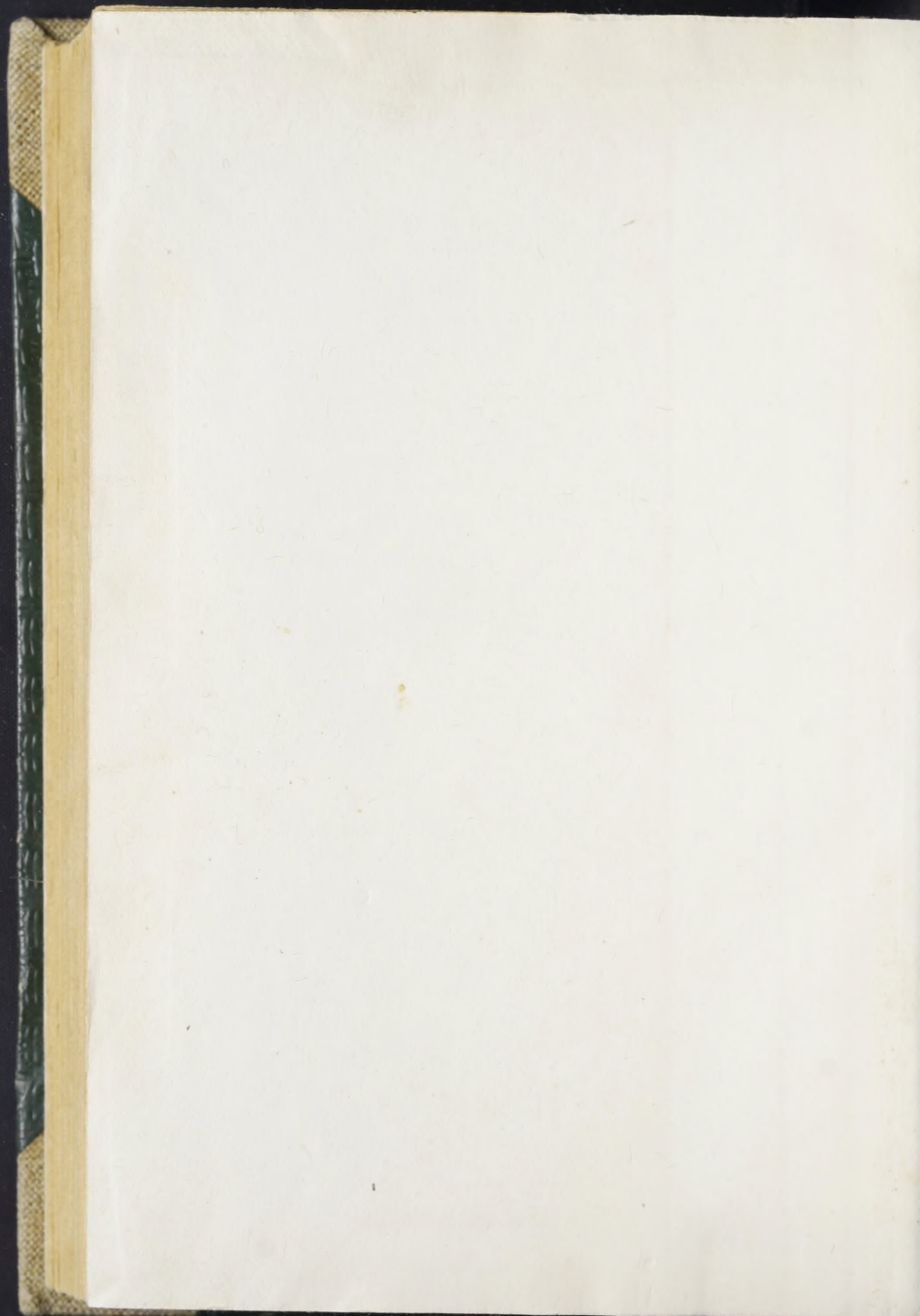
Aniela przez chwilę stała niezdecydowana, po czym szybko się zaczęła oddalać. Żarski najmniej się tego spodziewał. Rozsądek dyktował mu aresztowanie Anieli. Serce nje mogło się zdobyć na taki krok. Wzrokiem śledził oddalającą się Anielę, która wsiała do nadjeżdżającego elektrowozu.

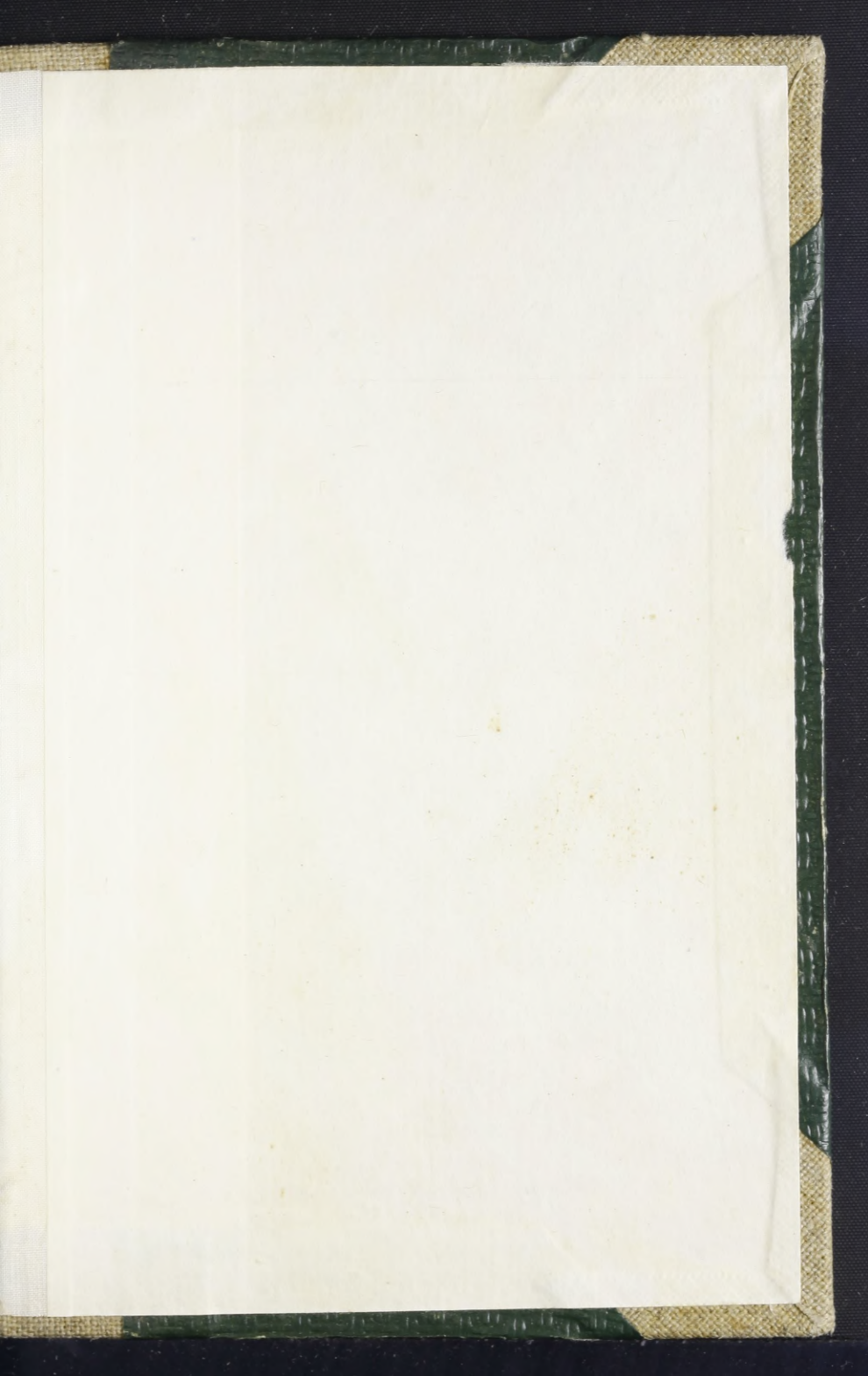
Idąc teraz ulicą, rozżalony do siebie, Żarski czynił sobie wyrzuty, dlaczego jej nie zaaresztował i odesłał tam, gdzie wdzięki kobiece nie odgrywają roli...

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.











501457
